

Znakomita, trzymająca w napięciu powieść! Autentyczna i bardzo ludzka...

LEE CHILD

TONY PARSONS

KRWAWA
WYLICZANKA

DETEKTYW
MAX WOLFE
#1

CZY NIEKTÓRZY ZASŁUGUJĄ NA ŚMIERĆ?

O książce

ŚMIERĆ NIE GRA FAIR...
CZY NA PEWNO?

Przed dwudziestu laty siedmiu uczniów ze szkoły dla chłopców z bogatych rodzin zawarło pakt przyjaźni na śmierć i życie. Teraz, jeden po drugim, kończą w ten sam sposób.

Kto by przypuszczał, że na trop grasującego po Londynie mordercy, podrażniającego ludziom gardła, wpadnie Max Wolfe? Od niedawna w wydziale kryminalnym, samotnie wychowujący córkę i zmagający się z własnymi problemami. Wkrótce dojdą do nich następne, bo zabójca, czując na plecach oddech tropiącego go detektywa, stanie się zagrożeniem nie tylko dla Maxa, ale i dla najbliższej mu osoby.

TONY
PARSONS

KRWawa
WYLIczANKA

Z angielskiego przełożył
ŁUKASZ PRASKI



Wydanie elektroniczne

TONY PARSONS

(ur. 1953 r.)

Pisarz i felietonista „Daily Mirror”, należy do najbardziej znanych brytyjskich dziennikarzy pokolenia punk rocka. Współpracował m.in. z „The Guardian”, „Elle”, „The Daily Telegraph”, „The Sunday Times”, „GQ” i „Marie Claire”. Przez sześć lat regularnie występował w programach telewizji BBC2, *The Late Show* i *Newsnight Review*, a także we własnych programach dokumentalnych. W 1999 r. opublikował pierwszą, entuzjastycznie przyjętą powieść **Mężczyzna i chłopiec**, która w Wielkiej Brytanii otrzymała prestiżowy tytuł Książki Roku 2000 i osiągnęła rekordową liczbę dwóch milionów sprzedanych egzemplarzy. Na jej podstawie powstał dwuczęściowy film telewizji BBC. Kolejne tytuły – **Za moje dziecko**, **Mężczyzna i żona**, **Kroniki rodzinne**, **Miłość to wszystko, czego potrzebujesz** i **Moja ulubiona żona** – również osiągnęły status bestsellerów. **Krwawa wyliczanka** to jego debiut w dziedzinie kryminału, pierwsza z cyklu powieści z detektywem Maxem Wolfe'em.

Tego autora

ZA MOJE DZIECKO
KRONIKI RODZINNE
MIŁOŚĆ TO WSZYSTKO, CZEGO POTRZEBUJESZ
MOJA ULUBIONA ŻONA
DRUGA SZANSA

Harry Silver

MEŹCZYZNA I CHŁOPIEC
MEŹCZYZNA I ŻONA

Max Wolfe

KRWAWA WYLICZANKA

Tytuł oryginału:
THE MURDER BAG

Copyright © Tony Parsons 2014
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2016

Redakcja: Beata Kołodziejska

Zdjęcia na okładce: © Stephen Mulcahey/Arcangel Images (*postać*),
Sybille Sterk/Arcangel Images (*tło*)

ISBN 978-83-7985-304-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [88em](#)

Spis treści

[Prolog](#)

[Październik. #zabicwszystkieswinie](#)

[Listopad. Marzenia umarłych](#)

[Grudzień. Zerwanie kontaktów](#)

[Od autora](#)

*Dla Davida Morrisona, Barry'ego Hoya i Kevina Steela.
Gdzieś na wschód od Suez.*

*Za tak poważnym przestępstwem jak morderstwo
powinny stać silne emocje.*

George Orwell, *The Decline of the English Murder*
(Schyłek angielskiego morderstwa)

*I nigdy nic nie zerwie łańcucha,
Który nas teraz oplata.*

Piosenka wioślarzy z Eton

PROLOG

1988

Kiedy skończyli, zostawili ją leżącą na brzuchu na materacu i wyglądało to tak, jak gdyby już nie żyła.

Zgraja chłopaków w piwnicy, chłopaków silnych jak mężczyźni i okrutnych jak dzieci. Wzięli wszystko, co chcieli, więc wyglądało to tak, jak gdyby nie zostało nic więcej.

Nie słyszała już ich głosów tuż przy swojej twarzy, dyszących pożądaniem, napierających na jej ucho. Teraz dobiegały od długiego stołu, przy którym palili, śmiali się i gratulowali sobie nawzajem tego, co zrobili.

Obok leżał jej T-shirt. Gdyby tylko mogła go wziąć. Znalazła w sobie dość siły, by po niego sięgnąć, włożyć go i zwlec się z materaca. Nie mogła zostać w tej piwnicy. Zaczęła się czołgać w kierunku schodów.

Głosy przy stole umilkły. To przez tę fajkę, pomyślała. Fajka ich spowalnia, ogłupia i usypia. Dzięki Bogu za tę fajkę.

Miała w ustach krew i bolała ją twarz. Wszystko ją bolało. Krew płynęła z nosa, zalewała gardło i zmuszała ją do powstrzymywania wymiotów.

Zatrzymała się, ogarnęły ją mdłości, a po chwili znów zaczęła pełznąć.

Mięśnie nóg zmieniły się w ciężkie bryły bólu. Nic nie działało tak jak powinno. Wydawało się, że nic nie będzie już nigdy działać.

Wszystko zrujnowane.

Z bezradności mogłaby płakać. Zdusiła jednak łzy, zacisnęła zęby i wytrwale posuwała się w stronę drzwi, centymetr po centymetrze, czując zdartą skórę na łokciach i kolanach, kiedy raz po raz wlokła je po podłodze, bez końca.

W tej piwnicy czaiło się zło.

Nie mogła tu dziś umrzeć.

Nie mogła umrzeć w tym pomieszczeniu.

Z początku myślała, że nie zauważyli. Przez to, co zrobiła z nimi fajka. Przez to, że ich ogłupiła i spowolniła ich ruchy. Bogu dzięki za tę fajkę. Zatrzymała się u stóp schodów, żeby odpocząć, i wtedy usłyszała ich śmiech.

A gdy spojrzała w ich stronę, zobaczyła, że wszyscy się jej przyglądają i przyglądali się od samego początku.

Niektórzy zaczęli szyderczo klaskać.

Potem ten, który był z nich najgorszy, ten gruby, który cały czas do niej mówił i obrzucał ją wyzwiskami, z przyjemnością słuchał jej krzyku i zostawił na niej ślady zębów i paznokci – najgorszy sukinsyn z tej hordy obrzydliwych sukinsynów – szeroko ziewnął, ukazując drogi aparat ortodontyczny, i powiedział:

– Nie możemy jej tak po prostu puścić.

Nabrała głęboko powietrza i położyła ręce na pierwszym stopniu schodów.

Coś było nie tak z oddychaniem. Z powodu nosa.

Na dłoń kapnęła kropelka sinoczerwonej krwi.

Musnęła palcami górną wargę, po czym z ogromnym wysiłkiem dźwignęła się z łokci i kolan na nogi, opierając się o ścianę, zamykając oczy i marząc o śnie.

Ocucił ją ból.

I strach.

I obecność chłopaka.

Jeden z nich stał tuż obok niej z wyrazem złośliwego rozbawienia na twarzy. Ten, który pierwszy się do niej odezwał, zaczepił ją z uśmiechem, udawał miłego i przyprowadził ją tutaj.

Teraz chwycił ją za włosy i przechylił jej głowę na bok. Potem wzmocnił uchwyt, odwrócił się i zaczął ją ciągnąć z powrotem w głąb piwnicy, tego podziemnego pomieszczenia, w którym nie mogła umrzeć.

Nie mając świadomości tego, co robi, gwałtownym ruchem uniosła rękę do jego twarzy i z całej siły wepchnęła mu kciuki do oczodołów.

Głęboko, jak najgłębiej.

Teraz jego kolej, żeby poczuć ból.

Obrzydliwe sukinsyny. Same obrzydliwe sukinsyny.

Oboje stali, jak gdyby spleceni w intymnym uścisku tancerzy: on wciąż z ręką w jej włosach, ona zbierająca resztki sił, by coraz głębiej wciskać mu w czaszkę niebieskie oczy pełne szyderstwa. Nagle jej palce o popękanych i zakrwawionych paznokciach, którymi szukała oparcia w jego gęstych czarnych włosach, przeszył ból, próbowała złapać nimi jego uszy, puściła, znów złapała, wbijając kciuki coraz głębiej. Potem poczuła, że lewa ręka opada, bo zatoczył się do tyłu, wydając coraz głośniejszy krzyk i wymachując na oślep rękami, żeby ją odepchnąć, ale prawy kciuk pozostał na miejscu i ciągle wbijał się w lewy oczodół, napierał na gałkę oczną jeszcze przez kilka decydujących sekund, po których poczuła, że nagle przestaje stawiać opór i z mokrym plaśnięciem wpada w głąb czaszki.

Wrzasnął.

Jego wrzask wypełnił piwnicę, wypełnił jej uszy, wypełnił noc. Pozostali zerwali się od stołu, ale nie potrafili się ruszyć, sparaliżowani wrzaskami chłopaka, który właśnie stracił oko.

Po chwili rzuciła się do ucieczki.

Jak ona uciekała.

Pędem wbiegła po schodach.

Drzwi były zamknięte od wewnątrz, ale na szczęście klucz tkwił w zamku – dzięki Bogu za ten klucz. Szarpała się z nim przez moment, słysząc za sobą krzyki, a później wypadła na zewnątrz i ze zdumieniem zobaczyła, że noc się już kończy.

Jak długo ją tam trzymali?

Od drogi oddzielały ją boiska otulone mglistą zasłoną, rozwieszoną na wysokich białych słupkach bramek do rugby w kształcie litery H.

Biegła przez boisko, czując na twarzy wilgoć mgły. Bose stopy ślizgały się na mokrej od porannej rosy trawie, za jej plecami czerniły się piękne i ponadczasowe budynki sławnej starej szkoły.

Biegła, nie oglądając się za siebie i spodziewając się, że lada chwila usłyszy ich głosy, że zgraja dopadnie ją i rozedrze na strzępy.

Ale się nie pojawili.

Za boiskami stał maleńki domek z kamienia, równie niezwykły jak chatka drwała z bajki, ale w oknach było ciemno i nie próbowała się tam kierować. Ruszyła w stronę drogi. Jeżeli uda się jej dotrzeć do drogi, dzisiaj nie umrze.

W połowie dystansu przystanęła, oparła się o słupek bramki i odważyła się spojrzeć za siebie. Nie gonili jej.

Kiedy w bok uderzył ją skórzany pasek, przypomniała sobie, że nałożyli jej obrożę ze smyczą. Zdarła ją z szyi i rzuciła na ziemię.

Na poboczu zatrzymał się jakiś samochód; stał z włączonymi światłami i pracującym silnikiem.

Ktoś ją zobaczył.

Chwiejnym krokiem ruszyła do auta, rozpaczliwie machając rękami, krzycząc, błagając, żeby zaczekali, żeby nie odjeżdżali, żeby broń Boże nie odjeżdżali. Biegła wzdłuż ogrodzenia z gęstej siatki i szukała w niej luki. Pod bosymi stopami nie miała już wilgotnej

trawy, lecz asfalt. Wreszcie wydostała się przez dziurę w ogrodzeniu i biegła po szorstkiej nawierzchni, wołając, by nie odjeżdżali. Wtedy otworzyły się drzwi po stronie pasażera i wysiadł ten gruby, ten, który był z nich najgorszy. Już się nie uśmiechał, miał twarz ściągniętą wyrazem absolutnej, morderczej furii, a ona po raz pierwszy nabrała całkowitej pewności, że umrze właśnie tu, właśnie dziś.

Z samochodu wysiadali następni.

Gruby uchylił klapę bagażnika. Czarna dziura czekała na nią jak otwarty grób.

Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że słyszy wrzask dobiegający z tylnego siedzenia; ktoś krzychał o swoim oku.

To ten, którego okaleczyła. Którego oślepiła.

Żałowała, że nie okaleczyła ich wszystkich. Żałowała, że ich wszystkich nie oślepiła. Bóg jej świadkiem, że na to zasłużyli.

Ale było za późno. Już po niej. Poczowała przytłaczające zmęczenie i słabość ogarniające całe ciało. Wygrali.

Ich ręce szarpały z wściekłością, wyciskając z niej resztki energii, a potem unosząc ją z ziemi i wpychając do bagażnika.

Kiedy zatrzasnęła się nad nią klapa, pogrążyła się w ciemnościach, a samochód wolno wrócił do dostojnej szkoły, gdzie czekała ją śmierć na materacu w piwnicy, w której nigdy nie miała umrzeć.

Na koniec przed oczami stanęła jej rodzina, która już nigdy nie miała jej zobaczyć, a za nią – jak dostrzeżoną mimochodem boczną drogę, w którą nigdy nie skręci – bardzo wyraźnie ujrzała męża, którego nigdy nie pozna, dzieci, które nigdy się nie narodzą, i dobre, pełne miłości życie, które jej odebrano.

Gdy uchodziła z niej dusza, ostatni oddech zmienił się w niemy krzyk wściekłości i żalu za wszystkim, co jej skradli w noc jej śmierci.

PAŹDZIERNIK
#zabicwszystkieswinie

1

Czekałem na człowieka, który zamierzał zginąć.

Zaparkowałem stare bmw X5 niedaleko wejścia na dworzec kolejowy i wypłem potrójne espresso, obserwując ludzi wychodzących ze stacji i spieszących do pracy. Kawę wypłem dość szybko.

Niebawem tu będzie.

Położyłem na desce rozdzielczej trzy fotografie. Jedną mojej żony i córki. Dwie pozostałe człowieka, który zamierzał zginąć. Paszportowe zdjęcie z ewidencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz tak zwany wyrywek z zapisu kamery monitoringu.

Zdjęcie swojej rodziny wsunąłem do portfela i włożyłem go do kieszeni skórzanej kurtki. Dwa zdjęcia człowieka, który zamierzał zginąć, przykleiłem taśmą do deski rozdzielczej.

I obserwowałem ulicę.

Zaparkowałem wóz tyłem do dworca, aby mieć przed sobą szeroką ruchliwą ulicę. Była skąpana w wątłym blasku jesiennego słońca będącego coraz bledszym wspomnieniem lata. W odległości stu metrów ode mnie stała młoda kobieta w stroju sportowym i zaglądała do kiosku z gazetami, a u jej stóp cierpliwie siedział duży owczarek niemiecki na luźnej smyczy i zwróciwszy inteligentny pysk w jej stronę, przyglądał się jej uważnie, zachowując niezmacony spokój w tłumie płynącym ulicą w godzinach szczytu.

– Naprawdę piękny pies – powiedziałem.

W odpowiedzi kobieta uśmiechnęła się i podrapała psa za uszami. Potem w moim uchu odezwał się męski głos, choć nie zwracał się do mnie.

– Delta Jeden, odbiór czysty.

Po chwili rozległy się następne głosy sprawdzające połączenie dla innych znaków wywoławczych i w zgiełku komunikatów zespołu obserwacyjnego usłyszałem wystudiowany spokój, jaki demonstrują policjanci w chwilach wyjątkowego napięcia, podobnie jak piloci mówiący do pasażerów, kiedy palą się wszystkie silniki. Nie ma się czym przejmować, moi drodzy.

Rozejrzałem się po ulicy, szukając vanów, nieoznakowanych samochodów i pieszych funkcjonariuszy w cywilu. Ale wszyscy świetnie się znali na swojej robocie. Nie zauważyłem nikogo oprócz tej kobiety z pięknym owczarkiem niemieckim.

– Delta Jeden – wywołał mnie koordynator obserwacji. – Widzimy cię i słyszymy, Max. Wszystko zależy od ciebie. Czekaemy, aż go zidentyfikujesz, kiedy Bravo Jeden znajdzie się w strefie zatrzymania. Zostań w wozie.

Bravo 1 był człowiekiem, który zamierzał zginąć.

– Zrozumiałem.

Następnie usłyszałem znajomy głos:

– Detektywie Wolfe, tu inspektor.

Detektyw inspektor Elizabeth Swire. Moja szefowa.

– Pani inspektor – przywitałem ją.

– Powodzenia, Wolfe – powiedziała. W jej głosie zabrzmiał lekki śmiech, kiedy dodała pod publiczkę: – Słyszałeś. Zostań w samochodzie. Ciężką robotę zostaw silnym chłopakom.

Utkwiłem wzrok w ulicy. Już niedługo.

– Tak jest, pani inspektor – odparłem, spokojny i łagodny jak owczarek niemiecki przy kiosku.

Gdybym przestawił lusterko wsteczne, zobaczyłbym wiktoriańską fasadę hotelu przy dworcu. Wyglądał jak zamek z bajki, którego wieżyczki i iglice sięgały błękitnego nieba, pełnego skłębionych białych chmur. Jak miejsce, gdzie sto lat trwa nie dłużej niż mgnienie oka. Nie widziałem żadnego z silnych chłopaków. Ale w budynku hotelu przy dworcu kryło się ich tylu, że mogliby rozpętać małą wojnę.

Za firankami i zasłonami czekali funkcjonariusze SCO19, brygady antyterrorystycznej policji metropolitalnej. Każdy z nich był uzbrojony w karabin automatyczny Heckler & Koch G36 i dwa pistolety Glock kalibru 9 mm. Choćbym jednak wyteżał wzrok, nie mogłem ich zobaczyć.

Na miejscu był również oddział pirotechników przysłany z RAF-u. Negocjatorzy. Specjaliści od broni chemicznej i biologicznej. I ktoś do zamawiania pizzy. Mieliśmy też około dwudziestu ludzi w okolicy dworca, lecz widziałem tylko kobietę z psem. Ciągłe słyszałem zgiełk głosów obserwatorów.

– Do wszystkich, meldować. Echo Jeden?

– Ani śladu.

– Victor Jeden?

– Nic.

– Tango Jeden?

– Jest obiekt – powiedział kobiecie głos.

Po raz pierwszy w kawałku plastiku tkwiącym w moim uchu zapadła kompletna cisza.

– Mam obiekt – odezwał się ten sam głos. – Bravo Jeden w polu widzenia. – Nastąpiła przerażająca przerwa. – Prawdopodobnie – dodała kobieta. – Powtarzam, prawdopodobnie mam obiekt.

– Prawdopodobnie – powiedział koordynator obserwacji. – Weryfikacja. Alarm dla wszystkich. – W jego głosie zabrzmiało jeszcze

większe napięcie.

Zaraz potem znów usłyszałem ten kobiecy głos, z wyraźną nutą wątpliwości:

– Być może. Czerwony plecak. Właśnie mija British Library. Kieruje się pieszo na wschód, w stronę dworca. Zbliża się do strefy zatrzymania.

– Delta Jeden?

– Zrozumiałem – odrzekłem.

– Gubię go – powiedziała Tango 1, co oznaczało, że straciła obiekt z oczu.

Szybko zerknąłem na fotografię przyklejone do deski rozdzielczej. Właściwie nie musiałem, bo doskonale wiedziałem, jak wygląda. Mimo to przyjrzałem się ostatni raz i znów skierowałem wzrok na tłum.

– Nie widzę go – powiedziałem.

W uchu zabrzmiał inny, bardziej rozgorączkowany głos. Znów kobiety. Policjantki z psem, który przyglądał się jej uważnie, kiedy poruszała ustami.

– Tu Whisky Jeden, Whisky Jeden. Prawdopodobnie mam obiekt. Bravo Jeden. Dwieście metrów. Idzie drugą stroną ulicy. W kierunku wschodnim. Czerwony plecak. Prawdopodobnie obiekt.

Gwar wielu głosów, a po chwili ostry rozkaz uciszający wszystkich:

– Prawdopodobnie. Weryfikacja. Weryfikacja. Alarm dla wszystkich. Delta Jeden, alarm.

Zapadła cisza, zakłócana tylko trzaskami i szumem. Teraz czekali na mnie.

Z początku w ogóle go nie zauważyłem.

Bo wyglądał inaczej.

Szybko spojrzałem na dwa zdjęcia na tablicy rozdzielczej. W niczym nie przypominał tego człowieka. Czarne włosy stały się

jasnobrązowe. Zniknęła rzadka broda. Ale były istotniejsze różnice. Zmieniła się twarz. Była pełna, nabrzmiała, jak twarz kogoś zupełnie innego.

Jedna rzecz pozostała jednak taka sama.

– Delta Jeden?

– Mam obiekt – powiedziałem.

Czerwony plecak wyglądał identycznie jak ten z zapisu kamery monitoringu z dnia, w którym w hurtowni farmaceutycznej kupił roztwór nadtlenku wodoru.

Miał ten czerwony plecak, kiedy podszedł do kasy z wózkiem, w którym znajdowało się 440 litrów wybielacza do włosów. Miał go, gdy zapłacił za zakupy 550 funtów w banknotach pięćdziesięciofuntowych. Miał go, kiedy opróżniał z ładunku furgonetkę w garażu, gdzie zainstalowaliśmy kamery.

Nie da się nie zauważyć tego plecaka. Wyglądał jak część ekwipunku wspinacza wybierającego się na Mount Everest. Duży, neonowy czerwony, jak nazywa się ten kolor.

Jednak twarz była inna. To mnie zbiło z tropu. I miało mnie zbić z tropu. Twarz została czymś napompowana. Zamierzał iść na spotkanie śmierci z twarzą kogoś innego.

Ale już to zrozumiałem.

Nie było wątpliwości.

– To on – powiedziałem. – Mam obiekt. Coś ze sobą zrobił. Nie wiem. Coś z twarzą. Ale to on. Obiekt. Potwierdzam tożsamość. Mam obiekt.

– Snajper Jeden, obiekt w zasięgu – odezwał się czyjś głos i po drugiej stronie ulicy po raz pierwszy zobaczyłem strzelców, trzy sylwetki poruszające się po dachach nad pasażem obskurnych sklepików i restauracji. Promienie słońca odbijały się od broni policyjnych strzelców wyborowych zajmujących pozycje.

Byli naszą ostatnią deską ratunku, gdyby wszystko poszło nie tak. A właśnie zaczynało iść nie tak.

– Snajper Dwa, obiekt w zasięgu. Ale nie ma warunków do strzału. Nie mam czystej pozycji. Za gęsto na dole.

Mężczyzna z czerwonym plecakiem przystanął po drugiej stronie ulicy, czekając na zmianę świateł. Z hukiem przetoczył się sznur pojazdów, między którymi przebłyskiwała neonowa czerwień. Dotknąłem słuchawki w uchu. Nagle wszyscy przestali się do mnie odzywać.

– To on – powiedziałem. – Potwierdzam tożsamość. Mam obiekt, mam obiekt, odbiór.

Zapaliło się zielone światło i samochody niechętnie wyhamowały. Tłum ludzi przelewał się na drugą stronę ulicy. Człowiek z czerwonym plecakiem ruszył z falą.

Powiedziałem powoli i wyraźnie:

– Delta Jeden, potwierdzam kontakt. Obiekt za chwilę wejdzie w strefę zatrzymania. Jak mnie zrozumieliście? Odbiór.

W odpowiedzi usłyszałem tylko radiowy szum.

A potem:

– Prawdopodobnie. Weryfikacja. Wszyscy w pogotowiu.

Pokręciłem głową i chciałem się znowu odezwać, kiedy zabrzmiał spokojny głos inspektor Swire:

– Wynik negatywny, Wolfe. To nie on. Wynik negatywny. Koniec akcji.

Następnie głos koordynatora obserwacji:

– Wynik negatywny. Koniec akcji. Do wszystkich stanowisk, alarm odwołany.

Na ulicy znowu zmieniły się światła.

Człowiek z czerwonym plecakiem znalazł się po drugiej stronie jezdni.

Zmierzał w kierunku dworca.

– Spodziewacie się, że będzie ubrany w burkę? – powiedziałem. – To Bravo Jeden. Nasz obiekt. To on. Jego twarz...

– Rysopis się nie zgadza – przerwał mi koordynator. – Nie mamy potwierdzenia tożsamości, Delta Jeden.

Po chwili znów Swire:

– To nie on – powtórzyła. – Przestań dyskutować, Wolfe. – W jej głosie zabrzmiał surowy ton. – Miałeś jedno zadanie. Zostało zakończone. Nie ma potrzeby dalszych działań. Odwołujemy alarm dla wszystkich stanowisk. Wynik negatywny. Koniec akcji. Dziękuję wszystkim.

Tłum zwolnił przed dworcem, mieszając się ze strumieniem ludzi napływającym z King's Cross. Ocenilem, że mam minutę, by go zatrzymać, zanim zniknie w budynku dworca. Kiedy człowiek z czerwonym plecakiem znajdzie się w pociągu, w metrze albo w holu dworca, wystarczy, że zetknie dłonie, a świat rozleci się na kawałki.

Łącząc baterię, którą prawdopodobnie trzymał już w jednej ręce, z prostym zaciskiem w drugiej, zamknę obwód elektryczny. Następnie prąd przepłynie dwoma przewodami do wnętrza czerwonego plecaka – w bocznej ścianie została zapewne wycięta dyskretna szczelina – gdzie zmodyfikowana żarówka odpali detonator wewnątrz niewielkiej rurki. A to spowoduje wybuch głównego ładunku, sporządzonego z perhydrolu, za który zapłacił jedenastoma pięćdziesięciofuntowymi banknotami, co widziałem na obrazie z kamery.

Równocześnie kupił hurtową ilość sześciocalowych stalowych gwoździ. Całe worki. Były pewnie przyklejone na zewnątrz głównego ładunku, żeby zadać jak największe cierpienia kilkuset osobom.

Jeżeli bomba eksploduje.

Jeżeli facet okaże się na tyle sprytny.

Jeżeli przygotował ładunek według przepisu i niczego nie spaprał.
Opanowałem mdłości, przelękając gorącą kulę żółci, która podeszła mi do gardła.

– Mylicie się – powiedziałem. – To on. Obiekt.

Byłem w jego garażu. Widziałem setki pustych butelek po wybielaczu do włosów. Oglądałem film z monitoringu z dnia, w którym je kupił, dopóki oczy nie zaczęły mnie piec od jego widoku.

Nie potrzebowałem zdjęć przyklejonych do deski rozdzielczej. Znałem go. Jego wygląd miałem wyryty w głowie.

Przedemną nie mógł się ukryć.

– Do wszystkich, alarm odwołany – mówił głos w słuchawce z wystudiowanym spokojem. – Zrozumiałeś mnie, Delta Jeden?

– Nie – odparłem. – Coś się dzieje z połączeniem.

Zostało trzydzieści sekund.

Otoczony tłumem przechodniów i mnóstwem uzbrojonych ludzi, zostałem sam na sam z człowiekiem, który zamierzał zginąć.

...

Słuchałem kiedyś wykładu na akademii policyjnej w Bramshill w Hampshire – odpowiedniku Oksfordu i Cambridge w policyjnym szkolnictwie wyższym.

Przyleciał do nas wtedy agent FBI, żeby nam pomóc w zwalczaniu terroryzmu. Byłem pod wielkim wrażeniem bieli jego zębów. Miał doskonałe uzębienie. Bardzo amerykańskie. Ale jeszcze większe wrażenie zrobił na mnie fakt, że ten człowiek znał się na swojej robocie.

Błyskając lśniącoymi zębami, poinformował nas, że FBI zidentyfikowało dwadzieścia pięć obszarów zagrożonych

działalnością terrorystyczną. Nie był to katalog miejsc od A do Z, ale prawie – od A do S, od autobusów po studia tatuażu.

W zasadzie wszędzie.

Federalny sugerował też, jak mogą wyglądać potencjalni terroryści.

W zasadzie jak każdy.

Studenci w Bramshill, najbystrzejsi i najlepsi, wszyscy ci gliniarze robiący szybkie kariery, nowe pokolenie wydziału kryminalnego, młodzi, twardzi i inteligentni, prawie co do jednego zmoczyli się ze śmiechu. Ja jednak, w odróżnieniu od reszty, nie uznałem wykładu za stratę czasu. Wręcz przeciwnie. Bo zapamiętałem podany przez agenta FBI potencjalny wskaźnik numer jeden.

Podejrzany w znaczący sposób zmienia swój wygląd.

Chociaż moi koledzy złośliwie uśmiechali się pod nosem i przewracali oczami, doszedłem do wniosku, że to uwaga warta odnotowania. Nigdy nie możesz przeoczyć rzeczy oczywistych. Nie spodziewaj się, że będzie wyglądał jak na zdjęciach albo obrazach z monitoringu. Przygotuj się na to, że będzie wyglądał jak ktoś zupełnie inny.

Agent FBI mógł wspomnieć o jeszcze jednym szczególe. Podejrzany, który w znaczący sposób zmienia wygląd, nie będzie sobie sprawiał nowej torby.

...

– Ten sam plecak – powiedziałem, otwierając drzwi samochodu. – Z monitoringu. Czerwony plecak. Kiedy kupował sprzęt. Czerwony plecak. Od samego początku. To ten czerwony plecak. I to on.

– Nie wolno tu parkować, kolego – powiedział przez okno ktoś z afrocockneyowskim akcentem, a ja drgnąłem zaskoczony na dźwięk

głosu, który nie dochodził z wnętrza mojej głowy.

Funkcjonariusz służby drogowej wypisywał mi mandat. Wsiadłem z samochodu. Wysoki mężczyzna z Afryki Zachodniej, z plemiennymi bliznami na policzkach cofnął się o pół kroku, spodziewając się kłopotów. Patrząc ponad jego ramieniem, dostrzegłem człowieka z czerwonym plecakiem.

Tłum na ulicy zdążył się już przerzedzić.

Człowiek za chwilę miał wejść na dworzec.

Piętnaście sekund.

Nagle w mojej głowie odezwał się głos:

– Tu inspektor Swire. Cholera, wsiadaj z powrotem do wozu, Wolfe.

Przestała udawać spokój.

Zawahałem się przez moment.

A potem wsiadłem do samochodu.

Funkcjonariusz wsuwał mandat za wycieraczkę. Pokręciłem głową i zerknąłem w lusterko wsteczne. Człowiek z czerwonym plecakiem znalazł się bezpośrednio za mną, stając przed głównym wejściem na dworzec. Tłum przechodniów topniał. Nic nie mogło go już powstrzymać przed wkroczeniem do budynku. Ale zatrzymał się tuż przed nim.

Coś do siebie mówił.

Nie.

Modlił się.

Dziesięć sekund.

Człowiek z czerwonym plecakiem ruszył naprzód.

Dziewięć sekund.

Wrzuciłem wsteczny.

Osiem sekund.

Obróciłem się na siedzeniu i wcisnąłem pedał gazu do deski.

Samochód wyrwał do tyłu, a ja patrzyłem na człowieka z czerwonym plecakiem, pędząc prosto na niego. Mocno oparłem rękę o fotel pasażera, przygotowując się na uderzenie, a dłonią na kierownicy bez przerwy wciskałem klakson, płosząc zbłąkanych podróżnych.

Człowiek z plecakiem ani drgnął.

Lecz patrzył mi w oczy, gdy stare bmw mknęło w jego stronę, i przestał poruszać ustami.

Pięć sekund.

Rozpędzony wóz rąbnął w niego tuż powyżej kolan, gruchocząc mu kości udowe obu nóg, a jego tułów uderzył w tył samochodu. Jego twarz roztrzaskała tylną szybę, tylna szyba zaś zrobiła to samo z jego twarzą.

Chwilę później siła uderzenia cisnęła nim o mur z czerwonej wiktoriańskiej cegły, na którym tył jego głowy eksplodował jak jajko na miękko potraktowane młotem kowalskim.

Trzy sekundy.

Wrzuciłem bieg i pomknąłem z powrotem na przeciwległy koniec placu przed dworcem, gdzie stał funkcjonariusz służby drogowej i skamieniały gapił się na mnie z otwartymi ustami, ciągle trzymając w ręce automat do mandatów.

Znów przestawiłem dźwignię na wsteczny, gotów ruszyć jeszcze raz.

Ale nie było potrzeby ruszać jeszcze raz.

Zero.

Wolno wysiadłem z samochodu.

Otaczał mnie krzyk ludzi. Krzyczeli podróżni na placu. Krzyczały głosy w mojej głowie. Jakiś pies szczekał zajadle, szybko się do mnie zbliżając.

Jeden głos w moim uchu krzychał coś o rażącym przekroczeniu obowiązków i nieumyślnym spowodowaniu śmierci. Inny o morderstwie.

– Wolfe!!!

Swire.

Wyrwałem z ucha słuchawkę i wyrzuciłem ją.

Człowiek z czerwonym plecakiem siedział oparty plecami o ceglany mur, patrząc prosto na mnie, z wyrazem zdumienia na zmasakrowanej twarzy. Jego dłoń wciąż podrygiwała w pośmiertnych drgawkach. Obie ręce miał puste.

Nie spodziewałem się, że będzie miał puste ręce.

Nagle wokół mnie zaroilo się od uzbrojonych ludzi w kominiarkach. Lufy skierowały się na martwego mężczyznę. Pistolety Glock kalibru 9 mm. Karabiny automatyczne Heckler & Koch. Po chwili zauważyłem, że niektóre są wycelowane we mnie.

– To był nasz obiekt – powiedziałem.

Uzbrojeni funkcjonariusze SCO19 byli wszędzie. Podróżni biegali i czołgali się, szukając schronienia. Wiele osób krzychało i płakało z przerażenia, bo ludzie z bronią ani trochę nie wyglądali na policjantów. Mieli na sobie kamizelki kuloodporne, a na ramionach metalowe karabińczyki, aby łatwiej można ich było odciągnąć, gdyby dostali. Nosili czarne kominiarki z otworami na oczy i usta. Wyglądali jak paramilitarna banda złodziei podczas skoku na bank.

Ludzie myśleli, że kominiarki mają chronić ich tożsamość, ale ja wiedziałem, że mają budzić grozę.

I budziły.

Wołali do nadajników radiowych przymocowanych tuż nad sercem. Zamaskowane twarze ryczały na mnie, każąc mi się położyć na ziemi i nie ruszać.

Na ziemię. Już! Już! Już!

Wolno wyjąłem z kieszeni džinsów legitymację, pokazałem i rzuciłem w ich stronę. Potem podniosłem ręce. Nie zamierzałem jednak klękać przed nimi. Nie zamierzałem kłaść się na brzuchu. Szedłem w stronę człowieka siedzącego pod murem.

Musiałem się przekonać, czy miałem rację.

Masz ostatnią szansę! Na ziemię!

Kucając nad zwłokami, zobaczyłem, że uderzenie nie spowodowało pęknięcia tyłu czaszki. Tył czaszki przestał istnieć.

Na chodniku utworzyła się już lepka plama krwi.

Wokół mnie rozlegały się krzyki przerażenia i wściekłości. Pies był tak blisko, że mogłem poczuć jego zapach, tak blisko, że mogłem poczuć ciepło jego oddechu.

Kątem oka widziałem dziwne, tępe nosy glocków wycelowane w martwego człowieka na ziemi, a także w moją twarz. Pistolety były odbezpieczone.

Ale przecież to był on, prawda?

W zdumieniu spojrzałem na swoje ręce.

Były pokryte krwią zabitego mężczyzny.

Jednak nie drżały, kiedy pośpiesznie otworzyłem czerwony plecak i zajrzałem do środka.

2

– Przepraszam – powiedziałem. Ciało miałem wciśnięte w garnitur, którego nie nosiłem od ślubu.

W gabinecie tłoczyli się wszyscy członkowie ekipy śledczej. Przedemną stanęła techniczka kryminalistyki, która usiłowała mnie wyminąć – cała w bieli prócz niebieskiej maseczki, zakrywającej wszystko z wyjątkiem wyrazu irytacji w oczach. Znajdowałem się w dużym narożnym gabinecie mieszczącym się prawie na samym szczycie lśniącego wieżowca ze szkła, ale przypomniały mi się te szkolne boiska z dzieciństwa, na których równocześnie mogłeś się czuć niewidzialny i wszystkim zawadzać, bo byłeś nowy.

Nagle w oczach techniczki dostrzegłem błysk.

– Znam pana – oświadczyła.

– Jestem nowy – odparłem.

– Nie – powiedziała. – Pan jest tym bohaterem z dworca kolejowego. Kiedy zaczął pan pracować w wydziale zabójstw?

– Dzisiaj.

Uśmiechnęła się pod niebieską maseczką.

– Super. Jak nazywali pana w sądzie?

– Funkcjonariusz A.

– Zabił pan już kogoś w tym tygodniu, funkcjonariuszu A?

– Jeszcze nie – odrzekłem. – Ale jest dopiero poniedziałek rano.

Zaśmiała się i zostawiła mnie przy biurku ofiary. Niewiele na nim było. Tylko świeża krew i stare zdjęcie.

Na fotografii siedmiu młodych mężczyzn w wojskowych mundurach uśmiechało się do obiektywu, jak gdyby spoglądali w swoją pewną i bezpieczną przyszłość. Krew rozprysnęła się na rogu szklanej ramki, ale nie przysłoniła ich zawadiackich min.

Dziwne zdjęcie jak na biurko w gabinecie. Nie było tu fotografii żony, dzieci, psa. Tylko siedmiu młodych żołnierzy, teraz zamazanych kroplami krwi.

Jasnej krwi, która trysnęła prosto z tętnicy.

Kiedy przyjrzałem się uważniej, zobaczyłem, że zdjęcie zrobiono w latach osiemdziesiątych, sądząc po wyblakłych kolorach i wyglądzie pewnych siebie młodych ludzi, uczesanych „na płetwę”. Mieli fryzury z innej dekady, a mundury z innego stulecia. Przypominali Duran Duran pod Waterloo.

Zauważyłem też, że nie byli jeszcze mężczyznami. To byli chłopcy, którzy mieli pozostać chłopcami przez może jeszcze jedno lato. I mimo wojskowych mundurów nie byli prawdziwymi żołnierzami, tylko uczniami przebranymi za żołnierzy. Dwaj z nich wyglądali na bliźniaków. Jednym z tej dwójki był trup po drugiej stronie biurka. W dorosłym życiu stał się bankierem. I ofiarą morderstwa.

Stanąłem z boku, kiedy fotograf z ekipy kryminalistycznej zaczął robić zdjęcia zakrwawionego biurka.

– Kto chciałby zabić bankiera? – spytał.

Wywołał śmiech. Przede wszystkim wśród techników, którzy chichotali pod maseczkami. Jeżeli ktoś spędza życie na zbieraniu mikroskopijnych próbek krwi, spermy i brudu, cieszy się z każdej okazji do śmiechu. Ale starszy stopniem detektyw, stojący po drugiej stronie biurka, nawet się nie uśmiechnął, chociaż nie wiedziałem, czy nie usłyszał komentarza, czy był zbyt zaabsorbowany leżącymi przed nim zwłokami, czy nie pochwalał beztroski w obliczu śmierci.

Cierpliwie czekał, podczas gdy przy ciele ofiary klęczał niewysoki mężczyzna z teczką – lekarz wydziału mający stwierdzić zgon.

Detektyw miał dużą głowę, ogoloną tak gładko, że lśniła, i mimo efektownie złamanego nosa – który był uszkodzony tak często, że przypominał nierówny stok narciarski – pozostał na tyle próżny, by nosić równiutko przystrzyżoną jasną bródkę.

Kiedy zwrócił na mnie przenikliwe niebieskie oczy, pomyślałem, że wygląda jak wiking. Bez trudu mogłem go sobie wyobrazić z tą bladą, zaciętą twarzą, jak przybija łodzią do brzegu, żeby plądrować i dręczyć mnichów. Ale wikingowie nie nosili okularów, a detektyw miał okrągłe lenonki bez oprawek; łagodziły jego ostre rysy, nadając surowej twarzy wyraz pewnej życzliwości i lekkiego zakłopotania.

Mój nowy szef.

– Detektyw Wolfe, panie komisarzu – przedstawiłem się.

– Ach, nasz nowy człowiek – powiedział cicho, wymawiając sylaby precyzyjnie i skracając samogłoski, w sposób charakterystyczny dla ludzi z północy, z Aberdeen albo dalej, ze szkockim akcentem, który brzmi, jakby każde słowo było wyciosane z granitu. – Komisarz Mallory.

Znałem już jego nazwisko. Dotąd nigdy go nie spotkałem, ale wystarczająco dużo o nim słyszałem. Komisarz detektyw Victor Mallory był jednym z powodów, dla których zależało mi na przeniesieniu do wydziału zabójstw i poważnej przestępczości.

Obaj mieliśmy na dłoniach błękitne lateksowe rękawiczki, więc nie próbowaliśmy podawać sobie rąk nad biurkiem. Ale uśmiechnęliśmy się do siebie i przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

Komisarz Mallory robił wrażenie bardzo sprawnego fizycznie, nie tylko jak na faceta tuż po pięćdziesiątce, ale jak na faceta w każdym wieku, poza tym wydawało się, jak gdyby zawdzięczał tę sprawność zwyczajnej aktywności sportowej, a nie godzinom spędzonym

w siłowni. Patrzył na mnie niebieskimi oczami, gdy lekarz uwijał się przy zwłokach.

– Zjawileś się w samą porę – rzekł Mallory. – Zaraz zaczynamy. Witamy w wydziale zabójstw.

Uprzejmie, ale bez zbędnych ceregieli.

Lekarz podniósł się z klęczek.

– Nie żyje, oczywiście – oznajmił, zatrzasnąwszy torbę.

Mallory podziękował mu i przywołał mnie skinieniem głowy. Podszedłem bliżej.

– Chodź, popatrz na ciało, Wolfe – rzekł – i powiedz mi, czy kiedyś widziałeś coś podobnego.

Dołączyłem do komisarza Mallory'ego, który stał nad zwłokami po drugiej stronie biurka. Z początku zobaczyłem tylko krew. Liczne rozpryski z tętnicy i gdzieś pod tym wszystkim mężczyznę w koszuli i krawacie.

– Denat nazywał się Hugo Buck – powiedział Mallory. – Trzydzieści pięć lat. Zajmował się bankowością inwestycyjną w ChinaCorps. Ciało znalazł o szóstej rano jeden ze sprzątaczy. Buck przychodzi wcześniej. Współpracuje z rynkami azjatyckimi. Kiedy pił pierwszą kawę, ktoś mu poderżnął gardło. – Mallory przyjrzał mi się z uwagą. – Widziałeś kiedyś coś takiego?

Nie wiedziałem, jak zareagować.

Gardło bankiera było więcej niż poderżnięte. Było rozprute na wskroś. Przednia część szyi została odcięta z niezwykłą precyzją. Denat leżał na wznak, ale odnosiło się wrażenie, że głowę łączy z ciałem najwyżej mała chrząstka. Krew musiała buchnąć z szyi silnymi strumieniami; koszula i krawat wyglądały jak ogromny czerwony śliniak. Poczulem już jej zapach, metaliczny odór świeżej krwi. Starłem się o nim nie myśleć.

Marynarka Hugo Bucka nadal wisiała na oparciu krzesła. W jakiś przedziwny sposób rozbryzgi nawet jej nie tknęły.

Zerknąłem na Mallory'ego, po czym znów skierowałem wzrok na trupa.

– Widziałem trzy poderżnięte gardła, panie komisarzu – powiedziałem.

Zawahałem się, ale skinął głową na znak, żebym kontynuował.

– Byłem w pierwszym tygodniu służby, kiedy pewien człowiek w telefonie żony znalazł SMS od swojego najlepszego przyjaciela i sięgnął po nóż do mięsa. Jakiś rok później uczestniczyłem w oględzinach po napadzie na sklep jubilerski, gdzie pistolet nie wypalił, więc złodziej wyjął siekierę i zaatakował człowieka, który nacisnął guzik alarmu. Było jeszcze wesele, na którym ojciec panny młodej chciał zaprotestować przeciwko przemowie drużby i wbił mu w szyję kieliszek do szampana. W sumie trzy poderżnięte gardła.

– Czy któreś z nich wyglądało podobnie?

– Nie, panie komisarzu.

– To prawie dekapitacja – zauważył Mallory.

Rozejrzałem się po gabinecie.

– Ktoś musiał coś usłyszeć – powiedziałem.

– Nikt nie słyszał absolutnie nic – odparł Mallory. – W takim budynku nawet o tej porze są ludzie. Ale nikt zupełnie nic nie słyszał, kiedy człowiekowi prawie odrąbywano głowę.

Przypatrywał mi się jasnoniebieskimi oczami, lecz nie rozumiałem.

– Ofierze przecięto tchawicę – wyjaśnił. – Zabrakło powietrza. Żeby krzyknąć, potrzeba powietrza. Nikt niczego nie słyszał, bo nie było czego słyszeć.

W milczeniu oglądaliśmy zwłoki, podczas gdy po całym gabinecie powoli poruszali się technicy kryminalistyki jak naukowcy badający następstwa katastrofy biologicznej. W maskach, rękawiczkach

i białych kombinezonach wyglądali identycznie, cierpliwie poszukując odcisków palców, wkładając skrawki włókien do torebek na dowody i pobierając próbki krwi z biurka, dywanu i szklanych ścian. Mieli mnóstwo krwi do dyspozycji. Jeden z techników szkicował miejsce zdarzenia. Fotograf, który zastanawiał się, kto chciałby zabić bankiera, przestał robić zdjęcia i filmował gabinet. Na puszystym dywanie zółciły się małe plastikowe tabliczki z numerkami, a technicy zbierali ślady butów do analizy i porównania z bazą danych traseologicznych SICAR¹.

Mallory obserwował ich działania.

– Robota zawodowców w większości wypadków jest bardzo amatorska, Wolfe. To ironia losu czy paradoks? Zlecenie wykonują zbiry wynajęte w pubie. Kretyni gotowi zabić każdego za trochę gotówki. W większości wypadków na robotę zawodowców masz gwarancję – gwarantują, że zrobią to źle. Ale nie tym razem. Widzisz to równe cięcie? Znaczna część tych, którzy podrzynają ludziom gardła, kiereszuje, rąbie i piłuje. Robi straszną jatkę, zgadza się? Widziałeś przy okazji swoich trzech przypadków. Taką jatkę, jaką wściekły człowiek może zrobić z istotą z krwi i kości, kiedy ma pod ręką coś ostrego. A to wygląda na jedno cięcie. Głowa prawie mu odpadła, ale to tylko jedno cięcie. Kto podcina gardło w taki sposób?

– Ktoś, kto się na tym zna. – Zastanowiłem się przez moment. – Rzeźnik. Chirurg. Żołnierz.

– Sądysz, że po okolicy gania jakiś Rambo?

– Nie wiem, czy gania, panie komisarzu. Może śpi na ulicach.

Mallory ruchem głowy wskazał miasto za szybą, trzydzieści pięter niżej, mieniające się w promieniach jesiennego słońca wokół wijącej się szarej rzeki.

– Ilu byłych żołnierzy śpi na tych ulicach? – zapytał.

– Zbyt wielu – odpowiedziałem. Próbowałem to sobie wyobrazić. – Wchodzi tu w nocy. Szuka ciepłego miejsca na nocleg. Szuka czegoś, co warto ukraść. Coś mu przeszkadza. – Nie potrafiłem jednak poskładać tego w całość. – Ale musi jakoś minąć ochronę.

– Rzeźnik, chirurg, żołnierz – powiedział Mallory. – A może ktoś, kto wcale się na tym nie znał. Jeden z bankierów, kolegów pana Bucka. Ktoś z personelu sprzątającego. Może to po prostu był fuks. A może jego żona. Podobno za nim nie przepadała. Trzy dni temu wezwano policję do rodzinnej kłótni u państwa Bucków. Doszło do rękoczynów. Widziałeś małżeńskie łóżce?

Oparty o jedną ze szklanych ścian stał materac do podwójnego łóżka, jeszcze opakowany w folię z fioletowo-pomarańczowymi nalepkami FedExu.

– To ich materac? – zapytałem. – Żona przysłała mu do biura ich łóżko?

– Pani Buck wcześniej wróciła do domu z wyjazdu służbowego i zastała pana Bucka z gosposią. – Mallory z dezaprobatą i zażenowaniem zmarszczył czoło. – Dodam, że nie pomagał jej opróżniać zmywarki. Tak więc pani Buck zaatakowała pana Bucka nożem do ostryg.

– Nożem do ostryg?

– Owszem, nożem do ostryg. Ma krótkie, szerokie ostrze. To zamożni ludzie. Lubią ostrygi. W każdym razie zagroziła, że odetnie mu jądra i wepchnie do odbytu. Słyszac odgłosy awantury, sąsiedzi zadzwonili pod 999. Funkcjonariusze obezwładnili małżonków. Od tego czasu pan Buck nie nocuje w domu.

Spojrzeliliśmy na małżeńskie łóżce opakowane przez FedEx.

– Sądzi pan, że to jego żona, panie komisarzu? – spytałem.

Mallory wzruszył ramionami.

– W tej chwili nikt inny nie wchodzi w grę. Policja odnotowała, że pani Buck groziła mężowi pozbawieniem jąder. – Popatrzył na zmasakrowaną szyję bankiera. – Chociaż nie można aż tak się pomylić.

– Mogła kogoś nasłać – zasugerowałem. – Ma pieniądze, żeby wynająć fachowca.

– Też tak myślałem – przytaknął Mallory. – Ale wówczas byłyby ślady rękawiczek. A na razie nie możemy znaleźć tych śladów. Jeśli nie wynajęła kogoś, kto się zupełnie nie zna na robocie, w tym pokoju z pewnością się one znajdują. Jak wiesz, ślady rękawiczek mogą być równie charakterystyczne jak odciski palców. Jeżeli rękawiczki są wystarczająco cienkie, linie papilarne mogą się odbić przez materiał, mogą też zostać wewnątrz rękawiczek. Niewielu sprawców zabiera rękawiczki ze sobą. Pozbywają się ich w pobliżu miejsca zdarzenia. Dlatego szukamy pary rękawiczek i śladów.

– Co będzie, jeżeli nie znajdziemy tych śladów?

– Wtedy trzeba będzie eliminować wszystkie odciski w gabinecie.

Znowu spojrzałem na fotografię na biurku. I dopiero teraz to zobaczyłem – chłopca, którym kiedyś był ten mężczyzna. Hugo Buck stał na końcu szeregu po prawej; jego postać na zdjęciu zaplamiała małe kropelka krwi. To było dwadzieścia lat temu, ale w dziecięcych jeszcze rysach można już było rozpoznać gładką powierzchowność przyszłego bankiera. Chłopcy stają się mężczyznami, pomyślałem, a żywi stają się martwymi.

– Widziałeś jego ręce? – zapytał Mallory.

Ręce Bucka opadły wzdłuż boków, ale nadal ścisnął w dłoni fiolkę z tabletkami, tak jak w ostatniej chwili życia. To był kolejny szczegół, na który zwróciłem uwagę dopiero teraz.

– Skurcz pośmiertny – wyjaśnił Mallory. Uśmiechał się, prawdopodobnie zadowolony z tego, że może mi dowieść, że jeszcze

nie widziałem wszystkiego. Że jeszcze nie widziałem niczego. – Natychmiastowe zeszytnienie wywołane nagłą śmiercią, po którym ciało zastyga w pozycji z ostatniej sekundy życia. Jak w momencie zagłady Pompejów. Możesz odczytać nazwę tabletek?

Kucnąłem przy zwłokach i przyjrzałem się etykietce, próbując nie zwracać uwagi na metaliczny odór krwi.

– Zestoretic – przeczytałem. – Przyjmować jedną tabletkę dziennie. Wydaje się tylko z przepisu lekarza. Recepta wystawiona na Hugo Randolpha Bucka. Zestoretic?

– Na nadciśnienie – odparł Mallory. – Lek obniżający ciśnienie.

– Był chyba trochę za młody, żeby brać leki na ciśnienie – zauważyłem, wstając. – Pewnie praca w bankowości powodowała ogromny stres.

– W domu też – dodał Mallory.

Patrzyliśmy w milczeniu na zwłoki.

– Dlaczego go po prostu nie zastrzelili? – spytał nagle Mallory.

Spojrzałem na niego.

– Tego bankiera?

– Zamachowca – powiedział Mallory. – Tego twojego. Inspektor wpada w panikę. Koordynator obserwacji jest sparaliżowany. Nikt nie wie, czy to ten człowiek. Wszystko to rozumiem. Nikt nie chce mieć w swoim CV Jeana Charlesa de Menezesa². Wszyscy zachowują się nerwowo, bo każdym śmiertelnym strzałem oddanym przez gliniarzy musi się zająć IPCC³. Za plecami czeka też służba prokuratorska. I adwokaci od praw człowieka. – Mallory uśmiechnął się nieśmiało z błyskiem w niebieskich oczach. – Ale przecież potwierdziłeś tożsamość. Zlekceważyłeś polecenie koordynatora akcji. Decyzja należała do ciebie. Widziałeś tego człowieka. Obserwowałeś go. Śledziłeś. Analizowałeś. To ty ryzykowałeś karierę. Wolność. Dlaczego go nie zastrzelili?

– Mogli strzelać tylko w głowę, panie komisarzu – powiedziałem. – Nowe zasady użycia siły. Inne metody są zbyt ryzykowne. Nie wolno strzelać w tułów, bo może mieć kamizelkę. Nie wolno strzelać w ręce ani nogi, bo ciągle ma możliwość zdetonowania ładunku. – Wzruszyłem ramionami. – Może nie byli pewni, czy uda im się czysto trafić w głowę. Może uwierzyli koordynatorowi i inspektor, nie mnie. Wiem tylko, że naprawdę mieli wątpliwości. Strzelanie człowiekowi w głowę, kiedy się ma wątpliwości, wydaje się... pochothane.

Mallory przytaknęła.

– Może zaczynamy się bać robić to, co do nas należy. Twoim zdaniem to mógł być napad rabunkowy?

– To nie był napad – odrzekłem. – Złoty rolex na rękę Bucka musi być wart z piętnaście tysięcy.

– Chyba że to był napad, w którym ktoś przeszkodził – powiedział Mallory.

Spojrzałem przez drzwi gabinetu na dużą otwartą przestrzeń.

– Trzeba się napracować, żeby posprzątać takie biuro – zauważyłem.

– Zajmuje się tym tylko upoważniony personel – odparł Mallory. – W tym budynku nikt nie może się wysikać, jeżeli nie ma karty dostępu i identyfikatora ze zdjęciem. Czekamy na tłumacza, żeby przesłuchać mężczyznę, który znalazł zwłoki Bucka. Niedawno przyjechał z Wilna.

– Myślałem, że wszyscy już mówią po angielsku.

– Ten człowiek dzisiaj nie da rady powiedzieć słowa po angielsku. Chce mówić tylko po litewsku. Kiedy znalazł ciało, przeżył szok. Reszta sprzątaczy jest na dole, na podziemnym parkingu. Nie mogą wyjść, dopóki z nimi nie pogadamy. Jest tam dwójka moich ludzi – podkomisarz Gane i podkomisarz Whitestone. Gdybyś mógł im pomóc...

– Tak jest – odrzekłem.

W korytarzu, przy drzwiach gabinetu, stało dwoje umundurowanych funkcjonariuszy i odnotowywało każdą osobę wchodzącą i wychodzącą z miejsca zdarzenia. Dwoje posterunkowych, mężczyzna i kobieta, oboje młodzi i o ciemnorudych włosach. Mogliby być rodzeństwem, mimo faktu, że kobieta była niewysoka i filigranowa, a mężczyzna dobrze zbudowany i wysoki. Sądząc po ich stanie, to oni pierwsi zjawili się na miejscu.

Mężczyzna – o wyglądzie chłopaka, choć miał pewnie około dwudziestu pięciu lat, parę mniej ode mnie – sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał zemdleć. Kiedy podszedłem, oparł się o ścianę, powstrzymując mdłości. Kobieta – która wyglądała jak dziewczynka, mimo munduru policji metropolitalnej – położyła drobną dłoń na ramieniu kolegi.

Gdy wpisywałem na listę swoje wyjście z miejsca zdarzenia, uniosła wzrok.

– To jego pierwszy trup – wyjaśniła niemal przeproszającym tonem. Zawahała się chwilę. – Mój też.

Radziła sobie lepiej niż chłopak. Ale oboje mieli w oczach przestraszonych, a twarze zastygłe w szoku jak u dzieci, które zeszły na dół i znalazły swoje ukochane zwierzątko martwe w klatce albo zobaczyły, kto się kryje pod przebraniem Świętego Mikołaja i po raz pierwszy przekonały się, jaki świat jest podły.

– Oddychaj – poradziłem chłopakowi. Głęboko wciągnąłem powietrze nosem i wypuściłem ustami, wykonując kontrolowany wydech. Pokazywałem mu, jak to robić.

– Tak jest – powiedział.

W budynku było sześć wind dla pracowników biura i jedna, znacznie większa i brudniejsza, dla personelu pomocniczego. Skierowałem się na schody, myśląc, że może znajdę rękawiczki.

Trzydzieści pięter. Już w połowie drogi zacząłem się pocić, ale oddech ciągle miałem równy i miarowy.

Przystanąłem na dźwięk hałasu na klatce schodowej, sto metrów niżej.

Dostrzegłem tam jakiś ruch. Jak gdyby przemknął tam cień, a potem rozległ się daleki huk zatrzaskiwanych drzwi. Zawołałem, ale nie usłyszałem odpowiedzi. Pozostałe piętra pokonywałem wolniej i zatrzymałem się, kiedy zobaczyłem na ścianie napis.

Jedno słowo wypisane na czarno.

W odcieniu czerni, jaki przybiera zaschnięta krew.

ŚWINIA

Nie odrywając wzroku od liter, wyjąłem telefon i sfotografowałem czarne słowo na brudnej ścianie. Potem ruszyłem dalej. Słyszałem dobiegający z podziemi gwar głosów, który narastał z każdą sekundą.

Pchnąłem drzwi prowadzące na najniższy poziom i spojrzałem na podziemny parking pełen członków personelu sprzątającego. Z ulicy nie było ich widać. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, rozmawiający w dwudziestu językach, niewidzialni ludzie, którzy przychodzili codziennie myć podłogi, okna i toalety w lśniącym wieżowcu ze szkła.

I zobaczyłem, że to nieprzebrana masa.

Armia biedaków.

3

Kiedy wieczorem wróciłem do domu, wiedziałem, że coś jest nie tak, jeszcze zanim zamknąłem za sobą drzwi wejściowe.

Mieszkaliśmy w dużym lofcie na najwyższym piętrze, a z każdego kąta czuć było smród. Od razu się domyśliłem, skąd pochodzi ten odór, bo jego ślady były wszędzie. But w korytarzu noszący odciski zębów. Wyszorowane do czysta drewniane deski podłogi, by ukryć wszelkie dowody. Kosz na śmieci wypchany poplamionymi ręcznikami kuchennymi. I wszędzie ten smród, ciężki, zgniły i stęchły. Zapach zwierzęcia.

Piesek znowu był niegrzeczny.

W głębi loftu na końcu kanapy siedziała starsza kobieta o siwych włosach, z małym rudym pieskiem na kolanach. Na drugim końcu kanapy widniała świeża mokra plama. Prawdopodobnie ślad pozostanie tam już na zawsze.

Pani Murphy zgodnie ze swoim zwyczajem oglądała telewizję z wyłączoną fonią, a moja córka Scout spała.

Nie podnosząc łąba wielkości piłki tenisowej z przednich łap, rudy pies – wabił się Stan – skierował na mnie swoje wyłupiaste okrągłe ślepie. Wokół wielkich, czarnych źrenic widziałem białka, jak gdyby oczodoły były za małe, aby pomieścić te dwie latarnie.

Napotkał moje spojrzenie i szybko odwrócił wzrok.

– Znowu miała pani dużo pracy, pani Murphy – powiedziałem.

– Niech się pan nie przejmuje – odrzekła, drapiąc psa za uszami. Jej miękki akcent brzmiał tak, jak gdyby wcale nie wyjechała z hrabstwa

Cork wieki temu. – Stan jest jeszcze mały. Dobra wiadomość jest taka, że Scout zjadła kolację. W każdym razie trochę. Niewiele je, prawda? Chudzinka, waży tyle co nic.

Pokiwałem głową i poszedłem zajrzeć do córki.

Scout miała pięć lat i wciąż spała jak niemowlę, z uniesionymi rękami, lekko zaciskając piąstki przy głowie niczym mały sztangista. W jej pokoju paliło się światło, chociaż zasnęła pewnie parę godzin temu.

Spała przy świetle, odkąd straciliśmy jej matkę.

Podniosłem z podłogi szkolny sweterek, złożyłem go i powiesiłem na oparciu krzesła, na którym pani Murphy przygotowała na jutro równiutko złożony mundurek. Zawahałem się, chcąc zgasić światło. Nie mogła wiecznie spać przy zapalonej lampie. W końcu jednak nie zdobyłem się na odwagę.

Pani Murphy wkładała płaszcz.

– Będzie lepiej – pocieszyła mnie.

...

Obudziłem się przed świtem.

Zawsze budziłem się przed świtem.

W okresie marzeń sennych, stadium najpłytszego snu, fazie REM oprzytomniałem, budząc się na boku na swojej, lewej, połowie podwójnego łóżka. Dalszy odpoczynek uniemożliwiła mi wczorajsza kawa i sny o umarłych.

Zawsze czekałem w pełnej gotowości na dzień, zanim w ogóle zdążył się zacząć.

Wyłączyłem budzik, zanim zdążył zadzwonić, i bezszelestnie wysunąłem się z łóżka. Umyłem zęby, wróciłem do sypialni, przyjąłem odpowiednią pozycję i szybko zrobiłem dwadzieścia pięć pompek.

Potem, popijając wodę, która stała na stoliku nocnym, patrzyłem przez okno na październikowe niebo – o szóstej rano jeszcze czarne nad pobliską kopułą katedry Świętego Pawła.

Rzuciłem się na podłogę i zrobiłem kolejne dwadzieścia pięć pompek, tym razem wolniej i z większą uwagą, skupiając się na technice. Po minucie przerwy zrobiłem następne dwadzieścia pięć, ale zaczynałem je już czuć i ramiona mi drżały od wzrastającego stężenia kwasu mlekowego w mięśniach. Nie podnosząc się z podłogi, złapałem oddech i zmusiłem się do ostatniej serii – to był już wyłącznie akt woli, nie siły fizycznej.

Kiedy stąpając jak najciszej, żeby nie obudzić córki ani psa, przemykałem do kuchni, usłyszałem w ciemności oddech Stana, chrapliwe posapywanie przez nos, który w zasadzie nie przypominał narządu mogącego poradzić sobie z trudnym zadaniem oddychania. Stałem i z przyjemnością słuchałem tych odgłosów. Pies był wykończony po kolejnym pracowitym wieczorze spędzonym na niszczeniu naszego mieszkania. Nagle wyczuł moją obecność, mrugnął i poruszył się, a wielkie uszy przykryły mu pysk jak miękkie, jedwabne zasłony, zza których błysnęły smętne oczy. Już obudzony patrzył na mnie przez pręty swojej klatki, licząc na to, że uwolnię go wcześniej niż zwykle.

Wypuściłem go i wziąłem na ręce. Wtulił nos przypominający rozgniecioną suszoną śliwkę w moje palce, obwąchując je z zaciekawieniem.

Stan był z nami od miesiąca (miałem wrażenie, że o wiele dłużej) – Scout dostała go ode mnie w prezencie na piąte urodziny. Hodowcę znalazłem w internecie, wziąłem psa w dniu, w którym skończył osiem tygodni, i przyniosłem do loftu, narzucając mu koc na głowę, jak przestępcy doprowadzanemu na rozprawę apelacyjną do sądu najwyższego.

Ilekcroć myślałem, że popełniłem błąd i że w ten żalony sposób próbowałem dać Scout namiastkę prawdziwego życia rodzinnego, przypominałem sobie chwilę, gdy pierwszy raz zobaczyła Stana. Jej uśmiech wyglądał jak wschodzące słońce. Wtedy już wiedziałem, że pies jednak nie był błędem.

Ze Stanem na kolanach wypilem potrójne espresso w kuchni oświetlonej tylko poświatą ekranu laptopa, przeglądając strony medyczne w poszukiwaniu informacji o przecinaniu tchawicy.

Pies znów zasnął, a ja dowiedziałem się, że po obu stronach tchawicy biegną tętnice szyjne doprowadzające krew do mózgu i że przecięcie ich to jedno z najskuteczniejszych sposobów zadawania śmierci człowiekowi.

Ale bez względu na to, na ile witryn o chirurgii zajrzałem i ile razy wpisałem w okienko wyszukiwarki „podcięcie gardła”, nie mogłem znaleźć broni choć trochę przypominającej narzędzie, którym można by wykonać tamto cięcie.

W końcu wyszukiwarka straciła do mnie cierpliwość i przekierowała mnie na strony dotyczące golenia, na których mogłem się zaopatrzyć w piankę, balsam, żel i wybierać z szerokiego asortymentu staroświeckich brzytw. Wyglądały interesująco i na tyle groźnie, by wywołać uśmiech na twarzy Sweeneya Todda. Nie mogłem sobie jednak wyobrazić, że któraś z nich mogłaby przeciąć szyję Hugo Bucka tak głęboko, by pozbawić go większej części gardła.

O siódmej niebo wreszcie zaczęło się rozjaśniać. Zamknąłem laptop, kiedy do kuchni cichutko weszła Scout, jeszcze w piżamie i opuchnięta od snu.

Stan zeskoczył z moich kolan, rzucając się na nią. Nasz loft był ogromny. O wiele za duży dla mężczyzny, dziecka i psa. Od chwili, gdy nasza rodzina się zmniejszyła, odnosiłem wrażenie, że loft stał się większy. Tłukliśmy się po tej pustej przestrzeni z odsłoniętymi

belkami stropowymi, ze ścianami z surowej cegły i lśniącymi drewnianymi deskami podłogi, po których ślizgały się łapy psa, kiedy oszalały z miłości gnał w stronę Scout, aby węsząc, łaszcząc się i liżąc, wspiąć się na jej nogę.

– Stan był niegrzeczny – powiedziała, w roztargnieniu drapiąc jego mały łebek.

– Wiem.

– Na kanapie.

– Widziałem.

– I w kuchni. I przy drzwiach. – Zastanowiła się przez moment. – Właściwie wszędzie.

– Pani Murphy się tym zajęła.

– Pomogłam jej.

– Dziękuję.

Chwila ciszy.

– Będziemy musieli go oddać? – zapytała.

Kucnąłem, żeby nasze głowy znalazły się na tym samym poziomie. Jasnobrązowe włosy, ciemnobrązowe oczy, miękkie kontury twarzy – wszystko to miała po matce. Nawet imię dostała na cześć postaci z książki, którą moja żona uwielbiała. Mojej żony już nie było, ale ilekroć patrzyłem na córkę, widziałem jej twarz.

– To nasz pies – powiedziałem, po czym zorientowałem się, że zamierzam zacytować panią Murphy. – Wszystko będzie lepiej, jasne?

– Jasne.

Przystąpiliśmy do naszego rytuału śniadaniowego. Grzanka dla Scout. Owsianka dla mnie. Karma Natures Menu dla Stana. Potem Scout zaniósła swój talerz do zlewu i poszła umyć zęby. To była jedna z zasad jej matki – zęby należy myć po posiłku, nie przed, a my naprawdę staraliśmy się trzymać jej zasad.

...

Mieszkaliśmy naprzeciwko wielkiej i starej hali targu mięsnego Smithfield. O tej porze mężczyźni mieli za sobą długą nocną zmianę. Rzeźnicy i tragarze kończyli załadunek i ruszali do kafejek i pubów, które otwierano na długo przed świtem. Kilku z nich stało już przed pubami czynnymi od wczesnego rana, ściskając szklanki piwa w czerwonych rękach – krzepcy faceci w białych fartuchach poplamionych świeżą i zaschniętą krwią, w dziennym świetle wyglądający na wymizerowanych i wyczerpanych. Kiedy szliśmy przez ich świat, niektórzy głośno witali Stana, a Scout i ja uśmiechaliśmy się z dumą.

Był niezwykłym psem. W bladym świetle dnia widać było jego piękne umaszczenie – głęboki kasztan w odcieniu między rdzaworudym a kolorem starego złota. Miał falującą sierść, a na końcach ponadwymiarowych uszu ekstrawaganckie kędziory, jak gdyby poprzedni wieczór spędził u obdarzonego fantazją fryzjera, a nie sikał na nasze meble. Trzymany przez Scout na skórzanej smyczy, którą mała dwa razy owinęła sobie wokół przegubu, z zadowoleniem dreptał obok niej, czujnie unosząc łebek, z wyprężonym ogonem, zaczynającym się poruszać jak wycieraczka samochodowa podczas burzy, kiedy coś przykuło jego uwagę.

A Stana zdumiewało naprawdę wszystko. Z respektem wpatrywał się w tragarza, który stał po drugiej stronie ulicy przed halą i palił papierosa. Gdy minął nas biegacz, pies stanął jak wryty i przechylił głowę na bok. Sprawiał wrażenie, jakby zobaczył lądowanie kosmitów. Scout i ja śmialiśmy się w głos. Stan dawał nam dużo powodów do śmiechu. Widząc kawałek gumy do żucia, wyrzucony kubek albo odłamek szkła, natychmiast ruszał biegiem w stronę tajemniczego przedmiotu, ciągnąc za sobą Scout.

Słońce już wstało i mrużyłem oczy w jego blasku: jesienne światło potrafi być bardziej krystaliczne niż letnia mgiełka. Czułem przenikliwy chłód poranka i ciężar kiepsko przespanej nocy i miałem świadomość, że będzie mi ciążyć każda godzina tego dnia, a brakującego snu nie zastąpi żadna ilość kawy. Mimo to potrzebowałem jej, natychmiast.

Niedaleko hali znajdowała się całonocna budka obsługująca przede wszystkim taksówkarzy i pracowników targu, więc stanąłem w kolejce, podczas gdy ogoleni na zero mężczyźni o zaciętych twarzach rozczulali się nad kasztanowym psem u stóp mojej córki. Stan podskakiwał z przejęcia jak łosoś płynący w górę strumienia, a wszyscy ci nocni londyńscy twardziele śmiali się, a ja cieszyłem się, że nasz pies nie nauczył się jeszcze bać.

Kiedy dochodziliśmy do bramy szkoły, Scout zrównała się z jakąś dziewczynką. Matka dziewczynki odwróciła się, żeby porozmawiać z inną matką, natomiast ja czekałem przy bramie ze Stanem, uspokajając go, gdy skomlał, patrząc na oddalającą się Scout. Czekaliśmy na wszelki wypadek, gdyby się odwróciła, żeby do nas pomachać, ale szła z koleżanką i już zupełnie o nas zapomniała.

Zanim zniknęła w swoim świecie, pomyślałem, że szkolny mundurek jest na nią za duży i pewnie jeszcze długo taki będzie.

Pani Murphy miała rację. Moja córka ważyła tyle co nic.

Ważyła tyle co nic, a dla mnie była wszystkim.

...

Hugo Buck mieszkał w kamienicy z portierem tuż przy Regent's Park.

Kiedy się tam zjawiłem, portier musiał robić sobie właśnie przerwę na herbatkę, bo podwójne szklane drzwi były zamknięte na klucz.

Stałem na zewnątrz, opierając się o przycisk dzwonka i przyglądając się psom w parku. Wszystkie biegały bez smyczy. Duże, ładne psy, labradory, golden retrievery i terriery airedale, a przy nich drobnica, beagle i westie, wszystkie zziębnięte i odważne, obwąchiwały sterty liści i siebie nawzajem, posłusznie wracając do swoich właścicieli, kiedy je przywoływali. Nie wyobrażałem sobie, by Stan kiedyś przybiegł na moje wołanie.

– Detektywie?

Zbliżała się do mnie para dwudziestokilkulatków. Zauważyłem ich, parkując samochód, i wziąłem za dwoje bogatych dzieciaków z okolicy. Atrakcyjni, ubrani z wystudiowanym niedbalstwem, siedzieli na niskim murku przy wypielegnowanych ogródkach i palili jednego papierosa. Tylko dzieciaki z zamożnych rodzin mogą sobie pozwolić na taki luz w takim wieku.

Za kierownicą wielkiego czarnego mercedesa, wciśniętego między dwa porsche 911 zaparkowane na podjeździe, siedział rozparty szofer i bawiąc się czapką z daszkiem, mierzył dziewczynę wzrokiem od stóp do głów. Zobaczyłem, że chłopak ma zawieszony na szyi aparat fotograficzny. Czyli prasa, pomyślałem. Mówiła tylko dziewczyna.

– Przyjechał pan porozmawiać z panią Buck? Jest podejrzana? Przypuszcza pan, że wkrótce zostanie aresztowana?

Wcisnąłem guzik dzwonka i nie odrywałem od niego kciuka.

– To zbrodnia z nienawiści, detektywie?

Spojrzałem na nią.

– Każde morderstwo jest zbrodnią z nienawiści – odparłem. – Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, do jakiej gazety pani pisze?

– Jeszcze nie mówiłam – odrzekła.

Wyszperała z torebki wizytówkę, a gdy mi ją podawała, zobaczyłem, że w drugiej ręce trzyma małe cyfrowy dyktafon. Palila się w nim czerwona lampka. „Scarlet Bush”, przeczytałem. „The

Daily Post”. Niżej był numer komórki, adres e-mailowy i cztery czy pięć kont w mediach społecznościowych. Odniosłem wrażenie, że to sporo.

– Scarlet Bush – parsknęła śmiechem. – Brzmi jak nazwisko gwiazdy porno, co?

Kiedy uniosłem wzrok, dała znak fotografowi, który niemal leniwie wycelował we mnie aparat i nacisnął spust migawki. Urządzenie robiło zdjęcia z prędkością karabinu maszynowego.

– Hej! – zawołałem, podnosząc rękę, żeby się zasłonić.

– Widział pan, co piszą internauci? – Małeńki dyktafon pojawił się tuż przed moim nosem. – Nazywają Boba Rzeźnika bohaterem.

Popatrzyłem na nią.

– Boba Rzeźnika?

– W serwisach społecznościowych aż się roi od postów na jego temat. Od dwudziestu czterech godzin jest najpopularniejszym tematem. – Na twarzy Scarlet Bush błąkał się uśmiezek niedowierzania. – Naprawdę pan o tym nie wiedział?

Portier wreszcie podszedł do drzwi. Przyłożyłem do szyby legitymację, podając swoje nazwisko i stopień. Dzięki temu poznała je także Bush.

– I co pan czuje w związku z tym, detektywie Wolfe? – spytała. – Kiedy media społecznościowe nazywają mordercę bohaterem, a ofiarę kanalią?

– Przepraszam, przepraszam – mówił portier, otwierając mi w końcu drzwi.

Przystanąłem na progu.

– Mordercy nigdy nie są bohaterami – powiedziałem.

Scarlet Bush szeroko się do mnie uśmiechnęła, jakbyśmy oboje świetnie wiedzieli, że to niekoniecznie musi być prawda.

...

Natasha Buck, wdowa po zamordowanym bankierze, przywitała mnie w ciemnych okularach, mokra po prysznicu. Wysoka, niewiele po trzydziestce, jeszcze w szlafroku.

Dziwne połączenie szlafroka i okularów przeciwsłonecznych sprawiało wrażenie, jak gdyby była na wakacjach i właśnie wybierała się na basen. Jej wilgotne włosy były jasne – bardzo jasne, platynowy blond, jak u gwiazd czarno-białych filmów. Wyglądała na naturalną blondynkę, ale chyba nie aż tak naturalną. Miała wypracowaną szczupłą sylwetkę, jaką często się widzi u zamożnych kobiet, a także typowe dla nich poczucie uprzywilejowania.

Wycierając długie blond włosy, popatrzyła spod zmarszczonych brwi na moją legitymację, jakby to była ulotka reklamowa z Pepe's Pizza Parlour.

– Bardzo mi przykro z powodu pani męża. Wiem, że to dla pani bardzo bolesne chwile.

– Powiedziałam już policji wszystko, co wiem – odparła. – Młodemu czarnoskóremu mężczyźnie i starszej od niego białej kobiecie. – Mówiła ze staranną, wystudiowaną dykcją cudzoziemki, która spędziła dziesięć lat, obcując z naprawdę dużymi pieniędzmi.

– Podkomisarze Gane i Whitestone – powiedziałem. – Tak, wiem.

– Pobrali mi nawet wymaz z ust.

– W celu zbadania DNA. Żeby wykluczyć panią z kręgu podejrzanych. Musimy po prostu dwukrotnie sprawdzić pewne szczegóły, jeżeli to nie jest dla pani kłopot.

– Owszem, jest. – Spojrzała na zegarek lśniący na jej przegubie niczym wysadzana brylantami bombka choinkowa. – Prawdę mówiąc, właśnie wychodzę.

Była niezwykle atrakcyjna, miała taką twarz, że człowiek nie mógł oderwać od niej wzroku, dopóki się nie zorientował, że się gapi. A może nawet wówczas nie przestawał patrzeć. Odnosiło się wrażenie, iż wielu mężczyzn jej mówiło, że jest piękna.

– Byliśmy umówieni, pani Buck. Jeżeli to dla pani kłopot, możemy porozmawiać kiedy indziej. – Umilkłem na moment. – Na posterunku.

Po raz pierwszy przyjrzała mi się uważniej. A potem się zaśmiała.

Im więcej mają pieniędzy, tym mniej boją się policji, pomyślałem.

– Mam zadzwonić po adwokata? – spytała.

– To tylko zwykła rozmowa, pani Buck.

Włosy opadły jej na twarz. Popatrzyła na mnie zza tej wilgotnej zasłony i leniwym ruchem odgarnęła włosy.

– Jestem podejrzana?

Mówiła ciszej i wolniej. Taki głos bardziej mi się podobał.

– Jeszcze nie – odrzekłem.

Patrzyliśmy na siebie.

– No dobrze, miejmy to już za sobą – powiedziała. – Kawy? Będę musiała zaparzyć sama. Musiałam zwolnić gosposię, kiedy zastałam ją z penisem mojego męża w ustach. – Westchnęła. – Tak trudno o dobrą pomoc domową.

Mieszkanie było wspaniałe. Czyste, kosztownie urządzone, niezagracone. Ogromny budżet, dobry gust, brak dzieci. Pomyślałem o zalanym krwią gabinecie i próbowałem sobie wyobrazić jej męża w tym mieszkaniu. Ale nawet jeśli jego duch był w pobliżu, nie wyczuwałem go. Wydawało się, że to dom kobiety, która od dawna mieszka samotnie.

Na ścianie wisiały dwa obrazy, najwyraźniej pędzla tego samego malarza. Pejzaże miasta zastygłego w bezruchu niedzielного poranka. Jeden przedstawiał puste tory kolejowe, drugi jakiś tunel. Obydwa spowijała senna mgiełka i blade światło świtu albo zmierzchu. Nie

było na nich ludzi, dzięki czemu tchnęły dziwnym spokojem. Zdawało mi się, że chyba znam te miejsca.

Zbliżyłem twarz do obrazu z tunelem, szukając nazwiska malarza, ale dostrzegłem tylko napisane małymi literami inicjały.

j s

Pani Buck parzyła kawę, a do pokoju wszedł miniaturowy piesek. Suczka wyglądała na mieszańca pekińczyka i chihuahua. Pozwoliłem jej obwąchać swoją rękę, a potem podniosłem ją i postawiłem sobie na kolanach. Dygotała i ważyła tyle co owad.

Kiedy próbowałem ją pogłaskać, wolnym krokiem przeszła na drugi koniec kanapy i patrząc na mnie wyzywająco, opróżniła pęcherz.

Wróciła pani Buck z dzbankiem kawy na srebrnej tacy.

– Niegrzeczna Susan! – skarciła suczkę. – Dobrze wiesz, że masz to robić na dywanie.

Pani Buck przykryła płamę jedwabną poduszką, zepchnęła psa na podłogę, a potem wygodnie zasiadła naprzeciwko mnie, założyła nogę na nogę i westchnęła, kiedy rozchyliły się poły jej szlafroka. Zasłoniła się i w tym momencie zawibrował iPhone leżący na stoliku między nami. Suczka szczeknęła na aparat, drżąc z wściekłości, a pani Buck wzięła telefon i zaczęła czytać SMS. Robiła wszystko, żebym poczuł się ignorowany.

Odchrząknąłem.

– Kto mógłby chcieć zabić pani męża? – zapytałem.

Pochylała nad iPhone'em swoją ładną twarz, patrząc na ekran spod zmarszczonych brwi.

– Oprócz pani – dodałem.

Dopiero teraz na mnie spojrzała.

– Pani Buck – powiedziałem. – Przez najbliższą chwilę proszę się skupić na tym, co mówię.

Ostatni raz zerknęła na telefon, po czym wyłączyła go z grymasem gniewu.

– Naprawdę pan myśli, że chciałam śmierci męża? – odparła. – Ależ z pana żałosny głupiec!

Nabrałam powietrza.

– Trzy dni przed morderstwem pod ten adres wezwano funkcjonariuszy.

– Ach, to? Zwykła sprzeczka kochanków.

– Groziła pani mężowi śmiercią.

– Jak pan sądzi, co mogłam powiedzieć, kiedy zobaczyłam, jak nasza pomoc domowa robi mu laskę? Pod wpływem chwili mówi się różne rzeczy.

– Wysłała mu pani kurierem do biura wasz materac.

– Chciałam go zawstydzić. Chciałam go upokorzyć. Chciałam, żeby wiedział, jakie to uczucie.

– A potem ktoś poderżnął mu gardło.

Z głębokim westchnieniem naląła kawę.

– Rozumiem, że źle to wygląda. Cukier? Mleko?

– Dziękuję, poproszę czarną.

– Nie chciałam, żeby zginął. Chciałam tylko, żeby z tym skończył. Skończył z... jak to ładnie powiedzieć? Ze skokami w bok.

To była dobra kawa.

– Pani mąż miał wielu przyjaciół?

– Wie pan, jacy są Anglicy. A przynajmniej ten typ Anglików z klasy wyższej. Hugo pochodził z rodziny, w której wpuszczano się psy do łóżek, a dzieci wysyłało do budy. Kiedy miał siedem lat, wyprawiono go do szkoły z internatem. Tam nawiązał przyjaźnie i zachował je na

zawsze. Reszty świata właściwie nie potrzebował. Wliczając w to jego żonę.

Pomyślałem o fotografii na biurku Bucka.

– Gdzie chodził do szkoły?

– Do Trinity College w Cambridge. Tam gdzie księżę Karol.

Uśmiechała się ze smutkiem i dumą jednocześnie.

– A wcześniej? – spytałem.

– Do Potter's Field – odrzekła. – Tam gdzie jego ojciec. I jego dziadek. Hugo nazywał tę szkołę Eton dla sportowców, muzyków i zbirów. W jego ustach to miał być komplement.

– A on sam, kim był?

– Sportowcem. Mój mąż był świetny w grach zespołowych, detektywie.

– Dobrze wspominał naukę w Potter's Field?

– Nauczyciele sadyści. Ciężkostrawne jedzenie. Zimna woda w prysznicach. Ciągła obsesja na punkcie sportu. Od czasu do czasu dręczenie. Dużo kontaktów homoseksualnych. Zawsze mówił, że to najlepsze lata jego życia.

– Pani mąż miał kochanki?

Parsknęła z pogardą.

– Oprócz waszej gosposi – dodałem.

– Mnóstwo.

– Czy te kochanki miały mężów?

– Niektóre. Sądzi pan, że mógł go zabić jakiś zazdrosny mąż? To możliwe. Ale Hugo bardzo lubił naszą pomoc domową. Muszę przyznać, że trzymał się z daleka od moich koleżanek. Chociaż nie sądzę, żeby robił to z poczucia moralności. Po prostu wolał rozrywkę w służbowce.

– Będzie mi potrzebne nazwisko i dane kontaktowe gosposi. Powiedziała pani moim kolegom, że ich pani nie ma.

Zakipiała ze złości.

– Bo ta dziwka wsiadła do samolotu i odleciała z powrotem do Kijowa. Naprawdę muszę wszystko powtarzać?

– Pokłócił się z jakimiś klientami, partnerami? Dostawał telefony, e-maile, listy z pogrózkami?

Pokręciła głową. Miała już dość. Sięgnęła po telefon.

– Gdzie pani była wczoraj między piątą a siódmą rano? Będę potrzebował dostępu do danych z pani kart kredytowych, billingów telefonów komórkowych, komputerów z hasłami. Laptopów, desktopów, tabletów i tak dalej. Słucha mnie pani?

Wstała.

– Naprawdę chce pan się dowiedzieć czegoś o moim mężu?

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

– Tak.

– Wobec tego opowiem panu o moim mężu – oznajmiła.

Jednym ruchem ramion wyswobodziła się ze szlafroka, który opadł na ziemię.

Na jej długich rękach i nogach zobaczyłem siniaki. Świeże i fioletowe, ale także stare, powoli tracące kolor. Ślady ciosów zadawanych systematycznie i regularnie, które jednak starannie omijały twarz.

– Taki był mój mąż.

– Pani Buck...

– To on był brutalny, nie ja. Kiedy wzięłam ten nożyk do ostryg, roześmiał mi się w twarz. Śmiał się ze mnie, detektywie. Ale nie chciałam jego śmierci, bez względu na to, co mu powiedziałam. – W końcu pojawiły się łzy, które wyglądały na autentyczne. – Chciałam, żeby był dobry – ciągnęła. – Żeby przestał szukać przygód. Żeby przestał mnie upokarzać, zadając się z kobietami, które są za biedne i za głupie, by mu odmówić. Chciałam, żeby z tym skończył.

Stałem naprzeciwko niej.

– Pani Buck, proszę...

– Mam na imię Natasha.

Podniosłem szlafrok i narzuciłem jej na ramiona. Objęła mnie w pasie. Myślę, że chciała tylko, aby ktoś ją przytulił. Miała już serdecznie dość tych wszystkich pytań. Po prostu była samotna. Nasze twarze znalazły się blisko siebie. Poczułem ciepło jej oddechu, a w środku mimowolny przypływ krwi.

Dlatego że też byłem samotny.

Po długiej chwili oderwałem się od niej, uderzając golenią w stolik i budząc psa.

Natasha Buck uśmiechnęła się smętnie, włożyła z powrotem szlafrok i zawiązała pasek wokół szczupłej talii.

– Ach, przedstawiciel tego rzadkiego gatunku – powiedziała, wskazując głową na moją lewą rękę. Kiedy unosiłem filiżankę, w słabym świetle błysnęła moja obrączka. – Żonaty mężczyzna, który kocha swoją żonę!

– Proszę pić kawę – poradziłem.

...

Gdy wychodziłem, nigdzie nie było widać portiera. Dziennikarka i fotograf też zniknęli. Szofer drzemał za kierownicą mercedesa, nasunawszy na oczy czapkę z daszkiem. Wszystkie psy z parku wróciły już do domu i o wiele za wcześnie robiło się ciemno.

Szedłem do samochodu, roztrącając butami sterty jesiennych liści i myśląc o długich, nagich nogach i rękach Natashy Buck, kiedy zadzwonił komisarz Mallory.

– To nie był pojedynczy przypadek – poinformował mnie. – Mamy następnego.

4

U wylotu alei stała furgonetka do przewozu zwłok, z przyciemnionymi szybami, a wieczorny mrok w Soho rozświetlały wirujące niebieskie światła kilkunastu radiowozów. Umundurowani funkcjonariusze rozwijali rolki niebiesko-białej taśmy policyjnej, grodząc nią Shaftesbury Avenue i odpierając tłum gapiów, którzy mieli nadzieję zobaczyć trupa.

Dałem nura pod taśmą.

Cyfrowe radia Airwave trajkotały i trzeszczały. Technicy kryminalistyki wkładali białe kombinezony okrywające ich od stóp do głów, podczas gdy dwójka podkomisarzy Mallory'ego, Gane i Whitestone, zdejmowali już swoje. Byli wyraźnie podnieceni.

– Mamy dobre zwłoki – poinformował mnie Gane. Młody, czarnoskóry, z modnie ogoloną na zero głową. Pod strojem ochronnym był ubrany znacznie lepiej, niż musiał.

Naciągnąłem niebieskie lateksowe rękawiczki.

– Dobre zwłoki?

– Złe zwłoki to takie, które znaleźli zwykli ludzie – wyjaśniła Whitestone. – Trafia na nie jakiś pijak, który akurat musiał się wysikać albo puścić pawia. Ktoś na spacerze z psem rozdeptuje krew, która jeszcze nie zakrzepła. Niszczy dowody, narusza miejsce zdarzenia, zanim jeszcze stwierdzimy zgon. – Trzydziestokilkuletnia Whitestone była blondynką o zamyślonym wyrazie twarzy, noszącą okulary w czarnych oprawkach. Trudno było odgadnąć, że w zespołach wydziału zabójstw spędziła ponad dziesięć lat. – Dobre zwłoki

znajduje policja, kiedy człowiek na pewno już nie żyje. Dobre zwłoki upraszczają wiele rzeczy. Oszczędzają nam czasu.

– A to są dobre zwłoki – uzupełnił Gane. Po chwili dodał: – Czytaliśmy o tobie. Jesteś sławny, Wolfe. Jak cię nazwali w sądzie?

– Funkcjonariusz A.

– Funkcjonariusz A. Byłeś w SO Piętnaście?

Skinąłem głową.

– Obserwator, wydział operacji antyterrorystycznych.

– Obserwator? – powtórzył, wyraźnie rozczarowany.

Doskonale rozumiałem, że detektyw z wydziału zabójstw taki jak Gane mógłby uważać obserwację za życie na wolnych obrotach. To prawda, że praca wymagała długiego czekania, śledzenia ludzi pieszo i samochodem, oglądania wielu godzin nagrań z kamer monitoringu, podczas gdy zadania wydziału zabójstw i poważnej przestępczości wykonywały zespoły śledcze, wyspecjalizowane oddziały jednej z najbardziej elitarnych jednostek policji metropolitalnej, zajmujące się wyłącznie morderstwami, zabójstwami i zagrożeniami morderstwem. W ustach Gane'a zabrzmiało to jednak tak, jak gdyby moja praca polegała na pytaniu ludzi, czy do zamówionego koktajlu chcą frytki.

– Słyszałem, że bomba i tak by nie wybuchła – powiedział z uśmiechem. – Bo zamachowiec uszkodził ładunek w trakcie jego przygotowywania.

– Też słyszałem – przytaknąłem, zginając palce w lateksowych rękawiczkach. – Technik w sądzie zeznał, że sprawca nie przedestylował nadtlenku wodoru do właściwego stężenia. Podgrzewał, zamiast mieszać. Zapomniał ubić pianę z białka. Może to prawda. A może próbują nas tylko pocieszać. Jeżeli ktoś robi bombę u mamusi w kuchni, to chyba nie jest za bystry, co?

– Co za to dostałeś? – spytał Gane.

– Królewski Medal za Zasługi dla Policji.

Omam nie gwizdnął z podziwu.

– Królewski medal? Za wyjątkową odwagę, umiejętności, wykazanie się oddaniem służbie, czy za wszystkie trzy? – Parsknął śmiechem. – Całe szczęście, że w jego plecaku znaleźli bombę. Inaczej dostałbyś od dwudziestu lat do dożywocia.

– Dobrze, że jesteś, Wolfe – ucięła Whitestone, kończąc tę pogawędkę. – Szef na ciebie czeka.

Technicy ustawiali lampy ksenonowe na końcu alejki, gdzie obok czarnego kształtu leżącego na ziemi przy gigantycznych pojemnikach na śmieci stał Mallory. Jego wysoka i szczupła sylwetka tkwiła nieruchomo w oślepiającym blasku, jak gdyby był aktorem czekającym na swoje wejście na scenę, a ekipa kryminalistów starannie przygotowywała się do zabezpieczania śladów. Wydawało się, że brudna alejka jest oddalona o lata świetlne od lśniącego wieżowca, w którym znaleźliśmy Hugo Bucka.

– Myślałem, że mamy następnego – powiedziałem.

– Bo mamy – odparł Mallory.

Takie spojrzenie spotyka się u wszystkich bokserów i niektórych ras psów – na przykład owczarków niemieckich. Kryje się w nim świadomość, jak poważne jest życie. Mallory tak właśnie patrzył.

– Inny kod pocztowy, ten sam morderca – powiedział. – Spójrz.

Denat miał na sobie żalosne łachmany bezdomnego. I ktoś poderżnął mu gardło.

Właściwie odciął głowę.

W ostrym blasku światel ujrzałem rozprute gardło, równo odciętą przednią połowę szyi. Znowu. Wydawało się, że głowę z resztą ciała łączy tylko kręgosłup. Znowu. Mallory miał rację. Bezdomny w cuchnącej alejce był kimś krańcowo odmiennym od bankiera w szklanym wieżowcu.

Ale stał się następną ofiarą.

Alejka nawet w świetle ksenonowych lamp była zimna i mimo cienkiej gumy rękawiczek poczułem na dłoniach lodowate krople potu.

Skierowałem latarkę poza zasięg lamp i przesunąłem cienki snop światła po ogromnych plamach krwi tętniczej pokrywających mury i pojemniki na śmieci. Wyłączyłem latarkę i spojrzałem na krew, która wsiąkała w górną połowę ubrania.

Krew miała tę charakterystyczną i obrzydliwie metaliczną woń, która mieszała się z zapachami spalin, jedzenia i alkoholu, jakimi było przesycone powietrze na West Endzie.

Próbowałem sięgnąć wzrokiem poza okropną krwawą jatkę. Próbowałem przyjrzeć się temu, co kiedyś było człowiekiem.

Mężczyzna miał długie i splątane włosy, ubranie w strzępach, poczerwiałe od nieubłaganych skutków życia na ulicy. Trudno było ocenić jego wiek, bo wyglądał na bardzo wyniszczonego, jak gdyby przeżył całe życie na długo przed gwałtowną śmiercią.

– Na rękach będzie miał ślady po igłach – powiedziałem. – I być może na nogach, nawet między palcami stóp.

– Ale po co ktoś miałby zabijać człowieka, który tak systematycznie zabijał sam siebie? – zapytał Mallory.

Obok denata leżał jego nędzny dobytek. Związany gumką czarny worek na śmieci, w którym trzymał swoje dobra doczesne. Wełnianą czapkę nadal pełną monet. I jakiś instrument muzyczny. Cienki kawałek czarnego drewna z kombinacją guzików i kłapek ze srebrzystego metalu.

– Klarnet? – spytałem.

– Nie – odparł Mallory. – Za mały. Obój.

– Nie można chyba grać aż tak źle, żeby za to ginąć – zauważył jeden z techników.

Nikt się nie zaśmiał.

Mallory objął spojrzeniem zakrwawione ciało, nietknięte pieniądze i instrument. Pokręcił głową z autentycznym smutkiem.

– Wygląda na to, że od dawna mieszkał na ulicy – powiedziałem. – W okolicach Soho kręci się mnóstwo narkomanów i byłych narkomanów. Ale rzadko się zdarza, żeby bezdomni zabijali się nawzajem.

– Rzeczywiście – zgodził się Mallory. – Kłopot jest raczej z ludźmi, którzy mają dokąd iść.

Znów popatrzyłem na ulicę. Ekipa techników poruszała się wolno jak białe duchy, które przystąpiły do swoich mozolnych rutynowych zadań, fotografując ślady stóp, zbierając niedopałki, zabezpieczając włókna, odciski palców i próbki krwi. Jeden z nich szkicował scenę zbrodni. Fotograf skończył robić zdjęcia i filmował miejsce zdarzenia. Na nierównej powierzchni alejki jak zwykle wykwitły żółte tabliczki z numerami, między którymi lawirowali technicy, stąpając ostrożnie jak naukowcy po terenie, który spustoszyła zagłada jądrowa. Za ich plecami, w dyskotekowym blasku niebieskich świateł naszych radiowozów, mundurowi powstrzymywali tłum gapiów filmujących telefonami przebieg dramatu.

– Myślą, że wystawiamy tu *Nędzników* – westchnął Mallory. – Dziwne miejsce, co?

Uniosłem głowę. Mallory miał rację. W rzeczywistości to nie była alejka, tylko raczej rodzaj szczeliny między dwoma okazałymi budynkami starych teatrów przy Shaftesbury Avenue. Na końcu alejki, nad głowami stłoczonych gapiów, zobaczyłem jasne światła ścisłego centrum miasta. Białe neony nad wejściami do teatrów, czerwień i złoto Chinatown.

– I nikt niczego nie słyszał – rzekł Mallory, czytając w moich myślach.

– Bo przecięto mu tchawicę – powiedziałem. – Bez powietrza nikt nie wrzaśnie.

Kiedy tłum został odsunięty na drugą stronę ulicy, rozległy się okrzyki protestu. Ludzie wyciągali szyje, żeby mieć lepszy widok, unosząc telefony jeszcze wyżej.

– Boże, strzeż nas przed głupimi ludźmi ze smartfonami – mruknął Mallory.

Technicy stawiali nad zwłokami namiot, by osłonić miejsce zdarzenia przed wzrokiem ciekawskich i ocalić tysiące dowodów przed pogodą. Wzrok Mallory'ego padł na pełną monet czapczkę, po czym skierował się na instrument.

– Jaki narkoman gra na ulicy na oboju? – spytał.

Zastanowiłem się.

– Taki, który pochodzi z bogatej rodziny. Ktoś, kto mógł skorzystać z wielu szans. I z przywilejów. Raz w tygodniu przyjeżdżał nauczyciel muzyki, żeby dawać mu lekcje gry na oboju. Pieniądze nie były problemem.

Mallory pogładził się wielką dłonią po łysej czaszce, a potem podsunął lenonki na złamanym nosie.

– A może po prostu go ukradł. – Pauza. – Ale nie sądzę. Chyba masz rację. Chyba był otoczony bardzo troskliwą opieką. Dawno temu.

Flesz aparatu technika oświetlił część muru w alejce, do którego nie docierał blask lamp ksenonowych. Na ścianie, wśród świeżych plam krwi ofiary, mignęła mi płatanina graffiti, której wcześniej nie zauważyłem. W oczy rzuciło mi się jedno słowo i podszedłem bliżej, aby się mu przyjrzeć, chociaż już wiedziałem, jak ono brzmi.

ŚWINIA

Po drugiej stronie ulicy zobaczyłem chyba z setkę telefonów komórkowych trzymanyh ponad ramionami umundurowanych

funkcjonariuszy, którzy stali za taśmą z napisem: POLICJA WSTĘP WZBRONIONY. Tłum został odepchnięty, ale gęstniał, napierając na kordon policjantów, i coraz bardziej się emocjonował, a diody komórek jarzyły się jak wilcze oczy zimą.

Podszedł do nas jeden z techników. W jednej ręce trzymał laptop, a drugą zdejmował maseczkę z twarzy.

– Dobrze zwłoki, panie komisarzu – powiedział do Mallory’ego.

– Nie ma świadków, broni, monitoringu, śladów rękawiczek, tożsamość nieznana – zauważył Mallory. – Widziałem już lepsze.

...

Rano zająłem się córką i psem, a potem pojechałem do pracy – na posterunek przy Savile Row 27, który policjanci z metropolitalnej nazywają Głównym na West Endzie.

Budynek przy Savile Row 27 to nowoczesny biurowiec, przed którym stoi staroświecka niebieska latarnia, jedna z tych, jakie kojarzą się z czasami Sherlocka Holmesa tropiącego Kubę Rozpruwacza w londyńskiej mgle. Ale choć Savile Row jest znana z dwóch powodów, Główny na West Endzie do nich nie należy.

Przez setki lat przy Savile Row działały najbardziej ekskluzywne zakłady krawiectwa męskiego na świecie. Ta krótka ulica na Mayfair była też świadkiem ostatniego występu Beatlesów, którzy zagrali na dachu budynku pod numerem trzecim, ściągając na siebie uwagę miejscowej policji. Funkcjonariusze z Głównego pozwolili Beatlesom dokończyć ostatni w historii koncert, bo wszyscy byli wielbicielami muzyki. Tak przynajmniej się tu mówi.

Z potrójnym espresso, które kupiłem w barze Italia na Soho, poszedłem do pokoju operacyjnego numer jeden na ostatnim piętrze. To tu koordynowano śledztwo w sprawie morderstwa, prowadzone

przez wydział zabójstw. Duże pomieszczenie złożone z połączonych pokoi, z komputerem na każdym biurku, było teraz puste, jeśli nie liczyć komisarza Mallory'ego, który stał z kartonowym kubkiem herbaty, wpatrując się w niezapisaną białą tablicę.

– Jesteś za wcześnie – powiedział. – Poranna odprawa zaczyna się dopiero za godzinę.

– Pomyślałem, że przyjdę pierwszy, panie komisarzu – odrzekłem. – Wykażę się zaangażowaniem i tak dalej.

Parsknął śmiechem.

– Lubię poświęcić trochę czasu na myślenie, zanim otworzę usta – oznajmił. – Co może łączyć bogatego bankiera, eksperta od inwestycji, i bezdomnego narkomana uzależnionego od heroiny? – Pokręcił głową. – Nie wiem. Nie mam pojęcia. A muszę wiedzieć. Muszę mieć przynajmniej jakąś hipotezę. – Napił się herbaty. – Słyszałeś kiedyś o zasadzie złotej godziny?

Skinąłem głową.

– Dzięki szybkim działaniom można zabezpieczyć materiał, który w innym wypadku zostałby stracony. Świadkowie wszystko lepiej pamiętają. Sprawcy mogą być jeszcze w pobliżu. Nikt nie skasował zapisu z kamer monitoringu. Im dłużej zwlekamy, tym się robi trudniej.

– Wierzę w zasadę złotej godziny, jak każdy – powiedział Mallory. – Ale wierzę też w to, co starzy śledczy nazywają „zwalnianiem tempa”. To znaczy, że trzeba przytrzymać piłkę i ogarnąć sytuację; że trzeba mieć czas nie tylko na działanie, ale i na główkowanie.

Komisarz mówił tak płynnie, że dopiero po chwili zorientowałem się, że przychodząc do pracy wcześniej, zakłóciłem jego spokój – zająłem mu czas przeznaczony na główkowanie. Chyba zauważył mój niepokój.

– Może zejdziesz do piwnicy? – zaproponował. – Spróbuj poszukać naszego narzędzia zbrodni. – Podał mi teczkę formatu A4. – Weź to ze sobą.

– Tak jest.

Łyknąłem kawę i ruszyłem do piwnicy. Kiedy otworzyły się drzwi windy, znalazłem się w niskim pomieszczeniu, gdzie na ustawionych w rzędach stołach leżały noże.

Zobaczyłem młodego funkcjonariusza w mundurze, który je filmował i robił notatki. Wyglądał jak turysta na egzotycznym bazarze.

– W czymś pomóc? – spytał.

– Szukam noża – wyjaśniłem.

– Jakiego noża?

– Noża, którym można zrobić coś takiego.

W teźce znajdowały się cztery zdjęcia. Dwa zwłok Hugo Bucka i dwa zwłok bezdomnego. Wszystkie przedstawiały zbliżenia śmiertelnych ran. Pokazałem je posterunkowemu i zobaczyłem, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Proszę, detektywie – powiedział. – Mamy egzemplarze wszelkiego rodzaju.

Rzeczywiście. W ostrym świetle jarzeniówek lśniły setki, może nawet tysiące noży. Skonfiskowanych, znalezionych, porzuconych, zabezpieczonych jako dowody albo oddanych podczas amnestii. Było ich tyle, że nie wiedziałem, jak mógłbym nie znaleźć właściwego kandydata na narzędzie zbrodni, którym poderżnięto gardła bankierowi i nieznanemu mężczyźnie w alejce.

Policjant w mundurze dogonił mnie i nerwowo odchrząknął.

– Posterunkowy Greene, detektywie – przedstawił się. – Billy Greene. Pamięta pan? Wczoraj rano w banku. Kazał mi pan oddychać. Kiedy zrobiło mi się niedobrze.

Przyjrzałem mu się uważniej i przypomniałem sobie młodego policjanta, który po znalezieniu zwłok był do niczego.

– Posterunkowy Greene – powiedziałem. – Nie musisz mnie tytułować detektywem tylko dlatego, że jestem po cywilnemu. – Miałem na sobie czarny ślubny garnitur od Paula Smitha. Moja kategoria zaszeregowania nie pozwalała mi jeszcze ubierać się na Savile Row. – Jestem Wolfe, szeregowy detektyw dochodzeniówki. Mam taki sam stopień jak ty. Możesz mi mówić Wolfe. Albo Max. Zresztą możesz mi mówić jak chcesz. Ale jak będziesz mnie tytułował detektywem, obu nam będzie trochę głupio. Przecież wiesz, że szeregowy detektyw ma takie same kompetencje i pozycję co posterunkowy w mundurze.

Wyglądał na speszzonego.

– Oczywiście, dete... Max... hm, Wolfe. W każdym razie nie zdążyłem ci podziękować. Prawie wszyscy śmiali się ze mnie, że tak wtedy wymiękłem. Ty mi pomogłeś. To na pewno pomaga. Oddychanie.

– Nie pracujesz już w patrolu?

Oblał się rumieńcem.

– Posadzili mnie za biurkiem. Przenieśli. Zostałem kowbojem gawędziarzem. – Zaśmiał się ponuro. – Myślą, że zupełnie się rozsypałem.

Skrzywiłem się.

– Trochę przykra sprawa.

Greene wskazał na noże, zmieniając temat.

– Widzisz to, czego szukasz?

– Jeszcze nie.

Przeszedłem między stołami, oglądając starannie ułożone w szeregach noże. Były wśród nich noże do rzucania. Noże myśliwskie. Bowie. Noże tak krótkie i cienutkie, że mogłyby się

zmieścić w futerale na kartę kredytową. Miecze samurajskie. Noże do tapet. Kukri – nóż Gurkhów. Pokryte cętkami rdzy noże Stanley. I krzyk mody – kompaktowe półautomatyczne noże składane z tytanową rękojeścią i stalowym ostrzem, które wysuwa się równie błyskawicznie jak colt 45 z kabury rewolwerowca.

Wziąłem jeden z nich i przyjrzałem się mu z bliska.

– Dużo takich do nas trafia – poinformował mnie Greene. – Lubią je członkowie gangów. Myślisz, że to mogło być coś takiego?

– Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe – powiedziałem, odkładając nóż. – Jest za krótki. Ten, którego szukam, powinien mieć ze trzydzieści centymetrów długości. Z czego większa część to ostrze. To musi być długi i cienki nóż, pewnie obosieczny. Przeznaczony do podrażniania gardeł.

Greene z trudem przełknął ślinę.

– Chodzi o sprawę Boba Rzeźnika, tak?

– Kto to jest Bob Rzeźnik?

Przyniósł laptop i znalazł właściwą stronę w internecie. To była witryna gazety.

BOB RZEŹNIK PRZEŚLADUJE WYSTRASZONYCH CHŁOPCÓW Z CITY

Scarlet Bush

reporterka kryminalna

Na pławiących się w luksusie chłopców z City padł blady strach, kiedy jeden z detektywów ujawnił, że zabójstwo Hugo Bucka, specjalisty od bankowości inwestycyjnej, było zbrodnią z nienawiści.

„Tak, morderstwo niewinnego młodego bankiera popełnione przez Boba Rzeźnika to zbrodnia z nienawiści”, potwierdził detektyw Max Wolfe. „Ale każde morderstwo jest zbrodnią z nienawiści”.

Ambitni chłopcy z City, którzy przepuszczają swoje premie we wszystkich barach w dzielnicy finansowej, drżą z przerażenia przed Bobem Rzeźnikiem.

„To straszna myśl, że Bob Rzeźnik wziął na cel bankowców”, powiedział Bruno Mancini w The Lucky Cripple, modnym lokalu przy Cheapside. „Co złego jest w bogactwie? Ciężko pracujemy na swój sukces”.

Zakląłem pod nosem.

– Niczego takiego nie powiedziałem – oświadczyłem, po czym jeszcze raz zerknąłem na artykuł. – No, może trochę.

Obok tekstu było małe zdjęcie. Patrzyła z niego młoda kobieta, którą spotkałem przed budynkiem w Regent's Park. Nie byłem pewien, co to oznacza, ale wiedziałem, że nic dobrego. Pozytywne było to, że nie skojarzyła morderstwa Bucka z nieznanym mężczyzną z alejki. I to była jedyna dobra rzecz.

Dalej krążyłem wśród stołów, dziwnie przekonany, że nie znajdę tu noża, którego szukam.

– Dzięki za pomoc, Billy. Przykro mi, że zdjęli cię z ulicy.

Twarz mu pojaśniała.

– Właściwie nie jest tak źle. Lubię noce. Poza tym można tu poczuć historię. Masz jeszcze chwilę? Popatrz na to.

Greene otworzył drzwi do magazynku. Pomieszczenie było małe i zapchane jak strych, do którego nikt nie wchodził od dnia koncertu Beatlesów na dachu po drugiej stronie Savile Row.

– Pełno tu rzeczy, z którymi nikt nie wie, co zrobić – ciągnął Greene. – To nie są dowody, więc nie można ich zapakować do torebek. Ani śmieci, więc nie można ich wyrzucić. Przeważnie nie mają też większej wartości, żeby je oddać do muzeum. Chyba wszyscy o nich po prostu zapomnieli. Sam zobacz, Wolfe.

Weszliśmy do zakurzonego pomieszczenia i rozejrzałem się po nim z niedowierzaniem. Był tu wysoki cylinder, w połowie zjedzony przez mole i pleśń. Kartonowe pudła pełne staroświeckich gumowych pałek. Przewrócona sterta dawniej używanych tarcz policyjnych. Czapki bejsbolowe policji metropolitalnej, które nigdy się nie przyjęły. Stojak z ciężkimi kamizelkami z kevlaru, w niczym nieprzypominającymi naszych dzisiejszych cienutkich, chroniących przed ciosem noża. Dostrzegłem też inne części umundurowania – hełmy bez

emblematów, bluzy bez mosiężnych guzików, porzucony rynsztunek pochodzący sprzed dwudziestu, pięćdziesięciu albo stu lat. Policyjny złom, którego nikt nie wyrzucał, bo nie miał serca albo siły, albo zezwolenia.

I tak upchnięto go tutaj.

– Słyszałeś o Czarnym Muzeum? – zapytał Greene. – W Nowym Scotland Yardzie. Nie jest ogólnie dostępne. Ten magazyn wygląda właśnie jak Czarne Muzeum.

Uśmiechnąłem się.

– Raczej jak graciarnia. Faktycznie w Czarnym Muzeum jest dużo starego sprzętu. Broń palna. Noże. Laski, które w rzeczywistości są szpadami. Parasole zmieniające się w pistolety. We wnętrzu tych parasoli znajduje się nóż zwany zabójcą gliniarzy. Ale to właściwie nie jest muzeum. Raczej sala wykładowa. Pomoc dydaktyczna.

Greene patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Widziałeś je?

Skinąłem głową.

– W ramach szkolenia. Mają tam ekspozycję o funkcjonariuszach metropolitalnej, którzy zginęli na służbie. Oprawdząją cię po Czarnym Muzeum, żeby nie spotkało cię to samo.

Greene głęboko nabrał powietrza i wolno je wypuścił, odwracając się, żeby pokazać zakurzoną półkę w najciemniejszym kącie tego dziwnego pokoju.

– Patrz – powiedział.

– Nic nie widzę – odparłem i zrobiłem krok w stronę, którą wskazywał.

Wtedy zobaczyłem.

To była staroświecka skórzana torba, która stała samotnie na zasnutej pajęczynami półce. Ciemnobrązowa bydlęca skóra była wytarta i popękana. Mosiężne wykończenia i zamki pociemniały od

rdzy. Kiedy Greene ją podniósł, żebym się jej przyjrzał, z tyłu półki umknął pająk, jak gdyby spieszył się na pilne spotkanie i był już spóźniony.

– Wygląda jak stara torba lekarska – powiedziałem.

– To klasyczna walizka typu Gladstone – poprawił mnie Greene. – A ta jest wyjątkowa, bo to torba do zabójstw. Sądzę, że jedna z oryginalnych. Słyszałeś kiedyś o torbach do zabójstw?

Pokręciłem głową.

– Od nich zaczęła się współczesna robota śledcza – wyjaśnił. – W Yardzie były takie dwie z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku. Zawsze spakowane i pod ręką. Trzymano w nich gumowe rękawiczki, szkła powiększające, pojemniki na krew, probówki, sprzęt do daktyloskopii, wszystkie potrzebne narzędzia. Wprowadzono je do użytku, kiedy sir Bernard Spilsbury zobaczył, jak detektyw dotyka poćwiartowanych zwłok gołymi rękami. To był początek współczesnych technik śledczych w sprawach zabójstw. – Nieśmiało zerknął na mnie. – Czyli tego, czym się zajmujesz.

Delikatnie odstawił starą, sfatygowaną torbę na miejsce, jakby była bezcenna.

– Historia – dodał. – Uwielbiam historię.

– Jednego nie rozumiem – powiedziałem.

Greene spojrzał na mnie.

– Twoja koleżanka, ta posterunkowa, mówiła, że ten bankier to twój pierwszy trup.

– Posterunkowa Wren – przytaknął. – Edie. Rzeczywiście.

– Przecież to nie może być prawda – zauważyłem. – Długo jesteś w służbie, Greene?

– Sześć lat.

– Musiałeś widzieć więcej trupów niż ja – powiedziałem. – Przeciętnie jednego dziennie. Kierowców, którzy wypadają przez

okna, wysyłając SMS-y. Rowerzystów potrąconych przez autobusy. Pieszycy potrąconych przez rowerzystów i kierowców. – Pokręciłem głową. – Nie mogę uwierzyć, że Hugo Buck to twój pierwszy trup.

Greene zastanowił się przez chwilę.

– To prawda – przyznał. – Widziałem mnóstwo trupów. Ale to, co Edie... co posterunkowa Wren i ja zobaczyliśmy wczoraj rano na podłodze w gabinecie tego człowieka, nie zdarzyło się z powodu pecha, zrzędzenia losu ani głupoty. Nie dlatego, że ktoś był pijany czy naćpany albo wysyłał SMS-y. Temu bankierowi ktoś zrobił to rozmyślnie. Pogwałcił wszystko, co można było pogwałcić. To nie to samo, co codzienna masakra na drogach. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Po prostu coś innego, prawda?

Pokiwałem głową.

– Masz rację. Morderstwo to coś innego.

...

Budzę się za wcześnie.

Jest najczarniejszy środek nocy – za późno, żeby z powrotem zasnąć, za wcześnie, żeby wstać.

Podnoszę się z łóżka i podchodzę do okna. W hali targowej palą się światła. Wracam, siadam na łóżku, nadal nie patrząc na budzik. Wydaje mi się, że jeśli spojrzę na wyświetlacz, poczuje się tak, jakbym patrzył w oczy szaleńca.

Wreszcie zerkam.

03:50

Podchodzę do dużej szafy wbudowanej w ścianę i naciskam podwójne drzwi. Uchylają się dzięki mechanizmowi sprężynowemu,

a w ciemności cicho pobrzękują paski i naszyjniki zawieszane na skrzydłach drzwi od wewnątrz.

Po lewej stronie stoją buty. Kolekcja damskiego obuwia wszelkiego rodzaju. Sandałki i szpilki. Z prawej piętrzą się szuflady. Dzianiny. Starannie złożone dżinsy, których już nikt więcej nie włoży.

Dokładnie na wprost mam wieszaki z jej sukienkami, spódnicami, bluzkami, topami i zakietami. Biała bawełna, ale i plamy kolorów, chociaż w tym świetle nie da się ich zobaczyć. Wiem jednak, że są tu pomarańczowe jedwabie, niebieskie batik i cienkie, przejrzyste rzeczy zdobione srebrem. Miękkie jak pióra, leciutkie jak westchnienie.

Szeroko rozkładam ramiona i delikatnym ruchem jak gdyby wpadam w ubrania, wtulając twarz w jej rzeczy, jej istotę, dawne życie.

Wdycham jej zapach.

A potem zasypiam.

5

Dzieci namalowały swoje rodziny. Całą ścianę w klasie pokrywały obrazki z wielokolorowymi ludzikami, które o piątej zaczynały rozumieć świat i swoje w miejsce w życiu.

Ludziki przedstawiające matki miały długie włosy opadające na ramiona czarną, brązową i żółtą falą. Niektóre mamy trzymały w ramionach kielbaskowate wałki z kólkami zamiast głów – młodsze rodzeństwo autora lub autorki dzieła. Ojcowie w większości wyglądali jak większe patyczaki i prawie wszyscy trzymali brązowe kwadraty i prostokąty – teczki. Wszystkie obrazki były pełne życia, zatłoczone postaciami rodziców, rodzeństwa, figurkami rozmaitych kształtów i rozmiarów.

Z wyjątkiem obrazka Scout.

– Popatrz, to moje – pokazała.

Jak mógłbym nie zauważyć?

Obrazek Scout przedstawiał ponurą postać tatusia bez teczki, postać córki o wielkich brązowych oczach, a u ich stóp widniał mały czerwony kleks na czterech nogach – Stan.

Tego dnia rano zostawiliśmy w domu psa, który żegnał nas przeraźliwym wyciem pełnym wściekłości i rozpacz, bo raz w miesiącu rodzicom pozwalano wejść z dziećmi do sali, by obejrzeć ich prace. To miało być radosne zdarzenie. Ale kiedy rodzice i dzieci przepychali się wokół nas, patrzyłem na dzieło córki i nie wiedziałem, co powiedzieć.

Większość ojców miała na sobie garnitury i krawaty i trzymała aktówki, natomiast matki były ubrane w stroje do biura albo do uprawiania sportu, a niektóre z tych w strojach sportowych trzymały na rękach niemowlęta albo prowadziły maluchy uczące się chodzić. Obrazki odznaczały się więc zdecydowanie realizmem społecznym.

Nauczycielka, młoda jasnowłosa Nowozelandka, panna Davies, przyglądała się nam wszystkim z życzliwym uśmiechem.

– Podoba ci się? – spytała Scout, zaniepokojona moim milczeniem.

– Bardzo – odparłem.

Prawda była taka, że serce mi się krajało na ten widok. Białe tło obrazka Scout zdawało się przytłaczać trzy maleńkie figurki. I znowu odczułem to, co z pewnością będę czuł już zawsze. Pełnię szczęścia innych rodzin i bolesną ruinę tego, co zostało z naszej.

Położyłem dłoń na ramieniu Scout, która spojrzała na mnie oczami swojej matki.

– Bardzo ładne, Scout.

– Panna Davies powiedziała, że ma być tylko rodzina – wyjaśniła i tracąc nagle zainteresowanie, powędrowała do ławki, żeby się przygotować do pierwszej lekcji.

Trzeba było już iść. Matki i ojcowie całowali dzieci na pożegnanie i zamieniali kilka ciepłych słów z nauczycielką.

Ja jednak aż do dzwonka stałem przed namalowaną przez Scout naszą rodziną, otoczoną pustą, białą przestrzenią.

...

Stan nie lubił zostawać w domu. Przewrócił miskę z wodą, pogryzł na strzępy matę w swojej klatce, a na dokładkę wlaźł na stolik i z pogardą strącił myszkę laptopa, która dyndała nad podłogą jak wisielec.

Patrzyliśmy na siebie.

Decydując się na psa, nie wybrałbym cavalier king charles spaniela. Nie brałbym go pod uwagę nawet w dalszej kolejności. Wolałbym coś większego. Labradora albo golden retrievera. Owczarka niemieckiego. Kiedy sprzątałem bałagan, którego narobił, Stan przyglądał mi się wyłupiastymi oczami, w roztargnieniu podgryzając kabel telewizora. Coś większego i bardziej rozgarniętego, pomyślałem.

Ale Scout zrobiła własny wywiad i wiedziała, czego chce. Stan był jej psem.

Nawet gdyby puścił mieszkanie z dymem, nie mógłbym się na niego dzisiaj złościć. Gdyby nie Stan, ta wielka biała przestrzeń mogłaby nas żywcem połknąć.

...

Kiedy szedłem ze Stanem przez Charterhouse Square, wracając ze spaceru, było jeszcze wczesnie. Mallory popijał pewnie herbatę w pokoju operacyjnym numer jeden i oddawał się główkowaniu. Stan i ja mieliśmy jeszcze trochę czasu dla siebie, zanim oddam go pod opiekę pani Murphy i pojedę do pracy.

Właśnie kucał, żeby się wysikać, gdy dostrzegłem siedzących na ławce mężczyzn. Trzech. Nie spali całą noc. W naszej okolicy kręciło się wielu zadeklarowanych pijaków, których przyciągały czynne całą noc puby w pobliżu hali targowej Smithfield. Dwaj biali chłopcy o ziemistych twarzach, ubrani w tandetne szare ciuchy sportowe, i Azjata, starszy i potężniej zbudowany, który, mimo chłodnego poranka, miał na sobie T-shirt. Typ sztangisty. To on cmoknął na mojego psa.

Uśmiechnąłem się.

Trzej mężczyźni utkwili we mnie wzrok.

To nie była przyjemna chwila.

Stan ochoczo ruszył truchtem w ich stronę. Pociągnął mnie za sobą, przejęty i zachwycony, jak gdyby nie mógł uwierzyć w zbieg okoliczności, który sprawił, że znaleźli się tu w tym samym czasie co on.

Puściłem smycz, żeby mógł się z nimi przywitać.

I to był mój błąd.

Sztangista wziął Stana na ręce – zrobił to nieprawidłowo, obejmując obiema dłońmi klatkę piersiową psa, zamiast podtrzymać go jedną ręką od dołu – i odsunął się z obrzydzeniem, kiedy Stan próbował polizać go w twarz.

Jego biali jak kreda kumple wybuchnęli śmiechem, a sztangista upuścił Stana, który obrócił się w powietrzu i bezwładnie runął na ziemię, skowycząc z bólu. Potem zaskomlał, podwinął pod siebie sztywny ogon i położył po sobie uszy, wykazując wszystkie oznaki psiego przerażenia.

Wrócił do mnie, podniosłem go, jedną ręką przytrzymując klatkę piersiową, a drugą zad, tak jak należy trzymać psa, i przytuliłem go o siebie, czując uderzenia jego serca przypominające uderzenia werbla.

Już poznał, co to jest strach.

– To nie pies – oświadczył sztangista – tylko szczur.

– Napędziłeś mu stracha, stary, bo nie chciałeś mu dać całusa! – krzyknął jeden z jego kumpli.

– To pies! – dorzucił drugi. – Ale pies gej!

Wszyscy trzej pękali ze śmiechu.

Postawiłem Stana, który rozpląszczył się na ziemi z podkulonym ogonem i położonymi po sobie uszami, wytrzeszczając wielkie oczy. Uspokajającym gestem położyłem mu dłoń na boku. Przez jedwabistą

kasztanową sierść czułem kruche żebra, pod którymi serce wciąż tłukło jak oszalałe. Smycz trzymałem luźno.

Mężczyźni na ławce ciągle się śmiali. Twardziele, pomyślałem. Twardziele, którzy chcieli się tylko zabawić.

Próbowałem odejść, kiedy jeszcze rechotali i gadali między sobą, ale Stan zatrzymał się, żeby obwąchać kosz na śmieci. Po chwili kucnął i wypróżnił się, zerkając na mnie nieśmiało. Zebrałem trzy niewielkie kawałki odchodów do torebki, którą zawiązałem na supeł i wrzuciłem do kosza. Mężczyźni znów skierowali uwagę na psa, pokazując go palcami i łypiąc na niego. Uznali najwyraźniej, że Stan pojawił się w tym miejscu tylko po to, żeby dostarczyć im rozrywki.

I to był ich wielki błąd.

– Idziemy – powiedziałem.

Stan skierował na mnie smutne oczy. Nawet nie próbował ruszyć się z miejsca.

Mężczyźni ryknęli.

– Idziemy! – zawołał sztangista. – Słyszeliście? Mówi „idziemy”! Ej, kolego, czy on gryzie? Czy tylko ci obciąga?

Patrzyłem na Stana. Ani na chwilę nie odrywał ode mnie wzroku i wydawało się, jakby jeszcze bardziej się rozpląszczył. Podwinięty ogon lekko drżał, łeb spoczywał między łapami, gigantyczne uszy zwisały smętnie jak długie włosy, broda wciskała się w beton.

To się musiało kiedyś stać.

Prędzej czy później musiał poznać strach.

Wszyscy musimy poznać strach.

Wielka szkoda jednak, że stało się to akurat dzisiaj, gdy byłem mu wdzięczny, naprawdę i szczerze wdzięczny za to, że dołączył do mnie i Scout na naszym portrecie rodzinnym powieszonym na ścianie w jej klasie.

– Idziemy. No, dalej – ponagliłem.

Stan nadal ani drgnął.

– Nie bardzo się słucha, co? – odezwał się sztangista.

W jego głosie było słycać mieszaninę akcentów z różnych miast. Londynu, Los Angeles i Islamabadu. I to z najgorszych miejsc.

Przywiązałem luźno starą skórzaną smycz do pustej ławki i odwróciłem się do mężczyzn.

– Nie mówiłem do psa – powiedziałem, ruszając w ich stronę.

Sztangista wstał. Mina mu zrzędła, a gdy otwierał usta, żeby coś powiedzieć, zadałem mu pięścią cios w serce.

Jeden cios.

Prawą ręką.

Z całej siły.

Czegoś takiego nie robią w filmach. Ale serce to najgorsze miejsce, w które można dostać pięścią. Naprawdę nikomu nie życzę, żeby dostał tam pięścią.

Cios zaczął się od obrotu lewej stopy, powędrował mięśniami lewej nogi, nabierając impetu wraz z rotacją tułowia, po czym przepłynął przez prawe ramię aż do dwóch pierwszych kłykci dłoni zaciśniętej w pięść.

Niecałą sekundę po rozpoczęciu swojej drogi cios z potężną siłą spadł na mostek mężczyzny, trafiając prosto w płaską kość pośrodku klatki piersiowej, gdzie górne żebra łączą się z nią chrzęstnymi przyczepami tuż nad sercem.

Nie rozumiem, dlaczego nikt nigdy nie uderza w serce. Pijacy podczas bijatyk w barze nie pomyślą, żeby zadać przeciwnikowi cios w to miejsce. Ulicznym zabijakom po zamknięciu pubów nawet nie przychodzi do głowy, że mogą tam kogoś uderzyć. Przeciętny prymityw, jak te trzy wyjątkowo przeciętne prymitywy na Charterhouse Square, nie wiedzą nic o ciosach w serce.

Ja jednak wiedziałem.

Serce jest najważniejsze.

Sztangista zachwiał się i złapał za pierś, zataczając się w szoku wywołanym kompresją klatki piersiowej. Opadł z powrotem na ławkę między swoich oniemiałych koleżków, zupełnie tracąc ducha walki. Uderzenie wcisnęło mu mostek najwyżej o dwa centymetry, ale było na tyle miażdżące, aby porazić serce.

Spojrzałem na tamtych dwóch. Ich twarze zmartwiały. Nie wiedzieli, co zrobić. Nie spodziewałem się, że będą wiedzieli. Popatrzyłem na sztangistę, który trzymał się za klatkę piersiową i orał palcami zapadnięty mostek, i upewniłem się, że nie ma ochoty wstawać.

Powodem był nie tylko szok po ciosie. Uderzenie wywołało także tachykardię – nagłe i powodujące panikę przyśpieszenie akcji serca.

Facet miał wrażenie, jakby jego serce za moment miało eksplodować.

Miał wrażenie, że umiera.

Podszedłem do psa i pogłaskałem go po karku.

– To jest Stan – poinformowałem ich. – Cavalier king charles spaniel. Cavalierzy to najspokojniejsze psy na świecie. Są znane z poczciwości i grzeczności. Cudownie traktują dzieci. Były ulubioną rasą psów Tudorów i Stuartów dzięki wyjątkowo łagodnej naturze – tak łagodnej, jaką możecie dostrzec u Stana.

– Nie chcemy żadnych kłopotów – powiedział jeden z nich.

Zmroziłem go wzrokiem.

– Widzicie, jaką łagodną naturę ma Stan, czy nie?

– Widzimy – odrzekł.

Musiałem się natychmiast napić kawy. Potrzebowałem potrójnego, mocnego espresso. Stan patrzył na mnie nieśmiało, z miłością w oczach. Zamierzałem posadzić go sobie na kolanach w kawiarni

i pijąc mocną czarną kawę, częstować go psim przysmakiem Natures Menu z kurczaka do czasu, aż będę musiał iść do pracy.

Skinąłem głową mężczyznom na ławce, ciesząc się, że w końcu zrozumieli.

– On nie gryzie – powiedziałem.

...

– Chodźmy odwiedzić umarłych – zarządził Mallory podczas porannej odprawy.

Jeśli wybierze się drogę przez St James's Park, szybkim marszem można w dziesięć minut dotrzeć z Savile Row 27 do kostnicy w Westminster i Centrum Medycyny Sądowej Iaina Westa.

– Iain West był Elvisem wśród patologów – zwrócił się do mnie Mallory, gdy Gane, Whitestone i ja usiłowaliśmy dotrzymać mu kroku.

– Geniuszem, który wszystko zmienił. Udowodnił, że posterunkowa Yvonne Fletcher została zastrzelona z budynku ambasady libijskiej. Na podstawie obrażeń ofiar dokładnie ustalił miejsce podłożenia bomby w Grand Hotelu w Brighton. Badał ofiary okrutnych zamachów IRA przed domem towarowym Harrodsa i w Hyde Parku. Sam jeden poprawił bezpieczeństwo na kolei dzięki wynikom autopsji przeprowadzonych po pożarze na dworcu King's Cross. I zanim zmarł, zresztą w całkiem młodym wieku, udzielił nam wszystkim bezcennej lekcji.

– Jakiej, panie komisarzu?

– Umarli nie kłamią.

We wnętrzu budynku Centrum Iaina Westa cierpliwie czekaliśmy w niebieskich fartuchach i siatkach na włosach, gdy Elsa Olsen, patolog, mówiła do nas uśmiechnięta i uprzejma jak gospodyni przyjęcia, która właśnie zamierza przedstawić sobie gości.

Elsa ślicznie się uśmiecha, pomyślałem, kiedy oderwała życzliwe spojrzenie od naszych twarzy i skierowała wzrok na dwoje nagich zwłok spoczywających na metalowych stołach przed nami.

– Nasz tajemniczy mężczyzna – powiedziała, wskazując wyniszczone narkotykami ciało bezdomnego. – Adam Jones. Urodzony w Nowy Rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego. Zginął dziesiątego października dwa tysiące ósmego. – Pokazała jego sąsiada, zwłoki dobrze odżywionego bankiera. – I Hugo Buck, którego już chyba znacie. Urodzony siódmego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt trzeciego, zginął dziewiątego października dwa tysiące ósmego.

Elsa umilkła na chwilę, dając nam czas na zastanowienie się nad tymi datami. Mallory i ja uważnie przyglądaliśmy się zwłokom. Urodzili się w odstępie tygodnia. Zginęli w ciągu tej samej doby. Co poza tym mogło ich łączyć? Oprócz zsiniałych otwartych ran, które teraz przypominały ziejące czarne szczeliny, wydawało się, że pochodzą z różnych planet.

Nawet po śmierci było widać, że zwłoki Hugo Bucka należą do sportowca amatora dopiero nabierającego tłuszczu dzięki dobrobytowi. To było ciało człowieka, który bez względu na nawal pracy kilka razy w tygodniu wyciskał z siebie siódme poty w siłowni, prawdopodobnie pod okiem osobistego trenera, który krzyczał na niego za pięćdziesiąt funtów na godzinę; ale mijały lata, bankier coraz częściej w ciągu dnia pracy jadał w dobrych restauracjach, coraz częściej pijał dla towarzystwa.

Cholerny sukinsyn maltretujący żonę.

W porównaniu z nim ciało Adama Jonesa wyglądało na kompletnie zużyte: żalosny szkielet obciążony skórą z plamami źle zrobionych tatuaży i zbliznowaceniami – okropną pamiątką po tysiącu igieł.

Wydawało się, że znajdował się już u progu starości, jak gdyby wtłaczał sobie do żył nie tylko opiaty, ale i przyszłe lata życia.

Wzdrygnąłem się.

W pomieszczeniu utrzymywano temperaturę poniżej zera. Patrząc na zwłoki, nie czułem nic oprócz zniecierpliwienia długim czekaniem. Dusza już z nich uleciała. W lodowatej sali byli tylko żywi i dwie zmasakrowane puste skorupy ludzkie.

– Cztery pytania o śmierć – ciągnęła Elsa Olsen. – Przyczyna? Mechanizm? Rodzaj? Czas? – Uśmiechnęła się uprzejmie. – Piąte i ostatnie pytanie o śmierć – Kto? – pozostawiam panom. – Spojrzała na Whitestone. – I pani.

Stała między dwoma metalowymi stołami.

– U obu mężczyzn przyczyną zgonu było uduszenie – oznajmiła.

– Nie wykrwawili się na śmierć? – zdziwił się Mallory.

Elsa pokręciła głową.

– Pojedyncza rana szyi spowodowała obfity krwotok. Śmierć byłaby szybka, cicha i przykra dla oka. Po przecięciu tętnicy trysnął pierwszy strumień, może kilka, potem doszło do obfitego krwawienia. Jak pan zauważył, komisarzu Mallory, została przecięta tchawica, więc krzyk był fizycznie niemożliwy – ofiara nie mogła krzyczeć. Ale uszkodzona została nie tylko tchawica. Przecięto tętnicę szyjną, a także żyłę wewnętrzną. Śmierć nastąpiłaby natychmiast, jednak żaden z tych mężczyzn nie miał możliwości wykrwawić się na śmierć. Obaj wcześniej się udusili.

Elsa mówiła z nienagannym akcentem Skandynawki mieszkającej za granicą. Była czterdziestokilkuletnią, wysoką i szczupłą brunetką, jedną z czarnowłosych Norweżek o niebieskich oczach, które nie pasują do nordyckiego stereotypu. Mallory mówił mi wcześniej, że jest jego ulubionym medykiem sądowym, ponieważ wyraża się

o zmarłych jak o tych, którzy kiedyś byli żywymi ludźmi. Podobno nie wszyscy trzymali się tego zwyczaju.

– Nie mamy narzędzia zbrodni – rzekł Mallory. – Nie wiemy nawet, co to mogło być. Jakim ostrzem można poderżnąć gardło w taki sposób, Elso?

– Ten przedmiot musiał być długi, cienki i ostry jak brzytwa – odparła Elsa. Spojrzała na czarną szczelinę przypominającą otwór w skrzynce na listy, biegnącą od ucha do ucha Hugo Bucka. – Klasyczny długi łuk rany wskazuje na to, że napastnik stał za ofiarą. Narzędziem mógł być jakiś krótki miecz o obosiecznej głowni, długi skalpel, coś w tym rodzaju. Coś ostro zakończzonego i o dobrych krawędziach tnących. To wyjątkowo równe cięcia. Rozerwana tętnica na ogół się kurczy i tamuje krwotok. Ale czysto przecięta tętnica nie przestaje krwawić. – Chwilę później, jak gdyby po namyśle, dodała: – Śmierć nastąpiła w wyniku zabójstwa.

– Ten przedmiot musiał być długi, cienki i ostry jak brzytwa – odparła Elsa. Spojrzała na czarną szczelinę przypominającą otwór w skrzynce na listy, biegnącą od ucha do ucha Hugo Bucka. – Klasyczny długi łuk rany wskazuje na to, że napastnik stał za ofiarą. Narzędziem mógł być jakiś krótki miecz o obosiecznej głowni, długi skalpel, coś w tym rodzaju. Coś ostro zakończzonego i o dobrych krawędziach tnących. To wyjątkowo równe cięcia. Rozerwana tętnica na ogół się kurczy i tamuje krwotok. Ale czysto przecięta tętnica nie przestaje krwawić. – Chwilę później, jak gdyby po namyśle, dodała: – Śmierć nastąpiła w wyniku zabójstwa.

– Jaki był czas zgonu? – zapytała Whitestone.

– W przypadku Hugo Bucka temperatura ciała w następstwie *algor mortis*, czyli oziębienia pośmiertnego, wynosiła trzydzieści sześć i jeden – powiedziała Elsa. – Niewiele mniej od normalnej temperatury ciała, trzydzieści sześć i sześć. Zwłoki Adama Jonesa

miały trzydzieści pięć stopni. Ale pan Jones zginął na ulicy, a pan Buck w klimatyzowanym biurze.

– A pod gołym niebem temperatura zwłok spada szybciej – zauważyła Whitestone, patrząc na Gane’a.

– Adam Jones został znaleziony tuż po dziewiętnastej – kontynuowała Elsa. – W mojej ocenie zgon nastąpił między siedemnastą a dziewiętnastą. Hugo Bucka znaleziono o szóstej rano i oceniałabym, że zmarł między czwartą a szóstą.

Mallory się uśmiechnął.

– Dwugodzinny przedział, Elso? Nie chcesz ryzykować? – Spojrzał na swoich detektywów. – Myślę, że się spóźniliśmy. W obu wypadkach. Myślę, że obaj zginęli tuż przed naszym przyjazdem.

Patolog uniosła ręce – doskonała gospodyni próbująca uniknąć nieprzyjemnej sceny.

– Określenie czasu zgonu zawsze opiera się wyłącznie na przypuszczeniach – odparła. – Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Musimy dać Elsie pewną taryfę ulgową – rzekł wciąż uśmiechnięty Mallory. – Czas zgonu może wyeliminować albo obciążyć podejrzanych. Dlatego nasi medycy sądowi mówią o nim jak najmniej jednoznacznie i niechętnie spekulują na jego temat.

– A właśnie w tej sprawie śledczym najbardziej zależy na precyzji – dorzuciła Elsa.

– Są obrażenia obronne? – spytał Gane. – Nic mi się nie rzuca w oczy.

– Bo nic nie ma – odrzekła patolog. – Żaden z nich albo nie zdążył, albo nie chciał walczyć z napastnikiem. Brak obrażeń obronnych na rękach, dłoniach, nadgarstkach, nogach i stopach. – Przyjrzała się zwłokom Adama Jonesa. – Chociaż na ciele pana Jonesa odkryłam kilka starych skaleczeń, siniaków i otarć po drobnych incydentach.

– Życie na ulicy – odezwałem się. – Zostawia trwałe ślady. Są jakieś oznaki świadczące o tym, że niedawno przyjmował substancje odurzające? Nie brał przed śmiercią?

Elsa pokręciła głową.

– Dziwne, ale nie. – W jej głosie zabrzmiała nuta współczucia. – Pan Jones był czysty. Mimo tego, co widzicie, próbował zmienić swój styl życia.

Widzieliśmy zbliznowacenia na jego rękach – zsiniałe nakłucia po wstrzykiwaniu heroiny, przypominające miniaturowe tory kolejowe. Zaczynały już blednąć.

– Myślę, że starał się zerwać z nałogiem – ciągnęła Elsa. – I chyba próbował więcej niż raz. – Uśmiechnęła się ze skruchą. – Zwróćcie mi uwagę, jeżeli zacznę robić to, co należy do was.

– Znak zodiaku? – zapytał Mallory.

Elsa utkwiała w nim wzrok.

– Byk – odpowiedziała. – Można się domyślić z waszej notatki o oboju. Ludzie spod tego znaku to wielbiciele muzyki i śpiewu. – Nagle się uśmiechnęła. – Och, odchrzań się ode mnie, Mallory!

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Nachyliłem się nad ciałami mężczyzn, oglądając szyję najpierw Adama Jonesa, potem Hugo Bucka. Rany miały identyczną długość, głębokość i ciemny odcień.

– Jedno cięcie – powiedziałem, kręcąc głową. – Tylko jedno cięcie we właściwym miejscu.

– Czasem wystarczy jedno cięcie – przytaknął Mallory. – Grupa zabójców Juliusza Cezara zadała mu dwadzieścia trzy ciosy sztyletami. Ale rzymski lekarz, który potem badał ciało, doszedł do wniosku, że Cezar przeżyłby zamach, gdyby jedno ostrze nie ugodziło go w serce.

Elsa wskazała rany na skórze ofiar w miejscach, gdzie rozcięła, zbadała i zamknęła powłoki brzuszne.

– Jak można poznać po zaciśniętych pięściach, u pana Bucka w chwili śmierci nastąpiło stężenie kataleptyczne: natychmiastowe zeszywnienie – wyjaśniła. – To, co nazywasz momentem zagłady Pompejów, Mallory. Ale u pana Jonesa jest inaczej. Nastąpił skurcz mięśni nóg, ale tylko nóg. Jak wam wiadomo, stężenie pośmiertne zwykle występuje około dwóch godzin po zgonie, jeżeli nie doszło do natychmiastowego zeszywnienia, jak w przypadku pana Bucka, albo utraty energii w którejś części ciała. Wywołuje to reakcję chemiczną, utratę adenosynotrójfosforanu, ATP, czyli związku, dzięki któremu mięśnie kurczą się i sztywnieją. Oznacza to tylko jedno: przed śmiercią mięśnie nóg wykonały forsowną pracę.

Przyglądaliśmy się zwłokom Adama Jonesa.

– Czyli Jones biegł – odezwał się Mallory.

– Ktoś go gonił – uzupełniłem.

Elsa Olsen uśmiechnęła się do mnie niczym nauczycielka patrząca na prymusa. Wyciągnęła do mnie rękę, jak gdyby chciała mi wręczyć nagrodę.

– A to należało do pana Bucka – powiedziała, kładąc coś na mojej dłoni.

Zza grobu patrzył na mnie niewielki, twardy i okrągły niebieski przedmiot.

– Hugo Buck miał szklane oko – oznajmiła.

6

Późnym popołudniem, kiedy już się ściemniało, zatrzymałem samochód przed kamienicą w Regent's Park. Drzewa w parku wyglądały teraz najpiękniej, mieniąc się feerią czerwonych i złotych liści, które jeszcze nie spadły. Ale niebawem to nastąpi, pomyślałem, podchodząc do szklanych drzwi i żałując, że nie mam płaszcza. Czuło się, jak wiruje świat.

Portier mnie wpuścił. Natasha Buck otworzyła drzwi w takim samym stroju jak poprzednio. Nie mogłem rozstrzygnąć, czy trochę za wcześnie na szlafrok, czy o wiele za późno. Tym razem jednak nie miała mokrych włosów. I nie była sama.

Przez salon przeszedł jakiś mężczyzna z kieliszkiem zmrożonego szampana w jednej ręce i papierosem w drugiej i spiorunował mnie wzrokiem. Rozpoznałem w nim szofera, który wtedy siedział rozparty w wielkim czarnym mercedesie. Poznałem go, choć był w samych majtkach. Prawdopodobnie pomogło mi moje doświadczenie.

– Przychodzi pan za późno – powiedziała pani Buck.

– Zajmę pani tylko chwileczkę – zapewniłem ją.

Szofer podszedł do drzwi, popijając szampana. Odnotował spory awans na drabinie społecznej.

– Jakiś problem? – zapytał.

– Jeszcze nie – odparłem. – A chciałby pan mieć?

– Będę w pokoju obok – rzekł.

Inteligentny szofer.

Wycofał się, zabierając ze sobą oszroniony kieliszek.

- Proszę mi opowiedzieć o oku męża – zwróciłem się do pani Buck.
- O tym, które stracił.
- Co chce pan wiedzieć?
- Jak to się stało.
- W szkole – powiedziała. – W Potter’s Field. Powiedział, że został kopnięty w oko, kiedy zdobywał przyłożenie. Hugo był bardzo wysportowany. – Wydawała się dumna z męża. – Lubił wszystkie sporty wynalezione przez Anglików. Rugby. Krykieta. Tenis. Piłkę nożną. Miał do nich wrodzony talent.
- Czyli przytrafiło mu się to, kiedy był jeszcze chłopcem?
- Natasha Buck skinęła głową.
- Był bardzo dobrym graczem.

...

Nazajutrz opuściłem Główny na West Endzie po porannej odprawie, a godzinę później parkowałem swoje bmw na łuku zwirowego podjazdu, patrząc na wielki wolno stojący dom. Miałem wrażenie, jakbym się znalazł na wsi.

Adam Jones padł daleko od swojej jabłoni, pomyślałem, kiedy do środka wpuściła mnie filipińska gosposia. Zostawiła mnie w korytarzu, a ja, czekając na matkę ofiary, spojrzałem przez szklane drzwi na ogród z tyłu domu.

Zobaczyłem zaniedbany basen pokryty warstwą opadłych liści, a sam ogród był zdziczały i zarośnięty. Po drugiej stronie basenu spokojnie drzemał lis, jak gdyby wiedział, że w najbliższym czasie nie pojawi się tu żaden ogrodnik. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Ale kiedyś były tu pieniądze. I być może są do dziś. Może to nie pieniądze się skończyły.

Na ścianie wisiał obraz: promień gasnącego słońca padający na boczną stronę drapacza chmur. To była ulica w mieście, ale bez ludzi. Obraz najwyraźniej został namalowany przez tego samego artystę, który był autorem pejzażu znajdującego się w mieszkaniu Hugo Bucka. W rogu rzeczywiście znalazłem te same inicjały pisane małą literą:

js

– Bardzo dziękuję, że pan przyszedł – usłyszałem głos pani Jones, która schodziła po schodach, wyciągając do mnie ręce, jakbym składał jej towarzyską wizytę.

Staralem się nie pokazać po sobie zaskoczenia, kiedy domyśliłem się, dlaczego ma zawiązaną na głowie kolorową chustkę i że przyczyną bladości i obrzmienia twarzy są długie miesiące intensywnej chemioterapii.

Ta kobieta umierała.

Nie można jednak było nie zauważyć jej niezaprzeczalnej młodzieńczej urody. Spod chustki, mimo choroby i chemioterapii, spoglądała na mnie pozbawiona zmarszczek twarz, odporna na upływ czasu niczym u jakiejś zaklętej istoty z czarodziejskiej krainy.

– Pani Jones, jestem detektyw Wolfe – przedstawiłem się. – Rozmawialiśmy przez telefon. – Pokazałem legitymację, na której widok uśmiechnęła się uprzejmie. – Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani syna.

Jej usta wykrzywił grymas bólu; lekko skinęła głową i zaraz się opanowała. Była dumną kobietą i postanowiła nie ujawniać swoich uczuć człowiekowi, którego prawdopodobnie nigdy więcej nie spotka.

– Proszę – powiedziała, wskazując w stronę salonu.

Poszedłem za nią. Poruszała się ze staranną powolnością osoby, którą zawiodło własne ciało. Zaczekałem, aż zagłębi się w fotelu,

a potem usiadłem na kanapie naprzeciwko niej. Do pokoju cicho wszedł wiekowy czarny labrador, obwąchał moją wyciągniętą rękę, po czym statecznym krokiem zbliżył się do swojej właścicielki i ułożył się u jej stóp.

Pojawiła się filipińska gosposia.

– Rosalito, poproszę o herbatę – powiedziała pani Jones. Spojrzała na mnie zza okularów błyszczącymi jasnoniebieskimi inteligentnymi oczami, w których nadal malował się szok i głęboki smutek po stracie syna. – Jestem panu bardzo wdzięczna za tę wizytę – zwróciła się do mnie. – Jak postępuje dochodzenie? Aresztowaliście już kogoś?

– Nie, proszę pani – odrzekłem. – Ale byłaby to dla nas ogromna pomoc w śledztwie, gdyby zechciała pani odpowiedzieć na kilka pytań.

Pokiwała głową, głaszcząc w roztargnieniu kark czarnego labradora. Pies wydał pomruk zadowolenia.

– O pani syna – ciągnąłem. – O Adama. Pomoże nam pani, jeżeli opowie mi o Adamie. – Zawahałem się przez chwilę. – Przed śmiercią nie miał stałego miejsca zamieszkania?

Jego matka uśmiechnęła się, wracając myślą do wcześniejszych czasów.

– Był bardzo uzdolnionym chłopcem – powiedziała. – Ogromnie utalentowanym. Wrażliwym. Był wspaniałym muzykiem. Wspaniałym!

Rozejrzała się po salonie, a ja dopiero teraz zorientowałem się, że to sanktuarium poświęcone jej zmarłemu synowi. Na regałach stały trofea, nagrody i niewielkie białe popiersia ludzi, którzy mieli niesforne włosy. Beethovena i innych. Ściany między regałami pokrywały oprawione dyplomy. A mały fortepian był zastawiony mnóstwem zdjęć w srebrnych ramkach.

– Mój syn uczył się w Królewskiej Akademii Muzycznej – poinformowała mnie pani Jones. – Przez jeden trymestr. Potem został usunięty.

Rosalita przyniosła herbatę. Pani Jones uniosła rękę i gosposia zrozumiała, że obsłużymy się sami. Zaczekałem, aż wyjdzie z salonu.

– Dlaczego uczelnia usunęła Adama?

Pani Jones zmierzwiła psu sierść między uszami, a jej twarz ściągnęła się w napięciu. Zorientowałem się, że prawdopodobnie stale towarzyszy jej ból.

– Bo miał swoją mroczną stronę – wyjaśniła. Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Nie wiem, jak można to inaczej wytłumaczyć. Mój syn miał mroczną stronę, która zaprowadziła go do narkotyków. A narkotyki odebrały mu wszystko.

– Myślę, że próbował z nimi zerwać – powiedziałem. – Sekcja wykazała, że w chwili śmierci w ciele Adama nie było śladów żadnych narkotyków.

– Owszem, próbował z tym zerwać. Bardzo się starał. – Popatrzyła na mnie. – Dziękuję – dodała.

Nie bardzo wiedziałem, za co mi dziękuje, i nie miałem pojęcia, jak na to zareagować.

Pani Jones naląła nam herbaty. Spojrzałem przez okna. W ogrodzie nie było już lisa.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani syna?

– Miesiąc temu. Przyszedł pożyczyć trochę pieniędzy. – Zaśmiała się. – Pożyczyć – dobre sobie! Jego ojciec zmarł dwa lata temu i odtąd synowi łatwiej było przychodzić do domu i prosić o pieniądze – o pożyczkę. Kiedy jego ojciec żył, było to trudne. Kłótnie. Odmowy. Podniesione głosy. Płacz, obietnice, że zmieni swoje życie. Zresztą może pan sobie wyobrazić. Zaczęły znikać różne rzeczy. Zegarek z nocnego stolika. Pieniądze z portfela. To bardzo utrudniło mu relacje

z ojcem. Mnie jednak nic nie ukradł. Mnie nie. Wiem, że niektórzy tak robią. Niektórzy uzależnieni od heroiny – a mój syn z pewnością był uzależniony od heroiny – okradają ludzi, którzy najbardziej ich kochają.

Napiłem się herbaty. Adam Jones był już kimś więcej niż bezdomnym ćpunem, którego znaleziono martwego w zaułku między budynkami, kimś więcej niż nagie zwłoki na lodowatym metalowym stole. Był czyimś synem.

– Widziałam go też zeszłej nocy – kontynuowała pani Jones. – Swojego syna. Adama. Kiedy spałam. Ale wydawało się, jakby to nie był sen. Adam był bardzo smutny. Słyszał pan kiedyś o czymś takim? – Ponownie się zaśmiała. Pies usiadł, po czym znów się położył. – Wariuję na starość?

– Myślę, że tak się dzieje zawsze – odrzekłem. – Ktoś bliski pojawia się nam we śnie. Zwłaszcza na początku. Zwłaszcza gdy właśnie go straciliśmy. Myślę, że potrzeba trochę czasu, aby zmarli spoczęli w spokoju.

Popatrzyła na mnie.

– Bardzo się teraz męczę – wyznała. Zniecierpliwionym gestem wskazała na chustkę. – Przez to wszystko.

Skinąłem głową.

– Może jada pani nie tak, jak powinna, pani Jones – powiedziałem. Zawahałem się przez moment. – Przy chemioterapii jedzenie smakuje okropnie.

– Owszem, okropnie – przytaknęła. – Mówi się o wypadaniu włosów i mdłościach. O tym wszyscy wiedzą. Ale nikt nie uprzedza, co się dzieje ze zmysłem smaku. – Popatrzyła na mnie spokojnie. – Widzę, że coś pan wie na ten temat.

– Nie do końca. Moja babcia przechodziła przez to samo. Ale bardzo dawno temu.

– Musiała być dla pana kimś bliskim.

– Opiekowała się mną – powiedziałem. – Wychowała mnie. Po śmierci moich rodziców. Była dla mnie bardziej matką niż babcią.

– Rozumiem. Wygląda na to, że pańska babcia była wspaniałą kobietą.

– Nigdy nie spotkałem bardziej życzliwej osoby – odrzekłem.

– A potem umarła.

– Tak. Proszę opowiedzieć mi coś jeszcze o Adamie. Miał wrogów?

Uniosła brwi.

– Ktoś go zabił – powiedziała. – Ktoś zrobił mu coś takiego. Ale był łagodnym chłopcem. Wszyscy go uwielbiali. Wszyscy, którzy go poznali. O ile wiem.

– Pani Jones, większość ofiar morderstw zna swojego zabójcę. Nie przychodzi pani na myśl nikt, kto chciałby skrzywdzić Adama? Kiedy pojawiał się w domu, mówił o swoich kłopotach finansowych? O pieniądzach, które był komuś winien? O zaległych długach?

– Kłopoty finansowe były dla mojego syna sposobem na życie – odparła. – Ale nie przez jego złą wolę. Należał do tego typu ludzi, dzięki którym świat stawał się lepszy. Potem się zagubił i już nie odnalazł własnej drogi. Nic nie pomagało – bez względu na to, jak bardzo go kochaliśmy, jak bardzo przez to cierpieliśmy, jak bardzo chcieliśmy, żeby się z tego wyplątał. Bez względu na to, jak bardzo sam tego chciał. Nic nie miało znaczenia. Ale w gruncie rzeczy był dobrym chłopcem. Szczęśliwym. Nie zawsze miał w sobie ten smutek. Nie zawsze miał tę mroczną stronę.

Pani Jones wydała mi się nagle bardzo zmęczona. Ruchem głowy wskazała fortepian i zdjęcia w srebrnych ramkach.

– Niech pan sam zobaczy. Niech pan popatrzy na mojego syna. Proszę. – To było coś więcej niż zaproszenie. – Niech pan popatrzy – nalegała.

Podszedłem do fortepianu, na którym stały dziesiątki fotografii. Wszystkie przedstawiały jednak tylko niemowlę i chłopca. Jak gdyby Adam Jones nigdy nie przekroczył wieku piętnastu lat. Zobaczyłem uroczego bobasa w łóżeczku i w objęciach pani Jones, kiedy była młoda, piękna i zdrowa, kochała życie i nowo narodzonego synka, śmiejąc się i zachwycając tym cudownym dzieckiem. Inne zdjęcie przedstawiało Adama jako malucha stawiającego pierwsze kroki na pulchnych nóżkach i trzymającego za rękę ojca; obaj uśmiechali się na jakiejś słonecznej angielskiej plaży. Na następnym zdjęciu Adam, już trochę starszy, sześć-, siedmioletni, miał długie włosy i pokazywał w uśmiechu szpary między zębami, trzymając dziecinne skrzypce. Chłopiec rósł na moich oczach. Ale nie wyrósł na mężczyznę. W każdym razie nie na tych fotografiach.

Spojrzałem na panią Jones. Miała zamknięte oczy. Pies wykorzystał okazję i wgramolił się na kanapę, żeby się do niej przytulić. Jej głowa powoli opadała.

– Okropnie się męczę – powiedziała, nagle spoglądając na mnie przenikliwym wzrokiem. – Czy pańska babcia doświadczała takiego zmęczenia?

– Tak.

Wziąłem fotografię przedstawiającą Adama w wieku około dziesięciu lat, w ciemnym garniturku, stojącego na scenie przed publicznością złożoną z dorosłych i dzieci, którzy stali i bili mu brawo. W dłoniach miał obój dla dzieci.

Odstawiłem zdjęcie na miejsce.

– Chemioterapia bardzo wyczerpuje – dodałem.

Kiedy na nią spojrzałem, spała. Odwróciłem się z powrotem do fortepianu, wędrując wzrokiem po fotografiach i czekając, aż coś mi powiedzą. Żadnego rodzeństwa. Adam jako mały chłopiec w piżamie z Supermanem. Upozowane zdjęcie orkiestry młodzieżowej. Jeszcze

jedno, zrobione rok czy dwa lata później. Adam siedzący z matką na karuzeli, uśmiechnięci i machający do fotografa, kiedy ich koń przejeżdżał przed obiektywem.

Do widzenia, tatusiu, do widzenia.

Zanim się zorientowałem, miałem już to zdjęcie w rękach. Na srebrnej ramce można było dostrzec pierwsze oznaki starości. Trzymałem fotografię dość długo, nim sobie uświadomiłem, że w drzwiach stoi Rosalita, filipińska gosposia, która mnie obserwuje. Weszła do salonu i zaczęła zbierać naczynia. Ponownie spojrzałem na zdjęcie, które miałem w rękach.

Zobaczyłem żołnierzy.

Zobaczyłem młodych ludzi w mundurach.

To była ta sama fotografia, którą widziałem w lśniącym wieżowcu, stojącą samotnie na biurku Hugo Bucka, świeżo zbryzganą krwią. Przedstawiała tę samą siódmkę, z tymi samymi uśmiechami wyrażającymi niezachwianą pewność siebie.

I znów się przekonałem, że tylko na pierwszy rzut oka wyglądają jak żołnierze. Mimo staroświeckich mundurów wojskowych byli to chłopcy, nie mężczyźni. Uczniowie przebrani za wojowników. Nie, nie mężczyźni, ale chłopcy, którzy już niebawem mieli przestać być chłopcami.

Był wśród nich młody, czysty i niewinny Adam Jones, a na drugim końcu szeregu stał kilkunastoletni Hugo Buck.

Poznałem ich dopiero dwadzieścia parę lat później jako ofiary morderstwa uduszone własną krwią. Poznałem ich dopiero jako zwłoki spoczywające na metalowych stołach w zimnym pomieszczeniu Centrum Medycyny Sądowej Iaina Westa.

Jeśli jednak uważnie, naprawdę uważnie się przyjrzeć, nie było cienia wątpliwości, że to oni.

– Chyba się zdrzemnąłam – usłyszałem głos pani Jones, która stanęła obok mnie tak blisko i tak nieoczekiwanie, że omal nie krzyknąłem zaskoczony.

Wyjęła z moich dłoni srebrną ramkę, spojrzała na fotografię, jak gdyby od dawna jej nie oglądała, po czym odstawiła dokładnie na to samo miejsce, na wąski pasek odznaczający się w warstwie kurzu na czarnym lakierze fortepianu.

Chciała, żebym zobaczył i zrozumiał, ale już wiedziałem, że ta uprzejma i życzliwa umierająca kobieta wolałaby, abym nie dotykał jej zdjęć.

– Pani Jones, poznała pani Hugo Bucka?

– Hugo? Nie widziałam go od prawie dwudziestu lat. Trafił do City. Chyba świetnie mu się wiedzie.

– Pani syn znał Hugo Bucka – powiedziałem. – Przyjaźnili się, prawda?

Przytaknęła skinieniem głowy.

– W Potter's Field. Chodzili razem do szkoły.

7

Pojechałem z powrotem na Savile Row 27 i przez resztę dnia oraz prawie cały następny dzień nasz zespół nie opuszczał pokoju operacyjnego numer jeden.

Znalezienie drugiego zdjęcia zmieniło wszystko. Pozwoliło nam wytyczyć GLŚ – główną linię śledztwa – i skupić wszystkie działania w sprawie podwójnego zabójstwa na siedmiu chłopcach w wojskowych mundurach, którzy dwadzieścia lat temu szczyrzyli zęby do obiektywu aparatu.

– Kiedy będziecie pracować nad tym zdjęciem, cały czas stosujcie zasadę WieZaKweS – uprzedził nas komisarz Mallory, przechodząc między biurkami, przy których prowadziliśmy poszukiwania. Wszystkie komórki bez przerwy były podłączone do ładowania, a ekrany monitorów stojące przed nami wyświetlały informacje z HOLMES-a – centralnego systemu komputerowego policji. – W nic nie wierzyć. Niczego nie zakładać. Wszystko kwestionować i sprawdzać.

Niebo nad dachami Mayfair było matowe i białe, gdy Mallory stanął przed nami, by przeprowadzić popołudniową odprawę. Przejechał dłonią po ogolonej skórze głowy i bez przyjemności przełknął łyk zimnej herbaty z kartonowego kubka.

– No dobrze, co widzimy? – zapytał.

Patrzyliśmy na wielki ekran plazmowy zawieszony na ścianie, który wyświetlał fotografię znaną w domu matki Adama Jonesa oraz na biurku Hugo Bucka.

Podkomisarz Whitestone, zastępczyni szefa biura operacyjnego, odchrząknęła i powiedziała:

– Panie komisarzu, to zdjęcie zostało zrobione w Potter’s Field College wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Potter’s Field College to szkoła z internatem dla chłopców w wieku od trzynastu do osiemnastu lat, która znajduje się na granicy Berkshire i Buckinghamshire. Siedmiu uczniów na zdjęciu ma na sobie mundury Połączonych Sił Kadetów. Pierwszy od lewej to Adam Jones. Pierwszy od prawej – Hugo Buck.

Obok ekranu była Ściana Mallory’ego – wielka biała tablica, do której przyczepiono fotografię siedmiu uśmiechniętych chłopców, powiększoną do rozmiarów dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów, która wydawała się maleńka przy monitorze; obok niej znajdowały się wybrane zdjęcia Jonesa i Bucka wykonane na miejscach zdarzeń oraz podczas sekcji zwłok w Centrum Iaina Westa.

– Połączone Siły Kadetów to odmiana Korpusu Szkolenia Oficerów funkcjonująca w Potter’s Field – ciągnęła Whitestone. – W wielu starych szkołach prywatnych ciągle organizuje się zajęcia wojskowe.

– A Potter’s Field jest jedną z najstarszych – dodał Mallory. – Pięćset lat? Musi być równie wiekowa jak Harrow, St Paul’s, Westminster, Winchester, Rugby i Marlborough. No i, rzecz jasna, ogólniak ze Slough⁴. – Zerknął na nasze zaskoczone miny. – Eton – wyjaśnił. – Sami o sobie mówią ogólniak ze Slough. To taki żarcik. Skąd pochodzi to zdjęcie?

– Otrzymałem tę kopię od matki Adama Jonesa, panie komisarzu – odrzekłem.

– I jesteśmy absolutnie pewni, że taka sama fotografia stała na biurku Hugo Bucka?

Podkomisarz Gane uniósł wzrok znad laptopa.

– Tamta w banku została lekko uszkodzona. Trochę krwi przedostało się pod szybkę. Ale to było to samo zdjęcie, nie ma wątpliwości.

– Czy Jones i Buck kontaktowali się ze sobą po ukończeniu szkoły?
– spytał Mallory.

– Wygląda na to, że każdy poszedł w swoją stronę – odparłem. – Matka Jonesa nie widziała Hugo Bucka od prawie dwudziestu lat. Nie wiedziała o jego śmierci.

– Nie czyta gazet? – zdziwił się Gane.

– Jest w ostatnim stadium choroby nowotworowej – powiedziałem.
– Chyba ma inne sprawy na głowie.

– To że matka Jonesa nie wiedziała o żadnych kontaktach, nie znaczy, że ich nie było – stwierdził Gane.

– Natasha Buck, wdowa po Hugo Bucku, nie przypomina sobie, by kiedykolwiek poznała Adama Jonesa – odparłem. – Pamiętałaby bezdomnego narkomana, gdyby pojawił się w ich domu albo na ich ślubie.

– Jones próbował się kontaktować z Buckiem w jego biurze – włączyła się Whitestone. – Rozmawiałam z sekretarką z ChinaCorps, która przypomina sobie mężczyznę podającego się za starego znajomego Bucka. Jakies dwa czy trzy lata temu pojawił się w biurze i chciał się z nim widzieć. Według jej opisu wyglądał jak włóczęga. Pasuje do Jonesa. Ale Buck nie zgodził się z nim spotkać i ochrona wyprowadziła intruza z budynku. Podobno rozegrała się dość nieprzyjemna scena.

– Ćpun próbuje wyciągnąć forszę od bogatego kumpla i odchodzi z kwitkiem – powiedział Gane.

– Sensowne założenie – zgodził się Mallory.

– Czyli zdecydowanie traktujemy to jako podwójne zabójstwo, panie komisarzu? – zapytał Gane. – Przyjmujemy hipotezę, że to ten

sam sprawca? Nawet jeżeli ofiary nie kontaktowały się ze sobą od czasów... jak się nazywa ta szkoła? Potter's Field?

– Tak – potwierdził Mallory. – Mamy modus operandi. Rodzaj śmierci. Ta sama szkoła. Wystarczy. Aż nadto. Jak z odciskami?

– Zidentyfikowaliśmy i wyeliminowaliśmy wszystkie odciski zabezpieczone w biurze ChinaCorps – odparł Gane. – Alejka, w której znaleziono Jonesa, to kryminalistyczny koszmar. Pełna odcisków palców, których nigdy nie uda się zidentyfikować.

– Ślady rękawiczek? – dopytywał Mallory.

– Nie, szefie. Niestety.

Mallory pokręcił łysą głową.

– Powinny być ślady rękawiczek. – Popatrzył na zdjęcie. – Kim jest pięciu pozostałych chłopców?

– Sprawdzamy, panie komisarzu – powiedziała Whitestone. – Jeszcze dzisiaj przed końcem dnia powinniśmy znać nazwiska. Detektyw Wolfe porozmawia z matką Adama Jonesa, ja wybadam szkołę. Dyrektor ma do mnie zadzwonić.

– Proszę też o nazwisko fotografa – rzekł Mallory. – Niech się pani dowie, kto robił to zdjęcie, dobrze? Gane, może pan zrobić zbliżenie?

Gane wcisnął kilka klawiszy i wyglądało, jakby obiektyw ruszył naprzód, by lepiej się przyjrzeć osobom na zdjęciu. Zbliżenie wydobyło z przeszłości i ożywiło siedem twarzy.

Patrzyliśmy na nie w milczeniu.

W pierwszej chwili chłopcy wydawali mi się tacy sami. Siedmiu uśmiechniętych synów uprzywilejowanych rodzin, zawadiackich i ważnych w wojskowych mundurach, z fryzurami „na płetwę”, przekonanych, że jutro należy do nich. Teraz jednak wyraźnie widziałem różnice w ich wyglądzie.

Adam Jones po lewej – chudzielec o szczerzej, dobrodusznej twarzy, wydawał się dużo młodszy od pozostałych. Tylko on nadal wyglądał

jak dziecko.

Hugo Buck po prawej – smagły i męski, musiał chyba codziennie się golić. Przekonany o swojej urodzie, sile i miejscu na świecie.

Wpatrywałem się uważnie w zdjęcie, tak naprawdę widząc je po raz pierwszy. Wcale nie wyglądali tak samo.

Nawet nie wszyscy się uśmiechali.

Pośrodku grupy stał poważny chłopak sprawiający wrażenie delikatnego, w ciemnych okularach, z zaczesanymi do tyłu włosami, które odsłaniały wysokie czoło.

Po obu stronach miał bliźniaków – teraz widziałem, że identycznych. Wysokich, przystojnych, z obojętnymi minami. Jeden z nich miał policzek pocięty siatką nierównych blizn.

Między bliźniakiem z bliznami a Adamem Jonesem stał pucołowaty wyrostek o chytrym spojrzeniu, z kącika ust wystawał mu czubek języka.

Z drugiej strony, obok Bucka, stał rozpromieniony młodzieniec o śniadej cerze, może Hindus, znacznie wyższy od pozostałych.

Tylko mundury mieli takie same.

– Co to właściwie są te Połączone Siły Kadetów? – spytał Gane. – Bogate dzieciaki z wyższych sfer bawią się w wojsko?

– Traktują to poważnie – odparł Mallory. – Wielu chłopców w tych szkołach zaczyna kariery oficerskie. Założę się, że największym pracodawcą dla absolwentów Potter's Field nadal jest armia brytyjska. Nawet dzisiaj. Mówi się, że ci z Eton idą do wojska, polityki i teatru, a ci z Potter's do wojska, bankowości i więzienia.

Byłem ciekaw, skąd Mallory tak dużo wie na ten temat.

– Ale jaki jest sens takich formacji? – nie ustępował Gane. – Korpusu Szkolenia Oficerów. Połączonych Sił Kadetów. Po co uczniowie prywatnych szkół muszą się przebierać za żołnierzy?

Whitestone zajrzała do swoich notatek.

– Organizacja działa od dość dawna. Połączone Siły Kadetów w Potter's Field powstały w tysiąc osiemset piątym roku pod nazwą Strzelcy Potter's Field.

Mallory uśmiechnął się z sympatią do Gane'a, błyskając lenonkami w świetle górnych lamp.

– Czy ten rok z czymś się panu kojarzy, Gane? Nie? W kraju spodziewano się inwazji Napoleona, który na wybrzeżu Francji zgromadził dwustutysięczną armię. Te dostojne stare szkoły organizowały gwardię obronną. Młodzieżowy ruch do odparcia najeźdźców.

– I Napoleona obleciał strach, panie komisarzu? – zapytał Gane. – Proszę wybaczyć moją ignorancję.

– Owszem, Gane, Napoleona obleciał wielki strach. – Mallory spojrzał na ekran. – Ale wszystko jedno, czy to się nazywa Korpus Szkolenia Oficerów, Połączone Siły Kadetów czy inaczej, wszystkie szkoły prywatne mają swoich strzelców.

– Organizacja przyjmuje uczniów od piętnastego roku życia – powiedziała Whitestone – czyli mniej więcej w wieku chłopców ze zdjęcia. Szkolą ich zawodowi oficerowie w czynnej służbie. Kadeci uczą się umiejętności przywódczych, zasad łączności. I strzelania. Podczas weekendów na strzelnicy używają ostrej amunicji.

– Mamy coś jeszcze? – spytał Mallory.

– Boba Rzeźnika, panie komisarzu – odparł Gane.

A potem zwrócił się do mnie.

– Nie rozmawiasz z dziennikarzami, jasne? Nigdy. Mamy od tego właściwych ludzi. Oficerów prasowych – im to zostaw, dobrze? Bo gdy tylko zaczniesz rozmawiać z prasą, paplać o swoich teoryjkach, ze wszystkich kątów powyłażą mające o coś żal do ludzi maminsynki z iMacami i zaczną się przechwalać na wszystkich serwisach społecznościowych, jacy to są aspołeczni. A gdy zaczną się podawać za

Boba Rzeźnika, będziemy musieli wszystkich sprawdzać, ustalać ich adresy IP, odwiedzać ich w domach i mówić, że są bardzo, bardzo niegrzeczni. Dlatego nie rozmawiamy z dziennikarzami, rozmawiają oficerowie prasowi. Jasne?

– W porządku – powiedziałem.

Zobaczyłem, że nie zamierzam się z nim kłócić, więc złagodniałem.

– Zwłaszcza ze Scarlet Bush – ciągnął. – To prawdziwa żmija. Podobno ma tabloidowy mózg i dobre dziennikarskie pióro. A może odwrotnie?

Zawahałem się przez chwilę.

– Ale Boba Rzeźnika traktujecie poważnie?

– Nie mamy innego wyjścia – odrzekł Gane. – Jeżeli ktoś twierdzi, że popełnił morderstwo, musimy go traktować poważnie. I wytropić. To w końcu nasza praca.

– Mamy adres IP tego Boba Rzeźnika? – spytał Mallory.

– Jeszcze nie, panie komisarzu – odparł Gane. – Przysyła wiadomości przez jakiś program anonimizujący albo anonimowy serwer proxy. Prawdopodobnie Tor albo I2P. To sieć pośrednicząca, która ma funkcjonować jak mur między użytkownikiem a resztą cyfrowego świata. Większość dziecięcej pornografii rozprowadza się przez anonimizery. Przez Głęboką Sieć, która ma za zadanie ukryć adres IP. Gdyby ktoś pytał, Bob znowu dał o sobie znać.

Gane wcisnął kilka klawiszy. Fotografia siedmiu chłopców na ekranie ustąpiła miejsca stronie serwisu społecznościowego. Pojawiło się czarno-białe zdjęcie wielkości znaczka pocztowego przedstawiające mężczyznę o szczupłej twarzy, w garniturze, krawacie i kapeluszu, z papierosem zwisającym nonszalancko z kącika ust. Twarz z przeszłości.

Mallory głośno odczytał wiadomość:

– „I stałem się Śmiercią, niszczycielem światów. Oto czarny anioł ludu, sprawiedliwy mściciel wykluczonych. Nadchodzi Bob Rzeźnik. Zabić wszystkich bankierów. Zabić wszystkie świnie. #zabicwszystkieswinie”.

Gane parsknął śmiechem.

– No i mamy gościa, który posunął się o jedną grę komputerową za daleko.

Mallory jednak się nie śmiał.

– Pierwsze zdanie to słowa wypowiedziane przez Roberta Oppenheimera, ojca bomby atomowej – wyjaśnił. – „I stałem się Śmiercią, niszczycielem światów”. Na zdjęciu jest właśnie Oppenheimer. Cytował Bhagawadgītę, świętą księgę hinduizmu. Powiedział to po zakończeniu testów broni jądrowej. Kiedy świat zmienił się na zawsze.

– Znajdę go – obiecał Gane, stukając w klawisze.

Na ekranie znów pojawiła się fotografia siedmiu chłopaków.

– Kluczem jest szkoła – rzekł Mallory. – Potter’s Field.

– Potter’s Field – podjęła Whitestone. – Szkołę założył król Henryk VIII w tysiąc pięćset dziewiątym roku, pierwszym roku swojego panowania. Nazwa została zaczerpnięta z Biblii. *Potter’s field*, Pole Garncarza, to kawałek ziemi, który nie nadaje się do niczego innego oprócz grzebania zmarłych. Kapłani kupili pole garncarza za srebrniki Judasza. Ewangelia według świętego Mateusza, rozdział dwudziesty siódmy, wersety od szóstego do ósmego. „Arcykapłani zaś wzięli srebrniki i orzekli: «Nie wolno kłaść ich do skarbcza świątyni, bo są zapłatą za krew». Po odbyciu narady kupili za nie Pole Garncarza, na grzebanie cudzoziemców. Dlatego pole to aż po dziś dzień nosi nazwę Pole Krwi”⁵.

Uśmiechnęła się skromnie.

– To ze szkółki niedzielnej? – zapytał Gane.

– Z Google – odparła Whitestone.

– Dzieli ich o wiele więcej, niż sądziłem – powiedziałem. – Hugo Buck pochodzi ze starej bankierskiej rodziny. Adam Jones był w Potter's Field na stypendium muzycznym. Nie tylko zginęli w różnych światach. Pochodzili z różnych światów.

Mallory skinął głową.

– Stare pieniądze. Nowe pieniądze. I brak pieniędzy. Ale kto ich tak nienawidzi?

Wpatrywaliśmy się w zdjęcie chłopców z Połączonych Sił Kadetów z Potter's Field z 1988 roku. Jedynym dźwiękiem wypełniającym biuro był szum samochodów sunących Savile Row pięć pięter niżej. Zrozumiałem, że Mallory milczy, aby dotarła do nas prawda.

– Może nienawidzą się nawzajem – powiedziałem.

...

Spóźniłem się. Okropnie się spóźniłem.

Scout miała po lekcjach dodatkowe zajęcia. Z ilustracji mody, cokolwiek to było. Coś dla dzieci, które uwielbiają rysować i których rodzice muszą ślezczyć w biurze. Mimo to się spóźniłem.

Scout czekała ze swoją nauczycielką, panną Davies, tuż za bramą szkoły. Wszyscy już dawno poszli do domu. Gawędziły wesoło – właściwie mówiła Scout, a młoda blondynka z Nowej Zelandii słuchała, uśmiechała się, kiwała głową i nie mogła dojść do słowa. Scout naprawdę uwielbiała pannę Davies.

Zaparkowałem samochód jak najbliżej bramy szkoły i podbiegłem do nich.

– Przepraszam – powiedziałem. – Straszne korki.

Panna Davies rozpląwała się w uśmiechach, emanowała nowozelandzką życzliwością i wyrozumiałością. Scout zachowała

pokerową twarz.

W drodze do domu spojrzałem w lusterko wsteczne i obserwowałem, jak przygląda się ulicy.

– Scout – rzekłem.

Spojrzała w moje oczy w lusterku.

– Tak?

– Przepraszam.

– To był twój dzień, żeby mnie odebrać. Nie dzień pani Murphy. Twój.

– Spróbuję to lepiej rozwiązać – powiedziałem. – Może pani Murphy będzie mogła przychodzić po ciebie częściej. Ale nigdy więcej się nie spóźnię.

Już na mnie nie patrzyła.

– Scout?

– Co?

– Wybaczysz mi?

Skierowała wzrok z powrotem na ulicę.

– Zawsze ci wybaczam – powiedziała.

Myślałem o tym przez całą drogę do domu.

...

Scout tarzała się z psem po podłodze.

– Czasami w nocy płacze – poinformowała mnie. – Stan. Słyszę, jak płacze.

Skinąłem głową.

– Ja też go słyszę.

– Chyba tęskni za swoim dawnym domem.

– Nie – odpowiedziałem. – Tęskni za biciem serca swojej matki. Ale jest sztuczka na małe pieski, które tęsknią za mamą. Pokażę ci.

Znalazłem stary budzik i wsunąłem pod koc w koszyku psa.

– Pomyśli, że to jego psia mama – wyjaśniłem. – Usłyszy tykanie budzika i pomyśli, że to jej serce.

Na twarzy Scout odmalowało się takie powątpiewanie, że pomysł nagle wydał mi się kompletnie niedorzeczny.

Ale poskutkował.

Tej nocy nie spałem prawie do świtu, bez przerwy odwracając poduszkę na drugą stronę, dopóki nie umilkły odgłosy z hali targowej, a do pokoju nie wsączyło się mlecznoszare światło. Stan ani razu nie zaskomlał.

8

Czarne Muzeum Scotland Yardu nie jest żadnym muzeum.

Nie można go zwiedzać, a jego zawartości strzegą drzwi zamknięte na cztery spusty. Oficjalna nazwa nie brzmi nawet „Czarne Muzeum”. Po skargach funkcjonariuszy pracujących w dzielnicach zamieszkałych przez mniejszości etniczne zmieniono ją na Muzeum Kryminalne Policji Metropolitalnej, a ta wymuszona zmiana gwarantowała, że już zawsze będziemy je nazywać Czarnym Muzeum.

Jak mówiłem posterunkowemu Greene’owi, Czarne Muzeum to pomoc szkoleniowa. Właśnie po to założono je w epoce wiktoriańskiej i po to istniało do dziś – aby chronić życie policjantów, pokazując im narzędzia przestępstw.

I po to właśnie komisarz Mallory i ja pojechaliśmy do Czarnego Muzeum. Poświęciłem cały dzień na przeczesywanie bazy HOLMES2, trudząc się nad tylko jednym punktem głównej linii śledztwa – zidentyfikowaniem podejrzanych stosujących ten sam modus operandi, podrażających ofiarom gardła morderców, którzy jeszcze żyli i nie przebywali w więzieniu. Był to długi i frustrujący dzień, pełen fałszywych tropów i kofeiny.

Gdy zapadał zmierzch, ruszyliśmy na poszukiwania narzędzia zbrodni.

...

Komisarz Mallory i ja staliśmy przed drzwiami pokoju numer 101 w budynku New Scotland Yardu. Mój szef uśmiechał się szeroko.

– Pokój sto jeden – zachichotał. – Lepiej nie mogło się złożyć, prawda?

Chyba wyglądałem na nieco skonsternowanego.

– Pokój sto jeden – powtórzył, marszcząc brwi z pewnym rozczarowaniem. – Sala tortur w Ministerstwie Miłości. George Orwell? *Rok 1984*?

Mój mózg usiłował nadążyć. Czytałem *Rok 1984*, kiedy byłem dzieckiem. Ktoś mnie zmusił.

– Były tam szczury – powiedziałem. – W klatce, którą nałożono na twarz Winstona.

– Pokój sto jeden to miejsce najgorszych koszmarów – ciągnął Mallory. – Pokój, który kryje najstraszniejszą rzecz na świecie. O'Brien mówi Winstonowi, że wszyscy wiemy, co na nas czeka w środku.

Mallory zapukał i czyjś głos zaprosił nas do pokoju.

Nawet komisarz z wydziału zabójstw i poważnej przestępczości musiał się wcześniej umawiać na wizytę w Czarnym Muzeum. Ale strażnik pokoju 101 – niejaki sierżant John Caine, z piętnem trzydziestu lat służby na twarzy i bez grama tłuszczu na ciele – powitał Mallory'ego jak starego znajomego.

– Co mogę dla pana zrobić, panie komisarzu? – spytał kustosz Czarnego Muzeum, kiedy podali sobie dłonie.

– Szukamy pewnego noża, John – odparł Mallory. – Albo przynajmniej obosiecznego ostrza. – Otworzył aktówkę. – Wydaje mi się, że chodzi o coś krótszego od miecza i dłuższego od noża. – Wyjął teczkę z plikiem zdjęć, które rozłożył na biurku strażnika. – Coś, czym można by zrobić coś takiego.

Sierżant Caine spokojnie obejrzał pół tuzina fotografii, kopii tych samych zdjęć z miejsc zdarzenia i sekcji zwłok, które wisiały w pokoju

operacyjnym na Ścianie Mallory'ego, gdy tymczasem ja rozejrzałem się po pomieszczeniu. Ściany były zastawione regałami i udekorowane odznakami policji z całego świata. Prawdopodobnie policjanci w ten sposób chcieli okazać wdzięczność za możliwość zajrzenia do Czarnego Muzeum. Z biurka Caine'a wziąłem starą książkę w twardej oprawie. Nie miała obwoluty. *Czterdzieści lat Scotland Yardu*, przeczytałem. *Kronika służby w Wydziale Kryminalnym* Fredericka Portera Wensleya.

– Proszę tego nie dotykać – ostrzegł sierżant Caine, nawet na mnie nie patrząc.

Odłożyłem książkę.

– To robota Boba Rzeźnika – rzekł, zwracając się do Mallory'ego.

– Jeszcze nie ustaliliśmy związku między tymi morderstwami – odparł Mallory.

– Ale traktujecie to jako podwójne zabójstwo, panie komisarzu?

Mallory skinął głową.

– Ten sam sprawca, ta sama metoda. Nie jestem jednak przekonany, że to Bob.

Sierżant Caine spojrział na mnie bez cienia sympatii. Mallory uprzedzał mnie wcześniej, że bardzo nieufnie odnosi się do nieznanomych. Nieufność, to za mało powiedziane – z jego świdrujących oczu wyzierała jawna wrogość.

– To detektyw Wolfe, nowy członek mojego zespołu.

Wyciągnąłem rękę, ale Caine zdawał się jej nie dostrzegać. Z satysfakcją przypominał mi, że jako sierżant, nawet mundurowy, jest ode mnie wyższy stopniem.

– W porządku, teraz nasze zasady – powiedział. – Żadnych zdjęć. Niczego nie dotykać, jeżeli nie powiem, że to do celów demonstracji. I absolutnie wszystko, co powiem, zostaje między nami. Zrozumiano?

– Zrozumiano, sierżancie – odparłem.

– To dobrze. W takim razie chodźmy.

Drzwi w pokoju 101 były zamknięte na klucz. Sierżant Caine otworzył je i weszliśmy do środka. Zobaczyłem salon z odległej przeszłości. Był w nim kominek, wykuszowe okno, lampy gazowe. Dopiero po chwili zorientowałem się, że choć cała ta sceneria jest sztuczna, wszędzie znajduje się prawdziwa broń. Oszklona gablota była pełna broni palnej. Biurko wyglądało, jak gdyby zawarto przy nim jakiś rozejm. Z sufitu zwisał stryczek, który uznałem za lekką przesadę.

– Jak się nazywał detektyw, który założył muzeum? – spytał Mallory.

– Komisarz Neame – odrzekł Caine. – W tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym. Chce pan się przejść? Mamy sporo broni białej.

Mallory wpatrywał się w piracki kordelas.

– Idź z detektywem Wolfe'em, proszę – powiedział.

Ruszyłem za kustoszem przez przejście pozbawione drzwi.

– Słyszałem, że być może muzeum zostanie udostępnione – odezwałem się, żeby przerwać milczenie.

Zatrzymał się i zmierzył mnie ostrym wzrokiem.

– Udostępnione?

– Zwiedzającym – wyjaśniłem. – Żeby zebrać trochę pieniędzy.

– Zwiedzającym? – powtórzył z niesmakiem, jak gdyby to zwiedzający byli w dużej mierze odpowiedzialni za ludzkie nieszczęścia eksponowane w pokoju 101. – Kto chce udostępnić muzeum zwiedzającym?

– Rada – odpowiedziałem, żałując, że nie trzymałem gęby na kłódkę.

– Po ich trupie – mruknął sierżant Caine.

– Chyba nie ma pan na myśli...

– Dobrze wiem, czyje trupy mam na myśli – przerwał mi. Po chwili klasnął w ręce, jak gdyby poprawił mu się nastrój, i posłał mi złośliwe spojrzenie. – Chyba nie jesteś jednym z tych wrażliwców, co? Uprzedź mnie, kiedy będziesz chciał zwymiotować.

– Już tu kiedyś byłem – uspokoiłem go. – W ramach zajęć w Akademii Kryminalnej.

– Ach, stary wyjadacz. No to zobaczmy, jaki z ciebie ekspert, synu. – Wziął do ręki jakąś laskę. – Na co to wygląda?

– Na szpadę – odgadłem. – Na szpadę udającą zwykłą laskę.

Sierżant Caine się uśmiechnął.

– Spryciarz. – Rozsunął laskę, odsłaniając trzydzieści centymetrów lśniącej stali z Sheffield. Po chwili ją zamknął. – Czyli gdybym cię zaatakował...

Zrobił zamach, próbując zadać mi cios w twarz. Oburącz chwyciłem laskę.

– Złapałbym ją, zanim zdążyłby pan jej użyć jako szpady – powiedziałem, wykręcając mu ją z ręki.

Pozwoliłem sobie na lekki uśmiech, który natychmiast przygasł, gdy zobaczyłem, że wciąż trzyma uchwyt. To był pistolet.

– Wtedy zostałyby mi tylko broń palna – oświadczył, celując w moją twarz. – Trach i nie żyjesz.

– To działa? – spytałem, oddając mu laskę.

– Och, wszystko działa – odparł Caine. Ostrożnie połączył drewnianą część z uchwytem. – Właśnie o to chodzi.

Do pomieszczenia wszedł Mallory.

– Coś się panu spodobało, panie komisarzu? – zapytał Caine.

Mallory pokręcił głową.

– Pewnie gdzieś tu pan to znajdzie – pocieszył go strażnik.

Tak można było przypuszczać. Czarne Muzeum ma w swoich zbiorach każdą morderczą broń, jaką można sobie wyobrazić,

i mnóstwo takiej, która przekracza możliwości wyobraźni. Materiały wybuchowe, broń palna i trucizny wyprodukowane w ciągu ponad stu lat. A każdy z eksponatów został kiedyś wykorzystany.

Na blacie przede mną leżał kordelas braci Krayów. W sąsiednim pomieszczeniu znajdowała się wyrzutnia rakiet używana przez IRA. Z początku myślałem, że Caine ma tutaj minikuchenkę, ale okazało się, że to garnek, w którym seryjny morderca Dennis Nilsen wygotowywał poćwiartowane ciała swoich ofiar, po czym wylewał jego zawartość do kanalizacji. Zobaczyłem też więcej noży niż w piwnicy Głównego na West Endzie.

Czarne Muzeum zajmowało kilka dużych, schludnych pomieszczeń pełnych szklanych gablot, eksponatów i regałów, z realistycznymi maskami mężczyzn, którzy odbierali życie innym. Obojętne, pospolite, banalne fizjonomie ludzi, którzy zabijali strzałem z pistoletu albo nożem, truli, ćwiartowali, gotowali i zjadali swoje ofiary. Wszystkich tych żalonych miernot, które nagle przerwały szczęśliwe życie niezliczonych osób, tych bestialskich szumowin, które usypały górę ludzkich cierpień.

Owszem, kiedyś tu byłem.

Tym razem jednak było inaczej.

Dzisiaj nie przyszedłem w gronie kolegów.

Nie mogłem ukryć się w tłumie, nie mogłem śmiechem rozładować napięcia. Nie przypominało to szkolnej wycieczki. Tym razem stanąłem oko w oko z Czarnym Muzeum w całej okropności, z jego zbiorami ludzkiego okrucieństwa, i to okazało się ponad moje siły.

A może chodziło o co innego. Kiedy wszedłem tu pierwszy raz, w ramach zajęć w Akademii Kryminalnej, byłem bezczelnym gówniarzem, bez żony i rodziny, który nie miał pojęcia, co to znaczy kogoś stracić. Teraz miałem.

Najpierw się spociłem, a potem nagle zorientowałem się, że kucam nad koszem na śmieci, targany bezgłośnymi torsjami. Do sali weszli Mallory i sierżant Caine. Jeśli zauważyli moją niedyspozycję, nie dali tego po sobie poznać.

– To mogła być broń wykonana na zamówienie – mówił Caine. – Nóż, który zrobiono tylko po to, żeby poderznąć człowiekowi gardło. Tylko i wyłącznie w tym celu.

Na zewnątrz Big Ben wybijał szóstą. Pani Murphy pewnie już odebrała Scout i przygotowywała kolację, a moja córka i nasz pies gonili się po obszernym lofcie.

Podniosłem się, patrząc z zakłopotaniem i niesmakiem na żółć, którą z siebie wyrzuciłem. Mallory lekko poklepał mnie po ramieniu.

Nie mogłem jeszcze na niego spojrzeć.

– Może herbatki? – zaproponował.

...

Zabrał mnie do swojego domu.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed szeregowcem przy spokojnej ulicy w Pimlico, w drzwiach pojawiła się jego żona. Wysoka, szczupła, siwowłosa kobieta w kapciach, z błyskiem rozbawienia w oczach. U jej boku, podczas gdy państwo Mallory rozmawiali, pełnił straż west highland white terrier, wymieniając informacje w telegraficznym skrócie, charakterystycznym dla długoletnich małżeństw.

– Koniec na dzisiaj? – zapytała, zakładając ręce na piersiach.

– Jeszcze nie, złotko – odparł i cmoknął ją w policzek.

– Czyli znowu wychodzisz.

– Tylko się trochę ogarnę.

– Coś do jedzenia?

– Bardzo chętnie herbaty.

Mówiła z tym samym akcentem z Aberdeen co mąż. Być może urodzili się przy tej samej ulicy.

– Kto to?

– Nowy. Detektyw Wolfe.

– Dzień dobry, złotko – powiedziała pani Mallory, rozpromieniając się w uśmiechu. – Zapraszamy.

Przyniosła nam herbatę i ciasteczka. Poczujęm się trochę lepiej, kiedy mój organizm otrzymał dawkę kofeiny i cukru. Mallory szybko wychylił herbatę i zniknął, pakując sobie do ust ciastko imbirowe.

– Pięć minut – poinformował mnie.

Westie ruszył za nim, posapując z radości.

Mieszkali w niewielkim, schludnym segmencie. Wyblakłe fotografie na kominku i regałach przedstawiały dawne życie Mallorych gdzieś w tropikalnym słońcu. Gospodarze, młodszy o piętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, siedząc przy kawiarnianym stoliku, z nieśmiałym uśmiechem unosili w toaście kieliszki. Mallory, który już w wieku trzydziestu lat stracił włosy, szczyrzył zęby ubrany w szorty i koszulę z krótkimi rękawami, w czarnej czapce z daszkiem na głowie, stojąc w towarzystwie dwóch identycznie ubranych i uśmiechniętych Azjatów. I znów państwo Mallory spoglądający rozpromienionym wzrokiem w obiektyw, na tle miasta zbudowanego przy porcie.

– Hongkong – powiedziała pani Mallory. – Mąż przez piętnaście lat pracował w Królewskiej Policji Hongkongu. „Służymy z dumą i oddaniem”. Może panu opowiadał.

– Nie, proszę pani.

Zaśmiała się.

– Proszę mi mówić Margaret.

– Komisarz Mallory o niczym mi nie opowiadał, proszę pa... Margaret.

– Wróciliśmy w dziewięćdziesiątym siódmym. Po zmianach. Kiedy wszystko w kraju straciło przymiotnik „królewski”. Brytyjczycy wrócili do domu, a my razem z nimi. To mały wstrząs dla organizmu. Tęsknimy, ale oczywiście tamtego Hongkongu już nie ma.

Fotografie stanowiły kronikę ich życia. Nie zauważyłem żadnych zdjęć dzieci.

– A pan ma rodzinę? – zapytała pani Mallory.

– Córeczkę – odrzekłem. – Rodzice dawno nie żyją. Nie mam żadnego rodzeństwa. – Umilkłem na chwilę. – Straciłem żonę.

Czekała na ciąg dalszy, ale dalszego ciągu nie było.

– Rozumiem – powiedziała.

– Mam córeczkę. Scout. Pięcioletnią. – Zamieszałem herbatę. – Mamy tylko siebie.

Pani Mallory pokiwała głową.

– Czyli ma pan rodzinę – stwierdziła i na zawsze zdobyła moje serce.

...

O zachodzie słońca przejeżdżaliśmy na drugą stronę rzeki. Grupki turystów na moście robiły zdjęcia Big Benowi oraz pałacowi i opactwu westminsterskiemu, których sylwetki rysowały się majestatycznie w gasnącym świetle, podczas gdy londyńczycy pośpiesznie wracali z pracy, w ogóle nie zwracając uwagi na codzienną magię tego miejsca.

– I tak poznałeś moją żonę – rzekł Mallory. – Za mostem skręć w Lambeth Road.

– Tak jest.

Jechałem na południe, dopóki ze zmierzchu nie wyłoniły się dwa gigantyczne działa. Stały przed nakrytym kopułą budynkiem, na

którym powiewała brytyjska flaga.

– Jedziemy do Imperialnego Muzeum Wojny?

– Kiedyś to był Królewski Szpital Bethlem – wyjaśnił Mallory. – Bedlam. Zakład dla obłąkanych. Wiedziałaś o tym? Możesz zaparkować z tyłu przy St George's Road. Nie wejdziemy od frontu.

Gdy szliśmy przez ogród, pojawił się pracownik ochrony. Przyglądał się nam podejrzliwie, dopóki kobiecy głos nie zawołał do niego:

– W porządku, Charlie, to do mnie.

Ochroniarz cofnął się i zobaczyliśmy młodą kobietę na wózku inwalidzkim. Uśmiechnęła się na widok Mallory'ego.

– Panie komisarzu – powiedziała i zasalutowała, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– Cześć, Carol. – Mallory pochylił się, żeby ucałować ją w oba policzki.

Przedstawił mnie i zaczekaliśmy, aż kobieta odwróci wózek w ciasnym wejściu. Próbowałem pomóc, ale powstrzymała mnie oschłym:

– Dam sobie radę.

Poszliśmy za nią wąskim korytarzem, który prowadził do głównego holu. Światła były zgaszone. W mroku wisiały nad nami spitfire'y, messerschmitty, hurricany i latające bomby V2, zastygłe w powietrzu, zastygłe w czasie.

– W czym mogę pomóc, panie komisarzu? – zapytała kobieta.

Mallory otwierał aktówkę.

– Szukamy narzędzia zbrodni, Carol. – Podał jej teczkę.

Powoli przejrzała jej zawartość.

– Przypuszczamy, że ta broń została wykonana tylko po to, żeby podrzynać ludziom gardła – dodał.

– To słuszne przypuszczenie, panie komisarzu – stwierdziła, znowu się uśmiechając. – Znam właśnie taki rodzaj. Powinniśmy to mieć u siebie. Proszę za mną.

...

Nóż miał prawie trzydzieści centymetrów długości, z których większość stanowiła klinga, długa, cienka i obosieczna, przeznaczona do tego, by łatwo wbić się w ludzkie ciało, a potem bez wielkiego trudu je przeciąć. Mallory podał mi broń i z zaskoczeniem stwierdziłem, że nóż prawie nic nie waży. Rękojeść miała wygodne poprzeczne pierścienie, dzięki czemu pewnie spoczywała w mojej zaciśniętej dłoni, a nóż dawał poczucie niezwyklej siły.

– Nóż szturmowy Fairbairn-Sykes – powiedziała Carol. – Zaprojektowany przez Williama Ewarta Fairbairna i Erica Anthony’ego Sykesa, którzy przed wojną pracowali w szanghajskiej policji.

– Nóż komandosów – rzekł Mallory. – Oczywiście.

Nie mogłem się przyzwycząić do jego niewiarygodnej lekkości. Tak łatwo się go trzymało. Ostro zakończona główńia, dobrze tnąca krawędź. Obosieczne ostrze lśniło w półmroku magazynu.

– Zaprojektowali go dwaj policjanci? – nie dowierzałem.

Carol skinęła głową.

– W.E. Fairbairn był ekspertem w dziedzinie walki wręcz. Miał to być doskonały nóż szturmowy, ale okazał się doskonałym narzędziem do zabijania. Znalazł się w wyposażeniu wszystkich jednostek komandosów w czasie drugiej wojny światowej. Jeżeli naziści złapali kogoś z taką bronią, likwidowali go od razu jako szpiega. Większość noży nie jest projektowanych specjalnie do zabijania – oprócz noża Fairbairn-Sykesa. Wygląda na łatwy w użyciu, ale taki nie jest. Trzeba

wiedzieć, które tętnice znajdują się tuż pod skórą i nie są chronione przez odzież. Proszę mi go podać.

Młoda kobieta na wózku zademonstrowała nam sposób jego działania. Rozłożywszy szeroko palce lewej dłoni, pokazała na migi, że przechyla na bok głowę ofiary. Nożem trzymanym w prawej ręce dźgnęła szyję z boku, a potem szybkim ruchem przesunęła ostrze do przodu.

– Pchnięcie i przeciągnięcie – wyjaśniła. – Wbija się klingę w szyję z boku i wyciąga ostrze z przodu. Wtedy nie wystarczy parę szwów i nurofen plus. Kiedy ktoś chce poderżnąć człowiekowi gardło, na ogół zaczyna od zewnątrz. Tnie, rąbie i piłuje.

Pokazała cięcie, rąbanie i piłowanie.

– Można to zrobić, jeżeli chce się zranić czyjeś uczucia – ciągnęła. – Można, jeżeli chce się zepsuć komuś dzień. Ale nie, jeżeli naprawdę chce się kogoś zabić.

– Pchnięcie i przeciągnięcie – rzekł Mallory. – Przecina się tchawicę i jest też duże prawdopodobieństwo przecięcia tętnic szyjnych.

– Więcej niż duże prawdopodobieństwo – poprawiła Carol. – Ten cios nazywa się pchnięciem w tętnicę. Głównym celem jest przecięcie tętnic szyjnych, panie komisarzu. Jeżeli przyczyną natychmiastowej śmierci nie będzie szok, ofiara i tak umiera, ponieważ zostają przerwane tętnice i serce przestaje pompować krew do mózgu.

– W jakim czasie?

– Śmierć mózgowa następuje natychmiast. Ofiara traci przytomność w ciągu pięciu sekund i umiera po dwunastu.

– Kiedy przestano produkować te noże?

– Nigdy nie przestano ich produkować. Model ewoluował przez prawie sto lat. Współczesnej wersji, UK-SFK, używają nasze siły specjalne. To najlepszy nóż szturmowy, jaki kiedykolwiek

zaprojektowano. – Spojrzała na Mallory’ego, a ja się zastanawiałem, skąd mogą się znać. – Teraz zdobył go Bob Rzeźnik.

Mallory się uśmiechnął.

– Nie wiem, czy to Bob – odrzekł. – Wiemy tylko, że to wyszkolona osoba, która ma dostęp do specjalistycznej broni. – Popatrzył na mnie. – Zapewne można kupić fairbairn-sykesa w internecie?

– W internecie można kupić wszystko – powiedziałem.

– Oprócz wyszkolenia, wiedzy i umiejętności potrzebnych do wykonania pchnięcia w tętnicę – dodała Carol. – Zdobywa się je latami. I jeszcze jedno.

Przyglądaliśmy się, jak waży w ręce nóż szturmowy Fairbairn-Sykes.

– Żeby kogoś tym zabić – wbić ostrze w bok szyi, a potem wyciągnąć je z przodu... – urwała i spojrzała z wózka na Mallory’ego – trzeba naprawdę tego kogoś szczerze nienawidzić, panie komisarzu.

...

Byłem na ringu i nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

Nie minęła jeszcze pierwsza minuta trzeciej rundy sparingu, a ja już słałem się z wyczerpania, poruszałem się niezgrabnie, oddychając przez usta, wisiałem na linach, przyciskałem łokcie do dolnych żeber, chronilem głowę uniesionymi rękami, czując na twarzy śliską od potu czarną skórę rękawic sparingowych Lonsdale.

Ciosy sypały się dalej.

Zadawał je drobny mężczyzna o długich siwych włosach wystających spod starego kasku Everlast. Zauważył moje zmęczenie i uśmiechnął się szeroko, ukazując złośliwy błysk w oczach i niebieski ochraniacz na zębach. Przyczajony za wysoką, ciasną gardą, nic nie ryzykując, ruszył do końcowego ataku.

Ukryłem twarz głęboko w rękawicach i czułem, jak z oszałamiającą prędkością bombarduje mój bok. Drobnym mężczyzną był chudy, a jednocześnie bardzo umięśniony, i uderzał niezwykle mocno. Lewy w żebra, prawy w żebra. Lewy w żebra, prawy w żebra. Przycisnąłem łokcie do ciała, a mimo to nadal czułem ból jak po smagnięciach batem.

Byliśmy teraz zwrócenymi twarzami do siebie. Przy wzroście ponad metr osiemdziesiąt górowałem nad przeciwnikiem – miał na imię Fred – ale chyba pierwszą rzeczą, jakiej się nauczyłem na ringu, było to, że z siłą wygrywa szybkość. Im bokser jest większy, tym więcej można uderzyć.

Przez moją kiepską obronę przedarł się lewy sierpowy, trafił w najniższe żebro i pozbawił mnie na chwilę oddechu. Przycisnąłem łokcie do tułowia, naprawdę nie chcąc powtórki, i w momencie, gdy o parę centymetrów opuściłem rękawice, Fred rąbnął mnie w źle zasłoniętą głowę.

Piętro i parter, pomyślałem, przeklinając swój podstawowy błąd – pozostawienie bez obrony jednego miejsca, kiedy atakowane jest inne. Wylądowałem na linach, starając się siłą woli zmusić nogi do pracy, próbując z powrotem postawić całe stopy na ringu.

Ale wtedy w mój kask z prawej strony solidnie trzasnął lewy sierpowy, a po chwili z lewej strony jeszcze solidniej trzasnął prawy sierpowy. Zadzwonilo mi w uszach, chociaż moją głowę osłaniała gruba skóra.

Chyba instynktownie uniosłem odrobinę rękawice, żeby ochronić głowę, bo Fred zadał mi wredny lewy sierpowy, który wbił się nisko w prawe żebra.

On też opadał z sił. Bicie kogoś non stop potrafi zmęczyć. Kombinacje stawały się wolniejsze, ale najtrudniej dochodzi się do siebie po ciosie w tułów i poczułem, że zdrętwiałe nogi uginają się

pode mną. Wszystko mi mówiło, żeby paść na deski. Ale nie padłem. Utrzymałem się na nogach tylko dzięki linom za plecami i swojej niezłomnej woli.

Fred uśmiechnął się do mnie, odsłaniając ten stary niebieski ochraniacz. Przyglądałem się, jak unosi lewy łokieć i przygotowuje się do sierpowego. Piękno równowagi w boksie polega jednak na tym, że jeżeli przeciwnik może cię uderzyć, masz możliwość odpowiedzenia mu uderzeniem.

Dostrzegłem swoją szansę i z niej skorzystałem.

Zanim Fred wymierzył krótki lewy sierpowy w moje obolałe ciało albo w huczącą głowę, zadałem lewy cios z dołu, mierząc w podbródek, i głowa odskoczyła mu do tyłu dokładnie w chwili, gdy dzwonek oznajmił koniec trzeciej i ostatniej rundy.

Padliśmy sobie w ramiona wykończeni i zaczęliśmy się śmiać.

Kiedy wyswobodziliśmy się z uścisku, zgiąłem się wpół, usiłując złapać oddech. Słyszałem odgłos skakanek, wiadomości biznesowe z telewizora stojącego przy ruchomej bieżni i monotony głos trenera wydającego polecenia ćwiczącym jogę. Wreszcie uniosłem głowę i zobaczyłem, jak Fred zdejmuje sfatygowany kask, potrząsając długimi siwymi włosami – włosami starego pirata weterana. Wyciągnął z ust ochraniacz.

– Masz szczęście, że trenujesz – powiedział.

W geście uznania uniósł rękawicę, której dotknąłem swoją rękawicą.

– Dobrze – pochwalił. – Ale trzymaj łokcie bliżej siebie i nie stój jak posąg. Kiedy wyprowadzisz cios, uciekaj. Nie stój beczynn timer. Nawet kiedy jesteś wykończony. Zwłaszcza kiedy jesteś wykończony.

Powoli odzyskiwałem oddech.

– To trudne – wykrztusiłem w końcu.

Fred się zaśmiał.

– I ma być trudne. Gdyby było łatwe, każdy by to robił. – Poklepał mnie po plecach. – Rozluźnij się przez pół godziny na rowerku i nie zapomnij o ćwiczeniach rozciągających.

Fred zszedł z ringu. Zbliżył się do wieży stereo i włączył The Jam. To był Amatorski Klub Bokserski Smithfield i Fred go prowadził, miał więc prawo wyboru muzyki. Z głośników huknęło *Going Underground*.

Poczułem się już lepiej. Być może rano będą mi dokuczać żebra, ale przestało mi huczeć w głowie, i nic więcej nie zostało poważnie uszkodzone. To nie sam ból był taki wycieńczający, tylko szok wywołany uderzeniami. Mimo to zawsze się dziwiłem, jak mało boli bicie w twarz. Najgorsze były ciosy w korpus.

Wtedy zorientowałem się, że ktoś mnie obserwuje.

Stał przy hantlach i miał na dłoniach rękawiczki bez palców, rękawiczki do podnoszenia ciężarów, a sądząc po masywnych barkach, sporo ich w życiu podniósł. Wśród Azjatów spotyka się niewielu zapalonych sztangistów. Jednak chyba i tak spotyka się ich więcej niż kiedyś.

Przez dłuższą chwilę wytrzymał moje spojrzenie, po czym zdjął rękawiczki i podszedł do szafki, w której Fred przechowywał sprzęt bokserski. Wybrał czarny kask i parę jaskrawożółtych rękawic. Następnie przeszedł przez całą salę i wspiął się na ring. Teraz go poznałem. Dostrzegłem wystający zza koszulki treningowej siniak w miejscu, gdzie uderzyłem go w serce, bo śmiał się z mojego psa.

– Będę z tobą walczył – oświadczył, nakładając rękawice.

– Nazywamy to sparingiem – odparłem. – Nie walką.

– Ale to *full contact*, nie? – zapytał. – Normalnie próbujemy się nawzajem znokautować, nie?

Wzruszyłem ramionami.

– Oczywiście.

Uznałem, że nie ma sensu tłumaczyć mu, że w sparingu obowiązuje pewna etykieta, niepisany kodeks honorowy, oraz zasada głębokiego wzajemnego zaufania. Nie wyglądał na osobę, którą interesowałyby takie rzeczy. Fred był moim sparingpartnerem od pięciu lat, ale żaden z nas nigdy nie uderzył drugiego poniżej pasa, żaden z nas nigdy ze złością nie zszedł z ringu. Nasza przyjaźń wykuła się w brutalnej bliskości sparingu. To jednak prawda, co powiedział sztangista: kiedy toczyliśmy sparing, nie było żadnej taryfy ulgowej.

- Walnąłeś mnie z zaskoczenia – wybuchnął.
- Niegrzecznie potraktowałeś mojego psa – odrzekłem.
- Wtedy nie byłem przygotowany. Ale teraz jestem.
- Właśnie odbyłem trzy rundy – powiedziałem.
- Chcę zobaczyć, jaki z ciebie naprawdę twardziel – oznajmił. –

Chyba że masz cykora.

Patrzyłem na jego żółte rękawice – parę dziesięciouncjowych Cleto Reyes, najlepszej marki na świecie, ręcznie szytych w Meksyku, ale o wiele za lekkich do ostrego sparingu. Tym jednak akurat się nie przejmowałem.

– Nie wyjdę z tobą na sparing – poinformowałem go, zdejmując rękawice.

Gdy zamierzałem zejść z ringu, zastąpił mi drogę.

- Czemu nie?
- Bo nie masz ochraniacza na zęby.
- Nie potrzebuję go.
- Owszem, potrzebujesz – odrzekłem. – Każdy potrzebuje ochraniacza na zęby. Bo mógłbym cię zahaczyć łokciem. Albo trzasnąć czołem. Jest nawet niewielka szansa, że mógłbym cię trafić pięścią w usta.

Wtedy pojawił się Fred. Ujął za łokieć i bez trudu odwrócił w swoją stronę sztangistę o wiele potężniej zbudowanego od siebie. Fred

kiedyś pracował jako wykidajło.

– Widzisz tę tabliczkę?

Na ścianach AKB Smithfield wisiały oprawione zdjęcia bokserów. Należeli do pewnej kategorii pięściarzy – urodzonych pięściarzy, zaciętych, zawziętych i zwycięskich, których Fred uwielbiał. Jack Dempsey. Jake LaMotta. Joe Frazier. Marvin Hagler. Twardzi sportowcy. Były też inne fotografie – dzieciaków boksujących się na Kubie, kilkunastu naraz na ringu, chudzielców bez koszulek, toczących walkę w rękawicach, które wyglądały, jak gdyby przed chwilą zostały wykopane spod ziemi. Wyżej wisiała tablica.

ZAKAZ SPARINGU BEZ ZEZWOLENIA

– Nie masz mojego zezwolenia – oznajmił Fred.

Był najdrobniej zbudowanym człowiekiem na sali. Ale w tym miejscu odwiedzanym przez przeróżnych twardzieli – policjantów, którzy chcieli zachować formę, zabijaków z biednych osiedli komunalnych, którzy chcieli się nauczyć uroczej sztuki siniaczenia ludzi, młodych kobiet, które przychodziły uczyć się samoobrony, typków w garniturach z City, którzy szukali krańcowego wysiłku – nikt mu się nie sprzeciwiał.

Sztangista zszedł z ringu.

– Jest dużo przykrych skutków nadużywania sterydów – zauważył Fred bokser, który bywał także filozofem. – Skurczone jaja. Trądzik. Wypadanie włosów. Ale najgorsze jest to, że sterydy kasują część mózgu, która hamuje agresję. I delikwent w końcu chce kogoś zabić.

Przy wyjściu wisiał ciężki worek treningowy. Tuż przed opuszczeniem sali AKB Smithfield sztangista walnął w niego z całej siły.

Fred zaśmiał się pogardliwie.

– Nie chodzi o to, jak mocno umiesz przyładować – powiedział.

Stan wiedział, że coś się dzieje.

Pies jako jedyny z całej rodziny zjadł śniadanie; Scout stała przy oknie z dłońmi przyciśniętymi do szyby i obserwowała ulicę, z niepokojem wzdrygając się od czasu do czasu na widok zatrzymującego się samochodu, a ja cały czas zerkiałem na budzik, zegarek i komórkę.

Stan leżał pośrodku loftu w pozie sfinksa, skrzyżowawszy skromnie przednie łapy, i podejrzliwie przyglądał się nam wielkimi, okrągłymi oczami.

Chcecie mi coś powiedzieć?

– O, o, o! – wykrzyknęła Scout, a gdy podszedłem do okna, zobaczyłem białą furgonetkę wypełnioną psami.

Przednie siedzenie zajmował wilczarz irlandzki przyglądający się ciekawie tragarzowi w białym fartuchu, który wychodził z hali targowej z rękami poplamionymi na czerwono aż do łokci. Dwa mopsy przyciskały płaskie pyski do tylnych szyb, a za nimi kołysał się las wyprężonych i merdających ogonów, gdzie małe pyski obwąchiwały duże zady, a duże pyski obwąchiwały małe zady.

Z vana wysiadła młoda kobieta w ubłoconym mundurze polowym. Razem z nią wysiadł labradoodle. Umieściła psa z powrotem w samochodzie i zamknęła drzwi.

– Stan – powiedziałem. – To po ciebie.

Dziewczyna była wesołą Czeszką i miała na imię Jana, a Stan powitał ją jak dobrą znajomą. Nie było w tym nic osobistego. Stan

wszystkich witał jak dobrych znajomych.

Scout właśnie się z nim żegnała, gdy wyprowadzaczka psów bez dalszych ceregieli przypięła smycz do obroży Stana i ruszyła do wyjścia.

Wróciliśmy do okna. Przez niedomknięte okno furgonetki jakimś cudem przecisnął się bizon kędzierzawy i obwąchiwał chodnik, a wilczarz irlandzki przypatrywał się temu ze wzniosłą pogardą. Na ulicy pojawili się Stan i Jana. Dziewczyna wzięła bizona pod jedną pachę, Stana pod drugą, po czym obydwaj załadowała na tył furgonetki. Chwilę potem odjechali. Staliśmy w oknie, dopóki nie zniknęły tylne światła vana.

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie – powiedziała Scout.

– Żartujesz? – odpowiedziałem. – Z całą tą bandą będzie się bawił jak nigdy w życiu.

Poszliśmy na śniadanie do restauracji Smiths of Smithfield. Właśnie dostałem rachunek, kiedy za szybą przeszedł Stan, ciągnąc za sobą smycz. Scout wybiegła po niego, a ja zadzwoniłem do Jany. W tle usłyszałem wściekłe szczekanie, odgłosy grozy i przerażenia, ludzkie i psie krzyki protestu.

– Jak się czuje Stan? – zapytałem.

– Hm – usłyszałem w słuchawce głos Jany. – Ach, tak. Sam czuje się bardzo dobrze.

Do restauracji weszła Scout ze Stanem. Miał błędny wzrok i dyszał z pragnienia i wyczerpania. Uprzejmy kelner przyniósł mu dużą srebrną miskę wody. Kiedy Scout postawiła go na podłodze, zaczął bardzo głośno chleptać.

– Ze Stanem na pewno wszystko w porządku? – dopytywałem się.

Na dźwięk swojego imienia Stan łypnął na mnie oburzonym wzrokiem, po czym wrócił do picia wody, czule głaskany małymi rączkami Scout.

– Hm – powiedziała Jana. – Tak, Sam, śliczny mały Sam czuje się bardzo dobrze. Właśnie... hm... bawi się w pięknym parku z kolegami. O, biegnie! Ha, ha! Między drzewami! Dzielnny Sam!

Spojrzałem na Scout i Stana na podłodze, uszczęśliwionych spotkaniem, i wiedziałem, że odtąd będziemy już zawsze sami wyprowadzać na spacer naszego własnego psa.

...

Podczas porannej odprawy w pokoju operacyjnym numer jeden podkomisarz Whitestone stanęła odwrócona plecami do Ściany Mallory'ego. Za nią było widać powiększenie fotografii siedmiu chłopców przebranych za żołnierzy. W ręku miała listę nazwisk.

– Zostało czterech – powiedziała.

Odwróciła się do Ściany i starannie narysowała czerwony krzyżyk na twarzy chłopca pierwszego z lewej.

– Adam Jones. Nie żyje.

Na twarzy chłopaka pierwszego z prawej narysowała drugi czerwony krzyżyk.

– Hugo Buck. Nie żyje.

Na koniec postawiła czerwony krzyżyk na twarzy chłopca stojącego w środku szeregu. Tego w ciemnych okularach. Tego, który się nie uśmiechał.

– To jest James Sutcliffe – wyjaśniła. – Młodszy syn hrabiego Broughton. Powinnam raczej powiedzieć, to był James Sutcliffe. Dwa lata po zrobieniu tej fotografii popełnił samobójstwo. Wszedł do morza w Amalfi, gdzie jego rodzice wynajmowali letni dom.

Milczeliśmy.

– Tego lata, gdy skończył osiemnaście lat – dodała.

– Miał chyba córkę, prawda? – odezwał się Mallory. – Mam na myśli ojca chłopca. Hrabiego Broughton.

Whitestone skinęła głową.

– Cressidę. W latach osiemdziesiątych była dość rozhukaną dziewczyną. Podczas zamieszek antykapitalistycznych nasikała na pomnik nieznanego żołnierza.

– Właśnie o nią mi chodziło – przytaknął Mallory.

– Uciekła z jakimś niemieckim artystą starszym od niej o trzydzieści lat. Już się pogodziła z rodzicami, wszystko zostało wybaczone.

– Czy kiedy chłopak popełnił samobójstwo, karabinierzy znaleźli list pożegnalny? – spytał Mallory.

– Nie, panie komisarzu – odparła Whitestone. – Nie znaleźli nawet ciała. Tylko złożone ubranie na plaży i niedokończony szkic. Był artystą. Podobno najzdolniejszym ze wszystkich.

– To skąd założenie, że popełnił samobójstwo, skoro nie znaleziono listu?

– James Sutcliffe cierpiał na kliniczną depresję. Przyjmował prawdziwy koktajl leków. – Podkomisarz Whitestone odczytała z notatek: – Prozac. Luvox. Lustral. Cipralex. Miał na koncie samookaleczenia.

– Jakie powody do depresji mógł mieć taki bogaty dzieciak jak on? – zapytał Gane.

– Może powinniśmy zapytać jego kolegów – zauważył Mallory.

Przy życiu pozostało czterech.

Bliźniacy – identyczni, jeśli nie liczyć sieci promienistych blizn na twarzy jednego z nich.

Śniady, wysoki i chudy jak chart młodzieniec o cudzoziemskim wyglądzie.

I gruby chłopak o chytrych oczkach, z wystającym czubkiem języka.

Trzy czerwone krzyżyki trochę zmieniły starą fotografię. Whitestone wzięła plik zdjęć formatu osiem na dziesięć. Zdjęć żywych. Pokazała na fotografii bliźniaka bez blizn stojącego między Jamesem Sutcliffe'em a ciemnoskórym chłopakiem.

– Ben King – powiedziała. – Jest sławny.

Przypięła do Ściany Mallory'ego fotograficzny portret starannie uczesanego mężczyzny w krawacie i garniturze, który uśmiechał się do oficjalnego zdjęcia. Można było w nim rozpoznać chłopca ze starej fotografii zrobionej dwadzieścia lat wcześniej. Jego twarz wydawała się znajoma z wieczornych programów informacyjnych, na które rzucało się okiem, by zaraz przełączyć telewizor na inny program.

– Znam go – rzekł Mallory. – Ben King. Jest politykiem, prawda?

– Tak – potwierdziła Whitestone. – Jego ojcem był Quentin King, prawnik specjalizujący się w sprawach o zniesławienie. Już nie żyje. Ben King jest posłem z okręgu Hillingdon North. Skończył Potter's Field i Balliol College w Oksfordzie. Filozofia, nauki polityczne i ekonomia, dyplom z wyróżnieniem. Szybko awansuje w hierarchii partyjnej.

– W jakiej partii? – spytał Gane.

– Zgadnij.

Gane nie zgadł. Też bym nie zgadł.

– Mówi się o nim, że może być kandydatem na premiera – dorzuciła Whitestone.

– Finansowo niezależny, wykształcony w prywatnych szkołach, świetnie prezentuje się w telewizji – powiedział Mallory. – Nigdy nikogo nie zatrudniał, nie prowadził firmy, nigdy nie splamił się prawdziwą pracą. – Zamyślił się nad tym przez chwilę. – Nadawałby się doskonale. A jego brat? Ten z bliznami.

– Ned King – odparła Whitestone, przypinając na tablicy zdjęcie żołnierza. – Oficer armii brytyjskiej w czynnej służbie. Kapitan Królewskiego Pułku Strzelców Gurkhijskich. Dwie tury w prowincji Helmand. Odznaczony za męstwo. Piętnaście lat temu dostał też wyrok za napaść.

Blizny na lewym policzku Neda Kinga wyglądały jak cena, którą zapłacił za medale zdobiące jego galowy mundur.

Obok niego Whitestone zawiesiła fotografię szczupłego łysiejącego mężczyzny w smokingu. Muszka wisiała na jego wątlej szyi jak martwe stworzenie. Od czasów, gdy miał kilkanaście lat, tak bardzo stracił na wadze, że prawie nie można było rozpoznać w nim grubego chłopaka, jakim był w szkole.

– Guy „Piggy” Philips – powiedziała Whitestone. – Znajomy braci Kingów od szkoły podstawowej. Ojciec dorobił się fortuny na rynku nieruchomości. Chłopak grał w tenisa na zaawansowanym poziomie – dotarł do półfinału juniorów w Wimbledonie. Potem wysiadło mu kolano. Jest instruktorem sportowym w swojej Alma Mater – w Potter’s Field.

– Jakich sportów uczy? – zaciekawiał się Gane.

– Tenisa. Szermierki. Krykieta. Narciarstwa. Dyscyplin dla wyższych sfer, rozumiesz, Gane? I biegów długodystansowych.

– W ten sposób schudł – zauważył Mallory.

Został jeden. Whitestone powiesiła na Ścianie Mallory’ego portret skupionego, poważnego mężczyzny. Pozował do zdjęcia firmowego i wpatrywał się w obiektyw oczami, które wydawały się czarne.

– Salman Khan – podjęła Whitestone. – Z bogatej anglo-indyjskiej rodziny. Przedsiębiorcy budowlani, co ciekawe, wymykający się wszystkim stereotypom rasowym. Jego ojciec zbił majątek na budowie osiedli w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Khan też zna braci Kingów i Philipa od szkoły podstawowej. Pracuje jako adwokat,

specjalista od praw człowieka w londyńskim biurze kancelarii Butterfield, Hunt i West. Uważany za jedną ze wschodzących gwiazd w swojej profesji. Wygrał sprawę przeciwko Ministerstwu Obrony w imieniu niepełnosprawnych żołnierzy.

– Wspomniałaś o skazaniu Neda Kinga za napaść – wtrącił Mallory.
– Mają coś jeszcze na sumieniu?

– Adam Jones ma liczne wyroki za przestępstwa narkotykowe i włóczęgostwo. Pół roku po zrobieniu tego zdjęcia został usunięty ze szkoły za sprzedawanie nielegalnych substancji za sklepikiem szkolnym. Tabletek. Trawki. W dużych ilościach.

– Arystokracja zawsze stanowi znacznie barwniejszą mieszankę, niż się powszechnie sądzi – zauważył Mallory. – Co on robił? Do użytku osobistego dorzucił handel prochami?

– Na to wygląda, panie komisarzu. Adam wykoleił się dość wcześnie. Kiedy inni szli do Oksfordu, na Sandhurst albo do Goldmana Sachsa, on poszedł w heroinę.

– Wolfe, czy Jones został usunięty z Królewskiej Akademii Muzycznej za handel narkotykami?

– Nie, panie komisarzu – odrzekłem. – Nie za handel. Naćpał się do nieprzytomności podczas koncertu Albinoniego w Duke Hall. Przysnął w trakcie adagia.

– Na coś takiego rzeczywiście można się wkurzyć – wtrącił Gane.

– Nasze dwie ofiary – powiedział Mallory. – Obie prowadziły niebezpieczne życie, prawda? Jeden na długie lata oddał duszę opiatom. Drugi był brutalnym, notorycznym kobieciarzem. Każdy z tych stylów życia skraca jego przewidywaną długość.

Reszty nie dopowiedział, ale zakończenie zawisło w powietrzu: dokonany przez nich wybór stylu życia nie tłumaczył faktu, że w identyczny sposób poderżnięto im gardła.

Spojrzałem na cienki czerwony tomik leżący przede mną. *Bądź twardy! Jak zwyciężyć w walce wręcz – kurs dla brytyjskich komandosów i Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych*. Autorem był kapitan W.E. Fairbairn, współprojektant noża komandosów. Okładkę zdobił rysunek dwóch mocujących się żołnierzy. Stylistyką przypominał staroświecki komiks z „Boy’s Own”. Książeczka kryła w sobie jednak manifest morderców. Wcześniej zaznaczyłem żółtą samoprzylepną karteczką stronę, na której instruowano, jak wykonać pchnięcie w tętnicę szyjną.

Tętnica nr 3. Nóż w prawej ręce, krawędziami równoległe do podłoża, lewą ręką złapać przeciwnika za szyję od tyłu, przechylając głowę w lewo. Głęboko wbić ostrze klingi, następnie wykonać cięcie w bok. Patrz rys. C.

– Pod koniec lat osiemdziesiątych Piggy Philips w ciągu osiemnastu miesięcy dostał trzy wyroki skazujące za uszkodzenie mienia – ciągnęła Whitestone. – Ustaliłam, że chłopcy lubili od czasu do czasu zdemolować restaurację. Zdaje się, że nie zawsze udawało im się wywinąć.

– Chłopcy muszą sobie poszaleć – stwierdził Gane. – Zwłaszcza gdy tatuś płaci rachunki. – Prychnął z pogardą. – W Potter’s Field maturę mógłby zdać nawet mój pies. I to liżąc sobie jaja.

– Piggy Philips chyba zawsze chętnie brał na siebie winę – dodała Whitestone. – Według miejscowego szmatławca raz omal nie trafił do pudła za obrazę sądu. „Agresywne, pogardliwe i impertynenckie zachowanie wobec sędziego”.

Patrzyliśmy na fotografie, na chłopców, którymi byli, i mężczyzn, na których wyrosli.

– Czyli tworzyli gang? – spytał Gane.

– To było coś więcej, prawda? – odezwałem się. – Większość znała się prawie przez całe życie. Wygląda na to, że jeden z nich chętnie

brał na siebie winę za pozostałych. To wygląda, jak gdyby byli... bo ja wiem... prawie braćmi.

– Ale czy ten związek zakończył się wraz ze szkołą, czy przetrwał dłużej? – rzekł Mallory. – Oto następne pytanie. Możemy zacząć na nie odpowiadać, idąc na pogrzeb.

Podszedł bliżej Ściany.

– Co to za napis na ich mundurach? Łaciński, tuż nad herbem. Nie umiem odczytać.

Whitestone zamknęła notes.

– *Aut vincere aut mori* – powiedziała. – Motto szkoły.

– Albo zwyciężyć, albo umrzeć – przetłumaczył Mallory. – Dobre motto.

Zorientowałem się, że mój wzrok przyciąga chłopak w środku. James Sutcliffe. Ten, który się nie uśmiechał, nie pokazywał oczu. Chłopak ze śladami po samookaleczeniu na rękach, który złożył równo swoje ubranie na brzegu Amalfi i wszedł do morza. Jako jedyny nie był reprezentowany na Ścianie przez zdjęcie dorosłego mężczyzny. Zginął z własnej ręki w wieku osiemnastu lat. Poważna twarz Sutcliffe'a jeszcze bardziej niż zdjęcia dwóch zamordowanych mężczyzn odciskała piętno śmierci na starej szkolnej fotografii.

Ci chłopcy nie dorastają, pomyślałem. Oni się spieszą do grobu.

...

Nad cmentarzem Highgate szarzało światło popołudnia, gdy z miejsca w pierwszym rzędzie w zatłoczonej kaplicy podniósł się żołnierz w nieskazitelnym czarnym mundurze galowym Królewskiego Pułku Strzelców Gurkhijskich.

Kapitan Ned King był roslym mężczyzną i wolnym krokiem zmierzał do mównicy, zerkając na czarno-białe zdjęcie zmarłego Hugo

Bucka ustawione przed trumną. Gdy kapitan King dotarł na miejsce i spojrzał w notatki, przez wysokie witrażowe okna wpadł jeden z ostatnich promieni światła, w którym błysnęły medale na jego czarnym mundurze i zajaśniała biała siatka blizn na lewym policzku.

Ktoś z zebranych w kaplicy odchrząknął. Kapitan King zaczął przemowę.

– Śmierć jest niczym⁶ – powiedział, wymawiając słowa starannie i wyraźnie, jak człowiek przyzwyczajony do publicznych wystąpień. – To tak, jakbym się wymknął do sąsiedniego pokoju. Ja jestem sobą i ty jesteś sobą.

Mój wzrok powędrował do miejsca, które kapitan jeszcze przed chwilą zajmował. Siedzieli tam wszyscy pozostali.

Ben King.

Salman Khan.

Guy Philips.

Najlepsi przyjaciele zmarłego na honorowych miejscach, w pierwszym rzędzie, razem z rodzicami Hugo Bucka i jego żoną Natashą, która skrywała twarz pod długą czarną woalką. Rodzice Bucka dobiegali siedemdziesiątki, ale byli opaleni, atrakcyjni i wyglądali, jak gdyby dotąd nie przytrafiło się im w życiu nic złego.

Natasha odwróciła głowę i popatrzyła na mnie. Jej twarz pod woalką miała obojętny wyraz, absolutnie niczym nie zdradzając, że mnie poznaje. Kiedy Mallory i ja przyjechaliśmy na cmentarz, zobaczyłem jej szofera, który ukradkiem palił papierosa na ulicy, czekając z innymi kierowcami. Nawet teraz wyglądał jak jej kierowca, nie chłopak. Zastanawiałem się, dlaczego mnie to w ogóle obchodzi.

– Czymkolwiek dla siebie byliśmy, jesteśmy tym nadal – ciągnął kapitan King, a jego głos rozlegał się donośnym echem w wysoko sklepionej kaplicy. – Nazywaj mnie moim dawnym imieniem. Mów do

mnie tak samo swobodnie jak zawsze. Nie zmieniaj tonu. Nie zmuszaj się do powagi.

Mallory pochylił głowę w moją stronę i głosem cichszym od szeptu wypowiedział tylko jedno słowo:

– Patrz.

Salman Khan płakał. Nie widziałem jego twarzy, bo osłonił ją dłońmi, aby ukryć rozpacz, ale ramiona mężczyzny wyraźnie drgały. Przyglądałem się, jak Ben King wolno odwraca głowę, szepcze Khanowi do ucha coś pocieszającego, po czym znów kieruje wzrok na brata. Guy Philips obserwował tę krótką rozmowę z chłodną obojętnością.

Khan przetarł twarz dłonią. Chyba przestał płakać.

– Życie znaczy to wszystko, co znaczyło dotąd – powiedział kapitan King i dostrzegłem cień uśmiechu przemykający po jego przystojnej, zniszczonej twarzy. – Jest takie samo jak dotąd – nic nie zostało przerwane. Czy dlatego, że zniknąłem ci z oczu, mam zniknąć z twego serca? – Zrobił pauzę. – Czekam na ciebie przez pewien czas, bardzo niedaleko, tuż za rogiem. – King złożył notatki. – Nic złego się nie stało. – Zakończył.

Spojrzałem na żałobników. Prawie wszyscy byli młodzi. Trzydziestokilkuletni ludzie, mężczyźni i kobiety, niektórzy trzymali na rękach niemowlęta, inni próbowali okiełznać roczne i dwuletnie maluchy, ale wszystkie twarze były blade i wstrząśnięte przedwczesną i gwałtowną śmiercią jednego z ich pokolenia.

Kapitan King wrócił na miejsce. Głos zabrał pastor:

– Pójdźcie, błogosławieni Ojca mojego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata⁷.

Hugo Buck miał przyjaciół. Wielu przyjaciół. Ale pod koniec nabożeństwa to czterej mężczyźni z pierwszego rzędu stanęli przy

jego trumnie. I po raz pierwszy zobaczyłem wyraźnie trzy pozostałe twarze.

Salman Khan – wysportowany, zamożny biznesmen, już opanowany, lecz wyraźnie pogrążony w smutku, który przytłaczał go jak fizyczny ciężar.

Guy Philips – z rozpiętym kołnierzykiem, o sennych oczach, może nieco znudzony, o twarzy pokrytej siatką popękanych żyłek, świadcząca o dużej skłonności do alkoholu. Wyglądał jak zwycięzca castingu do roli nauczyciela wuefu – miał w sobie to charakterystyczne beztroskie okrucieństwo.

I Ben King – spokojny, zamknięty w sobie, wspaniały mężczyzna, o gładkiej, pozbawionej skaz twarzy, przy której jego brat przypominał pęknięte lustro.

Na znak Bena Kinga wszyscy czterej – bracia z przodu, Philips i Khan z tyłu – kucnęli, splekli ręce i jednocześnie wstali z trumną na barkach. Wolnym krokiem ruszyli przez kaplicę; dołączyli do nich rodzice Bucka i wdowa.

Grała muzyka. Ludzie łkali. Jednym z nich był Salman Khan. Czując ciężar nieżyjącego przyjaciela na lewym ramieniu, nagle uległ fali rozpacz. Tym razem pozostali pozwolili mu płakać. W całej kaplicy mężczyźni i kobiety także płakali. Z żalu za przyjacielem i nad sobą. Ale wdowa po Hugo Bucku szła naprzód, nie rozglądając się na boki, i patrzyła prosto przed siebie zielonymi oczami, które pod długą czarną woalką pozostały suche i nieruchome.

Przy drzwiach kaplicy młoda blondynka, której wygląd wskazywał, że zna się na koniach, rozdawała wszystkim po jednej czerwonej róży. Mallory i ja zczekaliśmy, aż tłum wyjdzie, i gdy opuszczaliśmy kaplicę, kobiety z różami już nie było, a żałobnicy zmierzali do czekającego grobu.

Na specjalną prośbę rodziny Hugo Bucka grzebano w zachodniej części cmentarza, która wyglądała jak ze snu. Idąc za konduktem stromą i krętą alejką, mijaliśmy kolejne rzędy potężnych grobowców, gigantycznych granitowych krzyży i zastępy kamiennych aniołów, których twarze zatarł upływ lat. Olbrzymi kamienny pies zasnął na zawsze w miejscu wiecznego spoczynku swojego pana. Anioł niósł do nieba śpiące dziecko. Wszystko to trawiła natura. Między grobami rosły wiekowe drzewa, które przysłaniały zachodzące słońce. Nagrobki oplatał bluszcz, jak gdyby biorąc je w posiadanie. Wśród grobów kwitły polne kwiaty.

Wzdrygnąłem się, gdy zza drzew dobiegły nas słowa odmawianej przy grobie modlitwy. Wyczuwało się już powiew zimy.

– Oto ogłaszam wam tajemnicę⁸ – powiedział pastor.

– List do Koryntian – zauważył Mallory z pewnym uznaniem. – Wskreszenie zmarłych. Zobaczmy, czy uda się podejść trochę bliżej.

– Nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni. W jednym momencie, w mgnieniu oka, na dźwięk ostatniej trąby⁹.

Okrążyliśmy tłum od tyłu. Pod gołym niebem, przy świeżo wykopanym grobie płacz przybrał na sile. Do lamentujących dołączyły małe dzieci, zaniepokojone widokiem dorosłych, których nigdy dotąd nie widziały we łzach. Na tle morza czerni odcinały się czerwone plamy róż.

– Zabrzmi bowiem trąba – umarli powstaną nienaruszeni, a my będziemy odmienieni. Trzeba, ażeby to, co zniszczalne, przyodziało się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodziało się w nieśmiertelność¹⁰.

Stanęliśmy, gdy znaleźliśmy się za plecami pastora, dokładnie naprzeciw żałobników przy grobie. Ponad ramionami tłumy widziałem twarze najważniejszych osób. Zadanie pochowania syna zaczynało załamywać rodziców Hugo Bucka. Ben King stał przy nich,

obejmując ich ramionami. Polityk dla każdego miał słowo pociechy. Tylko Natasha Buck wydawała się pozbawiona jakichkolwiek emocji, otępiona przez żałobne rytuały.

– Zwycięstwo pochłonęło śmierć. Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień?¹¹

Rozległ się elektroniczny brzęczyk i trumna zaczęła się automatycznie opuszczać.

Gdy dźwięk umilkł, Ned King, jak gdyby od niechcienia, wrzucił czerwoną różę do grobu. Potem posypała się reszta kwiatów. W rodzicach zmarłego coś pękło, kiedy pozbyli się swoich. Wrzucili róże do grobu i odwrócili się na miękkich nogach. Następny był Guy Philips. Po nim Salman Khan, który już zdołał się opanować. Ale Ben King zawahał się, po czym z łagodnym uśmiechem dał znak Natashy, aby zbliżyła się do grobu.

– Stoi przed obliczem Pana, tego samego Jezusa, który rzekł do człowieka konającego na krzyżu – jeszcze dzisiaj będziesz ze mną w raju.

Natasha zrobiła krok w stronę grobu. Zobaczyłem, jak unosi woalkę, na chwilę wraca myślą do wspomnień i bardzo starannie spluwa do grobu męża.

Potem, jak gdyby po zastanowieniu, rzuciła różę.

Przy grobie nastąpiło nagłe poruszenie. Zobaczyłem, jak głowa Natashy obraca się w stronę czerwonego oblicza Guya Philipsa, a jej twarz krzywi się w grymasie złości i bólu, gdy ten fachowo złapał ją za ramię i wyprowadził z tłumu żałobników. Natasha, wyprostowana, nie stawiając oporu, poszła za Philipsem, który ścisnął jej rękę w groteskowej parodii troskliwości, jak gdyby mogła upaść, uciec albo wrócić do grobu jego przyjaciela.

– Moja ręka – powiedziała. – To cholernie boli, Piggy.

Ruszyłem naprzód, ale Mallory mnie powstrzymał, kładąc mi dłoń na ramieniu. Kiedy na niego spojrzałem, pokręcił głową, wykonując nią pół obrotu. Ogarnął mnie wstyd, że nic nie robię. W końcu jednak przyszedliśmy tu tylko obserwować. Nic więcej. Skinąłem głową na znak, że rozumiem, i poszliśmy za Natashą i Philipsem alejką prowadzącą do cmentarnej bramy.

Kierowcy stojący na ulicy wyprężyli się na baczność. Philips otworzył tylne drzwi samochodu Natashy. Myślałem, że jest silną kobietą, może nawet surową i stanowczą, ale zaskoczyło mnie, z jaką biernością pozwoliła się posadzić w aucie.

Philips pochylił się do otwartego okna kierowcy i wydał mu jakieś polecenia. Zobaczyłem, jak na twarzy szofera odmalowuje się niepokój i złość, ale posłusznie, bez słowa, skinął głową i odjechał. Philips patrzył, jak się oddalają.

Wróciliśmy do żałobników zebranych przy grobie. Większość zgromadzonych najwyraźniej nie była świadoma tego, co zaszło. Kilka głów odwróciło się na moment, by popatrzeć, jak przyjaciel męża odprowadza zrozpaczoną wdowę, ale po chwili wszyscy ponownie skupili uwagę na kwiatach padających na trumnę. Tylko jeden żałobnik przez długi czas nie odwracał oczu od nieprzyjemnej sceny – niespotykane wysoki, sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna o haczykowatym nosie i nieruchomym spojrzeniu drapieżnego ptaka. Teraz i on spojrzał na otwarty grób, trzymając różę.

Przyglądaliśmy się Guyowi Philipsowi, który z kamienną twarzą wrócił do pozostałych. Wiedziałem, że komisarz zauważył to samo – jak szybko i skutecznie Philips załatwił sprawę.

Tłum uformował kolejkę, by złożyć kondolencje rodzicom Bucka. Ben King nadal stał u ich boku – polityk w każdym calu, rozdający uściski dłoni i ciche, ciepłe słowa.

– Nie, z Natashą wszystko w porządku – powiedziała. – Niezbyt dobrze się dzisiaj czuje. Tak, dziękuję bardzo.

Napotkał moje spojrzenie i uśmiechnął się.

I nagle wszystko się zakończyło. Odmówiono wszystkie modlitwy, opuszczono do grobu trumnę, wrzucono róże. Żywi otarli oczy i wrócili do swoich samochodów i swojego życia, nawet matka i ojciec, którzy pochowali syna.

Ale gdy odchodziłem z Mallorym, między drzewami dostrzegłem czterech mężczyzn. Nadal stali nad otwartym grobem, otrzepując ziemię z rąk, połączeni czymś tak silnym, że nawet śmierć nie mogła tego osłabić.

...

W środku nocy rozległ się krzyk Scout.

Chociaż sądziłem, że właściwie nigdy naprawdę nie śpię, doznałem wrażenia, że się budzę i zdziwiło mnie to raptowne wyrwanie ze snu, którego na pewno nigdy sobie nie przypomnę.

Zerknąłem na cyfry na budziku – 3:10 – i powlokłem się do jej pokoju. Siedziała na łóżku z buzią mokrą od łez, zasłaniając oczy rękawem piżamy.

Objąłem ją i tuliłem przez chwilę, po czym położyłem jej rękę na czole. Było ciepłe.

– Potwory – powiedziała.

– Aniołku, nie ma żadnych potworów – uspokajałem ją.

Stan też się obudził i skomlał w ciemnościach. Wypuściłem go z klatki i cicho poczłapał za mną do sypialni Scout. Jednym susem bezgłośnie znalazł się na łóżku, a moja córka odruchowo wyciągnęła rękę, żeby go podrapać za uszami. Nie potrafiłem ukoić jej płaczu w taki sposób jak pies. Ale szloch nie ustał zupełnie i jak zawsze

w takich sytuacjach przebiegł mi po plecach dreszcz paniki. Bałem się, że jeśli zacznę płakać, nigdy nie przestanie.

– Czemu płaczesz, Scout?

– Nie wiem. Nie wiem.

Oboje wiedzieliśmy, ale żadne z nas nie potrafiło znaleźć odpowiednich słów, żadne z nas nie wiedziało, od czego zacząć. W życiu mojej córki ziała dziura i bez względu na to, jak ją kochałem, jak się starałem, nigdy nie będę umiał jej zapełnić. Ta myśl ukłuła mnie w serce i sprawiła, że też miałem ochotę się rozpłakać.

– Nie idź – poprosiła.

Uśmiechnąłem się w ciemności.

– Nigdzie nie idę.

Stan też nigdzie się nie wybierał, zwinięty w kłębek obok niej, szukając ciepła, więc postanowiłem, że pozwolę mu zostać. Wkrótce oboje zasnęli. Scout przyciskała psa do siebie jak termofor, a on jej na to pozwalał.

Spojrzałem na budzik. Było o wiele za wcześnie, żeby wstawać, i o wiele za późno, żeby znowu się położyć.

Wiedziałem, że już nie zasnę. Siedziałem na brzegu łóżka Scout, przyglądając się mojej córce i jej psu i pozwalając się wlec nocy, jak robiłem już wiele razy. Ale dzięki temu, że patrzyłem na swoje śpiące dziecko, dziś godziny przed świtem wydawały się inne. Nie miałem wrażenia, że są zmarnowane.

Bobowi Rzeźnikowi w jeden dzień przybyło trzydzieści lat.

Nowe zdjęcie przedstawiało znacznie starszego mężczyznę z przerzedzonymi włosami, bez tamtej młodzieńczej pewności siebie i zawadiacko nałożonego kapelusza, z fajką zamiast papierosa w ustach. Na nowej fotografii Robert Oppenheimer patrzył prosto w obiektyw szeroko otwartymi oczami, w których malowała się przerażająca wiedza.

Niszczyciel światów.

Duży monitor na Ścianie Mallory'ego wyświetlał oś czasu na profilu Boba Rzeźnika w popularnym serwisie społecznościowym, ale wszyscy patrzyliśmy na ekrany swoich laptopów, a Gane odczytywał nowy wpis.

– „Bogacze poznali grzech – powiedział – i to jest wiedza, której nie wolno im utracić”. – Odchylił się na krześle. – „Zabić wszystkie świnię. hashtagzabicwszystkieswinie”.

Odnalazłem już wcześniej ten cytat.

– W rzeczywistości Oppenheimer powiedział: „Fizycy poznali grzech i to jest wiedza, której nie wolno im utracić”. – Spojrzałem na Gane'a. – Ani fizykom, ani bogaczom.

Lekko skinął głową. Po chwili zaklął.

– To powinno być całkiem proste. Wysłaliśmy nakaz przeszukania do siedziby serwisu i w ciągu dwudziestu czterech godzin dostaliśmy audyt adresów IP. Tak jak się spodziewałem, Bob użył anonimizującego serwera proxy. To rodzaj tarczy chroniącej

tożsamość użytkownika przed resztą cyfrowego świata. Jeżeli nie jest skończonym idiotą – a zawsze istnieje taka możliwość – na pewno korzystał z takiej usługi. Być może nawet skorzystał z wielu anonimizatorów. Kiedy mam audyt IP, zwykle sobie z tym radzę. – Pokręcił głową. – Zwykle. Ale Bob korzysta z jakiejś zaawansowanej architektury zabezpieczeń. To się nazywa trasowanie cebulowe. Tor albo coś w tym rodzaju, jakaś podrasowana sieć maskująca, której nigdy nie widziałem. Trasuje dane przez wiele węzłów, gdzie są wielokrotnie szyfrowane. Taki system ma zabezpieczać działania informatorów – użytkowników, którzy donoszą o przypadkach korupcji w firmach i organach władzy, i ludzi żyjących pod rządami dyktatury. Ale nie seryjnych morderców.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Mallory.

– Sięgnął do jeszcze głębszej sieci – wyjaśnił Gane. – Cyfrowe ślady Boba są dokładnie takie same jak odciski jego palców i ślady rękawiczek. – Pokręcił głową. – Niewidzialne.

– Wyłącz to – powiedziała Whitestone. – Mam dość tych idiotów, którzy go traktują jak bohatera.

Kiedy serwis społecznościowy zareagował na wpis Boba Rzeźnika, jego oś czasu eksplodowała aktywnościami. Na monitorze na Ścianie Mallory'ego przewijał się nieprzerwany potok wiadomości od wielbicieli, propozycji małżeństwa i wiernopoddańczych komplementów. Gane wcisnął klawisz i cała ta wazelina zniknęła z ekranu, ustępując miejsca fotografii siedmiu chłopaków z Potter's Field.

– Nie wiem, jak można robić z niego bohatera – dodała. – Z człowieka, który zabija kolegów ze szkoły.

Mallory prawie się uśmiechnął.

– Ale oni nie sądzą, że zabija kolegów ze szkoły – zauważył. – Sądzą, że zabija bogatych.

...

Po porannej odprawie Mallory i ja poszliśmy z Savile Row na Hanover Square, gdzie przed Vogue House stały grupki szalenie atrakcyjnych, szczupłych i wysokich młodych kobiet palących papierosy.

Oczekiwano nas w kancelarii prawniczej Butterfield, Hunt i West, która miała biura od północnej strony wielkiej zielonej połąci Hanover Square. Sekretarka Salmana Khana wprowadziła nas do jego gabinetu, po czym zaproponowała kawę, herbatę albo wodę mineralną, gazowaną lub nie. Wybór okazał się za trudny. Zanim zdążyliśmy go dokonać, Khan podniósł się z biurka i zaczął nas pouczać, jak mamy wykonywać swoje obowiązki.

– Musicie zrobić coś więcej! – oświadczył swoją angielszczyzną z wyższych sfer z lekkim hinduskim akcentem. – To po prostu za mało! Dwa morderstwa i nikt nie został aresztowany? Przeróżające! Zamierzam zwrócić się w tej sprawie do detektyw inspektor Swire, która jest znajomą mojego ojca. Czy wyrażam się jasno?

Mallory uprzejmie zwrócił się do sekretarki, która wciąż stała w drzwiach.

– Poproszę o herbatę. Dwie kostki cukru i odrobina mleka.

Zerknął na mnie.

– Proszę o kawę – powiedziałem. – Czarną i mocną.

Zamknęła drzwi bez najlżejszego szmeru, a my spojrzeliśmy na Salmana Khana. Patrzył na nas z nieskrywaną wrogością. Taki rodzaj agresji obserwuje się u słabo uspołecznionych psów, pomyślałem. Nie szczekają dlatego, że są złe. Szczekają, bo są przestraszone.

Grzmiał tak przez mniej więcej minutę. Spokojnie pozwoliliśmy mu wyrzucić z siebie wszystko, co mu leżało na wątrobie. Duża część naszej pracy polega na rozmowach z ludźmi, którzy się boją. Boją się

kłopotów. Boją się, że stanie się im krzywda. Boją się, że stanie się im jeszcze większa krzywda niż ta, która już ich spotkała. Nigdy jednak nie widziałem człowieka aż tak przerażonego jak Salman Khan. Wyglądał jak ktoś, kto się boi, że mu poderzną gardło.

Kiedy przerwał dla nabrania oddechu, Mallory w typowy dla siebie łagodny i życzliwy sposób przedstawił nas i obaj pokazaliśmy legitymacje. Khan opadł na ogromny skórzany fotel na kółkach, a my zajęliśmy miejsca naprzeciwko niego. Mallory pocieszał go, przebąkując o różnych tropach, które sprawdzamy, a ja przyglądałem się, jak prawnik obraca w dłoniach niezapalonego papierosa. Mimo że w biurach kancelarii Butterfield, Hunt i West obowiązywał zakaz palenia, na biurku leżała srebrna papierośnica. Gniótł papierosa w palcach jak paciorki różańca.

– Zdajemy sobie sprawę, że to dla pana bolesne, panie Khan – rzekł Mallory.

– Nie powinniście ze mną rozmawiać – odparł, wkładając papierosa do srebrnej trumienki. – Powinniście szukać zabójcy.

– Jak pan sądzi, dlaczego ktoś chciał zabić Hugo Bucka i Adama Jonesa?

– Bo byli nałogowcami – odpowiedział. – Jeden z nich był uzależniony od seksu, drugi od heroiny. Hugo był moim bliskim przyjacielem. Adam... Adama nie widziałem od ukończenia szkoły. Ale obaj na swój sposób byli beznadziejnymi nałogowcami. I przez to zginęli.

Z pozoru teoria wydawała się wiarygodna. Jeden z mężczyzn był poszukiwaczem erotycznych przygód, drugi ćpunem. Padli ofiarą przypadkowych morderstw, czynów równie bezsensownych i irracjonalnych jak większość zabójstw. Owszem, smutne i tak dalej, ale prowadzili niebezpieczne życie i zginęli, bo sami sobie na to zasłużyli.

Teoria nie wyjaśniała jednak powodu tak wyraźnego i panicznego lęku Khana.

– Znał pan ich obu od wielu lat. – Mallory skierował rozmowę na właściwe tory. – Od szkolnych czasów.

– Pamiętam, jak poznałem Adama – rzekł Khan, kręcąc głową. – Miał trzynaście lat. Wracaliśmy z boiska. Wszyscy, cała szóstka. Ben i Ned. Piggy Philips i Jimmy Sutcliffe. Hugo i ja. Z kwalifikacji do pierwszej drużyny rugby. Byliśmy cali w błocie i we krwi. I zobaczyliśmy Adama w czystym nowym mundurku, z tym cholernym obojem w futerale. Czekał na zajęcia z muzyki. Któryś z nas – chyba Piggy – powiedział: „No, zagraj nam coś, nowy. Zagraj nam coś, dobra?”. Oczywiście nabijał się z niego. Ale Adam wyjął instrument z futerału, pięknie się do nas uśmiechnął i zagrał Bacha. Arię z *Kantaty myśliwskiej*, *Schafe können sicher weiden*. To było najpiękniejsze, co w życiu słyszałem.

Na ścianie gabinetu Khana wisiały zdjęcia. Wstałem, żeby przyjrzeć się im z bliska. Zawsze warto obejrzeć świątynię, jaką ktoś urządza samemu sobie.

Uśmiechnięty Khan w smokingu odbierający nagrodę od innego mężczyzny w smokingu.

Khan wygłaszający mowę z podium opatrzonego napisem: *Aut vincere aut mori* – mottem szkoły Potter's Field. Albo zwyciężyć, albo umrzeć.

Nastoletni Khan na boisku krykietowym z braćmi Kingami, a za ich plecami szeroko uśmiechnięty Piggy Philips, wszyscy w nieskazitelnie białych strojach, Philips z kijem krykietowym na ramieniu jak jaskiniowiec z maczugą.

Nie dostrzegłem zdjęcia siedmiu chłopców w mundurach Połączonych Sił Kadetów.

– Czym mogę służyć – rzekł ostrym tonem Khan.

– Często wraca pan do swojej dawnej szkoły? – zapytałem, uśmiechając się do niego.

Okazał się nieczuły na mój czar.

– Rozmawiam z chłopakami. Są organizowane różne imprezy. Do dzisiaj mam znajomych w szkole. Mam na myśli znajomych wśród nauczycieli. Działają różne wojskowe organizacje charytatywne, które dzięki pośrednictwu szkoły wspiera nasza firma. O co wam chodzi?

– Najlepsze lata pańskiego życia, co?

– To prawda.

Na ścianie wisiał tylko jeden obraz. Przedstawiał ukryty miejski zakątek, kanion biurowców spowity świetlistą mgiełką, jak miasto oglądane we śnie albo we wspomnieniach, które przywołuje się daleko od domu. Na obrazie nie było ludzi. Wiedziałem już, jakie inicjały zobaczę w prawym rogu.

j s

– James Sutcliffe – powiedziałem. – Ten obraz namalował James Sutcliffe.

– James był geniuszem – odparł Khan. – Mógłby osiągnąć więcej niż którykolwiek z nas.

– Dlaczego popełnił samobójstwo?

– James miał chorą duszę. Jego rodzice myśleli, że jak lekarze z Harley Street nafaszerują go pigułkami szczęścia, to go wyleczą. Ale to go popchnęło do ostateczności.

– W Potter's Field znalazł pan najlepszych przyjaciół – zauważył Mallory.

Khan wziął niezapalonego papierosa, włożył do ust, ale po chwili go wyjął. Wzdrygnął się z nieskrywaną pogardą.

– Właśnie po to jest szkoła – powiedział.

Przez chwilę myślałem, że nas zapyta, do jakiej szkoły chodziliśmy, ale postanowił tego nie robić. Wiedział, że nigdzie nie chodziliśmy. I nagle wpadł we wściekłość.

– Zabiła ich ludzka niechęć – oświadczył. – Zazdrość. Cały kraj nią teraz zalatuje. – Z powrotem wsunął do ust papierosa. – Do cholery, czy można mieć jakieś wątpliwości? Zabiła ich ludzka zawiść.

...

Okna kasyna oficerskiego w bazie RAF-u Brize Norton wychodzą na płytę lotniska, gdzie na pasie startowym czekało opasłe cielsko samolotu, którego cztery silniki turbośmigłowe pracowały na jałowym biegu, a mężczyźni w żółtych kamizelkach przeprowadzali ostatnie kontrole przed startem.

Pod ogonem samolotu – Lockheeda C-130 Herculesa – był otwarty szeroki luk załadunkowy, ale żołnierze w mundurach maskujących cierpliwie stali na płycie lotniska, jak gdyby czekanie należało do tych elementów szkolenia, które wyjątkowo dobrze opanowali. Królewscy strzelcy gurkhijscy odlatywali jeszcze dziś wieczorem.

Przyglądałem się mężczyznom, drobnym wojownikom o złocistych twarzach. Wyglądali jednocześnie łagodnie i groźnie. W oddali dostrzegałem połyskujące i mrugające w ciemnościach światła Oksfordu. Przejazd z Savile Row do Brize Norton po popołudniowej odprawie trwał zaledwie półtorej godziny, ale miałem wrażenie, jakby Londyn był bardzo daleko stąd.

Odwróciłem się na dźwięk chrapliwego śmiechu.

Kapitan Ned King i komisarz Mallory siedzieli naprzeciwko siebie na czerwonych skórzanych kanapach w sali wyłożonej czerwonym dywanem. Mallory pochylał się z obojętną, poważną miną, pozwalając

mówić swojemu towarzyszowi. Podobnie jak ludzie na pasie startowym, kapitan King miał na sobie mundur maskujący.

– Proszę wybaczyć – powiedział z szerokim uśmiechem – ale nie ma tu żadnej wielkiej tajemnicy. Adam, którego nie widziałem od lat, był narkomanem. A Hugo był seksoholikiem. Jedno i drugie to hobby wysokiego ryzyka, detektywie.

– Ale kto mógłby chcieć ich zabić? – spytał Mallory.

– Kto mi pierwszy przychodzi do głowy? Niech pan zapyta narkomanów, kolegów Adama. Niech pan zapyta rosyjską żonę Hugo albo na przykład jej rosyjskich przyjaciół.

Mallory skinął głową, jak gdyby rzecz była warta zastanowienia.

– Naprawdę uważa pan, że żona Bucka jest zdolna zabić człowieka? – spytałem.

King obrócił ku mnie pokancerowaną twarz. Już się nie uśmiechał.

– Uważam, że każdy jest zdolny zabić innego człowieka – odrzekł.

– Ale pańscy przyjaciele zginęli w identyczny sposób – zauważyłem. – Wszystkie dowody wskazują na tego samego sprawcę. Naprawdę pan sądzi, że to tylko zbieg okoliczności?

Kapitan King wzruszył ramionami.

– Sądzę tylko tyle, że śmierć to dzieło przypadku. Tak sądzę. I tyle wiem.

Z głębi kasyna dobiegał stukot bil na stole do snookera. Dwaj oficerowie śmiali się serdecznie.

– Helmand to jedyne miejsce na świecie, gdzie widziałem człowieka, który jadł lunch i równocześnie wydalał śniadanie – mówił jeden z nich.

– Tak, są cztery i pół godziny drogi od nas – rzekł drugi. – I tysiąc lat za nami.

Silniki herculesa na pasie ryknęły głośniejsze. King nagle musiał podnieść głos.

– Chciałbym bardzo, żeby ci wszyscy ludzie na lotnisku wrócili – powiedział. – Nie chcę, żeby zostali kalekami. Nie chcę, żeby zginęli. Nie chcę, żeby zostali repatriowani, jak się mówi w tym okropnym współczesnym żargonie. – Skrzywił pokrytą bliznami twarz w grymasie obrzydzenia, jak gdyby to słowo przyprawiało go o autentyczne mdłości. – Nie chcę, żeby ci dobrzy, odważni ludzie musieli po powrocie znosić litość hałustry, która wystaje pod Tesco. – Uśmiechnął się bez cienia radości. – „Wy, syte tłumy, co z płomieniem w oku wiwatujecie w rytm żołnierskich kroków...”.

– „...Błagajcie Boga, aby was ochronił przed piekłem, gdzie młodość szczęśliwa tonie”¹² – dokończył Mallory.

King zaśmiał się cicho.

– Bardzo dobrze, detektywie. Gdzie pan chodził?

– Gdzie chodziłem?

– Do jakiej szkoły.

Mallory uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nigdzie nie chodziłem. Poszedłem do państwowej szkoły w Banff. Na północy Szkocji. Trzeba się dostać do Aberdeen i jechać dalej. Ale lubiliśmy poetów z czasów pierwszej wojny światowej.

– Siegfried Sassoon, oczywiście – rzekł King. – Dożył sędziwego wieku. Zmarł w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Ale jego wielki przyjaciel Wilfred Owen poległ zaledwie tydzień przed zawieszeniem broni. Los naszych dwóch największych poetów wojennych doskonale pokazuje przypadkowość śmierci. Chcę, żeby ci ludzie wrócili do domu. Tak się nie stanie. Lądujemy w Afganistanie w nocy, więc nie pozabijają nas od razu. Ale prędzej czy później będą próbować. Najwięksi pechowcy zostaną ranni i przeżyją. Będą żyć bez jednej kończyny, dwóch, trzech albo zaliczą komplet – stracą obie ręce i nogi. Albo zostaną bez jaj, bez fiuta lub twarzy. Podobno ostatnio dynamicznie rozwija się falloplastyka. I tłumy nie będą wiwatować na

część tych chłopaków. Będą na nich czekać przydrożne bomby. Ostrzał naszych amerykańskich kumpli i afgańskich sojuszników. Miejscowy policjant, który dojdzie do wniosku, że jego bóg chce, żeby wysadził w powietrze jak najwięcej moich ludzi. Moi ludzie będą ginąć od min pułapek. Będą wchodzić na ładunki zostawione przez Rosjan i talibów. Niektórzy wrócą do domu na wózku, inni w trumnie. Ceną życia jest śmierć, panowie, a czasem rachunek jest wystawiony za wcześnie. I to nie będzie sprawiedliwe. Nie będzie racjonalne. Obaj to dobrze wiecie jako policjanci. Śmierć nie gra fair, prawda?

Wstał. Żołnierze na płycie lotniska przygotowywali się do wejścia na pokład samolotu.

– Przylatujemy w niedzielę, a niedziele są najbardziej niebezpieczne. W piątki się modlą, w soboty planują, a atakują w niedziele. Nazywamy je niedzielami napalmowymi. Ale tamtejsi ludzie są uprzejmi. Porządni. W Camp Bastion nie walają się żadne śmieci. Proszę mi wybaczyć, panowie.

– Dziękuję, że poświęcił nam pan czas, kapitanie – powiedział Mallory.

Poszliśmy z nim do drzwi kasyna.

Kiedy King wyszedł w chłód październikowego wieczoru, wszyscy jego ludzie jak jeden mąż odwrócili się, by na niego spojrzeć. Niektórzy uśmiechnęli się nieśmiało, a mnie zdziwiła ich młodość, mnogość ekwipunku i wyraźnie widoczne uwielbienie dla dowódcy.

– Dlaczego James Sutcliffe popełnił samobójstwo?

King skrzywił się, słysząc pytanie Mallory'ego.

– To było dawno temu – odpowiedział.

– Ale musiał się pan nad tym zastanawiać.

– Dlaczego ktoś popełnia samobójstwo? Bo jest słaby.

– Myślałem, że był pańskim przyjacielem.

– James Sutcliffe był dla mnie kimś więcej niż przyjacielem. Znacznie więcej. I myślę o nim każdego dnia. Ale James był słaby.

Mallory w zamyśleniu pokiwał głową.

– Przepraszam, że pana zatrzymaliśmy, kapitanie.

Podał nam rękę.

– Żałuję, że nie mogłem bardziej pomóc.

– Jeszcze jedno – rzekł Mallory.

King czekał.

– Co się stało z pańską twarzą?

Kapitan zaśmiał się głośno.

– To sprawka Bena – wyjaśnił. – Kiedy byliśmy dziećmi, rzucił we mnie szklanką podczas śniadania. Chyba powiedziałem coś, co go wkurzyło. Nigdy nikt mnie o to nie pyta – dodał wesołym tonem. Dołączając do swoich ludzi, był już w znacznie lepszym nastroju. – Wszyscy przypuszczają, że oberwałem w trakcie służby.

Mallory pokręcił głową.

– Nie, te ślady są zbyt stare. Znam się na bliznach.

11

Przy śniadaniu Scout milczała.

Wiedziałem, że nadejdzie czas, może całkiem niedługo, kiedy będzie umiała ukrywać przede mną uczucia, ale w wieku pięciu lat było na to za wcześnie.

Usiadłem naprzeciwko, odsunąłem na bok pudełko płatków z uśmiechniętymi małpkami i zajrzałem jej w oczy.

– Coś jest nie tak, Scout – powiedziałem. – O co chodzi, aniołku?

Spojrzała w mętną, brązową breję w miseczce, a potem na mnie.

– Musisz mi zrobić kostium – oznajmiła.

Odchyliłem się na krześle, oswajając się z tą wiadomością.

– Dlaczego muszę to zrobić?

– Kostium do naszego przedstawienia. Na Boże Narodzenie.

– Na jasełka?

Skinęła głową.

– Wszystkie mamusie mają zrobić dzieciom kostiumy. – Chwila wahania. – I tatusiowie. Panna Davies tak powiedziała.

Jeżeli panna Davies coś powiedziała, ryto jej słowa na kamiennych tablicach, które Mojżesz w drżących rękach znosił z góry.

– Co to za przedstawienie?

– *Marudna owieczka*. O owieczce, która nie chce iść zobaczyć małego Jezusa, który się urodził w żłóbku. Wszyscy idą zobaczyć małego Jezusa. Trzej Królowie, anioły i wszystkie owce. Ale marudna owieczka nie chce iść. Znasz taką bajkę?

– Nie.

– Owieczka marudzi. Potem jest smutna. Potem jest jej przykro. Na końcu jest jej bardzo, bardzo przykro. I rozumie swój błąd.

Kostium, pomyślałem. Jak się robi kostium? Co jest do tego potrzebne?

– Jaką rolę grasz w tym przedstawieniu, Scout?

– Marudną owieczkę.

Byłem pod wrażeniem.

– Dostałaś główną rolę. Największą?

W jej oczach błysnęła duma.

– Panna Davies wybrała mnie na marudną owieczkę – przytaknęła.

– To dobra rola, Scout. Najlepsza.

Nie dała się wziąć na lep pochlebstw.

– Potrzebny mi kostium – powtórzyła. – Będziesz go musiał zrobić.

– Zrobię – obiecałem, nie wiedząc, jak się do tego zabrać ani nawet od czego zacząć.

...

Zamiast jechać na poranną odprawę, ruszyłem w rejony ulokowane poza krawędzią planu miasta. Bmw samotnie sunęło drogą prowadzącą na północ, podczas gdy w przeciwnym kierunku, w stronę miasta, płynął gęsty strumień samochodów. Czułem się, jak gdyby nikt na świecie nie jechał tam, gdzie ja.

Miałem takie samo odczucie, kiedy usiadłem w ostatnim rzędzie w krematorium, czekając na tłum ludzi.

Który się nie pojawił.

W końcu w polu widzenia ukazało się kilka zbłąkanych dusz. Wytatuowane twarze, braki w uzębieniu i blada cera wskazująca na uzależnienie. Była ich taka garstka, że każdy miał do dyspozycji

osobny rząd. Zajęli miejsca daleko z tyłu, nie chcąc się zbliżyć do prostej trumny, która czekała na spalenie.

Kiedy zjawił się Guy Philips, zaczerwieniony na twarzy po porannym deblu albo nocnym balowaniu, zajął miejsce w ostatnim rzędzie niedaleko mnie, po drugiej stronie przejścia. Wstałem i usiadłem obok niego.

– Dzień dobry, Piggy.

Drgnął na krześle.

– Znam cię – powiedział. – Byłeś na pogrzebie Hugo. Dwaj gliniarze. Wyczułem was na kilometr. Wielkie stopy, małe wacki.

– Czy pan coś pił, proszę pana?

– O wiele za mało – odburknął.

– A ja widziałem ciebie. Nieładnie potraktowałeś tę dziewczynę, Piggy. Chyba trochę ją zabolalo.

Uśmiechnął się z pogardą.

– Nataszę? Była zmęczona, poniosły ją emocje i tyle. Trochę ją utemperowałem. Nie było innego wyjścia. – Przyjrzał mi się uważniej.

– Byliście w biurze u Paka, zgadza się?

– Paka?

– U Paka Khana. Pakistańca.

– Myślałem, że pan Khan pochodzi z rodziny anglo-indyjskiej.

– Nie chcę dzielić włosa na czworo, posterunkowy, ale to ktoś w rodzaju Pakistańca, prawda? Nie żebym był rasistą. To tylko dawne przezwisko ze szkoły. Pieszczotliwe przezwisko. Naprawdę uwielbiam Hindusów. – Przyjrzał się pozostałym żałobnikom. – Chryste, to wygląda jak zebranie sprzedawców „Big Issue”¹³. – Pokręcił dużą rudą głową, mówiąc do siebie: – Adam, co się z tobą stało?

– Dlaczego nie ma reszty dawnej paczki?

– Ned pewnie wylądował już w prowincji Helmand. Oczywiście Ben jest postacią publiczną. Nie wypadłby za dobrze w „Daily Mail”,

występując na walnym zgromadzeniu anonimowych ćpunów. A Pak chyba jest w sądzie i broni praw jakiegoś Cygana.

– Wymówki, wymówki.

– Wiem. Okropne, prawda? Ale jak widać po jego nowych kumplach, Adam zawsze był trochę inny.

– Bo był uzależniony od heroiny? Odciełście się od niego, prawda, Piggy?

Philips zachichotał.

– Myślisz, że nas to obchodziło? Najlepsze rodziny mają problemy narkotykowe. Okropne słowo. Nie, Adam zawsze był outsiderem. Adam zawsze był inny. Nawet bardziej niż Pak Khan, który, nie zapominajmy, jest Pakistańcem. Rzecz w tym, że stary Pak był cholernie dobry w krykieta. Naprawdę cholernie. Trzy lata z rzędu wychodził odbijać w pierwszej jedenastce. Kiedy umiesz wybijać za sześć punktów, podziwiają cię i akceptują. Ale Adam był zupełnie innym typem. Nie z powodu narkotyków. Dlatego, że był w szkole na stypendium. Za nas płacili rodzice. Biedny Adam musiał sobie na to zasłużyć. Brzdąkaniem na bandžo. Dmuchaniem we flecik. Och, chyba cię obraziłem. Pewnie uważasz mnie za snoba.

– Kiedy ostatni raz go widziałeś, Piggy?

– Mógłbyś przestać tak do mnie mówić? Pierwsze trzy czy cztery razy może to i było średnio zabawne, ale teraz nazywamy to nieuzasadnioną poufałością, posterunkowy.

– Detektywie.

– Oczywiście, posterunkowy.

– Piggy to tylko dawne przezwisko ze szkoły – odparłem. – Pieszczotliwe przezwisko.

– Nie pamiętam cię ze szkoły – powiedział. – Sprzątałeś toalety?

– Daj spokój, Piggy. Kiedy ostatni raz widziałeś Adama Jonesa?

– Lata temu. Przyszedł błagać o pieniądze. Buu! Jestem taki biedny. Patrz, jak rozpaskudziłem sobie żyły. Nie wiem, skąd pochodzą moje działki. I tak dalej, w tym stylu. Dałem mu, ile mogłem. I poszedł.

– Nie przejmowałeś się tym, że wyda te pieniądze na heroinę?

– Nie bardzo. Nie spodziewałem się, że wyda je na niskotłuszczowy jogurt.

– Ale dlaczego ktoś chciałby go zabić? Jeżeli chodzi o Hugo Bucka, rozumiem. Damski bokser.

Philips posłał mi chytre spojrzenie.

– Czyżbyśmy się zadurzyli w Natashy? Moim zdaniem masz trochę za skromne pochodzenie. Za wysokie progi na twoją kategorię zaszeregowania.

Delikatnie dotknąłem jego ramienia.

– Zapytam jeszcze raz. Bardzo uprzejmie. Dlaczego ktoś chciałby zabić bezdomnego narkomana, Piggy?

Spojrzał na mnie z wściekłością.

– Posłuchaj, nie masz prawa mnie tak nazywać. To głupia ksywa. Dziecinna. Podaj mi lepiej swoje nazwisko. Numer legitymacji. Co tu w ogóle robisz?

– Próbuję zrozumieć. Na pewno się nad tym zastanawiałeś. Tylko oszczędź mi historyjki o tym, że Hugo Buck bzykał pomoc domową. I nie mów, że Adam Jones sam sobie na to zasłużył. Twój przyjaciel kapitan King powiedział, że te zabójstwa nie mają żadnego związku ze sobą. Khan powiedział to samo. Jednak nie sądzę, żeby w to wierzyli. I nie sądzę, że ty w to wierzysz, Piggy.

Ale już mnie nie słuchał. Do krematorium weszła pani Jones w towarzystwie Rosality. Usiadły w pierwszym rzędzie, tuż przed trumną. Sądziłem, że Philipa zszokował widok matki Adama. W odróżnieniu od niego widziałem ją całkiem niedawno i też byłem

w szoku. Miała twarz spuchniętą od chemioterapii i ściągniętą z bólu. Trumna, przed którą usiadła, równie dobrze mogła być jej własną.

Tylko że Guy Philips nie patrzył na panią Jones. Patrzył na Rosalitę.

– Chryste – szepnął. – To ta sama gosposia. Trochę się postarzała.

Pastor mówił:

– Człowiek zrodzony z niewiasty ma życie krótkie i pełne cierpienia.

Kiedy trumna wsunęła się w płomienie, a otwór w piecu dyskretnie przykryły szeleszczące zasłony, wstałem.

– Już idziesz? – spytał Philips. – Bardzo miło się z tobą rozmawiało, posterunkowy.

– Jeszcze nie rozmawialiśmy, Piggy – odrzekłem.

Idąc w stronę pierwszego rzędu, minąłem kilku żałobników zmierzających w przeciwnym kierunku. Usuwali się przede mną i instynktownie kulili w sobie jak ludzie, którzy przyzwyczaili się, że lepiej schodzić innym z drogi.

Zobaczyłem, że pani Jones przygląda się pustym miejscom.

– Powinniśmy poczekać z rozpoczęciem ceremonii – stwierdziła. – Mogło przyjść więcej osób.

– Mieliśmy wyznaczony czas, proszę pani – odrzekła Rosalita. – Czterdzieści pięć minut. Musieliśmy zacząć.

Pani Jones uśmiechnęła się blado na mój widok.

– Przyszedł pan – powiedziała. – To bardzo miło z pana strony. – Uścisnęła mi dłonie. – Sympatycznie się z panem rozmawiało.

– Chciałbym znowu z panią porozmawiać – odparłem. – O dawnych czasach. Kiedy Adam był chłopcem.

Nagle posmutniała.

– To było tak dawno – rzekła, puszczając moje ręce i odwracając się do kobiety obok niej. – Nic nie pamiętam. Rosalito, powiedz mu o tym, dobrze?

Rosalita otoczyła ramieniem panią Jones i posłała mi piorunujące spojrzenie.

– Zdenerwował ją pan.

– Po prostu nie pamiętam – powtórzyła pani Jones.

– Oczywiście, proszę pani, czemu miałyby pani pamiętać? – uspokajała ją Rosalita. – Nic się nie stało.

Zniknęły w bocznym pomieszczeniu, by odebrać smutne naczynie z doczesnymi szczątkami Adama Jonesa. Szukałem wzrokiem Guya Philippsa, ale już poszedł. Wszyscy poszli. Długo jeszcze siedziałem w pierwszym rzędzie, czując na twarzy żar płomieni.

Kiedy odjeżdżałem, parking przy krematorium był prawie pusty. Na końcu spokojnej zielonej uliczki dostrzegłem jednak Rosalitę, która czekała na przystanku autobusowym.

Zatrzymałem się i odkręciłem okno.

– Ja pamiętam – powiedziała.

...

Zabrałem ją do małej kawiarenki w Golders Green i zamówiłem jej herbatę. Poinformowała mnie, że musi wysłać SMS.

– Do syna – wyjaśniła. – Żeby po mnie przyjechał.

Napisała i wysłała wiadomość, a ja tymczasem sączyłem potrójne espresso. Potem wbiła wzrok w herbatę. Chyba żałowała, że w ogóle się do mnie odezwała.

– Co pamiętasz, Rosalito?

Pokiwała głową i odetchnęła z ulgą, że może zacząć.

– Kolegów Adama. Braci. Tego Hindusa. Pamiętam ich wszystkich. I tego, który umarł. I tego, który tu dzisiaj był. Widziałam go. Teraz już dorosłego. Widziałam, jak siedział z panem z tyłu. I pamiętam.

– Ale co takiego pamiętasz?

Znów pokiwała głową.

– Przyjeżdżali latem. Chłopcy. Przyjeżdżali wszyscy. Kiedy nie było państwa Jonesów.

– Kiedy rodzice Adama byli na wakacjach, przyjeżdżali jego koledzy? Mieszkali w domu podczas ich nieobecności?

– Tak.

– Co robili?

Cisza. Potem Rosalita pokręciła głową.

– To nie byli grzeczni chłopcy.

Ile miała lat? Czterdzieści parę. Dwie dekady temu musiała mieć dwadzieścia kilka. Dwie dekady temu sama była młoda.

– Adam był grzecznym chłopcem. Kiedy był dzieckiem. Kochanym. Ale z nimi nie był grzeczny.

– Co się stało? Czy coś się stało?

Utkwiła wzrok w herbacie.

Nie chciała na mnie patrzeć.

– Czy oni... czy oni coś ci zrobili?

Uniosła głowę, by spojrzeć na młodego mężczyznę, który wszedł do kawiarni. Niewiele ponad dwadzieścia lat, niebieski kombinezon mechanika samochodowego. Odezwał się do matki po tagalsku.

– Nie chcemy kłopotów – zwrócił się do mnie, biorąc matkę pod rękę i podnosząc ją z krzesła.

– Chwileczkę – powstrzymałem go. – Dokąd idziecie? Co się stało?

– Nie chcemy rozmawiać z policją – powiedział. – Nie chcemy żadnych kłopotów.

– Czego się pan obawia? – spytałem. – Nie ma się pan czego bać.

Jednak mnie nie słuchali. Kłócili się w swoim języku. Syn Rosality ciągle trzymał ją za ramię.

– Obawia się pan o wize? – próbowałem się domyślić. – Tym nie musi się pan przejmować. Te sprawy mnie nie obchodzą. Mogę nawet

pomóc.

Ale już wychodzili.

– Rosalito – nie ustępowałem. – Co się stało w tej szkole?

Odwróciła się w drzwiach kawiarenki.

– Wszystko poszło w diabły – odpowiedziała.

12

Posterunkowy Billy Greene, trzymając przed sobą dwunastouncjowe rękawice, wolnym krokiem przemaszerował przez ring w idealnie prostej linii. Czekał na niego Fred. Przyglądałem się temu zrezygnowany, stojąc z boku ringu.

Zapowiadała się szarża lekkiej brygady.

Fred wyprowadził prosty, a Greene, który po wielu dniach spędzonych za biurkiem wydawał się cięższy niż kiedyś, zablokował cios wysoko uniesionymi rękawicami. Uderzenie nie było zbyt silne, ale na tyle dynamiczne, że rękawice Greene'a trzepnęły go w twarz.

Zobaczyłem, jak ukryte wewnątrz skórzanego kasku oczy posterunkowego mrugają z zaskoczenia, a zadraśnięty grzbiet nosa czerwienieje. Fred odskoczył na bok, poruszając się lekko i sprężyście jak tancerz, trzymając ręce swobodnie opuszczone wzdłuż tułowia. Greene poczłapał za nim.

Fred zaatakował gradem prostych. Wszystkie eksplodowały niegroźnie na ciasnej, wysokiej gardzie Greene'a. Ośmielony, ostrożnie sam wyprowadził prosty. Głowa Freda odskoczyła na bok jak pociągnięta sznurkiem i cios, nie robiąc mu żadnej krzywdy, śmignął ponad jego ramieniem.

Po chwili Fred znalazł się w narożniku. Przywołał gestem Greene'a, pokazując w uśmiechu niebieski ochraniacz na zębach. Greene przyjął zaproszenie i ruszył na niego ociężale. Zadał następny prosty. Fred, jeśli chciał, miał gardę szczelną jak bunkier przeciwatomowy – trzymał ręce wysoko, blisko siebie, przyciskając

łokcie do klatki piersiowej i opuszczając podbródek. Odbił się od lin i zachęcił Greene'a, żeby go zaatakował. Posterunkowy nie dał się prosić. Prosty. Sierpowy. Prosty. Wszystkie pozostały bez odpowiedzi ze strony Freda.

Greene wyraźnie nabrał pewności siebie.

Wpakował prawy, wolno, jak grubas wychodzący z baru. Fred bez trudu sparował cios i, bardziej instynktownie niż ze złości, wymierzył krótki lewy sierpowy w żebra Greene'a. Z młodego policjanta z sykiem uszło powietrze. Osunął się na kolano, zwiesił głowę i przycisnął łokieć do boku, jak gdyby próbował znaleźć źródło nagłego, straszego bólu.

Fred natychmiast ukląkł obok wyższego przeciwnika, troskliwie otaczając go ramieniem.

– Wiem, że powinienem umieć uderzyć trochę mocniej – wysapał Greene z twarzą wykrzywioną z bólu. – Przepraszam.

– Nie chodzi o to, jak mocno umiesz przyładować – odparł Fred. – Chodzi o to, jak mocno dasz sobie przyładować, a potem walczyć dalej.

O tej godzinie sala klubu była prawie pusta. Fred nałożył sfatygowane skórzane łapy trenerskie i polecił Greene'owi zadawać ciosy, cały czas udzielając mu instrukcji.

– Ten prosty szybciej. Nie zwalniasz ruchu przed wykończeniem ciosu. Mocniej, szybciej, ostrzej. Trzymaj w górze gardę. Masz szczęście, że trenujesz!

Za tym wszystkim kryła się tajemna wiedza, jaką daje boks. Masz w sobie duże możliwości. Jesteś lepszy, niż ci się wydaje.

Po wyjściu z klubu Freda zadrzałem na wieczornym chłodzie, skuliłem się i okryłem skórzaną kurtką. Na drugim końcu Charterhouse Street ludzie z hali Smithfield, którzy zaczęli nocną zmianę, śmiali się i krzyczeli do siebie w obłoczkach pary swoich oddechów. Zima nie nadchodziła. Ona już przyszła. Nisko nad kopułą

katedry Świętego Pawła widziałem żółtą paździenikową pełnię. Taki księżyc można zobaczyć tylko raz do roku. Nazywają go księżycem myśliwych.

Postawiłem kołnierz i szybkim krokiem ruszyłem do domu, by zwolnić panią Murphy.

...

Nazajutrz opuściłem Savile Row, mając duży zapas czasu przed umówionym na drugą po południu spotkaniem z posłem Benem Kingiem.

Podano mi adres budynku przy St James's Street, za Piccadilly, więc powinienem tam dotrzeć w kilka minut, a jednak chodziłem po ulicy, patrzyłem na okna, drzwi i karteczkę z adresem i czułem się jak idiota.

Klub Bena Kinga mieścił się za jedną z wielu nieoznakowanych bram przy St James's Street i jeśli ktoś nie wiedział, że tam jest, nigdy by go nie znalazł.

Przez szybę dostrzegłem siwe głowy, wyłącznie męskie, przysłonięte gazetami. Zaryzykowałem i trafiłem w dziesiątkę. Za drzwiami podszedłem do lady, gdzie portier w uniformie wziął ode mnie płaszcz. Zawiesił go w rzędzie wieszaków wyglądających jak stare kołki w szkole, a po chwili zorientował się, że nadal czekam.

– Coś jeszcze, proszę pana? – zapytał.

– Numerek? – odrzekłem, od razu czując, że popełniam gafę.

– Słucham?

– Dostanę numerek?

Za ladą stał drugi portier i zobaczyłem, jak uśmiecha się pod nosem. Portier, który wieszał mój płaszcz, wyszczerzył zęby w odrażającym uśmiechu.

– Och, u nas nie ma numerków – wyjaśnił. – Pański płaszcz jest całkowicie bezpieczny.

Z purpurową twarzą wkroczyłem pod eskortą do sali jadalnej. Pomieszczenie bardziej przypominało pokój w prywatnym domu niż restaurację. Siedzący samotnie goście mruzcili do siebie zza wielkich płacht gazet. Starszy pan w trzyczęściowym garniturze w prążki sączył czerwone wino. Inny spokojnie drzemał nad miseczką rabarbaru z kremem.

Ben King, najmłodszy spośród obecnych, poseł do Izby Gmin z Hillingdon North, podnosił się z uśmiechem z krzesła, aby mnie przywitać.

Siedział przy stoliku sam, ale kelner właśnie sprzątał dwa nakrycia. Przypuszczałem, że ze względu na porę proponuje mi lunch. Jednak najwyraźniej nie. Na jednym talerzu leżały ości po rybie z grilla, na drugim kawałek krwistego steku.

– Detektywie Wolfe – powiedział. – Przykro mi, że tak trudno było zaplanować nasze spotkanie. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

Zamówiliśmy kawę, obaj czarną – nie mogłem ryzykować i prosić o swoje ulubione potrójne espresso, obawiając się następnych skonsternowanych spojrzeń i tłumionego śmiechu – po czym King przyjrzał mi się dokładnie, choć życzliwie, i pochylił się, skupiając na mnie całą uwagę.

– Moje biuro jest gotowe pomóc w śledztwie w każdy możliwy sposób – oświadczył. – Ja oczywiście również.

Był gładszą, schludniejszą, pozbawioną okaleczeń wersją swojego brata. Roztaczał poczucie bezpieczeństwa. Rozumiałem, dlaczego ludzie na niego głosują.

– To muszą być dla pana bardzo bolesne chwile – powiedziałem. – Strata dwóch bliskich przyjaciół w tak krótkim czasie.

Uśmiechnął się smutno.

– Adama straciliśmy już wiele lat temu.

Umilkliśmy na moment, gdy stawiano przed nami kawę.

– Od dawna obawiałem się telefonu z wiadomością, że zmarł. Ale Hugo... owszem, to był cios.

– Czyli nie kontaktował się pan z Adamem Jonesem?

– Kilka lat temu zwrócił się do mnie z prośbą o pieniądze, a raczej do mojego biura. Nie widziałem się z nim wtedy.

– I nie dostał od pana pieniędzy?

– Dałbym mu pieniądze na leczenie. Dałbym na terapię. Nie zamierzałem dawać na heroinę. Chyba zwracał się do wielu dawnych przyjaciół. Guy się z nim widział.

– Mówił mi – odrzekłem i przez głowę przemknęła mi myśl: ale o tym już wiesz. – Straszne, że nie można mu było pomóc. Co za zmarnowane życie.

Ben King spojrzał na mnie i zorientowałem się, że potrafi popatrzeć na człowieka, jak gdyby nagle, po raz pierwszy w życiu zobaczył go wyraźnie. Przechylił głowę na bok, jakby chciał się lepiej przyjrzeć, jakbym właśnie powiedział coś wyjątkowego albo doniosłego, albo prawdziwego. Jakbym nagle urósł w jego oczach do rangi wpływowej osoby, przedstawiającej mu rzeczy, o których nigdy wcześniej nie słyszał. Popatrzył na mnie, jakbym był ostatnim żyjącym człowiekiem na ziemi. Tak właśnie spojrzał. Ale może tak robią wszyscy politycy.

– Już trzech pańscy przyjaciele ze szkoły zmarli przedwcześnie – zauważyłem.

Zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Mówi pan o Jamesie? To rzeczywiście była tragedia. W miarę jak przybywa mi lat, stale myślę o Jamesie. – Pierwszy raz wydawał się autentycznie wzruszony, jak gdyby samobójstwo osiemnastolatka

było świeższą raną niż dwa niedawne morderstwa. – Hugo i Adam – powiedział. – Ich śmierć ma ze sobą coś wspólnego?

– Tak przypuszczamy – odrzekłem, powtarzając słowa Mallory’ego.
– We właściwym czasie zamierzamy odwiedzić Potter’s Field.

Zanim odpowiedział, wypił łyk kawy.

– Ale po co mielibyście jechać do naszej dawnej szkoły? – Mówił cichym i spokojnym głosem.

– To jeden z tropów, który musimy zbadać. O ile nam wiadomo, tylko jedno łączy pana Bucka i pana Jonesa. Przeszłość. Czy podczas pobytu w szkole stało się coś, co...

– ...mogło kogoś skłonić do ich zabójstwa? – dokończył King. Wyćwiczony uśmiech osłodził nieco zjadliwość, która czaiła się w tych słowach. Próbował nie roześmiać mi się w twarz. – Mówi pan, jakby te morderstwa można w jakiś sposób usprawiedliwić, detektywie.

– Nie chciałem, żeby odniósł pan takie wrażenie.

– Nie wątpię – odparł z przebaczącą nutą w głosie. Odwrócił wzrok, jak gdyby przypominał sobie tamte lata. – Byliśmy zwykłymi chłopakami. – Znowu na mnie popatrzył. – Ale jeżeli coś mi przyjdzie na myśl, oczywiście natychmiast się z wami skontaktuję. Zależy mi na tym samym, co wam. Mogę pana prosić o wizytówkę?

Dałem mu ją i zorientowałem się, że niezwykle uprzejmie mnie wyprasza. I że na rozmowę z nim czeka ktoś inny. Potargany i wymięty mężczyzna z nadwagą, spoglądający na niego z nabożną czcią zza zatłuszczonych okularów. Wyglądający jak turysta dziennikarz, który przyszedł przeprowadzić z nim wywiad. Spocony i rozgorączkowany, jakby miał spore kłopoty z odnalezieniem drzwi klubu dżentelmenów przy St James’s Street. Wstałem i uścisnąłem Benowi Kingowi dłoń, dziękując mu za poświęcony czas i za kawę.

Odebrałem płaszcz od portierów, którzy pożegnali mnie ze znaczącymi uśmieškami, i dopiero na ulicy dotarło do mnie, że poseł

z Hillingdon North zaplanował spotkania na każde danie lunchu.

Ja byłem deserem.

...

– W tym ich małym gangu – mówiłem po powrocie do biura – pierwsze skrzypce grali bracia Kingowie, Ben i Ned. To oni byli samcami alfa. Ben wygląda mi na przywódcę stada.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał Mallory.

– Pokaleczył twarz bratu. Guy Philips był ich pitbulem. Salman Khan był ich pudlem. Hugo Buck ich mięśniakiem, gwiazdą sportu. Adam Jones, myślę, że po prostu się do nich przyłączył. Pozwalał im szaleć w swoim domu, kiedy nie było rodziców. Adam był ich maskotką. Pieskiem pokojowym.

– A ten, który popełnił samobójstwo? James Sutcliffe?

– Wydaje się, że wszyscy go uwielbiają – powiedziałem. – Umarł młodo. Zostawił po sobie piękne zwłoki i tak dalej. Wątpię, czy za jego życia wyglądało to inaczej. Poza tym był wśród nich jedynym autentycznym arystokratą. James Sutcliffe, syn hrabiego Broughton. Ci chłopcy – ci mężczyźni – pochodzili z bogatych rodzin. Nawet Adam, chociaż był na stypendium muzycznym, wychowywał się w bogatym domu. Ale tylko Sutcliffe wywodził się z naprawdę wyższych sfer, tylko on pochodził z rodziny, która miała pieniądze od pokoleń. Był ich bohaterem.

Spojrzelśmy na zdjęcie siedmiu żołnierzy, na chłopca stojącego w środku, w ciemnych okularach, z poważną miną i włosami zaczesanymi do tyłu, odsłaniającymi wysokie czoło. Wyobraziłem go sobie, jak składa ubranie na plaży w Amalfi i wchodzi do morza.

– Jeżeli nie oni się nienawidzą nawzajem, to kto ich nienawidzi? – spytałem.

– Och, wszyscy inni – odparł Mallory.

– Słucham?

– Mówię o naszej brytyjskiej nienawiści, której istotą są resentymenty klasowe. Żal nam małych chłopców, kiedy wyprawia się ich do szkół z internatem, gdzie moczą łóżka i płaczą za matką, ale kończy się na tym, że chcemy być na ich miejscu, bo mają coś, czego reszta nigdy nie będzie miała.

Mallory popatrzył na ekran i radosnych chłopców w mundurach.

– To coś więcej niż pewność siebie – ciągnął. – Więcej niż poczucie uprzywilejowania. To całkowita i niezachwiana pewność, że jutro należy do nich. – Uśmiechnął się do mnie. – Któż nie chciałby się tak poczuć?

Następnego dnia pojechaliśmy do Potter's Field.

13

– A teraz na ziemię – zakomenderował Guy Philips.

Pięćdziesięciu chłopców, dygocząc z zimna w krótkich spodenkach i podkoszulkach, wlepiło wzrok w swojego nauczyciela wuefu. Uśmiechali się do siebie głupkowato, wciąż mając nadzieję, że on żartuje. Na szkolnych boiskach szalał przenikliwy wiatr. Była trzecia po południu i już się ściemniało.

– No już!!! – wrzasnął.

Zrozumieli, że nie żartuje.

Powoli przyjęli pozycję na czworakach. Boisko do rugby było zryte przez dziesiątki tysięcy korków i przypominało bagno, więc gdy chłopcy badali grunt, ich dłonie i kolana plaskały z chlupotem o ziemię. Philips chodził między nimi w nieskazitelnie białym dresie, z szerokim uśmiechem na czerwonym obliczu. Świetnie się bawił.

– Nie na pieska, ropuchy. Na brzuch. Na plecy. Tarzać się. Dobrze. Teraz na plecy, Knowles. Przeczolągaj się porządnie, Jenkins. No, Patel, babo jedna, mocniej szoruj po ziemi!

Wkrótce stroje gimnastyczne chłopców – białe spodenki i koszulki z purpurowo-zieloną lamówką w barwach Potter's Field – lepiły się od błota i wilgoci. Philips zostawił ich na ziemi i wrócił do miejsca, z którego obserwowaliśmy całą scenę.

– Osiem kilometrów przez las i po prysznicu do was przyjdę – rzekł do Mallory'ego. – Powinna wystarczyć godzina plus jakieś trzydzieści minut dla bałwanów. Może być?

Mallory skinął głową, a Philips pobiegł do chłopców. Nauczyciel był w dobrym humorze.

– Wstawać, wstawać! – krzyknął, jak gdyby sami wpadli na pomysł, by tarzać się w błocie. – Teraz już chyba nie boicie się pobrudzić kolan, co?

– Nie, proszę pana! – odkrzyknęli chórem.

– W takim razie do roboty. Biegiem na drugą stronę boiska, przez las do Starego Młyna i z powrotem, żeby zdążyć na wieczorną modlitwę.

Pobiegli, a wśród drobnych ubłoconych postaci jaśniał Philips w śnieżnobiałym dresie. Zanim dotarli do lasu, dotrzymywali mu kroku tylko najszybsi. Okularnicy, grubasy i naburmuszeni wlekli się z tyłu.

Ruszyliśmy z powrotem do szkoły.

Potter's Field składała się głównie z wiktoriańskich budynków z czerwonej cegły, choć były tu także nowocześniejsze zabudowania, najwyraźniej mieszkalne, oraz parę starszych, czarnych i niszczących, które wyglądały, jakby pochodziły ze średniowiecza. Sto lat trwało tu nie dłużej niż mgnienie oka.

Mijały nas grupki chłopców. Nosili słomkowe kapelusze – u starszych już przetarte i postrzępione – zielone marynarki obszyte purpurową lamówką i jasnoszare spodnie. Wszyscy dźwigali książki albo sprzęt sportowy, albo jedno i drugie.

– Nic się nie zmieniło od lat osiemdziesiątych, kiedy chodzili tu Hugo Buck i Adam Jones – rzekł Mallory. – Tysiąc uczniów. Sami chłopcy. Wszyscy w internacie. W każdym budynku troje stałych pracowników – opiekun domu, wychowawca i pielęgniarka.

Przystanęliśmy, by spojrzeć na pomnik założyciela szkoły stojący na dziedzińcu przed głównym budynkiem. Henryk VIII nie był przedstawiony jako gruby, brodaty król, ale długowłosy

i wysportowany uczeń, szczupły młodzieniec z książką w ręku i dwoma kamiennymi spanielami u stóp – król Henryk VIII, który nie skrzywdziłby muchy.

– I prawdopodobnie niewiele się zmieniło, odkąd ją założył – dodał Mallory. – Wiedziałeś, że pogrzebał na terenie szkoły swoją największą miłość?

– Czyli którą żonę, panie komisarzu?

– Nie żonę. Psy. – Mallory wskazał spaniele. – W Potter's Field Henryk VIII pochował swoje ulubione psy. Powinniśmy zobaczyć ich grób. Nie chciałbym stracić takiej okazji.

Pięćset lat. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że coś mogłoby trwać pięćset lat. Zawsze się cieszyłem, że udaje mi się dożyć do weekendu.

Za kaplicą znajdował się niewielki cmentarz. Niszczące nagrobki, z których czas i pogoda starły już wiele inskrypcji. Ale łatwo było odnaleźć mogiłę psów. Był to duży kwadratowy grobowiec w samym środku cmentarza, opatrzony krótkim epitafium.

*Bracia i siostry,
Ostrzegam otwarcie:
Nie dajcie serca
psu na pożarcie.*

Kiedy wracaliśmy do budynków szkolnych, z autokaru wysiadali goście z drużyny rugby miejscowej szkoły państwowej. Chłopcy uśmiechali się, zaskoczeni i rozbawieni widokiem uczniów Potter's Field w słomkowych kapeluszach i zielono-purpurowych marynarkach. Ci jednak nie dali po sobie poznać, że to zauważyli, więc uśmiechy na twarzach chłopców ze szkoły państwowej wyglądały jak obronne maski.

Wśród gości przechadzał się górujący nad innymi mężczyzna w todze, kiwając głową i uśmiechając się, z rękami założonymi do tyłu

niczym członek rodziny królewskiej dokonujący inspekcji wojska z Trzeciego Świata. Widziałem go wcześniej – to był ten niewiarygodnie wysoki gość na pogrzebie Hugo Bucka.

– Dyrektor – powiedział Mallory. – Czeka na nas.

...

Peregrine Waugh, dyrektor Potter's Field College, stał w oknie gabinetu i patrzył na drugą stronę boisk.

– Trzech premierów, dwanaście Krzyży Wiktorii, cztery Nagrody Nobla – rzekł. – Dwie w dziedzinie fizjologii i dwie w dziedzinie fizyki. Piętnastu medalistów olimpijskich, czterdziestu czterech posłów i sześć nagród BAFTA. Nasza sekcja dramatyczna zawsze była bardzo aktywna. Nasi absolwenci od dawna występowali już na scenie, kiedy do Królewskiej Akademii Sztuki Dramatycznej przyjmowano pierwszych absolwentów Eton.

– Jeszcze dwa morderstwa – wtrąciłem.

Spojrzał na mnie znad okularów bez oprawek.

– Jak to? – warknął.

– Hugo Buck i Adam Jones – wyjaśnił Mallory. – To też dawni uczniowie Potter's Field.

– Tak, tak. Straszna tragedia. Jedna i druga śmierć. Już kogoś aresztowaliście?

– Jeszcze nie – odparł Mallory.

Waugh wrócił za biurko i wypuścił powietrze z płuc, co równie dobrze mogło być westchnieniem.

– Choć trzeba przyznać, że Jones oszedł ze szkoły w niesławie – powiedział. – Smutne, ale nie byli naszymi pierwszymi uczniami, którzy padli ofiarą morderstwa. W latach siedemdziesiątych zginął pewien Pers. Okropnie bogaty. Z rodziny magnatów naftowych.

Kochanka roztrzaskała mu na głowie pustą butelkę po szampanie Bollinger na Bishops Avenue. – Lekko się uśmiechnął. – Przywileje nie gwarantują szczęśliwego życia ani nawet długiego. Wiemy natomiast, że w Potter's Field jesteśmy uprzywilejowani, panowie. Ale dajemy coś w zamian. To należy do tradycji Potter's Field. Do etosu. Zawsze tak było. Obchody Dnia Pamięci. Koncert kolęd dla mieszkańców miasta. Płacimy za sprzątanie ulic. Z naszych kortów korzysta Klub Tenisowy Potter's Field. A obiektów szkolnych – boisk, basenu – często używają miejscowe szkoły i różne organizacje charytatywne.

Wstał i wrócił do okna.

– Sądzę nawet... ach, tak. – Popatrzył na nas z radosnym uśmiechem. – Proszę spojrzeć.

Stanęliśmy obok niego i naszym oczom ukazała się rozległa zielona połać boisk Potter's Field. Były puste, jeśli nie liczyć trzech postaci, które kręciły się przy linii autowej najbliższego boiska do rugby. Ujrzałem mężczyznę na wózku, drugiego o lasce i trzeciego, ich fizjoterapeutę, który demonstrował ćwiczenie rozciągające. Wszyscy mieli na sobie T-shirty. Twarz rehabilitanta wyglądała trochę nienaturalnie, jak gdyby była przysłonięta maską.

Człowiek na wózku nie miał nóg. Poniżej jego pasa widoczny był jakiś przedmiot przypominający dwie białe miski. Jedną rękę miał o wiele jaśniejszą niż jego ciemna skóra i dopiero gdy słaby promień słońca zaśnił w zakrzywionym kawałku metalu, który zastępował mu rękę, zorientowałem się, że nosi protezę.

Mężczyzna z laską też stracił nogi lub raczej ich większą część. Z długich, luźnych szortów wystawały dwa cienkie, czarne pręty. Pozostałość prawej nogi była owinięta w okolicy kolana czymś w rodzaju białego bandaża. Wyglądało na to, że potrzebuje laski, aby stać, ale górna połowa ciała była niewiarygodnie muskularna.

Wszyscy trzej się śmiali.

– Armia brytyjska nadal jest największym pracodawcą dla absolwentów Potter's Field – powiedział Waugh. – Mimo tego, co się powszechnie sądzi, nie wszyscy idą do banków w City i do Royal Shakespeare Company w Stratfordzie. Nigdy nie zapominamy o naszym długu wobec ojczyzny.

Przyglądaliśmy się, jak mężczyzna na wózku i mężczyzna o lasce wykonują kilka niezbyt forsownych ćwiczeń, pilnie słuchając poleceń fizjoterapeuty, mężczyzny, który wyglądał, jakby nosił maskę.

– Wspaniale, wspaniale – rzekł Waugh, odwracając się od okna, gdy uznał, że widzieliśmy już dość.

– Znał ich pan – powiedział Mallory. To nie było pytanie. – Znał pan Hugo Bucka i Adama Jonesa. Kiedy uczyli się w Potter's Field. Pan też tu wtedy był, prawda? Dwadzieścia lat temu. Był pan nawet opiekunem domu, w którym przebywali.

– Tak, tak – potwierdził Waugh. – Nie wspomniałem o tym?

Mallory milczał, pozwalając mu mówić.

– Buck i Jones byli w Abbey. To najstarszy i najmniejszy dom w Potter's Field. Dość zaskakująca przyjaźń – sportowiec i muzyk. Ale wspólne mieszkanie zbliża chłopców.

– Mógłby pan wytłumaczyć, na czym polega rola opiekuna domu w Potter's Field? – poprosiłem.

Waugh prychnął.

– Szkoła z internatem to w rzeczywistości zwykła szkoła z dobudowanymi hotelami – odparł. – Opiekun domu kieruje hotelem, w którym mieszkają chłopcy. Przejmuje rolę rodzica: dodaje im odwagi, wspiera i pilnuje, żeby brali czynny udział w życiu szkoły. Dyscyplinuje ich, jeśli trzeba. – Lekki uśmiech. – Chociaż ostatnimi czasy nie tak jak kiedyś, oczywiście. Uczniowie nie są karani chłostą i mniej się uczą. Czyli to, co zyskują z jednej strony, z drugiej tracą.

Z końca boisk dobiegł hałas przypominający ptasią wrzawę.

– Oho – powiedział Waugh. – Wydaje mi się, że wraca pan Philips z chłopcami.

...

Żołnierze zobaczyli to pierwsi.

Mallory i ja wyszliśmy z gabinetu dyrektora i staliśmy przy linii bocznej boiska do rugby, przyglądając się, jak zawodnicy z państwowej szkoły dostają łupnia od gospodarzy. Właściwie nie zwróciliśmy uwagi na oblepionych błotem chłopców, którzy wysypali się z lasu, wymachując chudymi kończynami.

Żołnierze przerwali jednak spokojną gimnastykę i utkwili w nich wzrok. Wtedy my też to zobaczyliśmy.

Chłopcy płakali.

Minęli nas w biegu, jedni w grobowym milczeniu z twarzami mokrymi od łez, inni wydając zwierzęce wrzaski z powodu szoku i przerażenia.

Chwyciłem jednego za ramię.

– Co się stało? – krzyknąłem.

– Proszę pana... – załkał. – Pan Philips. Proszę pana, ktoś chciał go zabić.

Po chwili spomiędzy drzew wyłonił się Guy Philips, trzymając się rękami za szyję, z czerwonymi plamami krwi na białym dresie. Szedł przez boisko chwiejnym krokiem, a jego oczy wskazywały, że traci świadomość.

Podbiegliśmy do niego i gdy osunął się w ramiona Mallory'ego, z rany trysnęła krew.

Kiedy Mallory zerwał mu z szyi przesiąknięty krwią krawat, ujrzałem ranę w kolorze o wiele głębszej czerwieni niż chlustający strumień. Komisarz kucnął w błocie obok nauczyciela i błyskawicznie

okręcił krawatem jego zmasakrowane gardło, zaciskając materiał pod raną i usiłując zatamować przerażający krwotok. Próbował zadzwonić, ale śliski od krwi telefon wysunął mu się z dłoni.

Ruszając w stronę lasu, usłyszałem jeszcze, jak do mnie woła.

...

Byłem w lesie sam. Biegłem, dopóki nie dotarłem do otwartej, pustej jak powierzchnia Księżyca przestrzeni. Zatrzymałem się, aby odzyskać oddech, i zawahałem się, czy powinienem zawrócić do lasu, czy przebiec przez zaorane pole. Po drugiej stronie stała farma.

Zauważyłem, że na pniu drzewa, przy którym stoję, jest krwawy odcisk całej dłoni.

Spojrzałem w stronę farmy. Nie dostrzegłem żadnego ruchu. I nagle w środku coś jakby drgnęło. Mignięcie cienia. Nie wiedziałem, czy to wyobraźnia płata mi figle, czy kryje się tam jakiś człowiek, czy to złudzenie wywołane zapadającym zmierzchem. Niemniej pobiegłem w kierunku gospodarstwa.

Stała tam kwadratowa ceglana zagroda, która sypała się ze starości, a gdy przystanąłem w pobliżu, zobaczyłem, że w oknach domu wytłuczono wszystkie szyby. Od lat nikt tu nie mieszkał.

Oparłem się o niski ceglany murek i nagle podskoczyłem. Rozległ się krzyk przypominający płacz niemowlęcia. Zajrzałem do zagrody i zobaczyłem świnię. Tylne nogi miała związane sznurkiem, jakby przygotowano ją do uboju, i spanikowana czołgała się w błocie. Przekroczyłem fragment ukruszonego murku i kucnąłem obok świni. Kwiknęła przerażona, gdy gołymi rękami odwijałem sznurek, dopóki jej nie wyswobodziłem. Zwierzę natychmiast czmychnęło z paniką w oczach.

Kiedy się podnosiłem, poczułem ból eksplodujący z tyłu czaszki.

Zaraz potem, tak błyskawicznie, że wydawało się, jakby to był jeden cios, wewnętrzna krawędź czyjegoś przedramienia uderzyła mnie w szyję, a pięść trafiła w krzyż.

Poczułem uścisk silnych rąk. Napastnik stał tuż za mną, odciągając mi głowę do tyłu. Był tak blisko, że mogłem go kopnąć w golenie, ale nagle zabrakło mi siły; był tak blisko, że mogłem mu wyrwać jaja, ale nagle poczułem się zbyt wyczerpany szokiem i bólem, by w ogóle próbować.

Wtedy zaatakował.

Lewą dłonią szarpnął mnie mocno za prawy policzek i wpychając palce w ciało i zęby, obrócił moją twarz na bok. Zerknąłem w dół i zobaczyłem nóż.

Sztylet Fairbairn-Sykes. Jedyne narzędzie przeznaczone do przecinania tętnic szyjnych człowieka.

Długa cienka klinga lekko się poruszyła i koniec stalowego ostrza przywarł do mojej szyi, znalazł mięsień, który mu się nie spodobał, przesunął się do przodu, dźgnął jabłko Adama, a potem wrócił do opornego miejsca na szyi i pozostał tam, naciskając mocniej.

Nóż przebił skórę i przeszła mnie błyskawica bólu.

Czułem spokojny oddech napastnika na tyle głowy, w której huczało mi od uderzenia.

Po szyi ściekała ciepła strużka krwi.

Próbowałem obniżyć swój środek ciężkości. Wierzgnąłem w przerażeniu nogami, atakując go obcasami. Broniłem się przed nim i broniłem się przed własnym zmęczeniem, gryzłem i przeklinałem, za nic nie chcąc ulec ani jednemu, ani drugiemu.

Ale trzymał mnie coraz mocniej, słabłem z bólu, a nóż zagłębiał się coraz bardziej i ostrze pograżyło się już w moim ciele.

Poczułem, że zwisam bezwładnie w jego ramionach.

– Proszę – szepnąłem. – Mam córkę.

Znieruchomiał.

Tępe metalowe zakończenie rękojeści noża rąbnęło mnie w prawą skroń. Potem jeszcze raz, w lewą. Chyba na parę sekund straciłem przytomność, bo dopiero po chwili zorientowałem się, że klęczę, kręci mi się w głowie i mam mdłości.

– Proszę – powtórzyłem, a kiedy uniosłem wzrok, zobaczyłem torbę.

Sfatygowaną skórzaną walizkę typu Gladstone.

Torbę do zabójstw.

Stała na suchym kawałku ziemi w zagrodzie, czekając na niego.

Stalowy czub buta z całej siły łupnął mnie w kręgi lędźwiowe. Ból był porażający. Zobaczyłem żółte światło i wybuchy gwiazd. Moimi plecami wstrząsnęły straszliwe spazmy.

Uświadomiłem sobie, że krzyczę.

Słyszałem hałasy i widziałem błyski, ale wszystko to działo się tylko w mojej głowie. Udało mi się podnieść na ręce i kolana. Nie mogłem wstać. Zacząłem się czołgać. Moje mięśnie zmieniły się w sparaliżowane z bólu kawały mięsa i tylko strach nie pozwalał mi się zatrzymać. Czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie, choć wiedziałem, że płynie, bo zmienił się grunt pode mną, z twardego ubitego błota na zaoranym polu w dywan opadłych liści, którym był przykryty las. W końcu poczułem trawę. I usłyszałem głosy, które nie rozlegały się już w mojej głowie.

Nagle poczułem na policzku gorący oddech i odskoczyłem w śmiertelnej panice.

– Proszę – wykrztusiłem.

I zobaczyłem przed sobą przerażony ryj świni.

LISTOPAD
Marzenia umarłych

Leżałem w ciemności w łóżku, a odgłosy wydawane przez moją córkę i psa, którzy bawili się w głównym pomieszczeniu loftu, pchały mnie w ramiona snu. To był kojący dźwięk – śmiech rozbawionej Scout jak świątynne dzwoneczki i ciche stąpanie łap Stana goniącego jakąś pogryzioną starą zabawkę, którą mała ciągnęła. Ale wtedy moje plecy przeszywał następny spazm bólu i natychmiast się budziłem.

Po tym, jak znaleziono mnie na skraju boisk, zostałem odwieziony do oddziału ratunkowego położonego najbliżej Potter's Field. Lekarz chciał mnie zostawić na noc w szpitalu, ale to było niemożliwe. Musiałem wracać do Scout. Tak więc po rutynowych badaniach – świeceniu latarką w oczy, pytaniach o mdłości i sprawdzeniu, czy wszystkie kości są całe – doktor niechętnie zezwolił umundurowanemu funkcjonariuszowi odwieźć mnie do domu, gdzie pani Murphy obrzuciła mnie krótkim spojrzeniem, po czym zapakowała do łóżka, mówiąc, że zadzwoni do swojej rodziny, zajmie się Scout i będzie spać na naszej kanapie. Zostałem w łóżku przez całą noc i następny dzień, nie mając jednak wielkich szans na prawdziwy odpoczynek, bo ból stale czaił się w pobliżu.

Drgawki zaczynały się u dołu kręgosłupa i biegły aż do podstawy czaszki, a wrażenie było takie, jak gdyby wszystkie mięśnie pleców, ramion i szyi kurczyły się równocześnie. Z początku ból miał wyraźny ośrodek – miejsce na plecach, gdzie dostałem kopniaka. Ale w miarę jak upływały kolejne godziny wyczerpującego zawieszenia między snem a jawą, ból wędrował gdzie indziej, przemieszczając się do

ramienia, żeber, szyi czy środka pleców, jak gdyby szukał lepszego umiejscowienia. Nigdy nie wiedziałem, gdzie się ulokuje.

Najgorsze były jednak skurcze mięśni. Ilekroć ogarniała mnie następna fala porażającego bólu, wyginałem plecy w łuk. Przy ostatniej omal nie wrzasnąłem.

– Tatusiu?

W drzwiach stała Scout. Pomyślałem, że mój krzyk ją przestraszył. Ale w rękę trzymała telefon.

– Jakaś pani do ciebie.

Zaczekałem, aż córka wyjdzie z sypialni, a po chwili usłyszałem panią Murphy, która mówiła do niej cicho, że musi ją uczesać.

– Wolfe – powiedziałem do słuchawki.

– Scarlet Bush. – W głosie dziennikarki dało się słyszeć podniecenie. – Spotkał go pan. Spotkał pan Boba Rzeźnika.

– Nie wiem, kogo spotkałem.

– To musiał być Bob.

– Skąd pani ma ten numer?

– Chcemy wam pomóc go znaleźć – mówiła. – Mój wydawca rozmawiał z właścicielem gazety. Mamy jego pełne wsparcie, żeby pomóc wam postawić Boba Rzeźnika przed sądem.

– Wrobiła mnie pani. W tym cholernym artykule włożyła mi pani w usta słowa, których nie powiedziałem.

Zachowała stoicki spokój.

– E.L. Doctorow powiedział: „Skłaniam się ku przekonaniu, że nie istnieje rozróżnienie między literaturą piękną a literaturą faktu, takie, jak powszechnie je rozumiem; istnieje tylko narracja”.

– To znaczy, że wymyśla pani treść?

– Niezupełnie. To znaczy, że są fakty, z których wynika prawda. – Umilkła na chwilę. – To pańska córeczka odebrała telefon? Scout?

Usiłowałem opanować gniew.

- Proszę nigdy więcej nie dzwonić do mnie do domu.
- Widział pan jego twarz?
- Niech pani nigdy nie zaczepia mojej córki.
- Rozmawiał pan z nim?
- Niech się pani trzyma od niej z daleka.
- Powiedział pan coś do niego?

Moje plecy przeszył spazm bólu. Przygryzłem zęby i zacisnąłem usta, dysząc ciężko przez nos. Dziennikarka uznała, że jest na właściwym tropie.

- Powiedział pan coś, prawda?

Proszę. Mam córkę.

Błagałem go.

Błagałem mordercę, żeby darował mi życie.

Chory ze strachu. Obezwładniony przerażeniem.

Proszę.

– Co pan do niego powiedział, detektywie? Próbował mu pan przemówić do rozsądku? Groził mu pan? Co pan czuł? Dochodzą nas słuchy o narzędziu zbrodni. Podobno to nóż sił specjalnych? Oldskulowy. – W tle usłyszałem stukot klawiatury. – Sztylet Fairbairn-Sykes. Czy pan go widział?

Zakląłem pod nosem. Skąd brali te wiadomości?

– Jeszcze ostatnie pytanie – powiedziała. – Techniczne. Trzecie morderstwo to punkt zwrotny, prawda? – Mówiła lżejszym tonem. Zadowolona. – Bo jeżeli są trzy morderstwa, to już oficjalnie mamy seryjnego zabójcę, prawda?

Rozłączyłem się.

Do pokoju wszedł Stan i z zaciekawieniem przyglądał się, jak próbuję się ubrać. Przechylił głowę na bok, a ja tymczasem usiłowałem włożyć skarpetki. Moje plecy straciły giętkość, uniemożliwiając mi pochylenie się do przodu.

– Nie wolno ci wchodzić do tego pokoju – powiedziałem. – No już, Stan, wynoś się.

Położył się, ciągle mnie obserwując. Siedząc na łóżku, włożyłem koszulę. Stan oparł pysk na łapach. Zapiąłem koszulę i jeszcze raz spróbowałem włożyć skarpetki. Nic z tego. Mięśnie pleców skamieniały.

Najwyraźniej znudzony moimi żalonymi wysiłkami, pies wstał i ziewnął. Przeciągnął się, najpierw unosząc zad i prawie dotykając klatką piersiową podłogi, a potem wychylając się na przednich łapach, aż tylne łapy i grzbiet utworzyły niemal linię prostą.

Spojrzał na mnie.

Teraz ty tak spróbuj.

Wiedziałem jednak, że jeżeli położę się na podłodze, będę musiał wezwać straż pożarną, żeby pomogła mi wstać. Dlatego podniosłem się oparty przedramionami o łóżko i odepchnąłem się tyłkiem, rozciągając dół pleców. Następnie przechyliłem ciało do przodu i wtedy to poczułem, w ścięgnach udowych – cudowne uczucie, gdy uśpione mięśnie nagle budzą się do życia.

Powtarzałem tę czynność – kołysałem się w tył i w przód, na swój sposób naśladując przeciąganie się mojego psa – aż się spociłem i zadyszałem, ale wreszcie na tyle się rozluźniłem, by usiąść na łóżku i włożyć skarpetki.

Stan nadal mnie obserwował.

Aha, zdawał się mówić. Udało ci się.

Scarlet Bush miała rację – trzy ofiary i już nie szukamy mordercy. Szukamy seryjnego mordercy.

Do tego jednak jeszcze nie doszło.

Piggy Philips leżał w szpitalu, kurczowo trzymając się życia i oddychając przez respirator z powodu rany kłutej tchawicy, a przed

drzwiami jego sali dwadzieścia cztery godziny na dobę pełnili straż umundurowani policjanci.

15

Na Savile Row 27 jest stołówka, ale zaraz po drugiej stronie Regent Street czeka Soho z jedzeniem z całego świata. Jeżeli więc ktoś pracuje w Głównym na West Endzie, prawdziwą stołówką są dla niego uliczki Soho.

Elsę Olsen znalazłem w koreańskiej restauracji na końcu Glasshouse Street. Patolog właśnie pałaszowała miseczkę dak bulgogi z ryżem.

– Wyglądasz jak śmierć na chorągwi, Max.

Ostrożnie usadowiłem się na krześle naprzeciwko niej.

– W ustach osoby twojej profesji, Elso, brzmi to jak komplement.

Machnęła pałeczkami.

– Masz ochotę coś zjeść?

Pokręciłem głową.

– Jeżeli nie przyszedłeś na lunch, to chcesz mnie zapytać o człowieka z raną tchawicy zadaną nożem – powiedziała.

Uśmiechnąłem się.

– Świetnie mnie znasz.

– Chcesz wiedzieć, czy przeżyje.

– Rzeczywiście, coś takiego przyszło mi do głowy.

– To zależy od stopnia uszkodzeń wewnętrznych.

– Mówimy o ranie kłutej, Elso. W gardło Guya Philippsa został wbity nóż, ale gardło nie zostało rozcięte. Podaję ci najważniejsze punkty w skróconej wersji, rozumiesz.

– Rozumiem. Ale ty też musisz zrozumieć, że są różne rany kłute, Max. Perforacja tchawicy może mieć różne rozmiary, od niewielkiej ranki po całkowite rozerwanie. Ile już przeżył, czterdzieści osiem godzin?

– Tak.

– Powiedziałabym więc, że ma duże szanse. Lecz nawet jego lekarze nie mogą mieć pewności. Jeżeli nie chcesz dak bulgogi, byłoby lepiej, gdybyś z nimi porozmawiał.

– To jeszcze nie wszystko, Elso.

Odłożyła pałeczki na miseczkę i czekała.

Pochyliłem się nad stolikiem. Moje plecy zaprotestowały pulsującym bólem.

– Czy mógł stracić przytomność? – zapytałem. – Napastnik wbił mu nóż w gardło, ale był zaniepokojony, nie wiemy, dlaczego, a ofiara jakimś cudem na tyle skutecznie zatamowała krwotok, że zdołała ocalić życie, zdołała wstać i uciec. Czy to możliwe, że przez cały ten czas zachował świadomość? Dostałem dwa razy w głowę i na parę dobrych sekund odleciałem. Temu człowiekowi podcięto gardło. Mógł stracić przytomność?

Zastanowiła się.

– Nie wiem.

– Proszę, Elso. Spróbuj odpowiedzieć.

– Wątpię. Gdyby stracił przytomność, wykrwawiłby się na śmierć. Ale tak jak w twoim przypadku chwilami mógł być nie całkiem świadomy.

– Jak długo? Jaki jest schemat?

– Nie ma żadnego schematu! Tylko szereg oszacowań.

– Ale wiemy, że Hugo Buck i Adam Jones zmarli prawie natychmiast.

– Tak, bo w przypadku przecięcia tętnicy szyjnej człowiek traci przytomność w ciągu kilku sekund. Jednak nawet to można tylko oszacować. Tym razem zabójca nie zdążył przeciąć tętnicy, prawda?

– Ponieważ coś go zaniepokoiło. Albo wpadł w panikę. Po lesie biegało pięćdziesięciu chłopaków. Może przestraszył go jakiś ptak. Wszystko jedno, co się stało, ale nie dokończył. Czyli co, Guy Philips stracił przytomność?

– Chcę tylko powiedzieć, że rozcięcie każdej tętnicy ostatecznie doprowadza do utraty przytomności. Ostatecznie. Samobójcy, którzy przecinają sobie tętnice promieniowe, czyli, mówiąc po ludzku, podcinają sobie żyły, mają na pożałowanie tego kroku około trzydziestu sekund. Po tym czasie tracą świadomość, a po dwóch minutach umierają. Jednak wszystko zależy wyłącznie od stopnia urazu, a dokładniej rzecz ujmując, od utraty osocza krwi.

– A co można powiedzieć o ranie kłutej tchawicy? Mnie się wydaje, że ofiara była cały czas przytomna. Nawet z otwartą raną tchawicy. Bez przerwy. Tak sądzę. A ty jak sądzisz, Elso?

– Dobrze wiem, o co pytasz, Max, i nie usłyszysz ode mnie odpowiedzi. Dlatego, że po prostu nie wiem! I nie ma mowy, żebym mogła ci odpowiedzieć ze stuprocentową pewnością.

Kelner przyniósł miseczkę kimchi i postawił przed Elszą. Nie patrzyła ani na kelnera, ani na kimchi, ani na mnie. Utkwiła wzrok w Glasshouse Street za oknem, która mimo szumnej nazwy w rzeczywistości jest wąską alejką równoległą do Regent Street. Westchnęła i pokręciła głową.

Uciekłem się do sposobu, który stosował Mallory. Nie przerywałem ciszy i czekałem, aż ona ją przerwie. I w końcu przerwała.

– Wystarczy, że ciało straci około jednej piątej swojej objętości krwi, żeby doszło do hipowolemii. Jeżeli stracisz taką ilość krwi, serce

przestanie pompować. Naczynia krwionośne się rozszerzają, spada ciśnienie i wreszcie...

– Zaspiał.

– Tak. Jeśli mamy trzymać się terminologii medycznej, to zaspiał.

– Ale Piggy’emu to się nie przydarzyło, bo stracił za mało krwi. Stracił dużo, cholernie dużo krwi, ale nie na tyle, żeby zgasł.

– Takie przypuszczenie jest uzasadnione.

– Czyli zabójca wbija mu nóż w szyję, przecina tchawicę, ale nie kończy sprawy, bo coś go płoszy, i wypuszcza faceta z uchwytu. Ale Philips nie traci przytomności. Żeby była jasność, nie traci przytomności, prawda?

Elsa niechętnie skinęła głową.

I wreszcie usłyszałem od niej to, po co przyszedłem na Soho.

– Wiem, o co pytasz, i odpowiedź brzmi: tak – powiedziała. Wzięła pałeczki i wybrała kawałek kimchi. Chilli na kapuście pekińskiej było jasne jak świeża krew. – Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Guy Philips widział twarz napastnika.

...

Przed głównym wejściem do szpitala stał umundurowany sierżant o zaczerwienionej twarzy i przytupywał nogami.

– Jeszcze żyje – powiedziałem.

To nie było pytanie.

Policjant uśmiechnął się do mnie, wskazując pustą ulicę przed prywatnym szpitalem.

– Kiedy umrze, szybko się o tym dowiesz – odparł. – Wszyscy tu przybiegną.

Skinąłem głową. Na wieść o śmierci Guya Philipsa ulica zaroiłaby się od kamer i mikrofonów, bo wówczas mielibyśmy seryjnego

mordercę.

Przy windach stał następny mundurowy. Nie poznałem go i podszedłem do niego z legitymacją w ręku.

– Spokój? – spytałem.

– Pielęgniarki ciągle mi zawracają głowę – odrzekł. – Kochają facetów w mundurach.

Wsiadłem do windy.

– Musisz próbować być silny – powiedziałem, dochodząc do wniosku, że w Hendon, Szkole Policji Metropolitalnej, powinni uczyć sztuki prowadzenia bezmyślnej pogawędki.

Przed wejściem na oddział intensywnej opieki medycznej zobaczyłem tyczkowatą postać posterunkowego Billy'ego Greene'a. Wyglądał, jakby prawie spał, ale na mój widok wyprężył się na baczność.

– Wróciłem na rewir – oznajmiłem.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Tak, Wolfe.

– Ktoś go odwiedzał?

– Jeden człowiek – odparł Greene. – Przyjaciel. Ten polityk. Pan King. Ciągle obowiązuje zakaz odwiedzin, ale pan King pewnie zamienił słowo, z kim trzeba.

Otworzyły się drzwi OIOM-u i na korytarz wyszedł lekarz.

– Panie doktorze, detektyw Wolfe – przedstawiłem się. – Kiedy będę mógł porozmawiać z pacjentem?

– Pan Philips doznał poważnego rozerwania tchawicy – odparł lekarz. – Jak panu wiadomo, ktoś wbił mu nóż w gardło. Trzydzieści procent pacjentów z dziurą w tchawicy umiera, większość w ciągu godziny.

– Rozumiem – powiedziałem. – Zdaję sobie sprawę, jaki to ciężki uraz.

– Nie jestem przekonany. Pan Philips znajduje się teraz pod wpływem środków uspokajających i oddycha przez respirator. Jeżeli przeżyje, będzie potrzebna skomplikowana operacja w celu naprawienia uszkodzonej tchawicy. Nawet jeśli operacja się uda, do końca życia będzie miał kłopoty z oddychaniem z powodu zwężenia dróg oddechowych. – Uniósł wzrok znad papierów. – I pan całkiem serio pyta, kiedy będzie pan mógł z nim porozmawiać?

– Tak, ponieważ przypuszczamy, że mógł widzieć twarz napastnika – odparłem. – Nie musiałyby mówić. Mógłby napisać.

Lekarz popatrzył na mnie z jawną wrogością.

– Nie czuje się na tyle dobrze, żeby przyjmować gości – oznajmił. – Zawiadomię pana, kiedy będzie pan mógł z nim porozmawiać.

I odszedł.

Podąłem Greene'owi swoją wizytówkę.

– Jeżeli się obudzi, zadzwoń do mnie. Jeżeli jego stan ulegnie zmianie, zadzwoń do mnie. Gdyby pojawiły się jakieś kłopoty, co masz zrobić?

– Zadzwoń do ciebie.

– Dobrze.

Wkroczyłem na oddział intensywnej opieki medycznej. Posterunkowy Greene ruszył za mną i z zaniepokojoną miną przyglądał się, jak szoruję ręce nad jedną z głębokich umywalek, jakie można znaleźć tylko na OIOM-ach.

– Nie bój się – uspokoiłem Greene'a. – Nie zamierzam go operować. I będę się spieszył.

Wszedłem do sali Philipsa. W ciemnym wnętrzu zobaczyłem na łóżku postać w pozycji pólężącej. Nie poznałem w niej mężczyzny, którego ostatni raz widziałem, kiedy wynurzył się z lasu w Potter's Field, zalany krwią chlustającą spomiędzy rąk, trzymając się za szyję.

Guy Philips wyglądał jak jedyna osoba ocalała ze straszliwej katastrofy. Wyglądał jak człowiek, którego nigdy nie spotkałem.

Na łóżku wiły się niczym macki trzy rurki: dwie grube i karbowane, jedna cienka i gładka. Wszystkie były podłączone do innej rurki, która była połączona z nosem i gardłem pacjenta. Lekarz mówił mi, że z powodu przebicia tchawicy Philips może oddychać tylko przez respirator. Lekarz miał rację – nie rozumiałem, co to właściwie oznacza, dopóki tego nie zobaczyłem i nie usłyszałem. Respirator sprawiał, że każdy oddech Piggy’ego brzmiał jak odgłosy wojny.

Jego szyję spowijały bandaże, w których wyglądał jak mumia z egipskiego grobowca albo jak ofiara nieudanego ścięcia głowy. Nie widziałem krwi.

– Detektywie Wolfe – odezwał się czyjś głos i dopiero wtedy zobaczyłem na drugim końcu pomieszczenia Bena Kinga, który siedział zgarbiony na krześle. – Chcę panu podziękować za uratowanie Guyowi życia.

Mówił bardzo cichym głosem i choć było absolutnie wykluczone, że obudzimy leżącego w łóżku mężczyznę, odpowiedziałem także przyciszonym tonem:

– Nie miałem w tym żadnej zasługi. Niech pan podziękuje komisarzowi Mallory’emu. To on zatamował śmiertelny krwotok.

– Naturalnie. Podziękuję mu za to osobiście. Macie jakiś trop?

– Nie. – Zawahałem się przez chwilę. – Ale sądzimy, że widział twarz. Sączymy, że może zidentyfikować napastnika. I przypuszczamy, że uda mu się go zidentyfikować. Kiedy się obudzi.

– Kiedy się obudzi – powtórzył Ben King. – Miejmy nadzieję, że niedługo.

Wstał i pomyślałem, że wychodzi. Ale on chciał mi tylko uścisnąć rękę. Gdy spojrzał mi w oczy, nie zobaczyłem w nich łez.

– To się musi skończyć – powiedział. – Te bezsensowne morderstwa. Ta niewyobrażalna przemoc.

– Chcę to skończyć – odrzekłem.

Patrzył na mnie oczami płonącymi w półmroku sali szpitalnej, i właśnie w tym momencie poczułem w pełni siłę jego osobowości i zrozumiałem, dlaczego w tak krótkim czasie zaszedł tak daleko.

– Zależy mi na tym samym, co wam – powiedział.

Poznałem ją od razu, gdy nazajutrz rano wszedłem do pokoju operacyjnego numer jeden.

Była sama – przyszła nawet przed Mallorym – i siedziała na biurku, patrząc na ekran laptopa, na którym wyświetlał się otwarty plik PDF z podręcznikiem metod śledczych w sprawach zabójstw.

Odwróciła się, by skierować na mnie to samo nieruchome i spokojne spojrzenie, które zapamiętałem z pierwszego dnia pracy w wydziale zabójstw, kiedy spotkałem ją w banku przy zwłokach Hugo Bucka leżącego z rozplatanym gardłem na puszystym dywanie. Ściślej mówiąc, zdradziła ją niesforna ruda fryzura. Reszta wyglądała inaczej, bo tym razem dziewczyna nie miała na sobie munduru.

– Detektywie Wolfe? – powiedziała. – Nie wiem, czy pan mnie sobie przypomina. Z wezwania do ChinaCorps? DS Edie Wren?

– Przypominam sobie. Jesteś teraz detektywem stażystką? Jak to się stało?

– Normalnie. Zdałam egzamin państwowy do służby śledczej. Pracuję nad teczką drugiego poziomu programu kwalifikacyjnego. Wie pan, wykazanie się umiejętnościami i tak dalej.

– Co tu robisz?

– Jestem asystentką w sprawie podwójnego zabójstwa.

– Naszą asystentką? Asystentem w zespole jest zwykle sierżant albo detektyw w stopniu posterunkowego.

– Cięcia – wyjaśniła.

Asystent był najniższym rangą członkiem zespołu śledczego, podlegającym bezpośrednio szefowi, komisarzowi Mallory'emu, i w razie potrzeby miał nam służyć pomocą. Przypomniałem sobie spokój Wren w dniu, w którym razem z Greene'em znaleźli zwłoki Bucka. Nie miałem wątpliwości, że poradzi sobie z tym zadaniem.

– Tak więc to tutaj wszystko się dzieje – powiedziała.

– Tutaj dzieje się część – sprostowałem. – Sporo roboty wykonuje się na zewnątrz. Przekonałem się, że morderstwa to pracochłonna rzecz. W sprawie Rozpruwacza z Yorkshire policjanci sprawdzali numery rejestracyjne ponad pięciu milionów samochodów.

– Aha, ale i tak to schrzanili – odrzekła. – Widział pan nowy post Boba Rzeźnika?

Wcisnęła kilka klawiszy na laptopie. Otworzyła się strona serwisu społecznościowego. Nie zauważyłem niczego, czego nie byłoby wcześniej. Późniejsze zdjęcie Roberta Oppenheimera. Te same apokaliptyczne przechwałki: „I stałem się Śmiercią, niszczycielem światów. Zabić wszystkich bankierów. Zabić wszystkie świny”.

– Widziałem.

– A link pan widział? – spytała Wren. – Jest nowy. I pan tam jest.

Kliknęła na łącze. Zobaczyłem siebie na czworakach, z cienką strużką krwi płynącą po policzku z rany na skroni. Druga strużka ciekła mi z boku szyi. Miałem otwarte usta i wzrok wlepiony w przestrzeń.

I się czołgałem.

Film trwał zaledwie kilka sekund, ale powtarzał się bez końca, odtwarzany w pętli, wyglądało to więc tak, jakbym czołgał się naprzód, a potem szybko się cofał, wykonując jakiś komiczny taniec. Z rogu ekranu w moją stronę sunęła świnia z wybałuszonymi z przerażenia oczami. Jej ryj prawie stykał się z moją twarzą, a po

chwili odsuwaliśmy się od siebie. Potem znów zaczynał się nasz szalony taniec.

Zorientowałem się, że filmowi towarzyszy muzyka. Właściwie nie muzyka, tylko oszalały śmiech, który wciąż się powtarzał, histeryczny śmiech na tle skocznego rytmu. Przy jego akompaniamencie świnia i ja przybliżaliśmy się do siebie i cofaliśmy. A potem wszystko od początku. Śmiech w ciemności, śmiech zza grobu.

– Kto pana tam sfilmował? – zapytała Wren.

– Nie wiem.

– Zabójca? Bob Rzeźnik zrobił ten film?

– Wątpię – odparłem. – To nie w jego stylu.

– Moim zdaniem bardzo w jego stylu – stwierdziła Wren. – Sprawdziłam w Shazamie. Tę piosenkę. To jakiś stary rewiowy numer. *Roześmiany policjant* Charlesa Jolly’ego.

Jak na zawołanie Charles Jolly przestał się śmiać i zaczął śpiewać.

Rzekł: „Aresztuję pana”,

Lecz za co – któż to wie.

I takim ryknął śmiechem,

Że boki zerwał swe!

A ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

– To już klip wirusowy – powiedziała Wren. – Widzi pan, ile ma pan odsłon?

Zadzwoił mój telefon.

Inspektor.

Wyobraziłem ją sobie w jednym z gabinetów na ostatnim piętrze budynku Nowego Scotland Yardu, z którego rozciąga się widok albo na rzekę, albo na park. Z lodowatego tonu jej głosu domyśliłem się, że nie patrzy teraz ani na jedno, ani na drugie. Inspektor Swire oglądała filmik o mnie. Nie byłem już przebojem sezonu. Byłem przebojem, który przestano lansować.

– Chyba dostałeś awans na wyrost, ponad swoje kompetencje i doświadczenie – oświadczyła. – Wtedy na dworcu miałeś rację, a ja się myliłam. Dostałeś medal, podwyżkę i przeniesienie do zespołu Mallory’ego. Rzecz jednak w tym, że moim zdaniem nic nie mogłoby cię wtedy powstrzymać przed przejechaniem tego człowieka. Wydaje mi się, że taki właśnie jesteś, Wolfe. Przejechałbyś go, gdyby nawet miał plecak wypchany plackami cebulowymi. Wydaje mi się, że z powodu swoich przeżyć osobistych – nie dziw się, wszystko jest w twoich aktach – potrafisz całkowicie wymknąć się spod kontroli. Wiesz, dlaczego nie nosimy broni, Wolfe?

Odpowiedzi miałem wykute na blachę.

– Bo jej nie potrzebujemy, pani inspektor. Dlatego, że mamy wyszkolonych funkcjonariuszy uprawnionych do użycia broni palnej. Dlatego, że opinia publiczna nie chce uzbrojonej policji. I dlatego, że gdyby każdy funkcjonariusz miał broń, obniżyłoby to nasze wysokie standardy.

– Nie – odparła. – Prawdziwym powodem, dla którego nie nosimy broni, są tacy lekkomyślni dranie jak ty. Nie jesteś odbezpieczonym pistoletem, Wolfe. Wojny prowadzi się bombami kierowanymi, a ty jesteś groźnym niewybuchem.

Odłożyła słuchawkę, a ja zobaczyłem przyglądającego mi się Mallory’ego, który stał w drzwiach pokoju operacyjnego z kartonowym kubkiem herbaty w ręku.

Nie mogłem na niego spojrzeć.

Nie dlatego, że świat śmiał się ze mnie.

Proszę. Mam córkę.

Dlatego, że świat zobaczył, jak się czułgam.

...

Nie miałem ochoty iść do klubu. Wiedziałem jednak, że tego potrzebuję. Wiedziałem, że powinienem. Wiedziałem, że muszę wieczorem zmęczyć ciało, że zanim się położę, mięśnie, krew i kości muszą być tak wyczerpane, abym przynajmniej mógł liczyć na parę godzin snu. Musiałem też zająć czymś głowę, żeby nie myśleć o swojej nowej upokarzającej karierze internetowej gwiazdy sensacji.

U Freda wisiała tablica z pewnym napisem i gdy sala tuż przed zamknięciem zaczęła pustoszeć, stanąłem, żeby na nią popatrzeć. Tablica wisiała między upozowaną czarno-białą fotografią Sonny'ego Listona a zdjęciem kilkunastu kubańskich dzieciaków toczących walkę sparingową na ringu okolonym linami, które wyglądały jak pęknięte gumy.

BÓL TO TYLKO OPUSZCZAJĄCA CIAŁO SŁABOŚĆ

To było dobre przesłanie. Wiele razy w nie wierzyłem i pomogło mi. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj nie miałem wrażenia, że palący ból w dole pleców to tylko słabość opuszczająca ciało.

Dzisiaj ból był po prostu bólem.

Wszedł Fred. Stał przy wieży stereo i zaczął szperać w płytach, dopóki nie znalazł jakiegoś wczesnego The Clash. Salę wypełnił jazgot gitarowych akordów Micka Jonesa i głos Joego Strummera przypominający kanonadę broni maszynowej. Fred podniósł ręcznik, który ktoś rzucił na podłogę, i poszedł włożyć go do prania. Kiedy wrócił, opierałem się o liny, wpatrując się w kwadrat ringu. Plecy miałem zeszywniałe z bólu i rozmyślałem nad faktem, że to, co sprawia mi największe cierpienie, jest dla innych źródłem rozrywki.

Staliśmy oparci o liny, wdychając słodki smrodek sali bokserskiej, słuchając The Clash grających na cały regulator, a milczenie między nami nie wydawało się niezręczne.

Wreszcie się odezwał.

– Nie chodzi o to, jak mocno umiesz przyładować – rzekł Fred. – Chodzi o to, jak mocno dasz sobie przyładować, żeby potem walczyć dalej. Tak długo, żeby przyładować sukinsynowi.

– Puść go!

Scout, stojąca na drugim końcu polany połyskującej od porannego szronu, wypuściła psa, który pognał w moją stronę.

Hampstead Heath, wczesny niedzielny ranek. Las na szczycie Londynu. Byliśmy na łące położonej wysoko w parku, a moja córka i mój pies wydawali się oszołomieni słońcem, świeżym powietrzem i wolnością. Otaczały nas drzewa, na których kurczowo trzymały się jeszcze resztki czerwonych i złotych jesiennych liści. Za drzewami było widać miasto od Canary Wharf po BT Tower. Mieliśmy wrażenie, jakby całe należało do nas.

Powinniśmy to częściej robić, pomyślałem. Powinniśmy to robić stale.

Łąka wyglądała na idealnie płaską, dopóki Stan nie zaczął przez nią pędzić. Dopiero gdy ruszył co sił w nogach, zobaczyłem, ile w niej spadków, nierówności i króliczych nor. Kiedy dotarł do jednego z gwałtownych obniżień terenu, wyciągnął przed siebie przednie łapy, jednocześnie wyprężając tylne, aby przesadzić dziurę efektownym susem. Wyglądał, jak gdyby uniósł się w powietrze.

– Superpies! – krzyknęła z zachwytem Scout.

Wielkie uszy Stana łopotały, rozpromienione oczy lśniły, język wystawał z rozdziawionego pyska. Pędził na złamanie karku, po raz pierwszy spuszczonej ze smyczy i bliski hysterii z podniecenia. Podobnie jak my.

Ukląkłem, mimo bolesnych protestów moich pleców, i szeroko rozłożyłem ręce, żeby go powitać.

Po chwili skoczył na mnie zziębnięty i zaczął węszyć w poszukiwaniu psich przysmaków z kurczaka, które chowałem w stulonych dłoniach. Podałem mu go, czując mokry guziczek nosa w rękę i trzymałem za szelki, dopóki Scout nie dała mi znaku.

Pomknął z powrotem do niej.

Hampsted Heath był rajem dla psów. Przez łąkę przebiegały wyprowadzone do parku na spacer czworonogi przeróżnej wielkości, jedne podchodziły do Stana, aby go badawczo obwąchać, inne, zatopione we własnym świecie zapachów, nie zwracały uwagi na małą rudą kulkę, która po raz pierwszy została spuszczone ze smyczy.

Psy przemierzały tam i z powrotem skraj łąki, gdzie zaczynały się drzewa, chodząc z nosami przy ziemi i łowiąc zwietrzały trop królika albo lisa. Ale Scout i ja zostaliśmy na łące, a Stan biegał między nami, dopóki z wyczerpania nie zabrakło mu tchu i w torebkach nie było już prawie żadnych przysmaków z kurczaka.

Oboje uśmiechaliśmy się z radością i ulgą. Stan brykał bez uwięzi i mimo to się nie zgubił. Wyjąłem smycz. Musieliśmy wracać.

Wtedy zobaczył ptaki.

Dwie grube wrony, które dziobały ziemię tuż za linią drzew, poderwały się w powietrze, gdy Stan rzucił się w ich stronę. Scout i ja pognaliśmy za nim, nawołując go, ale ptaki poruszyły w nim jakiś pradawny instynkt i nagle przestały go interesować psie przysmaki i my.

W tej części parku rosły stare i potężne wiązy. Ich gałęzie utworzyły gęsty baldachim odgradzający ptakom drogę do nieba. Fruwały więc nisko i trzepotały się jak oszalałe, nie mogąc pokonać tej bariery.

A Stan puścił się w pogoń za nimi.

W ciągu kilku sekund straciliśmy psa z oczu. Błąkaliśmy się wśród drzew, wciąż go nawołując, i po paru minutach sami straciliśmy orientację. Park był w tym miejscu gęsty i dziki, chociaż słyszeliśmy dobiegający z dala szum samochodów na Hampstead Lane i już wyobrażaliśmy sobie naszego psa pod ich kołami. Scout płakała. Cicho i bezradnie. Objąłem ją ramieniem i znów zawołałem Stana, choć wydawało mi się to bezcelowe. Szum ulicy stał się głośniejszy. Żołądek ścisnął mi się ze strachu i z bólu.

I wtedy ich zobaczyliśmy.

Kobieta szła przez park z rudym pieskiem na rękach i drugim psem, który bez smyczy dreptał u jej boku. Był to mieszaniec pekińczyka i chihuahua. Rozpoznałem psa, zanim jeszcze rozpoznałem Natashę Buck w czapce z daszkiem, zielonych kaloszach i czarnym nieprzemakalnym płaszczu, ubraną jak dziewczyna z miasta na wyjazd na wieś.

Scout i ja wykrztusiliśmy słowa podziękowania za bezpieczny powrót Stana.

– Nie mnie dziękujcie – powiedziała Natasha. Wskazała na mieszańca pekińczyka i chihuahua, który raczył się króliczymi bobkami przy jej butach. – Podziękujcie Susan.

Podziękowaliśmy Susan.

Przypiąłem Stanowi smycz i wróciliśmy na łąkę, a Natasha opowiedziała, jak szła ze swoją suczką z Kenwood House, gdy natknęła się na młodego cavalier king charles spaniela, który drżał pod wiązami. Potem spytała nas, czy mamy ochotę na gorącą czekoladę.

Spojrzałem na Scout, a ona spojrzała na mnie.

– Tak, chętnie – odpowiedzieliśmy.

Poszliśmy do samochodów z psami na smyczy i przyszło mi na myśl, że wyglądamy jak jedna z rodzin, które w weekend zabierają

psy do Hampstead Heath, jedna z tych szczęśliwych rodzin. Nie idealnych, ale pełnych.

...

Z początku pomyślałem, że się wyprowadza. W korytarzu mieszkania Natashy stały kartony, jedne zaklejone, inne otwarte, wyładowane ubraniami, sprzętem sportowym i pudełkami po butach pełnymi starych zdjęć. Okazało się jednak, że tylko wywozi rzeczy męża.

Przyniosła gorącą czekoladę.

– Pierwszy raz bez smyczy? – spytała.

– Tak – potwierdziła Scout. – Ale nie podoba mi się to. Bez smyczy się boję. Nie podoba mi się, że może tak sobie uciec.

Natasha się roześmiała. Po raz pierwszy zobaczyłem u niej normalny śmiech, za którym nic się nie kryło.

– Przecież musisz go puszczać – powiedziała. – Musisz mu dać wolność. To jest pies.

– Wiem, że to pies – odrzekła Scout. – Ale nie podoba mi się to.

Stan krążył po mieszkaniu, obwąchując listwę przypodłogową. Susan dreptała za nim, obwąchując mu zad. Natasha i Scout śledziły obydwu psy i zaśmiewały się.

Czasem ludzie, którzy nie mają dzieci, za bardzo się starają. Natasha jednak nie należała do tej kategorii. Zachowywała się naturalnie i życzliwie, a ja odniosłem wrażenie, że widzę ją pierwszy raz w życiu. Tę szaloną dziewczynę, która chciała ułożyć sobie życie, ale wybrała niewłaściwego mężczyznę. Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. Zatrzymały się przy oknie i spojrzały na Regent's Park. Natasha otoczyła ręką ramiona Scout. Moja córka uniosła głowę, żeby coś powiedzieć.

Popijałem czekoladę. Hugo Buck miał mnóstwo rzeczy, pomyślałem, patrząc na pudła. Dwa obrazy przedstawiające pejzaż pustego miasta nie wisiały już na ścianie. Zobaczyłem, że stoją w skrzynce po szampanie.

Podszedłem i podniosłem jeden. Ten styl był mi już dobrze znany. Tajemne, wyludnione zakątki miasta, odmienione przez zmierzch. Widziałem to tutaj, widziałem na ścianie w domu Jonesów, widziałem też w gabinecie Salmana Khana. Opuszczone miasto skąpane w delikatnym półmroku; Londyn – zakładałem, że to Londyn – jako miejsce samotności, cieni i smutku, zatopione w bezruchu niedzielного poranka, który James Sutcliffe dostrzegał w świetle każdego dnia.

Ten, który wyjąłem ze skrzynki, przedstawiał puste tory kolejowe. Poszukałem w rogu inicjałów.

Ale ich tam nie było.

Widniało natomiast nazwisko, którego nie znałem.

Edward Duncan

Patrzyłem na nieznany podpis, a potem wyjąłem drugi obraz, tunel w łagodnym blasku świtu albo zmierzchu.

j s

James Sutcliffe. Kim więc był Edward Duncan?

Postawiłem obrazy obok siebie. I zobaczyłem coś, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi. Ich styl był podobny – do tego stopnia, że łatwo byłoby uznać, iż zostały namalowane przez tego samego artystę. Ale obraz Edwarda Duncana różnił się od tego, który podpisano inicjałami „j s” w rogu, różnił się od obrazu wiszącego na ścianie domu Jonesów i od obrazu wiszącego na ścianie gabinetu Khana. To miało coś wspólnego z wykorzystaniem światła.

Natasha coś do mnie mówiła. U moich stóp stały psy, a Scout ciągnęła mnie za rękaw. Nie umiałem jednak oderwać wzroku od obrazu.

Świat Edwarda Duncana był ciemniejszy niż ten znany Jamesowi Sutcliffe'owi. Na jego obrazie światło nie blakło powoli i łagodnie.

Ono zamierało.

W poniedziałek z samego rana zastałem detektyw stażystkę Edie Wren samą w pokoju operacyjnym numer jeden, gdy czytała na ekranie laptopa nowy post od Boba Rzeźnika.

– „Jasność tysiąca słońc rozbłysłych na niebie oddaje moc Jego potęgi. #zabicwszystkieswinie”. Bezpretensjonalny i nieśmiały gość, prawda? Widział pan, ilu ma zwolenników?

Wren miała laptop podłączony do komputera przy biurku i na ekranie monitora zobaczyłem, że jest zalogowana do systemu HOLMES. Do HOLMES-a wprowadzano każdy dowód i skrawek informacji uzyskany podczas śledztwa – po ataku na Guya „Piggy’ego” Philipa nazywano je operacją Grubas: zeznania świadków, raporty z analiz kryminalistycznych, zdjęcia z miejsc zdarzenia, protokoły sekcji zwłok, a każdy element był oznaczony numerem, poziomem zabezpieczenia i ważności. Wren otworzyła HOLMES-a na stronie Zarządzanie Czynnościami, żółtym dokumencie, który przydzielał członkom zespołu zadania na dany dzień. Ale uwagę skupiła na stronie serwisu społecznościowego, wyświetlanego na ekranie jej laptopa.

– Wyślę Bobowi wiadomość i wyznam mu, jak go uwielbiam – powiedziała. – Wiem, mało prawdopodobne, żeby odpisał. Ale gdyby odpowiedział, będę mogła w minutę ustalić jego adres IP.

Patrzyłem, jak wysyła do Boba list.

– Dobra jesteś – stwierdziłem. – W te cyfrowe klocki.

Wzruszyła ramionami z fałszywą skromnością.

– Radzę sobie.

– Myślisz, że zrobiliśmy wszystko, żeby go znaleźć? – zapytałem.

– Boba czy sprawcę?

– Myślałem o Bobie.

– Wszyscy mówią tu o nim tak, jak gdyby to była ta sama osoba. Ale pan tak nie myśli.

Wzruszyłem ramionami.

– Chodzi o taką rzecz. Gdyby Kuba Rozpruwacz działał dzisiaj, czy używałby Twittera? Czy Dusiciel z Bostonu aktualizowałby status związku na swoim profilu na Facebooku? Nie sądzę.

Wren parsknęła śmiechem.

– Całkowicie się pan myli. Mnie się wydaje, że właśnie to by robili. Niech pan nie żartuje. Kuba Rozpruwacz byłby zachwycony serwisami społecznościowymi. Dusiciel z Bostonu, Rozpruwacz z Yorkshire – byłiby uszczęśliwieni możliwością zaistnienia w sieci. Mogliby szydzić z policji, nadymać się jak pawie, upajać się przerażeniem internautów. Cyfrowy świat jest wymarzonym miejscem dla socjopatów. Dopóki nie dadzą się złapać.

– Czyli nie sądzisz, że zrobiliśmy wszystko, żeby znaleźć Boba.

Odgarnęła z twarzy pasmo rudych włosów.

– Najwidoczniej nie, skoro go nie znaleźliśmy, prawda? Ale to niekoniecznie wina podkomisarza Gane'a i nie mówię tego przez grzeczność. Bob ukrywa się za wieloma zaporami sieciowymi i IDS-ami – systemami wykrywania włamań, które działają jak komputerowy alarm antywłamaniowy – i Torem, siecią ruterów cebulowych, w której każda wiadomość jest wielokrotnie szyfrowana, kiedy przechodzi przez niezliczone serwery. Prawdopodobnie trzeba czegoś więcej niż listu miłosnego, żeby go wyciągnąć z kryjówki.

Wren odsunęła krzesło i wzięła grubą zeszyt – Książkę Czynności, w której rejestruje się wszystkie wykonane zadania i te, które należy

wykonać, z przydziałem, co do kogo należy. Był to odpowiednik strony Zarządzanie Czynnościami w HOLMES-ie w realu. Mallory nadal wolał zapisywać wszystko na papierze.

– Widzę, że dzisiaj znowu pan jedzie do Potter's Field z jednostką poszukiwawczą i chce pan przesłuchać następnych chłopców, którzy biegli wtedy z Philipsem – zauważyła Wren.

Skinąłem głową.

Poza monitorowaniem Książki Czynności Wren odpowiadała za wszystkie zeznania składane w sprawie i rejestrowanie ich w HOLMES-ie, a także za ciągłość łańcucha dowodowego, papierowego szlaku prowadzącego od miejsca zdarzenia, przez pokój operacyjny aż do sądu.

Była to dość żmudna robota i widziałem, że śmiertelnie ją nudzi.

Wskazałem na laptop.

– To prawda, co się mówi? – zapytałem. – Każdy zostawia swój cyfrowy ślad?

– Tak daleko bym się nie posuwała – odrzekła. – Każdy zostawia cyfrowy cień. Wszyscy mamy podwójne życie: fizyczne i wirtualne. Wszyscy. I najtęższe umysły z mojego pokolenia pracują obecnie nad tym, jak sprzedać człowiekowi to, co już kupił. Stosuje się do tego znaczniki pikselowe, tagowanie stron, kody śledzenia. To dlatego wydaje się, jakby reklamy za nami podążały i w czarodziejski sposób wiedziały, że to my. – Zaśmiała się. – W głębi swojego serca internet nie chce, żeby ktokolwiek był anonimowy. Bo chce każdemu coś sprzedawać.

– Czyli każdy zostawia cień.

– Tak.

– To dobrze – stwierdziłem. – Bo chcę, żebyś kogoś znalazła.

– Boba Rzeźnika – powiedziała. – Dlatego, że obił panu plecy. Dlatego, że zrobił z pana pośmiewisko. I dlatego, że mógł pana zabić,

gdyby chciał.

– Nie Boba – odparłem. – Nie sądzę, żeby Bob miał cokolwiek wspólnego z tymi morderstwami. Ale człowiek, którego chcę znaleźć, być może ma. Myślę, że jest w wieku trzydziestu paru lat. Nazywa się Edward Duncan.

Wzięła długopis.

– Edward Duncan – powtórzyła, notując. – Mamy datę urodzenia?

– Mogę podać prawdopodobną, ale nie chcę, żebyś to przyjęła za pewnik.

– Okay. Co robi ten Edward Duncan?

– Maluje.

– Domy?

– Miasta.

– Mam to wpisać na listę do Książki Czynności?

Uśmiechnąłem się do niej. Już nie wyglądała na znudzoną.

– To zadanie spoza listy.

...

Po południu, gdy robiło się coraz chłodniej i ciemniej, stałem na skraju zaoranego pola i obserwowałem dwunastu umundurowanych funkcjonariuszy SSU, specjalistycznej jednostki poszukiwawczej, którzy wolno posuwali się na czworakach, opuszkami palców obmacując ziemię i szukając dowodów. Wykonywali tę fizyczną część policyjnej roboty.

Pośrodku pola tkwił fotograf i wpatrywał się w coś na ziemi. Podszedłem do niego i obaj spojrzeliśmy na zagłębienie z idealnie odcisniętym śladem buta. Fotograf umieścił po jednej stronie żółtą tabliczkę z numerem 1, a po drugiej plastikową linijkę. Rozstawiał

statyw, światła i drabinę, nucąc pod nosem, wesoły, jakby robił zdjęcia weselne.

– To nie twój? – uśmiechnął się szeroko, ruchem głowy wskazując ślad.

– Nie sądzę – odparłem.

– Może w takim razie żony farmera – powiedział i poprawił statyw.
– A może jego. Nigdy nie wiadomo.

Przyznałem mu rację, po czym ruszyłem w stronę lasu, czując ból w plecach, które niemo protestowały przeciw zmuszaniu ich do pokonywania zaoranego pola.

Wokół vana jednostki poszukiwawczej zaparkowanego tuż za linią drzew siedziało dwunastu funkcjonariuszy. Posilali się tabliczkami czekolady i herbatą. Od czołgania się po polu mieli brudne ubrania i zmęczone twarze, które były czarne od ziemi i potu, jak u górników.

Wyszedłem z lasu na boiska Potter's Field. W oddali, nad głównym budynkiem, łopotała flaga Anglii z krzyżem świętego Jerzego. Ruszyłem w tamtym kierunku, gdy nagle poczułem zapach palonych liści. Dym unosił się zza niewielkiej kamiennej chatki na skraju boiska do rugby. Skręciłem za nią i ujrzałem starszego mężczyznę, który wysypywał uschnięte liście z taczki do małego ogniska.

– Przepraszam pana?

Pokazałem mu legitymację. Obejrzał ją i skinął głową. Potem wrócił do swojego zajęcia. Cokolwiek robi świadek, zapytaj go o nazwisko i adres, uczą w Hendon. To pierwsza rzecz, jaką ci tam mówią.

– Mogę spytać, jak się pan nazywa?

– Nie jestem nikim ważnym. Pracuję tu jako dozorca.

Mówił z dziwnym akcentem, w którym było słycać naleciałości z Europy Wschodniej i West Country. Patrzyłem, jak rozładowuje

taczkę. Coś było nie tak z jego rękami. Zerknął na mnie i zorientował się, że nadal czekam na odpowiedź.

– Len Zukov – powiedział.

– Skąd pan jest, Len?

Posłał mi czujne spojrzenie.

– Stąd. A pan?

Może to rosyjski akcent.

– Też stąd – odrzekłem.

– No to obaj jesteśmy stąd.

– Od dawna pan tu pracuje?

Milczał przez chwilę, jak gdyby liczył.

– Trzydzieści lat – odpowiedział.

– Pamięta pan tych chłopaków?

Trzymałem fotografię siedmiu chłopców w mundurach Połączonych Sił Kadetów.

Pokręcił głową. Czy nie za szybko?

– Wielu chłopaków przychodzi i odchodzi – odparł.

– Zdjęcie zrobiono w osiemdziesiątym ósmym roku. Już pan tu był.

Nie pamięta pan ich? Proszę się przyjrzeć. Bliźniacy Kingowie? Nie pamięta pan identycznych bliźniaków?

– Nie.

Co jest najgorsze w pracy policjanta? Kiedy ludzie kłamią. A kłamią zawsze. Kłamią dlatego, że boją się kłopotów, kłamią dlatego, że boją się jeszcze większych kłopotów od tych, które i tak już mają, a przede wszystkim kłamią dlatego, żeby dać im spokój.

Może jednak dozorca mówił prawdę. To było tak dawno temu, a przez szkołę przewijały się tysiące chłopców.

– Ale zna pan Philipsa – zauważyłem. – Nauczyciela wuefu. I wie pan, że ktoś próbował go zabić.

Starszy mężczyzna popatrzył na mnie jak na idiotę.

– Wszyscy go znają – odrzekł.

Przyglądałem się, jak dorzuca do ognia kolejne liście z taczki, i wreszcie zauważyłem, co jest nie tak z jego rękami. Nie prostował palców. Wrzucał liście dłońmi zwiniętymi w pięści. Prawdopodobnie miał zaawansowany artretyzm.

– Byłem w lesie – wyjaśnił. – Daleko stąd.

Kiedy ostatnie liście znalazły się w ognisku, otrzepał zaciśnięte dłonie o spodnie i poszliśmy w stronę frontu chatki. W drzwiach stał jakiś człowiek – fizjoterapeuta, którego widzieliśmy z Mallorym na boisku z dwoma niepełnosprawnymi mężczyznami. Zobaczyłem teraz, że nie nosi żadnej maski. Większą część twarzy pokrywały blizny po oparzeniach.

Wyciągnąłem do niego rękę.

– Sierżant Tom Monk – przedstawił się. – Dawniej królewski pułk piechoty Green Jackets.

Na straszliwie poparzonej twarzy zajaśniał szeroki uśmiech. Monk wyglądał niczym przedstawiciel jakiejś zaginionej rasy; nie wierzyłem, by jego twarz kiedykolwiek przestała mnie szokować. Stuknął obcasami sportowych butów Asics, a Zukov po raz pierwszy się uśmiechnął. W obecności sierżanta czuł się o wiele swobodniej.

– Prowadzi tu pan zajęcia rehabilitacyjne? – spytałem Monka.

– Raz w tygodniu po południu – przytaknął. – Najczęściej pracuję kawałek dalej, przy tej samej drodze. Jestem starszym fizjoterapeutą w Barrington Court. A raczej asystentem starszego fizjoterapeuty. Tak, to lepsze określenie.

Słyszałem o Barrington Court. To ośrodek rehabilitacyjny dla ciężko rannych weteranów, przede wszystkim ofiar wybuchów min pułapek w Afganistanie.

– W czwartki po południu pan Waugh pozwala mi korzystać z bieżni – ciągnął Monk. – To zresztą dość zabawne, że wypożycza

nam bieżnię, skoro większość z nas nie ma nóg.

Odruchowo spojrzałem na jego spłowiałe dzinsy. Monk parsknął śmiechem.

– Och, nie mówię o sobie – powiedział. – Mnie nie brakuje jeszcze żadnej części ciała. Tylko niektóre trochę się rozgotowały.

Uśmiechnąłem się słabo.

– Co z nim? – spytał Monk, nagle poważniejąc. – Z panem Philipsem?

Pokręciłem głową.

– Naprawdę nie wiem, Tom.

Zobaczyłem, że po drugiej stronie boiska flaga Anglii opuszcza się i zatrzymuje w połowie wysokości masztu. W mojej kieszeni wibrował telefon.

Wyjąłem go i zobaczyłem, że dzwoni posterunkowy Greene i że wcześniej próbował się ze mną połączyć już pięć razy.

Peregrine Waugh szedł przez boisko w moją stronę, a poły togi powiewały za nim na wietrze.

Ale już wiedziałem.

Piggy Philips nie żył.

Czekałem na Bena Kinga w głównym holu pałacu westminsterskiego, najpiękniejszym pomieszczeniu w Londynie – wysoko sklepionej ośmiokątnej sali z gigantycznym żyrandolem pośrodku i misternymi mozaikami na posadzce, oświetlonej naturalnym światłem dzięki olbrzymim oknom.

Sala roiła się od ludzi. Wyborcy czekali na rozmowę ze swoim posłem. Dziennikarze plotkowali, chichotali i przymilali się do polityków. Posłowie i parowie wchodzili i wychodzili z korytarzy prowadzących do dwóch izb parlamentu – Izby Lordów na południu i Izby Gmin na północy.

Posągi królów i królowych oraz wizerunki świętych opiekunów czterech krajów Królestwa nad każdym z wyjść – świętego Jerzego, patrona Anglii, świętego Dawida, patrona Walii, świętego Andrzeja, patrona Szkocji, i świętego Patryka, patrona Irlandii Północnej – sprawiały, że główny hol wydawał się czymś więcej niż sercem parlamentu, więcej niż miejscem, gdzie zbiegają się wszystkie korytarze władzy.

Wydawało się, że to siedziba najwyższej władzy brytyjskiej.

Patrzyłem, jak Ben King wyłania się z korytarza prowadzącego do Izby Gmin. Szedł w grupie osób otaczających premiera. Kiedy mnie zauważył, odłączył się od nich.

Podaliśmy sobie ręce i poszliśmy na przeszklony taras pałacu, gdzie przy białych stolikach ludzie pili herbatę. Stanęliśmy plecami do

wszystkich, mając za sobą pałac westminsterski, a przed sobą płynącą daleko w dół Tamizę.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – powiedziałem.

– Dziękuję.

– Był pan z Guyem Philipsem, kiedy zmarł.

– Tak. Spędziłem w jego pokoju zeszłą noc.

– Czy coś mówił? Przepraszam, ale muszę o to zapytać.

Ben King patrzył na rzekę niewidzącym wzrokiem.

– Była czwarta rano. Spał. Ja też spałem. Obudziłem się, bo aparat monitorujący pracę serca wydawał inny dźwięk. Wezwałem pielęgniarkę. Też spała. Kiedy weszła do pokoju, natychmiast wezwała lekarza. Ale było już za późno. – W końcu spojrzał na mnie. – Guy zmarł we śnie. Wiem, o co pan pyta. Ale w ogóle się nie obudził, nie powiedział, kto go zaatakował, odszedł w spokoju. I jestem głęboko wdzięczny Bogu za ten drobny akt miłosierdzia, detektywie.

– Był pan u niego każdej nocy, którą spędził w szpitalu?

– Tak. Guy nigdy się nie ożenił. Jego rodzice nie żyją. Zamiast rodziny miał mojego brata i mnie – swoich jedynek przyjaciół.

– Sądzę, że widział twarz zabójcy. Jestem tego pewien.

– Nie powiedział ani słowa.

W drzwiach prowadzących na taras stała młoda blondynka, próbując zwrócić na siebie uwagę Kinga. Uniósł rękę na znak, że zrozumiał. Był jednak zbyt dobrze wychowany, żeby mnie poganiać.

– Jeszcze jedno – powiedziałem. – Pan, a także pański brat i pan Khan, otrzymacie tak zwane ostrzeżenie Osmanów.

– Ostrzeżenie Osmanów?

– Jeżeli policja ma powód przypuszczać, że ktoś może paść ofiarą morderstwa albo grożą mu poważne obrażenia, przedstawia ostrzeżenie Osmanów. To równocześnie ostrzeżenie przed zagrożeniem i oferta policyjnej ochrony.

King omal się nie uśmiechnął.

– Brzmi raczej, jak gdyby policja próbowała chronić siebie przed potencjalnym oskarżeniem o niezachowanie należytej staranności.

– W pewnym sensie też – zgodziłem się. – Moi przełożeni zaproponują panu ochronę i poradzą, jakie może pan podjąć kroki, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

– To naprawdę konieczne? Może dla Salmana, który podobno tak się boi, że nie wychodzi z domu. Ale w parlamencie jestem otoczony profesjonalną ochroną. Ned wyjechał z kraju i pilnuje go cała armia brytyjska. Myślę, że większe zagrożenie stanowią dla niego talibowie.

– Obowiązek zachowania należytej staranności wymaga od nas ostrzegania osób, których życie jest zagrożone – odrzekłem. – Na biurku Hugo Bucka stała fotografia siedmiu chłopców zrobiona w Potter's Field. Przypuszczam, że wie pan, o jakiej fotografii mówię.

– Tak, wiem.

– Żyje was tylko czterech.

Ponownie skierował wzrok na rzekę.

– Trzech. James Sutcliffe odebrał sobie życie we Włoszech.

– Oczywiście. Przepraszam. Trzech.

Spojrzał na mnie.

– Chcę wreszcie położyć temu kres – rzekł. – Chcę wam służyć pomocą, jak tylko potrafię. Chcę pomóc zatrzymać tego mordercę. – Ścisnął mnie za rękę, patrząc mi w oczy.

– Wiem – powiedziałem. – Wiem, że pan tego chce.

Weszliśmy do pałacu i pożegnaliśmy się.

W głównym holu zaczepiali go różni ludzie – dziennikarze, posłowie, kobiety i mężczyźni, wszyscy z półuśmiechem świadczącym o tym, że naprawdę są nim oczarowani – a King każdemu miał coś do powiedzenia. Nie zatrzymywał się jednak, idąc przez hol długim, zamasztyłym krokiem, by w końcu zniknąć w północnym korytarzu,

który prowadził do Izby Gmin; po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z jego władzy i zrozumiałem, ile ma do stracenia.

...

Z pałacu westminsterskiego do Nowego Scotland Yardu idzie się pięć minut, a chociaż nie byłem umówiony na wizytę w pokoju 101, uznałem, że to nie będzie problem. Czarne Muzeum zwiedza niewiele osób.

– Widziałem film – poinformował mnie sierżant Caine, strażnik muzeum. Przyglądał mi się surowym wzrokiem, ale w jego oczach nie dostrzegłem kpiny. – Wszyscy widzieli, prawda?

– Obejrzy go pan jeszcze raz ze mną?

Zdziwił się.

– Po co?

– Trwa tylko minutę. Chcę się pana poradzić. Wiem, że już oglądał pan ten film, ale czy obejrzy go pan ze mną?

Na jego biurku stał stary komputer. Sierżant wcisnął kilka klawiszy i maszyna sapnęła, budząc się do życia.

– Może mój będzie szybszy – zaproponowałem.

Prychnął.

– Główny na West Endzie ma wszystkie udogodnienia, co?

Wyjąłem swojego maca i czekaliśmy w milczeniu, aż się uruchomi. Milczeliśmy też, kiedy otworzyłem stronę serwisu społecznościowego i znalazłem profil Boba Rzeźnika. Przewinąłem wszystkie wpisy o zabijaniu świń i niszczeniu światów.

– Jest – powiedziałem.

Kliknąłem na łącze i rozległa się bezlitośnie radosna ścieżka dźwiękowa *Roześmianego policjanta*, kiedy kamera rejestrowała, jak

się czołgam. W momencie gdy w kadrze pojawiła się świnia, wcisnąłem pauzę.

– Widzi pan? – spytałem sierżanta Caine’a. – Przy mojej prawej ręce?

Nachylił się bliżej ekranu.

– Biała linia.

– Prosta biała linia namalowana na trawie – przytaknąłem. – To linia boczna. Na skraju boiska do rugby. To boisko jest najbliżej drzew w Potter’s Field.

Wpatrywaliśmy się w zatrzymany obraz. Po chwili sierżant wzruszył ramionami.

– Co z tego?

– Czy to nie dowód, że Bob Rzeźnik nie jest zabójcą?

– Dlaczego to ma być dowód?

– Tego filmu nie nakręcono, kiedy byłem dobrze ukryty. Bez względu na to, co Bob mówi swoim fanatycznym wyznawcom, nie ma z tym nic wspólnego.

Sierżant Caine zastanowił się.

Po chwili rzekł:

– Uważa pan, że człowiek, który przyłożył panu nóż do gardła, nie jest tą samą osobą, która wycelowała panu w twarz kamerę.

– Bo to niemożliwe, prawda? – odparłem. – Ten, kto mnie napadł, nie szedłby za mną przez zaorane pole i kawałek lasu tylko po to, żeby nakręcić zabawny filmik, tak?

– Jak daleko się pan czołgał?

– Biegłem lasem jakieś pięć minut. Czołganie się tą samą drogą na pewno trwało o wiele dłużej. Ale film nie został nakręcony w pobliżu miejsca, gdzie mnie zaatakował. Nie w chlewie na farmie. Nie na zaoranym polu. Został nakręcony, kiedy wróciłem do Potter’s Field. Został nakręcony na skraju boiska.

– No więc kto go wrzucił do internetu? Skąd Bob go wziął?

– Nie wiem. Nieważne. W tej szkole jest tysiąc chłopaków i wszyscy mają telefony z aparatami. Wszędzie czają się reporterzy. Wśród nauczycieli też. Każdy ma w tylnej kieszeni całą ekipę telewizyjną. A to dowodzi, moim zdaniem, że Bob Rzeźnik wciska wszystkim kit. Ten, kto nakręcił film, nikogo nie zabił. On też nie.

Zamknąłem laptop i popatrzyliśmy na siebie. Sierżant Caine założył na piersi potężne ręce. Potem kiwnął głową.

– Tak – powiedział. – Prawdopodobnie ma pan rację.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. W czym problem?

– W tym, że wszystko marnują na Boba – odrzekłem. – Nasze siły i środki idą na poszukiwania Boba Rzeźnika, seryjnego mordercy roku. Operacja Grubas brnie w ślepią uliczkę.

Po kręgosłupie przebiegł mi bolesny skurcz, więc zacisnąłem zęby i wygiąłem plecy w łuk, dopóki ból nie minął.

– Chce pan znaleźć człowieka, który rozwalił panu plecy – rzekł sierżant Caine.

– Chcę znaleźć zabójcę. – Wziąłem głęboki oddech, a potem wypuściłem powietrze z płuc. – A pan może mi pomóc.

– Jak mam to zrobić?

– Chcę zobaczyć „List z piekła” – oznajmiłem.

Odwrócił wzrok, ale po chwili znów na mnie spojrział. Nagle wpadł w złość.

– „List z piekła”? Wie pan, o co pan prosi? List z piekła zaginął.

– Nie sądzę – odparłem. – Sądzę, że jest tutaj. Gdzieś w tym pokoju. Sądzę, że jest w pana posiadaniu.

– Co pan wie o „Liście z piekła”, detektywie?

– Wiem, że nazywa się go też „Listem do Luska” – odrzekłem. – Został wysłany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku przez

nieznaną osobę podającą się za Kubę Rozpruwacza. Policja uznała, że to autentyczna przesyłka od Kuby Rozpruwacza, bo był do niej dołączony fragment ludzkiego organu wewnętrznego.

– Co pan sobie wyobraża? Że gdzie pan jest? – zapytał Caine, z niedowierzaniem kręcąc głową. – W muzeum Madame Tussaud? To jest kolekcja szkoleniowa dla funkcjonariuszy, którzy narażają życie. Nie gabinet osobliwości.

– Chcę tylko zobaczyć ten list.

– Dlaczego pan myśli, że on tu jest?

– Po prostu nie wierzę w jego zaginięcie. Nie wierzę. Jedyne list od Kuby Rozpruwacza? Niech pan da spokój. Myślę, że został zabezpieczony, zarchiwizowany, zachowany.

– Czemu ktoś miałby kłamać, że go nie ma?

– Przecież nie chcemy, żeby opinia publiczna za bardzo się podniecała jakąś bezbożną relikwią, prawda? Nie chcemy, żeby z seryjnego mordercy zrobiła jeszcze bardziej kultowego bohatera. Ale myślę, że przechowaliśmy ten list.

– My?

– Policja. Stróże prawa. Obrońcy porządku. I myślę, że jeżeli list znajduje się gdzieś w Londynie, to tym miejscem na pewno jest tajny schowek w Czarnym Muzeum.

Roześmiał się.

– Pewnie kiedyś zostanie pan detektywem. Ale dlaczego chce go pan zobaczyć? Przy założeniu, że jestem w stanie go pokazać.

– Chcę zobaczyć, jak wygląda autentyk.

Ruszył do drzwi, a ja pomyślałem, że zamierza wezwać kogoś do pomocy i mnie stąd wywalić. Ale sierżant Caine nie potrzebowałby niczyjej pomocy, żeby mnie wywalić.

Patrzyłem, jak zamyka na klucz pokój 101.

– Przychodziły setki listów od ludzi podających się za Kubę Rozpruwacza – powiedział. – List „Drogi szefie”. Pocztówka „Zuchwały Kuba”. „List do Openshawa”. „List z piekła” różni się od nich tym, że, jak pan mówi, było do niego dołączone pudełko z połową ludzkiej nerki.

Przyglądałem się, jak zdejmuje ze ściany kalendarz z napisem: WESOŁYCH ŚWIĄT I SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU ŻYCZY POLICJA METROPOLITALNA.

W ścianę był wbudowany sejf.

– Niech się pan odwróci, detektywie – polecił, a gdy spojrzałem w bok, wstukał kod cyfrowy. – List był zaadresowany do George’a Luska, przewodniczącego Komitetu Czujności Dzielnicy Whitechapel. Może się pan już odwrócić.

Na biurku leżała ciemnozielona teczka.

Otworzył ją. Wewnątrz znajdowała się plastikowa koperta. W kopercie leżał arkusz papieru, zbrązowiały ze starości i kruchy, jak gdyby osmolony, jak gdyby w ostatniej chwili ktoś wyciągnął go z ognia.

Duże czerwone litery, kilkanaście linijek, słowa spisane szybko, w gorączkowym pośpiechu.

– Nerkę ktoś wyrzucił – rzekł sierżant Caine. – Przepraszam.

Z piekła

Pan Lusk

Proszę pana

Pszesylałam puł nerki

Cożem ją wyjął jednej kobiecie

i zostawił panu

drógi kawałek żem usmażył i zjad bardzo mi smakował,

jak pan troche poczeka moge psześcić

nóż z krwią jakim żem ją

wyjął.

Podpisano

*Złap mnie pan
jak umiesz
Panje Lusk*

– To autentyczny list, prawda? – spytałem. – Widać. To od niego. Od Kuby Rozpruwacza.

Caine skinął głową.

– Zawiera znacznie więcej błędów ortograficznych niż inne listy, ale wtedy przypuszczano, że to celowe. Sztuczne wydają się natomiast pozory analfabetyzmu. Niech pan spojrzy. Wydaje się, że z ortografią jest na bakier, ale udaje mu się napisać „wyjął” przez „ą” i „nóż” przez „ż”. W odróżnieniu od reszty listów, nie podpisał go „Kuba Rozpruwacz”. No i trzeba mu to przyznać: dołączył ludzką nerkę.

– Miał dość fałszywek – stwierdziłem. – Miał dość tych wszystkich wariatów przyznających się do zbrodni, których nie popełnili, bo mieli na to za mało umiejętności, nie byli dostatecznie szaleni. Tak samo będzie tym razem. Prędzej czy później ujawni się prawdziwy zabójca.

Sierżant Caine obserwował, jak patrzę na list.

– Bob Rzeźnik jest nieprawdziwy – dodałem. – Ale to jest prawdziwe. Mogę dotknąć?

Kustosz Czarnego Muzeum zmierzył mnie wzrokiem.

– Ostrożnie – ostrzegł.

– Jedno morderstwo to tragedia – powiedziała detektyw inspektor Elizabeth Swire. – Dwa morderstwa to tragiczny zbieg okoliczności. A trzy to już rozrywka w najlepszym czasie antenowym.

Inspektor zadzwoniła w chwili, gdy Mallory miał zacząć poranną odprawę w Głównym na West Endzie. Piętnaście minut później byliśmy już w sali konferencyjnej na ostatnim piętrze budynku Nowego Scotland Yardu. Z tej wysokości cała policyjna góra miała widok jak z obrazka – na St James’s Park albo Tamizę. Okna tej sali wychodziły na park. Nikt jednak nie zwracał uwagi na widok.

Po śmierci Guya Philipa operacja Grubas trafiła na pierwsze strony gazet. Boba Rzeźnika nazywano seryjnym mordercą i traktowano jak celebrytę. Tabloidy szalały, choć ukradkiem przemyślały uznanie dla dysfunkcyjnej wrażliwości społecznej Boba. BOB RZEŹNIK – POSTRACH BOGACZY, ULUBIENIEC BIEDNYCH? – pytał „The Sun”. Poważniejsze gazety widziały w nim uosobienie resentymentów kipiących w zepsutym do szpiku kości niesprawiedliwym społeczeństwie. BOB RZEŹNIK – JEDNOOSOBOWY BUNT? – zastanawiał się „Guardian”, jak gdyby jedyne przewinienia Boba polegały na rozbijaniu witryn sklepowych i kradzieży telewizorów.

Inspektor Swire nie była zachwycona. A miała wybitny talent do okazywania niezadowolenia. Ta pięćdziesięciolatka o włosach ufarbowanych na intensywny blond i usztywnionych lakierem, tak że fryzura przypominała spartański hełm, wyglądała jak świeżo

ekshumowane zwłoki Margaret Thatcher, z tą różnicą, że miała w sobie mniej ludzkiego ciepła.

Przyglądała się nieruchomymi oczami komisarzowi Mallory'emu.

– Początkowo wyrażał pan wątpliwości, czy Bob Rzeźnik jest sprawcą – powiedziała.

– Zgadza się, pani inspektor.

– Czyli wykluczył go pan ze śledztwa?

– Jeszcze nie, pani inspektor.

– Jeszcze nie, pani inspektor – powtórzyła tak zjadliwym tonem, że można nim było wytruć kolonię mrówek faraona.

Nieco drżącym głosem odezwał się podkomisarz Gane. Mówił o anonimowych sieciach, ruterach cebulowych i warstwach szyfrowania.

Swire przerwała mu krótkim i energicznym ruchem głowy.

– Zostawmy szczegóły techniczne, dobrze? – ucięła. – Ale chcę wiedzieć jedno: jak często się zdarza, by przeciętny psychopata z serwisu społecznościowego korzystał z tak skomplikowanej architektury zabezpieczeń?

– To byłoby... niespotykane – odrzekł Gane.

Może i Swire nie uniosła brwi w niedowierzaniu, ale takie odnieśliśmy wrażenie.

– Niespotykane? – spytała cicho. – Naprawdę? Tylko tyle?

– To byłoby bez precedensu, pani inspektor.

Swire skinęła głową, jak gdybyśmy wreszcie do czegoś dochodzili.

– Coś nowego w sprawie odcisków palców? – spytała. – Pracujemy nad analizą śladów daktyloskopijnych?

Mallory musnął ręką akta śledztwa. Odchrząknął.

– Sytuacja się nie zmieniła, pani inspektor. W żadnym miejscu zdarzenia nie zabezpieczono odcisków palców.

Swire utkwiała w nim ciężkie spojrzenie.

– To znaczy, że macie ślady rękawiczek?

– Nie ma śladów, pani inspektor. Ani rękawiczek, ani częściowych śladów linii papilarnych. Żadnych odcisków. Ich brak nadal jest... niewyjaśniony.

Swire przez chwilę oswajała się z tą informacją.

– Czyli jest duchem? – spytała.

W dole moich pleców odezwał się pulsujący ból.

– Nie jest duchem, pani inspektor – odrzekłem.

Pokiwała głową, jak gdyby dopiero teraz podjęła decyzję.

– Wznawiamy operację Grubas – oznajmiła. – Wprowadzam trzy nowe osoby.

Po obu stronach Swire siedzieli dwaj mężczyźni, którzy milczeli przez całe spotkanie, unikając kontaktu wzrokowego z niekompetentnym zespołem śledczym z Głównego; młody Azjata w okularach, o aparycji specja informatycznego, oraz znacznie starszy człowiek, około sześćdziesiątki, o delikatnych siwych włosach, który na pewno nie był funkcjonariuszem metropolitalnej, ponieważ nosił garnitur bez krawata.

Obaj drgnęli.

Swire lodowato skinęła głową Mallory'emu.

– Na razie pozostanie pan szefem zespołu prowadzącym śledztwo. Ale odtąd będę uczestniczyć w porannych odprawach i będzie pan podlegać mi bezpośrednio.

Gane i Whitestone wymienili spojrzenie. Czas Mallory'ego mijał. Nadal kierował zespołem śledczym, ale czuło się, że to już nie jego śledztwo. Czuło się, że operacja Grubas będzie odtąd nadzorowana przez Broadway, Londyn SW1 – Nowy Scotland Yard – nie przez Savile Row 27.

Mallory był dobrym człowiekiem, ale zaczynał się uginać pod naporem świata. Nagle jego władza wydała się tak krucha, że jeden

gest kobiety siedzącej u szczytu stołu konferencyjnego mógł go jej pozbawić.

Swire wskazała specja od informatyki siedzącego po jej lewej stronie.

– To jest Colin Cho z centralnej jednostki przestępczości komputerowej. Jak wam wiadomo, jest to jednostka finansowana wspólnie przez MSW i metropolitalną, zwalczająca najpoważniejsze cyberprzestępstwa w kraju. Sprawa Boba Rzeźnika należy do zakresu jej zadań.

– Mam nadzieję, że będziemy mogli pokazać wam kilka nowych sztuczek – zwrócił się do Gane'a Cho, mówiąc z akcentem gdzieś pomiędzy Hongkongu i Londynu.

Gane nie odpowiedział.

– Chcę wypłoszyć Boba z kryjówki – oświadczyła Swire. – Wywlec go z za jego zapory ogniowej. Chcę, żeby traktowano go poważnie. Stajemy się pośmiewiskiem. – Gwałtownym ruchem zwróciła głowę w moją stronę. Jej fryzura ani drgnęła. – Zwłaszcza po niedawnym spacerze detektywa Wolfe'a na wsi.

– Ależ traktujemy Boba poważnie, pani inspektor – zaprotestował Mallory.

Nie uderzyła pięścią w stół. Nie musiała. Posłała Mallory'emu lodowate spojrzenie, które mogłoby wywołać hipotermię u bałwana.

– Za mało poważnie – odparła. – Poseł z Hillingdon North jest niezwykle ceniony przez Whitehall i Westminster. – Głęboko nabrała powietrza i wolno je wypuściła. – Dostaję telefony.

Tak więc o to chodzi, pomyślałem. Morderstwa miały zbyt bliski związek z Benem Kingiem, więc Downing Street i Whitehall wywierały duże naciski na Swire.

Inspektor odwróciła się do starszego mężczyzny po prawej.

– A to doktor Joe Stephen z londyńskiego King’s College. Przedstawi się pan, doktorze?

– Jestem psychologiem sądowym i pomogę państwu we wszystkim, w czym będę mógł – rzekł. Melodyjne samogłoski wskazywały, że to Kalifornijczyk mieszkający od jakichś dwudziestu lat w Londynie. W jego wymowie wzgórze Hollywood spotykały się ze wzgórzem Muswell.

– Co w tym momencie może pan powiedzieć? – zapytała Swire.

– Psychologia sądowa to bardziej sztuka niż nauka – odparł. – Mogę jedynie przyjrzeć się dowodom i stworzyć profil osoby, która mogła popełnić te przestępstwa. – Leżała przed nim teczka, w którą zerknął, choć wydawało mi się, że nie musi. – Aby zatrzymać NS – przepraszam, nieznanego sprawcę – należy zrozumieć, że chce zmienić porządek świata. Kobiety prawie zawsze zabijają osobę, którą znają. Ofiarami mężczyzn, którzy zabijają więcej niż raz, prawie zawsze są obcy im ludzie. Seryjni mordercy są bez wyjątku płci męskiej.

Gane założył ręce na piersi.

– Czyli szukamy mężczyzny? – spytał. Posłał znaczący uśmiešek Whitestone, która jednak nie zareagowała. – To faktycznie zawęża pole poszukiwań – mruknął pod nosem.

Doktor Stephen spojrzał na niego przeciągle.

– Białego mężczyzny – dodał.

– A to czemu? – spytał ciemnoskóry detektyw inspektor.

– Bo wszystkie ofiary były białe – odrzekł doktor Stephen. – A seryjni mordercy prawie zawsze zabijają przedstawicieli własnej rasy. Nie jest to reguła dotycząca stu procent przypadków, ale na tyle powszechna, że można ją przyjąć za pewnik.

Wyglądał na odrobinę zdenerwowanego. Przyszedł do nas jako przyjaciel, a teraz musiał się bronić.

– Jakim jest typem białego mężczyzny, doktorze Stephen? – odezwała się Whitestone, znacznie życzliwszym tonem niż Gane. – Domyśla się pan, w jakim wieku, z jakiej grupy społecznej, jaki może mieć motyw?

– Biały mężczyzna, który próbuje naprawić coś, co w jego przekonaniu jest złe – rzekł doktor Stephen. – Wymierza karę swoim ofiarom. To są wszystko zaplanowane ataki. Bardzo starannie zaplanowane. Nie popełnia morderstw podczas konfrontacji, zabija z zemsty. Sprawca próbuje naprawić zło za pomocą jedyne go środka, jaki ma do dyspozycji – skrajnego aktu przemocy. Został ukształtowany przez środowisko, gdzie przemoc jest środkiem do osiągnięcia celów.

Gane niemal kipiał od tłumionej urazy, ale moim zdaniem to, co mówił doktor Stephen, brzmiało sensownie. Pomyślałem o makabrycznej precyzji pchnięć w tętnice szyjne i łatwości, z jaką otwierały arterie, których nie można już było zamknąć. To było dzieło człowieka, który stwarzał świat na nowo.

– Może to po prostu świr – zauważył Gane.

Doktor Stephen uśmiechnął się do niego z mieszaniną zażenowania i litości.

– Wobec tego jest świrem, w pańskiej terminologii, detektywie, nie mojej, przywracającym kontrolę na światem, który w jego oczach oszalał. Honor. Władza. Kontrola. To się dla niego liczy. Kiedy go znajdziecie, w co nie wątpię, znajdziecie człowieka, który odczuwa potrzebę kontroli nad innymi, człowieka, który potrzebuje tego bardziej niż czegokolwiek innego.

– Czyli właściwie nic pan o nim nie wie? – nie ustępował Gane.

– Proszę posłuchać, jestem w tej sali, ponieważ to są zabójstwa obcych ludzi – odrzekł doktor Stephen. – W większości prowadzonych przez was spraw zabójca i ofiara się znają. Mąż morduje żonę

z powodu zdrady, matka morduje dziecko, diler narkotyków morduje współnika. – Na chwilę umilkł. – W przypadku seryjnego mordercy taki związek nie istnieje. Ofiara nie jest mężem, współnikiem, znajomym. Ale nieznanymi sprawca zostawia dowody. Psychiatryczne. Behawioralne. Rytualne. Resztki fantazji i szaleństwa.

Po drugiej stronie przeszklonej ściany zobaczyłem, że policjanci prowadzą do sali konferencyjnej Scarlet Bush.

– Ach, to pani Bush – powiedziała Swire, kiedy dziennikarka weszła – którą część z was zna jako reporterkę kryminalną z „Daily Post”.

Dziennikarka obeszła stół, witając się ze wszystkimi uściskiem dłoni i z uśmiechem zaglądając nam w oczy, także mnie. Udawała, jak gdybyśmy się nigdy wcześniej nie spotkali. Następnie zajęła miejsce u szczytu stołu, obok doktora Stephena.

– Oto plan – powiedziała Swire.

Szok wywołany tymi słowami sprawił, że Mallory raptownie wyprostował się na krześle, a ból w moich lędźwiach zaczął niespokojnie pulsować. Whitestone i Gane spojrzeli po sobie z zaskoczeniem.

Jaki plan?

– Doktor Stephen opracuje szczegółowy profil Boba Rzeźnika – ciągnęła inspektor Swire. – Następnie pani Bush na podstawie tego profilu napisze komentarz w „Daily Post” i spróbuje skłonić Boba, żeby się wytłumaczył w wywiadzie online. Pan Cho będzie czekał, żeby wybić w jego zaporze sieciowej bardzo dużą dziurę.

– Trafię w jego czułe punkty – włączyła się Scarlet Bush. – Zmuszę Boba, żeby przestał się chować za górnolotnymi cytatami z Roberta Oppenheimera i wystawił głowę z okopu.

Mallory niespokojnie poruszył się na krześle.

– Naprawdę sądzi pani, że zareaguje, jeżeli – dobrze zrozumiałem?
– obrazi go pani w prasie?

– Jeżeli zrobię to w odpowiedni sposób – przytaknęła Bush. – Bob nie przechwalałby się w sieci, gdyby nie był próżny, gdyby nie zależało mu na zainteresowaniu, gdyby nie był narcyzem i gdyby nie chciał się usprawiedliwiać przed światem. To niekoniecznie będą obelgi – zgodziliśmy się, że doktor Stephen dostanie tekst do autoryzacji – raczej spostrzeżenia. Tylko tyle, żeby Bob uznał, że powinien się wytłumaczyć. Niewiele. Tylko tyle, ile trzeba.

Na mojej twarzy chyba odbiło się niedowierzanie. Bush patrzyła na mnie już bez uśmiechu.

– Będzie ze mną rozmawiał z tego samego powodu, dla którego wszyscy w końcu decydują się ze mną porozmawiać – ciągnęła. – Nie dlatego, że świetnie byłoby poznać jego punkt widzenia, ale dlatego, że i tak przedstawię jego sprawę, bez względu na to, czy zabierze głos, czy nie. Może więc się wypowiedzieć albo siedzieć cicho i pozwolić mówić innym.

– Tak to działa? – spytałem.

– Właśnie tak to działa, detektywie.

Spojrzałem na Swire.

– Pani inspektor, rzucamy wszystkie siły przeciwko temu Bobowi Rzeźnikowi, a...

– I będziemy je rzucać, dopóki go nie pokonamy – przerwała mi inspektor. Spojrzała na Cho. – Colin?

– Jestem pewien, że nasza jednostka dysponuje odpowiednimi narzędziami, żeby znaleźć luki w systemach szyfrowania, anonimizacji i ruterach cebulowych, z których korzysta.

Swire obrzuciła wzrokiem przybity zespół śledczy z Głównego.

– A potem przyniesiecie mi jego głowę nabitą na pal – zapowiedziała.

Mallory wpatrywał się posępnie w akta śledztwa. Widać było, że opuszczają go siły. Plan przedstawiony przez inspektora wydawał się tak prosty, że czułem się jak zdrajca, gdy spojrzałem na St James's Park i pomyślałem: dlaczego miałyby się nie udać? W każdym śledztwie w sprawie poważnego przestępstwa standardowo stosowano procedurę LPE – lokalizacji, przesłuchania i eliminacji. Może plan Swire był najlepszym rozwiązaniem. Wypłoszyć nadętego sukinsyna z jego cyfrowej meliny.

Scarlet Bush odchyliła się na krzesło.

– Doktorze Stephen, jakim typem człowieka jest Bob Rzeźnik? – spytała.

– Mogę pani powiedzieć coś o nieznanym sprawcy – odrzekł Amerykanin. – Mogę też, jak sądzę, powiedzieć coś o Bobie Rzeźniku. Nie potrafię jednak powiedzieć, czy to ta sama osoba.

Swire i Bush wymieniły przelotne spojrzenie. Zorientowałem się, jak bardzo im zależy, aby Bob był tym samym człowiekiem – zabójcą.

– Społeczeństwo usiłuje zrozumieć recydywistów popełniających ciężkie zbrodnie – kontynuował doktor Stephen. – Seryjnego gwałciciela i seryjnego mordercę. Często się zdarza, że to ten sam typ, ale na różnych etapach drogi do szaleństwa.

– Przestępstwa Boba są pozbawione elementu seksualnego – zauważyła Swire.

– Chodzi mi o to, że seryjny gwałciciel i seryjny morderca zwykle mają wspólne cechy podstawowe. Ponieważ dla obu łamanie prawa jest sposobem na życie, są czarującymi manipulacjami, próżnymi, bezwzględnymi, zupełnie niewrażliwymi moralnie i pozbawionymi śladu ludzkiej empatii. Sprawca żyje zapewne w świecie fantazji, które dają mu tyle satysfakcji, że stają się ważniejsze od rzeczywistości. Prawdopodobnie jest niemal geniuszem kłamstwa. Jak wiadomo, seryjni mordercy często bez problemów przechodzą

badania wariograficzne. Na pewno nosi w sobie jakiś uraz z przeszłości. Często, ale nie zawsze, seryjni mordercy byli w dzieciństwie wykorzystywani psychicznie i seksualnie.

Scarlet Bush nadstawiła uszu.

– Sądzi pan, że Bob Rzeźnik w dzieciństwie padł ofiarą molestowania seksualnego?

– Możliwe. Racjonalny umysł usiłuje zrozumieć psychopatologię nieracjonalnego. Te morderstwa stanowią formę wyrażenia męskości zabójcy. Jak powiedziałem, zabójstwa są manifestacją honoru, władzy i kontroli. Ich jedynym celem jest wymierzenie kary za zło wyrządzone samemu zabójcy albo osobie trzeciej. Zabójca prawie na pewno nie zna swoich ofiar. Po prostu naprawia krzywdę. Albo szereg krzywd.

Scarlet Bush pilnie robiła notatki.

– Czyli twierdzi pan, że Bob Rzeźnik ma kruchą męskość? – spytała.

– Niekoniecznie. Ale sprawca ma ograniczone możliwości jej wyrażania. Nie może tego zrobić na przykład w świecie biznesu. Ucieka się więc do przemocy. Do morderstwa.

– A gdybym... to znaczy, gdybyśmy zasugerowali, że w jego zbrodniach jest na przykład element gejowski?

Doktor Stephen spojrzał na nią spokojnie.

– Wątpię, czy w ten sposób zjedna pani sobie jego sympatię. Proszę pani, sprawca pragnie opanować sytuację, która jest absolutnie nie do opanowania. W odróżnieniu od przytłaczającej większości morderców, naprawdę chce, żeby jego ofiary zginęły. To niezwykle, ale większość zabójstw, jak państwo wiedzą o wiele lepiej ode mnie, to skutek uboczny aktu skrajnej przemocy. Większość ofiar morderstw ma po prostu pecha.

– Jasne – powiedział Gane.

Doktor Stephen już świetnie nauczył się nie zwracać na niego uwagi.

– Za późno zostaje udzielona pomoc medyczna – ciągnął. – Ważny organ wewnętrzny przypadkowo ulega uszkodzeniu. Głowa uderza o podłogę i dochodzi do śmiertelnych obrażeń.

Moją szyję przeszył nagły ból. Proszę. Rozcięcie pod strupem w miejscu, gdzie poczułem ostrze noża. Proszę. Zwolniłem oddech, zanim zdążyłem stracić nad nim panowanie.

Proszę. Mam córkę.

– Nasz sprawca atakuje z zamiarem zabicia – dodał doktor Stephen. – Honor. Władza. Kontrola. Jeżeli cokolwiek mogę powiedzieć, to właśnie tyle: honor, władza, kontrola. Oto motyw. Te morderstwa są manifestacją znieważonej męskości.

Bob Rzeźnik i zabójca nie wydawali mi się już różnymi osobami. Stali się biegunowo odmienni.

Doktor Stephen uśmiechnął się życzliwie.

– Powiem państwu jeszcze jedno – rzekł.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego.

– On na tym nie poprzestanie.

21

Lis miał dla siebie wszystkie boiska.

Przyjechałem do Potter's Field na uroczystość żałobną ku czci Guya Philipa i mając wolną godzinę, wyszedłem na boiska i przypomniałem sobie chwilę, gdy z lasu wybiegł na miękkich nogach Piggy, z którego uchodziło życie.

Boiska do rugby i do piłki nożnej były teraz puste. Zobaczyłem tylko lisa, który wyłonił się spomiędzy drzew i chyłkiem ruszył wzdłuż bocznej linii boiska do rugby w kierunku kamiennego domku.

Nigdzie nie było śladu dozorca Lena Zukova, ale w pobliżu tej oznaki cywilizacji lis poruszał się ostrożnie. Zwolnił, uniósł łeb i zaczął węszyć. Kiedy zobaczyłem, jak przed domkiem skręcił i skierował się w stronę błotnistej połaci boisk, poczułem wibrowanie telefonu.

Dzwoniła Wren. Nie była w pokoju operacyjnym. W tle usłyszałem hałasy z ulicy, nieznane głosy.

– Edward Duncan – powiedziała.

– Tak?

– Nie jest notowany. Nie ma prawa jazdy. Nie ma numeru ubezpieczenia. Nie ma paszportu. Nie ma też karty kredytowej, konta bankowego ani żony.

Była wyraźnie zadowolona z siebie. W wyobraźni zobaczyłem, jak uśmiecha się radośnie, odgarniając z bladej twarzy kosmyk rudych włosów.

– A co ma? – zapytałem.

– Edward Duncan ma swojego marszanda.

Przez chwilę oswajałem się z tą wiadomością.

– Świetna robota, Wren.

– Galeria Nereus Fine Art. Niewielka. Północny Londyn, na samym końcu Heath Street, w stronę Hapstead. Przejeżdżałam tamtędy.

– O to cię chyba nie prosiłem, prawda?

– Spokojnie, detektywie, nie wchodziłam. Zresztą i tak było zamknięte. To mała galeria.

– Nereus Fine Art – powtórzyłem.

– Nazwa ma związek z mitologią grecką – wyjaśniła Wren. – Nereus był morskim bogiem, życzliwym dla żeglarzy. Miał niezwykłą zdolność.

– Jaką?

– Potrafił zmieniać postać.

Lis niespiesznym truchtem zmierzał w moją stronę.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Mówiłam? Każdy zostawia jakiś cień.

Zanotowałem adres Nereus Fine Art.

– Kiedy chce pan tam zajrzeć? – zapytała.

– Po powrocie do miasta – odparłem. – Wieczorem.

– Zabierze mnie pan z Głównego?

– Po co?

– Bo jadę z panem.

Omal nie parsknąłem śmiechem.

– Nie jedziesz ze mną. To nieoficjalna sprawa.

– Właśnie dlatego jadę z panem – zakomunikowała. – Zadanie było nieoficjalne, wykonałam je, więc jadę z panem.

Uznałem, że później będziemy się o to kłócić.

– Kto to jest? – spytała. – Kim jest Edward Duncan?

Lis przystanął pośrodku boiska do piłki nożnej. Węszył przez chwilę, po czym zwiesił łeb i zaczął zawzięcie kopać.

– Edward Duncan jest nieboszczykiem – odrzekłem.

...

Widok kapitana Neda Kinga był dla mnie szokiem.

Miał na sobie nieskazitelny czarny mundur oficera królewskich strzelców gurkhijskich, ale był nieogolony i miał zaczerwienione oczy, jakby przyjechał do szkolnej kaplicy Potter's Field prosto z bazy Brize Norton, jakby minioną noc spędził na pokładzie transportowego herculesa. Zszokował mnie jednak fakt, jak bardzo Ned King jest podobny do swojego brata, a mimo to zupełnie inny. Siedzieli obok siebie w zabytkowej kaplicy, a z mównicy srogo spoglądał Peregrine Waugh. Ben King z gładkim obliczem polityka, kapitan King z oszpeconą bliznami twarzą żołnierza. Chociaż pamiętałem, że blizny nie są pamiątką z żołnierskiej służby.

Salman Khan siedział obok Bena Kinga i wpatrywał się z uwagą w niewiarygodnie wysokiego dyrektora, jak gdyby przypuszczał, że później zostanie odpytany.

– Zebraliśmy się tu, aby wspomnieć Guya Philipa – powiedział Waugh. – Naszego absolwenta. Naszego nauczyciela. Przyjaciela.

Jak większość osób umiejących przemawiać publicznie, Waugh miał w sobie coś z kabotyna. Kazał nam spojrzeć na rok urodzenia Guya Philipa i rok jego śmierci. Powiedział, że te daty nie są istotne. Najbardziej liczyło się to, co zdarzyło się między nimi. Najbardziej liczył się „pęd”. Jego życie.

Mówił o Philipie, jakby ten był skrzyżowaniem Matki Teresy i Jezusa Chrystusa.

Pomyślałem o biednym nieżyjącym Piggym. Widziałem, jak boleśnie wykręcił rękę Natashy na pogrzebie Hugo Bucka. Widziałem, jak kazał uczniom tarzać się w błocie. Miałem wrażenie, że przez cały ten pęd znęcał się nad innymi.

Ale Waugh jako mówca świetnie panował nad publicznością i usłyszałem za sobą ludzi pociągających nosami i dławionych wzruszeniem. Kiedy jednak spojrzałem na kamienną twarz dyrektora Potter's Field, nie umiałem odgadnąć, czy Guy Philips był dla Peregrine'a Waughta wszystkim.

Czy może nic dla niego nie znaczył.

Kaplica Potter's Field była szczelnie wypełniona przez chyba całą szkołę. W kilku pierwszych rzędach nauczyciele w czarnych togach, za nimi masa chłopców w zieleni i purpurze, a pod witrażowym oknem sześć rzędów chóru naprzeciwko kolejnych sześciu rzędów. Uczniowie i nauczyciele stali też wzdłuż ścian kaplicy, w otwartych drzwiach i za drzwiami.

Był to znacznie mniejszy budynek, niż się spodziewałem. Czytałem w internecie, że prace nad nim zostały przerwane w trakcie wojny Dwóch Róż i wciąż nie podjęto ich na nowo. Odniosłem wrażenie, jakie zawsze ogarniało mnie w Potter's Field – tu sto lat trwało nie dłużej niż mgnienie oka.

Do mównicy zbliżył się kapitan King.

– „Święto się skończyło” – zaczął czytać. – „Aktorzy moi, jak ci powiedziałem, były to duchy; na moje rozkazy, na wiatr się lekki wszystkie rozplynęły. Jak bezpodstawna widzeń tych budowa, jasne pałace i wieże w chmur wieńcu, święte kościoły, wielka ziemi kula, tak wszystko kiedyś na nic się rozplynie, jednego pyłku na ślad nie zostawi, jak z moich duchów powietrzne zjawisko”¹⁴.

Salman Khan zwiesił głowę i zapłakał. Kiedy słowa kapitana Kinga rozlegały się w starej kaplicy, Ben King nie odrywał wzroku od

pokierszowanej twarzy brata.

– Sen i my z jednych złożeni pierwiastków; żywot nasz krótki w sen jest owinięty.

Kapitan King wygłaszał mowę obojętnym, rzeczowym tonem, a mimo to w jego słowach kryło się głębokie znaczenie. Był opanowany, a mimo to pełen emocji. Potrafił to robić. W końcu miał długą praktykę.

Wrócił do pierwszego rzędu i lekko dotknął ramienia Khana, po czym zajął miejsce obok brata. Za nimi siedziały ich żony – piękne, eleganckie i seksowne, nawet w żałobnych strojach – pilnujące dobrze wychowanych dzieci z aparatami korekcyjnymi na zębach. Lśniła ciężka biżuteria dam. Można było poświęcić mnóstwo czasu i pieniędzy, by zadbać o ciała, umysły i zgryzy dzieci.

Bracia Kingowie i Khan mieli rodziny. I przypuszczałem, że je kochali.

Ale prawdziwe więzi, nierozzerwalne, więzi na całe życie, były inne. Łączyły ze sobą każdego z tych mężczyzn.

...

Po uroczystości szedłem przez boiska, omijając boisko do rugby, na którym odbywała się lekcja wychowania fizycznego. Wszyscy chłopcy mieli na ramieniu czarne opaski na znak żałoby po zamordowanym nauczycielu.

Odgłosy zderzających się ciał, butów z korkami trafiających w kość, wrzaski i śmiechy powoli cichły, kiedy zbliżałem się do kamiennego domku, w którym mieszkał Len Zukov. Zapukałem do drzwi. Nikt nie otwierał. Obszedłem domek, stawiając kołnierz, by ochronić się przed przenikliwym wiatrem. Zatrzymałem się na widok lisa.

Leżał na szczycie góry kompostu jak złachany worek sierści i kości, czekając, aż trafi do ognia.

Miał wprawnie skręcony kark.

...

Wróciłem do miasta o piątej po południu – w listopadzie było już ciemno jak o północy. Właśnie zaczynała się najbardziej gorączkowa faza trzech londyńskich godzin szczytu. Kiedy byłem na Piccadilly, wysłałem do Wren SMS. Czekala na mnie przed budynkiem przy Savile Row 27. Wsiadła do bmw z triumfalnym uśmiechem.

– Gdyby nie ja – powiedziała – jeszcze by się pan grzebał w Google. Na pana miejscu pojechałabym przez Regent's Park. Zdziwi się pan, jak mały ruch jest zawsze wokół parku.

Ruszyłem więc w stronę parku i po piętnastu minutach byliśmy na Finchley Road. Ruch był gęsty, ale dość płynny; po chwili zaczął się stopniowo przerzedzać, a my wspinaliśmy się coraz bardziej stromą ulicą aż do końca Heath Street, do najwyższej położonego punktu w mieście.

Zdałem sobie sprawę, że jesteśmy blisko łąki, na której Scout i ja spuściliśmy Stana ze smyczy i go zgubiliśmy. Nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi na skupisko przeróżnych galerii sztuki. Były ostatnią rzeczą, którą widziało się przy wyjeździe z Hampstead, przed zanurzeniem się w rozległą zieloną przestrzeń Heath.

Kiedy samochód piął się coraz wyżej, zobaczyłem kilka ekskluzywnych galerii – wielkich, kosztownie urządzonych lokali, gdzie na witrynach eksponowano rzęsiście oświetlone płótna; inne wyglądały znacznie skromniej, należały do miejscowych malarzy sprzedających prace miejscowej klienteli. Ta, której szukaliśmy, była niewiele większa od ciemnej dziury w ścianie.

– To tu – powiedziała Wren.

NEREUS

Fine Art

Mijając galerię, zwolniłem i za ogrodzeniem z kutego żelaza, które lśniło w blasku ulicznej latarni, dostrzegłem maleńki lokal. Pojemnik na śmieci był przewrócony, a jego zawartość rozsypała się na wąskim chodniku. Wren odpinała już pas, gdy dotarliśmy na szczyt wzgórza. Znalazłem wolne miejsce parkingowe za Jack Straw's Castle.

Kiedy jednak wróciliśmy do galerii pieszo, zobaczyliśmy, że jest zamknięta. W witrynie wystawiono dwa małe pejzaże. Za przeszklonymi drzwiami usypał się kopczyk przesylek reklamowych. Wywieszka kłamała: ZARAZ WRACAM.

Cofnąłem się o dwa kroki. To był trzykondygnacyjny budynek; pod galerią znajdowało się mieszkanie w suterenie, a nad nią mieszkanie na piętrze. Przechyliłem się przez żelazne pręty ogrodzenia i spojrzałem najpierw w dół, potem w górę. Obydwa mieszkania były ciemne. Pod butami zachrzęściło tłuczone szkło, a pojemnik na śmieci wyglądał, jakby splądrował go lis, który przywędrował tu z parku Hampstead Heath. Zwierzę miało pecha. Śmieci składały się wyłącznie z butelek po piwie i pudełek po pizzy.

Rozejrzałem się wokół. Znajdowaliśmy się na skraju zamożnego Hampstead. Firmy albo kwitły, albo bankrutowały. Oprócz galerii znajdowało się tu kilka restauracji i sklepów odzieżowych, ale ponad połowa z nich była zamknięta. Przed wszystkimi budynkami wznosiły się takie same ogrodzenia z kutego żelaza jak przed Nereusem. Nawet na najskromniejszych domach błyskały niebieskie i czerwone lampki alarmów antywłamaniowych.

– Chodźmy – zdecydowałem. – Muszę odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Dokąd cię podrzucić?

– Pojadę z panem.

Spojrzałem na nią. Ile miała lat? Dwadzieścia pięć? Mniej?

– Nie masz prywatnego życia? – zapytałem.

– Dzisiaj nie mogę się spotkać ze swoim chłopakiem. – Pauza. – Musi iść na kolację ze swoją żoną. – Znow pauza. – Dzisiaj są jej urodziny.

Czubkiem buta trąciła potłuczone butelki po piwie i odsunęła pudełko po pizzy z zaschniętym serem na boku.

– Tu mieszka mężczyzna – stwierdziła.

– Skąd wiesz, że mężczyzna?

– Tylko mężczyźni mogą tak mieszkać. Mężczyźni i świnie.

...

Holloway było kilka kilometrów i parę lat świetlnych od Hampstead.

Staliśmy przed dużą zakurzoną witryną, w której honorowe miejsce zajmował manekin w stroju niemieckiego żołnierza z czasów drugiej wojny światowej.

– Skąd się pan o tym dowiedział? – zaciekała się Wren.

– Wygrzebałem w Google – odrzekłem.

Pod stalowym hełmem manekin miał lekko nadąsaną twarz modela, ale jego strój był ciężki i surowy, dobrany z myślą o inwazji na Rosję. Pod ciepłym wełnianym płaszczem miał zgrzebną bluzę, jedno i drugie za duże na delikatną sylwetkę o wąskich biodrach, oraz workowate spodnie wpuszczone w wysokie skórzane buty. Wszystko wyglądało na niewiarygodnie stare i kruche. Sprawiało wrażenie, że mogłoby się rozpaść od jednego dotknięcia.

– Któraś z tych rzeczy jest autentyczna? – zaciekałem się.

– Na pewno nie buty – orzekła Wren. – Reszta być może tak. Ale buty, nie ma mowy. Szkopy zdarły buty. Na froncie wschodnim Niemcy odcinali nogi zabitym rosyjskim żołnierzom i rozmrażali je nad piecem jakiegoś chłopa, a potem zabierali buty.

Patrzyłem na nią.

– Mój tato – wyjaśniła. – Lubi drugą wojnę. To dobre wyrażenie? Lubi? Powiedzmy, że interesuje się drugą wojną. Zestaw płyt z serialem *Historia drugiej wojny światowej* i tak dalej.

Resztę witryny zajmowały pieczołowicie wyeksponowane rupiecie. Guziki. Plakaty. Wyblakłe skrawki metalu, tkanin, kartonu i skóry, wystawione jak relikwie. DRUGI FRONT – głosił szyld nad wejściem. MILITARIA KOLEKCJONERSKIE.

Wewnątrz gaszono już światła.

Zapukałem po policyjnemu. Zza drzwi wystawił głowę długowłosego, niemłody mężczyzna.

– Właśnie zamykam – powiedział.

– Proszę sobie nie przeszkadzać.

Na widok naszych legitymacji stanął bokiem, robiąc nam miejsce, i weszliśmy do środka.

– Detektyw Wolfe i detektyw stażystka Wren – przedstawiłem nas.

– Nick Cage – odrzekł niechętnie.

Ujrzałem strzępy ubrań w szklanych gablotach, zardzewiałe medale w kasetkach, oprawione fotografie uśmiechniętych mężczyzn, którzy wieki temu zginęli z krzykiem na ustach.

– Fajne miejsce – powiedziała Wren. – Mój staruszek byłby zachwycony. To prawdziwy luger P08?

Pokazywała pistolet w pudełku z ciemnego szkła witrażowego.

– Replika – odpowiedział, spoglądając na mnie. – Nie strzela.

Otworzyłem torbę i wyjąłem teczkę. Była w niej kolekcja zdjęć formatu osiem na dziesięć. Rozłożyłem je na oszklonej gablocie

i poczułem w krzyżu paraliżujący ból. Wszystkie fotografie przedstawiały nóż do podrzynania człowiekowi gardła. Pochyliłem się, opierając dłonie o szybę, i ostrożnie odciążyłem kość ogonową, równocześnie uspokajając oddech. Wprawdzie nie przeciągnąłem się jak pies, ale poczułem się trochę lepiej.

– Znam pana – powiedział Cage. – Tylko skąd? – Pstryknął palcami.
– Roześmiany policjant na YouTube.

– Jest niewiarygodnie sławny – poinformowała go Wren, przeglądając sfatygowane bluzy mundurowe na wieszakach, jakby była w sklepie Miss Selfridge. – Zrobił furorę.

Popatrzyłem na Cage'a.

– Nie zna mnie pan, jasne?

– Jasne – odrzekł.

– Wie pan, co to jest?

Po kolei przyjrzał się fotografiom.

– Nóż szturmowy Fairbairn-Sykes. To są same noże Fairbairn-Sykes. Różne generacje tej samej broni. Powiedziałbym coś konkretniejszego, gdybym mógł je zobaczyć w realu. Ten z zieloną rękojeścią ma oznaczenie PPCLI. To kanadyjska broń – Kanadyjskiej Lekkiej Piechoty Księżnej Patrycji. Ten z francuskim napisem – LE COMMANDO INOX, widzi pan? – był używany przez francuskie oddziały specjalne w Algierii w latach pięćdziesiąt cztery, sześćdziesiąt dwa. Laicy sądzą, że nóż Fairbairn-Sykes był w użyciu tylko podczas drugiej wojny. Ale po wojnie Wilkinson produkował go dalej i sprzedawał siłom specjalnym na całym świecie. Chodzi o Boba Rzeźnika, prawda?

– Sprzedał pan kiedyś jeden z takich noży?

Pokręcił głową.

– Widziałem taki na żywo tylko w muzeum.

– W Imperialnym Muzeum Wojny?

– Tak.

– Jacy klienci do pana przychodzą?

Patrzył na rozglądającą się po sklepie Wren.

– Kolekcjonerzy – odrzekł.

Rozległ się stłumiony śmiech. Wren nałożyła maskę przeciwgazową.

– Spodobałaby się tacie – stwierdziła. – Niedługo Boże Narodzenie.

– Kosztuje sześćset funtów – uprzedził ją Cage. – Zniszczenie oznacza kupienie.

Wren zdjęła maskę.

– Może jednak zostaną przy skarpetkach i wodzie po goleniu.

– Skąd to zainteresowanie? – spytałem.

Cage spojrzał na mnie, jak gdyby nie wierzył własnym uszom.

– Druga wojna światowa była największą pozągą w historii ludzkości – odpowiedział. – Zginęły miliony ludzi. Zmieniła kształt Europy i świata. Do dziś żyjemy z jej dziedzictwem. I zawsze będziemy żyć z jej dziedzictwem. Ludzie, którzy do mnie przychodzą – wyłącznie mężczyźni – myślą, że dzięki wojnie byliby lepsi. Wierzą, że coś ich ominęło, bo urodzili się za późno. I mają rację. Rzeczywiście coś ich ominęło. Ominęło ich wszystko. Ominęła ich największa próba dwudziestego wieku, może nawet wszech czasów.

– Niech mi pan powie jedno – odezwała się Wren. – Dlaczego aż tyle rzeczy jest poświęconych nazistom? Przecież przegrali, prawda? A jednak duża część memorabiliów wojennych to pamiątki po nazistach. Tak jakby ludziom zależało na replice koszulki drużyny, która przegrała mecz o puchar świata.

– Panuje chyba powszechne przekonanie, że mieli najbardziej wyrafinowany zmysł estetyczny.

– Mieli najlepszy sprzęt? – uśmiechnęła się Wren.

– Tak.

– Gdyby to było takie proste – powiedziała już bez uśmiechu. – Gdyby to tylko było takie niewinne.

Wyglądziłem fotografie leżące na szklanej gablocie.

– Pamięta pan, czy kiedykolwiek ktoś pytał o taki nóż? – podjąłem przerwany wątek.

– Oczywiście – przytaknął Cage. – To jeden z najwspanialszych przedmiotów kolekcjonerskich z drugiej wojny. – W jego oczach błysnęło zadowolenie. – Ostatnio zresztą zainteresowanie rośnie. Przy takiej reklamie.

– Może mi pan dać listę osób, które chciały go kupić?

– Nie.

– Dlaczego?

– Poufność danych osobowych klienta.

Uśmiechnęliśmy się do siebie z Wren.

– Musi pan składać przysięgę Hipokratesa, żeby opchnąć parę nazistowskich pamiątek? – spytałem.

Oblizwał wargi i milczał.

– Proszę pana – powiedziałem. – Nie mam zamiaru pana przymknąć.

Zjeżył się na te słowa.

– Za co miałby mnie pan przymykać?

Nie wiedziałem, od czego zacząć.

– Niebezpieczne narzędzia, broń. Noże. Bagnety. Pistolety. Podżeganie do nienawiści rasowej.

– Przecież to nieprawda, że wszyscy moi klienci to fetyszyści nazizmu.

– Wszyscy nie, ale niektórzy tak. I na zapleczu albo pod ladą na pewno ma pan rzeczy, które niekoniecznie umieściłby pan na swojej wystawie. Mam rację? Nie chcę przeszkadzać panu w wykonywaniu pana pracy...

– Dzięki.

– ...jeżeli pan nie będzie mi przeszkadzał w wykonywaniu mojej.

Zostawiłem mu wizytówkę i kilka prostych instrukcji. Kiedy wsiadaliśmy z Wren do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, w sklepie zgasły światła. Kukła Wehrmachtu patrzyła w ciemne Holloway.

– Chyba pan nie myśli, że Bob Rzeźnik kupił tutaj nóż – powiedziała Wren.

– Nie – odparłem. – Ale myślę, że mógłby.

...

Wysadziłem Wren przy jej samochodzie na Savile Row i pojechałem na południe wzdłuż rzeki do miejsca, gdzie w niewielkim ogrodzie stały dwa stutonowe działa. Zaparkowałem z tyłu muzeum i wcisnąłem przycisk dzwonka przy służbowym wejściu. Drzwi otworzył starszy ochroniarz, który wyglądał jak wyrwany z drzemki. Za nim ujrzałem Carol. Z trudem pokonywała na wózku ciasny korytarz.

– W porządku, to do mnie – powiedziała.

Miała taką minę, jak gdyby się mnie spodziewała.

Nazajutrz wieczorem wróciliśmy do galerii Nereus Fine Art, która tym razem była otwarta. Jednak jej wygląd niewiele się różnił od tego z poprzedniego dnia, gdy była zamknięta. Ale w środku stała nieruchomo kobieta z krótkimi jasnymi włosami i patrzyła na pustą ulicę Hampstead. Nie sprzedała żadnego z dwóch małych pejzaży.

– Nie mam nic przeciwko temu, żebyś weszła tam ze mną – powiedziałem do Wren, parkując za Jack Straw’s Castle.

– To szlachetne z pana strony.

– Ale pozwól mi samemu zadawać pytania.

– A ja co mam robić? – zapytała.

– Powiesz mi, jeżeli czegoś nie zauważę.

...

– Pan Duncan tworzy niewiele prac – poinformowała mnie kobieta w galerii. Była drobną blondynką w okularach o czarnych oprawkach, atrakcyjną na swój szorstki sposób i obdarzoną taką dozą wdzięku, jaka była konieczna, żeby się mnie pozbyć. – Niestety, jest typem samotnika. Nie bierze udziału w wystawach, nie rozmawia z prasą. Zresztą nie musi. Wszystkie jego prace nabywają prywatni kolekcjonerzy. Na rynek trafia bardzo niewiele. Ale jeżeli chciałby pan zostawić wizytówkę, zapiszę pańskie dane.

– Proszę, bo uwielbiam jego prace – powiedziałem. Nie po raz pierwszy.

Mówiłem prawdę. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak malował. To było miasto, które rozpoznawałem, choćby tylko ze snów.

Ale jej nie obchodziło, co uwielbiam.

– Proszę zostawić swoje dane – powiedziała, zmniejszając odrobinę dawkę życzliwości.

Wren oglądała płótna na ścianach. Znajdowało się tu sporo pejzaży wiejskich z bujną roślinnością. Widocznie na takie rzeczy był duży popyt.

– Z czego żyje? – spytała Wren.

– Słucham?

– Jak zarabia na życie? Skoro niewiele maluje i niewiele sprzedaje, skoro nie bardzo się stara, to za co płaci rachunki?

– Rachunki?

Kobieta z galerii utkwiała wzrok we Wren. Detektyw wytrzymała jej spojrzenie.

– Sądzę, że ma do dyspozycji pieniądze rodzinne.

– Ach, tak.

– Mamy inne ciekawe dzieła współczesne – zwróciła się do mnie, podając mi wizytówkę.

– Jest pani właścicielką galerii? – zapytała Wren.

– Nereus należy do mojej matki.

Wren zastanowiła się przez moment.

– Czyli jeśli pani ojciec jest hrabią, to matka hrabiną, tak?

Kobieta przestała się uśmiechać.

– Nie jesteście żadnymi kolekcjonerami. Jesteście pieprzonymi dziennikarzami. Wynoście się. Wynoście się, bo wezwę policję.

Patrzyłem na wizytówkę.

HR. KRIS HUETLIN

Nereus Fine Art

I dotarło do mnie to, co już dotarło do Wren: że Kris to zdrobnienie od Cressidy, a Huetlin to nazwisko niemieckiego artysty, za którego wyszła w wieku dziewiętnastu lat i rozwiodła się z nim pięć lat później. Zdradziło ją to hr. przed nazwiskiem, którego nie umiała sobie odmówić.

Hrabianka Cressida Sutcliffe, jedyna córka hrabiego Broughton, siostra nieżyjącego Jamesa Sutcliffe'a.

Wypadłem na ulicę i złapałem się żelaznego ogrodzenia, patrząc w górę. Wren wybiegła za mną i patrzyła, jak kucam w potłuczonym szkłe, które wysypało się z kubła na śmieci. Wszystkie odłamki pochodziły z butelek po piwie.

Peroni. Włoskie piwo.

– Czegoś nie zauważyliśmy – oznajmiłem, słysząc chrzęst tłuczonego szkła pod naszymi butami. – Na górze – dodałem. – Tam mieszka nieboszczyk.

...

Wbiegłem po wąskich schodach.

Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Za sobą słyszałem podniesione głosy Wren i hr. Kris Huetlin, która na chwilę umilkła, gdy zobaczyła jej legitymację. A potem znów zaczęła krzyczeć.

Wszedłem do pokoju pełnego płócien. Wszystkie były odwrócone do ściany. Poczulem zapach świeżej farby. Pośrodku małego pokoju, przy płótnie na sztalugach, stał mężczyzna.

Płótno przed nim było puste.

– Dobry wieczór, James – powiedziałem.

James Sutcliffe był zwalisty i brodaty, a jego sylwetka świadczyła o tym, że pije dużo i od dawna. Nie dostrzegłem ani śladu delikatnego

chłopca w ciemnych okularach, który nie uśmiechał się do obiektywu, kiedy pozował w mundurze Połączonych Sił Kadetów w Potter's Field. Włosy, kiedyś ciemne, gęste i zaczesane do tyłu, były teraz długie, siwe i przerzedzone. Opadały mu na ramiona i na obszerny fartuch, który miał na sobie.

– Dobry wieczór – powiedział.

– Jestem detektyw Wolfe – przedstawiłem się. Usłyszałem zbliżające się kroki na schodach. – A to detektyw stażystka Edie Wren. Możemy porozmawiać?

– Tak.

Tuż za Wren pojawiła się Kris Huetlin.

– Jeszcze gorzej, niż myślałam – powiedziała. – To nie pismaki. To psy.

Spojrzałem na nią, przypominając sobie jej dawny radykalizm. Odwróciłem się z powrotem do jej brata.

– Uwielbiam twoje obrazy – wyznałem. – Uwielbiam zwłaszcza te wczesne. I te późniejsze, kiedy miasto staje się ciemniejsze.

– Dziękuję.

– Wiesz, dlaczego tu jestem?

Popatrzyłem przez ramię na jego siostrę.

– Ktoś zabija twoich przyjaciół – ciągnąłem. – Hugo Bucka. Adama Jonesa. Guya Philipsa. Wszyscy nie żyją. Wiedziałaś o tym?

Lekki ruch głowy mógł oznaczać wszystko.

– Chcę znaleźć mordercę – powiedziałem. – Nie chcesz pomóc złapać drania, który morduje twoich przyjaciół?

Ponownie skupił na mnie uwagę.

– To nie są moi przyjaciele – odrzekł.

– Upozorowałaś własną śmierć, prawda? Tamtego lata we Włoszech. Zostawiłaś ubranie na plaży. Wypadło to bardzo przekonująco. Ale po co to zrobiłaś, James?

Zamknął oczy i wypuścił powietrze z płuc, a zabrzmiało to tak, jakby długo je tam więził. Kiedy otworzył oczy, zobaczyłem cierpienie, które od bardzo dawna nosił w sobie.

– Żeby zacząć wszystko od nowa? – pytałem. – Z czystym kontem? O to chodziło? Kto o tym wiedział? Twoja siostra. Ilu twoich przyjaciół? Wszyscy?

– Żaden.

– Hugo Buck wiedział.

– Nie.

– Miał w domu dwa twoje obrazy. Jeden Jamesa Sutcliffe’a. Drugi Edwarda Duncana.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Nie zależy mi na tym, żeby cię wydać – rzekłem. – O ile nie zrobiłeś niczego złego. O ile nie złamałeś prawa. O ile nikogo nie skrzywdziłeś. Zrobiłeś to, James?

W końcu w jego oczach pojawiła się panika.

– Wiem, jak ci się udał ten numer ze zniknięciem – mówiłem dalej. – Uwierzyli ci, bo cierpiełeś na depresję. Widziałem, co brałeś. Prozac. Luvox. Lustral. Cipralex. Niezła mieszanka pigułek szczęścia. Ale skąd się wzięła ta depresja? Co się stało w szkole?

Zrobił głęboki wdech. I wydech.

– Kiedy człowiek jest młody, próbuje różnych rzeczy – zaczął. – Eksperymentuje. Jest jak gąbka. Chłonie wszystko bez wyjątku. Kochany pan Waugh. Był kimś więcej niż opiekunem domu. Był naszym przyjacielem. I uczył nas tylu rzeczy. Wspaniałych. O artystach. Pisarzach. – Pauza. – Jak sięgnąć poza własną jaźń. „Gdyby oczyścić bramy percepcji, każda rzecz ukazałaby się człowiekowi, jaka jest, nieskończona”¹⁵. Kto w wieku szesnastu lat nie chciałby sięgnąć poza własną marną i żalną jaźń? „Zostać wyrwanym z kolein normalnej percepcji”¹⁶? Sakramentalne wizje. Eksperymentowanie.

– Narkotyki.

Parsknął krótkim śmiechem.

– Narkotyki? Mój Boże. Narkotyki to był tylko początek.

– Mów dalej, James – poprosiłem.

Widziałem, że wszystko sobie przypomina i że mówienie o tym przynosi mu ulgę.

– Była dziewczyna.

W pokoju zapadła cisza.

– Była dziewczyna – powtórzyłem.

– James? – odezwała się jego siostra. – Zadzwońię do matki. A matka zadzwoni do Burke’a. Pamiętasz Petera Burke’a? To ten adwokat, kochany. Nie mów nic tym ludziom.

– Chcieliśmy... to nie miała być zabawa – ciągnął. – Tylko eksperyment. Chcieliśmy przekroczyć granice doświadczenia.

Wydawał się już mniej pewny siebie.

Na jego przegubach dostrzegłem bransoletki jasnej skóry – ślady po samookaleczeniach, szerokie jak opaski tenisistów i białe jak martwa ryba.

Naciągnął rękawy, wiedząc, co zobaczyłem.

– Kim była ta dziewczyna? – spytałem. – Jak się nazywała? Gdzie ją znaleźliście?

– Ilu was było? – dorzuciła Wren.

– Sześciu – odrzekł. – Nie... siedmiu. I była miła.

– Była miła?! – zdumiała się Wren.

– Naprawdę. W innym życiu można by się w niej zakochać. Tamtą noc pamiętam jak przez mgłę. – Spojrzał na podłogę, a potem na mnie.

– Brał pan kiedyś opium... przepraszam, zapomniałem, jak się pan nazywa.

Siostra podeszła do niego i uderzyła go w twarz.

– Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się! Siedzisz mi na karku, ciągle cię kryję, mam już tego dość. Kiedy każę ci się zamknąć, po prostu się zamknij! – Znów wymierzyła mu policzek.

Uchylił się, skulił, cofnął o krok. Wren stanęła między nimi i to wystarczyło, żeby powstrzymać Kris Huetlin.

– Kto był w tym pokoju? – zapytałem. – Mówiłeś, że siedmiu, zgadza się?

– Sześciu – odrzekł. – Siedmiu...

– Siedmiu? Skup się. Ty, Hugo Buck, Adam Jones, Salman Khan, Guy Philips, Ben King, Ned King. Gdzie byliście? Kto tam jeszcze był? Co się stało z tą dziewczyną?

– Chcieliśmy ją puścić – powiedział. – Taki był plan.

– Sukinsyny – mruknęła do siebie Wren.

– Chcieliśmy ją puścić, ale zraniła jednego z nas. Bardzo poważnie. I wszystko wymknęło się spod kontroli. Wszystko.

– Zraniła jednego z was. – Wróciłem myślą do ranka w Centrum Medycy Sądowej Iaina Westa i przypomniałem sobie, co Elsa Olsen położyła mi na dłoni. – Zraniła go w oko, prawda?

Spojrzał na mnie zdumiony.

– Tak, w oko. Naprawdę zraniła, to znaczy...

– Zraniła Hugo Bucka, zgadza się?

Wyglądał, jakby nagle się pogubił.

– Hugo? To był Hugo? Chyba nie...

– Owszem, Hugo Buck. Miał szklane oko.

James Sutcliffe zakrył twarz dłońmi.

– Nie pamiętam. To było dawno temu. W innym życiu.

– Wiesz, skąd to wiem, James? – naciskałem. – Miałem je w ręce. Trzymałem w ręce szklane oko, kiedy kroili Hugo na stole sekcyjnym.

– Potrzebujemy wsparcia? – spytała mnie Wren. – Myślę, że powinnam wezwać wsparcie. Wolfe?

– Damy sobie radę – odparłem. – Co się stało z dziewczyną, James? Jak się nazywała?

Zwiesił głowę. Pokręcił nią. Nie odezwał się ani słowem.

– Chyba będziemy musieli cię zabrać, James – oświadczyłem. – W związku ze śledztwem w sprawie morderstwa.

– Zabijecie go! – krzyknęła jego siostra.

Ale on spojrzał na mnie jasnym wzrokiem, dziwnie spokojny, jak gdyby nie miał wątpliwości, że to prędzej czy później nastąpi.

– Dobrze – powiedział opanowanym głosem. – Wydaje mi się, że jestem gotów.

Zerknął w stronę okna. Wieczór był chłodny i mglisty, ulica tonęła w mętным zimowym świetle. Wyglądała jak z jego obrazów.

– Piękny dziś dzień – powiedział, podchodząc do okna.

I nagle ruszył biegiem, niezdarnym biegiem człowieka w bardzo złej kondycji.

Zawołałem do Wren.

Ale było za późno.

Z impetem uderzył w zamknięte okno i w kaskadzie szkła wypadł na zewnątrz. Usłyszałem krzyk Kris Huetlin, usłyszałem krzyk Wren, a sekundę później dobiegł nas okropny odgłos, kiedy wylądował piętro niżej.

Biegłem już po schodach.

Upadek zakończył się na ogrodzeniu z kutego żelaza, na które nadziało się jego zwaliste ciało. Jeden pręt przebił mu pachwinę, drugi przedziurawił na wylot policzek. Dwa inne rozdarły brzuch i zagłębiły się w nim.

Usłyszałem, jak Wren wzywa pomoc przez telefon i w tym samym momencie odskoczyłem do tyłu, jak gdyby ktoś dał mi w twarz, krztusząc się od obrzydliwego odoru rozerwanych ludzkich jelit, przypominającego smród rynsztoka.

Siedziałem w samochodzie na Prince Albert Road, mając po jednej stronie światła kamienic, a po drugiej czarny bezkres Regent's Park. Z budynku, w którym mieszkała Natasha Buck, wyszedł Ben King, a ja poczułem nagle, jak ogarniają mnie mdłości. Skrzywiłem się na widok jego ugrzecznoniego westminsterskiego uśmiechu, kiedy przymilny portier otwierał mu drzwi, dotykając dłonią czoła, jakby mu uniżenie salutował.

Nawet zakradając się po zmierzchu do żony zmarłego przyjaciela, King w każdym calu wyglądał jak dygnitarz składający oficjalną wizytę.

Pewnie Natasha myślała, że Ben ma dużo czasu, aby bezpiecznie opuścić kamienicę przed moim przyjazdem, ale z jakiegoś powodu w okolicy parku nigdy nie ma dużych korków, więc zjawiłem się na miejscu wcześniej.

Była ubrana jak na randkę. Na stole paliły się świece. Al Green śpiewał o pozostaniu razem. W nozdrza uderzyła mnie woń pieczeni. I zapach jej perfum, kiedy pocałowała mnie w policzek, potem w drugi, a wreszcie w usta. Zapach, który miał budzić w mężczyźnie pragnienie, by go wdychać bez końca.

Miałem w ręku butelkę wina, którą wzięła ode mnie z wystudiowanym wdziękiem, a ja pomyślałem, jakie to niewłaściwe, jakie groteskowe, jakie niestosowne.

Randka, pomyślałem. Jesteśmy na randce.

Kipiałem ze złości, wściekając się na siebie i na nią.

Leżący na kanapie pies otworzył zaczerwienione oczy, dostrzegł mnie i ponownie je zamknął, zupełnie nieporuszony, gdy tymczasem Natasha przyniosła butelkę Asahi Super Dry i oszronioną szklanę, która czekała na mnie w zamrażarce.

– Scout pojechała do koleżanki? – zapytała. – Na garden party?

– Piżama party – poprawiłem. – Tak, matka jej koleżanki zabrała dziewczynki prosto ze szkoły.

Natasha przygryzła wargę. Zaśmiała się. Pokręciła głową.

– W takim razie też możemy sobie zrobić piżama party – powiedziała. Podeszła bliżej, wzięła mnie za rękę i spojrzała na mnie. – Pewnie myślisz, że jestem niegrzeczna.

Parsknąłem śmiechem. Nagle przestała się uśmiechać.

– Co się stało?

Podszedłem do kanapy, ale nie usiadłem. Nie zamierzałem zostawać długo.

Pociągnąłem łyk japońskiego piwa i spytałem:

– Wiesz, co to oznacza dla sprawy morderstwa, jeżeli jeden z policjantów prowadzących śledztwo sypia z ważnym świadkiem?

Zrobiła krok do tyłu.

– Co?

– Oczywiście, że wiesz – odpowiedziałem sobie sam. – Oczywiście.

Dotknęła mnie, a ja zastygłem w bezruchu, więc się cofnęła i przestała próbować się do mnie zbliżyć.

– Max, proszę – szepnęła.

Oczy jej błyszczały.

– Oszczędź mi łez – powiedziałem.

Ze złością otarła oczy wierzchem dłoni.

– Zgoda – odparowała. – Oszczędzę ci łez, jeżeli powiesz, co się z tobą dzieje. Myślałam, że spędzimy cudowny wieczór...

– Nasze spotkanie w Heath to nie był zbieg okoliczności, prawda?

Odwróciła wzrok.

– Nie.

– Nie chodzisz z psem na spacer do Heath?

– Nie chodzę.

– W ogóle nie chodzisz na spacer z psem?

– Nie. Należę do tych bogatych suk, które za wyprowadzanie psa płacą jakiejś dziwce z Europy Wschodniej.

– A twój mąż nie stracił oka w meczu rugby?

– Co?

– Twój mąż. Poczciwy Hugo. Historyjka o tym, jak stracił oko. To był zwykły kit, tak?

Wyglądała na autentycznie zdziwioną.

– Nie, to prawda.

– Byłaś przy tym? Widziałaś, jak to się stało?

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie nie wiesz, zgadza się?

– Ależ wiem. Wiem.

Może rzeczywiście w to wierzy, pomyślałem. Może naprawdę wierzy w kłamstwo o sportowej kontuzji.

– Co tu robił Ben King?

Zaśmiała się z niedowierzaniem.

– O to ci chodzi? Widziałeś Bena, jak ode mnie wychodził? Nie sądzisz, że trochę za szybko robisz się zazdrosny?

– Z nim też się pieprzysz?

Otwarta dłoń mocno trzasnęła mnie w policzek.

Pies podniósł się, w końcu czymś poruszony.

– Z nikim się nie pieprzę. Zwłaszcza z tobą. Ben przyszedł po parę rzeczy osobistych Hugo.

– Po dwa obrazy?

– Lepiej już idź.

– Co się stało w tej szkole?

– Proszę cię, wyjdź.

– Chcesz wiedzieć, jak twój mąż stracił oko? Naprawdę chcesz wiedzieć?

Nagle wydała się bardzo zmęczona.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziała. – Hugo nie żyje. To nie ma znaczenia.

Przełknęła ślinę i rozejrzała się po mieszkaniu, jak gdyby dopiero teraz dotarło do niej to wszystko – świece, zapach wyśmienitej wołowiny, Al Green. Przejechała dłońmi po włosach. Były w kompletnej ruinie.

– Wykorzystujesz mnie, Natasho – stwierdziłem. – Wrabiasz mnie. Okłamujesz.

– To ty mnie okłamujesz – odcięła się, wpadając w końcu w złość. – Nosisz obrączkę, ale nie jesteś żonaty.

– Co się stało w tej szkole? Co oni jej zrobili? Kim była ta dziewczyna?

– Nie wiem, o czym mówisz. Gdzie twoja żona? Co się z nią stało? Masz obrączkę, ale żony już nie? Co tu jest grane, detektywie? Okłamujesz mnie. Wciskasz mi cholerny kit.

Wypychała mnie z mieszkania, a ja nie stawiałem oporu. Zrozumiałem, że jest równie głupia jak ja. Następna w gronie frajerów.

– Mylisz się we wszystkim – oświadczyła, zamykając mi drzwi przed nosem.

...

Rano, przed wejściem do naszego budynku, prawie zupełnie przysypana ulotkami z pizzerii, na wycieracze czekała przesyłka

adresowana na moje nazwisko.

Stan obwąchiwał stertę ulotek reklamowych, a ja rozerwałem kopertę i wyjąłem kasetę VHS. Tanią, plastikową i rozklekotaną. Niewiarygodnie staroświecką. Spojrzałem na grzbiet. Był tam napis, bardzo starannie wykonany flamastrem, jak gdyby ręką bystrego dziecka.

Nasza reprezentacja kontra Harrow, 10-10-88

Zajrzałem do środka. Nie było żadnego listu. Spojrzałem na trzymaną w rękę kasetę, a potem na psa.

– Jak ja mam to obejrzeć? – zapytałem głośno.

...

– W obyczajówce – poinformowała mnie Wren, kiedy przyjechałem do pracy. – Na drugim piętrze. Obyczajówka ma stare magnetowidy.

Pokój operacyjny był jeszcze pusty. Wren zawsze zjawiała się wcześniej.

– Szukałam zaginionych osób w HOLMES-ie – wyjaśniła. – Zaczęłam od dziewczyn i kobiet w wieku od piętnastu do trzydziestu lat, które zniknęły w promieniu dwudziestu kilometrów od Potter's Field w osiemdziesiątym ósmym roku.

– Szukaj dalej.

– Będę szukać, ale ty musisz porozmawiać z szefem – odrzekła. – Musisz pogadać z Mallorym. O tym, co powiedział przed śmiercią James Sutcliffe. – Pauza. – O szkole.

– Mallory'emu cały czas patrzy na ręce inspektor Swire. A inspektor zależy przede wszystkim na ochronie Bena Kinga.

– Mimo to musisz z nim pogadać.

Spojrzałem na kasetę VHS, którą miałem w ręce.

– Wiem – odparłem. – Ale co właściwie powiedział Sutcliffe? Nie wiemy nawet, o czym mówimy, prawda? Kto był w tym pokoju?

– Powiedział wystarczająco dużo – stwierdziła Wren. – Nie giną dlatego, że są bogaci, prawda? Nie giną dlatego, że pochodzą z uprzywilejowanych rodzin czy symbolizują niesprawiedliwość społeczną, nic z tych rzeczy, które wypisuje Bob Rzeźnik.

– Rzeczywiście – przytaknałem. – Ginę z powodu przeszłości.

...

W biurze obyczajówki znaleźliśmy cichy kąt, w którym stało kilka zakurzonych magnetowidów, i zasiedliśmy, by obejrzeć kasetę.

Dookoła młodzi ludzie, mężczyźni i kobiety, oglądali na ekranach komputerów wijące się ciała i starali się oddzielić zwykłe świństwa od przestępczej obsceniczności, która mogła deprawować i demoralizować.

– Czy ten srom jest otwarty? – zapytał jeden z chłopaków.

– Wydaje mi się, że tylko lekko rozchylony – odpowiedziała jedna z dziewczyn.

– Zdecydowanie szara strefa – uznał młody funkcjonariusz, robiąc odpowiednią notatkę.

Traktowali nas życzliwie, ale ani Wren, ani ja nie znaleźliśmy żadnej z dwudziestu kilku osób pracujących w wydziale.

– Co pół roku zmieniają personel – poinformowała mnie szeptem Wren. – Na wypadek gdyby ta praca wpłynęła na ich popęd płciowy. W taki czy inny sposób.

Załadowała kasetę do magnetowidu i wcisnęła przycisk odtwarzania. Pilot przepadł w odmętach czasu.

– Chcesz oglądać w przyspieszonym tempie? – spytała.

– Niech po prostu leci – powiedziałem.

Poznałem boiska w Potter's Field. Skraj lasu, kamienną chatkę, szeroką przestrzeń zieleni zmienioną pośrodku na błoto. Inne były tylko fryzury chłopców.

Nietrudno było zauważyć Hugo Bucka. Rosły, hardy, pewny siebie. Przystojny zabijaka. Domagał się podania piłki. Zagrzewał do walki kolegów. Kłócił się z sędzią. Po dwudziestu minutach zdobył przyłożenie i dumny jak paw przebiegł przed kamerą, szeroko uśmiechając się nam prosto w twarz. Usłyszałem śmiech kamerzysty, który krzyknął: „Nieźle, Bucko!”. Odniosłem wrażenie, że słyszę Bena Kinga.

Stało się to pięć minut później.

Piłka została posłana daleko w głąb boiska, gdzie znajdowała się połowa drużyny Harrow. Piętnastka Potter's Field rzuciła się za nią z Buckiem na czele. Obrońca Harrow złapał piłkę, upuścił ją i szybko podniósł. Rozległy się podniecone okrzyki. Obrońca już się zamierzał do kopnięcia piłki, lecz w tym momencie dopadł go Buck.

I runął na niego.

Obrońca Harrow na oślep walnął w piłkę.

Buck ją zatrzymał.

A czubek buta obrońcy Harrow wbił się w jego lewe oko.

Buck wrzasnął.

Przerwano grę. Wokół leżącego na boisku chłopaka zebrali się zawodnicy, uczniowie i nauczyciele.

Buck umilkł. Ale nauczyciele krzyczeli, żeby wezwać karetkę. Operator nie przerywał filmowania. Zanim skończyła się taśma, zdążył jeszcze wejść na murawę i zajrzeć kamerą ponad ramionami chłopców i mężczyzn otaczających ciasnym pierścieniem Hugo Bucka.

Jego oko zmieniło się w bezkształtną miazgę.

Na tym krwawym ujęciu nagranie raptownie się urwało.

– No więc wiemy – powiedziała Wren. – Hugo Buck stracił oko w czasie meczu rugby.

– Tak – potwierdziłem.

– James Sutcliffe mówił, że zraniła go dziewczyna, prawda?

Milczałem, zastanawiając się na tym.

– Tak mówił? Sutcliffe od lat był na prochach. Był naćpany, kiedy chodził do szkoły. Był też naćpany w dniu, w którym zginął. James Sutcliffe był biednym bogatym chłopczykiem, który przez całe życie faszerował się lekami.

– Daj spokój, Wolfe. Przecież sam mówiłeś, że żona Bucka kłamie. To ty trzymałeś w ręce sztuczne oko Bucka. Ale okazuje się, że nie kłamała, co?

Patrzyłem na zatrzymany na ekranie obraz.

...

Wróciliśmy do pokoju operacyjnego numer jeden. Nagle całe biuro zaroilo się ludźmi. Byli tu Swire i Mallory. Cho i doktor Stephen. Gane i Whitestone. Twarze płonęły rozgorączkowane pościgiem, który zbliżał się do końca.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Mamy Boba – wyjaśnił krótko Gane.

Za lenonkami oczy Mallory'ego płonęły niemym gniewem.

– Zastawianie pułapki z ludzką przynętą... – powiedział cicho, wymawiając każde słowo, jakby było ciosane z granitu z Aberdeen, a jego łysa czaszka lśniła w blasku lamp pokoju operacyjnego – ...tego nie było w planach.

– Zmiana planów – odparła Swire.

– Nie włożę kamizelki kuloodpornej – protestowała Scarlet Bush, rozmawiając z podkomisarz Whitestone. – Bob wyraził się jasno: „Masz przyjść sama. Żebym nie widział żadnych taśm”. Mógłby pomyśleć, że kamizelka to podsłuch. Nie włożę.

– To nie jest ciężka kamizelka kuloodporna – tłumaczyła cierpliwie Whitestone. – To niewidzialna powłoka z kevlaru. Na pani miejscu raczej bym włożyła.

Ekran laptopa Gane'a wyświetlał oś czasu Boba Rzeźnika. Bob znów zmienił zdjęcie. W miejsce zamysłonej twarzy Roberta Oppenheimera palącego fajkę pojawił się atomowy grzyb.

We śnie, w zagubieniu, w otchłani wstydu, człowieka bronią dobre uczynki, które kiedyś spełnił. #zabicwszystkieswinie.

– Gdzie jego odpowiedź? – spytałem.

– Nie odpowiedział przez internet – odrzekł Gane. – Zadzwoił do niej. – Parsknął śmiechem. – Analogowo. Pod numer stacjonarny.

Gane wyszczerzył zęby w uśmiechu, a ja zauważyłem, że Cho i jego kumple technicy z jednostki przestępczości komputerowej mają

skwaszone miny.

– Zostańcie, chłopaki! – namawiał ich Gane. – Może będziemy wam mogli pokazać parę sztuczek!

– Proszę dać podkomisarzowi Gane’owi komórkę, żeby zainstalował lokalizator GPS – poradziła dziennikarce Whitestone.

– Nie chcę niczego nieporęcznego – upierała się Bush.

– To będzie albo karta SIM albo jakiś program – przerwał jej Gane.

– W ogóle pani tego nie zauważy. Nikt oprócz nas nie będzie wiedział, że to istnieje, jasne? Ale dzięki temu będziemy wiedzieli, gdzie pani jest. Będziemy mogli ustalić pani lokalizację z dokładnością do dziesięciu metrów. Jeżeli wyjdzie pani poza wyznaczony obszar, dostaniemy sygnał alarmowy.

Bush podała Gane’owi telefon.

– Niewidzialna kamizelka z kevlaru i lokalizator – powiedziała. – To wszystko?

Whitestone skinęła głową.

– To wszystko. Podwójne zabezpieczenie.

– Co Bob pani powiedział? – spytałem.

W oczach dziennikarki błysnęła duma.

– Że spodobał mu się mój artykuł – odrzekła. – I że będzie w kontakcie.

– Skąd pani wie, że to był on?

– Powiedział mi, że na osi czasu Boba Rzeźnika zamieści cytat z Oppenheimera. „We śnie, w zagubieniu, w otchłani wstydu, człowieka bronią dobre uczynki, które kiedyś spełnił”. I zamieścił.

Przy komputerach w pokoju operacyjnym numer jeden leżały dziesiątki egzemplarzy gazety. W końcu Bush zrezygnowała z próby sprowokowania Boba Rzeźnika. W tekście nie było żadnych aluzji do preferencji seksualnych, traumy z dzieciństwa czy moczenia nocnego. Trzymała się scenariusza doktora Stephena. Bob został przedstawiony

jako zagubiony, niebezpieczny maniak, który kieruje się własnymi zasadami („Czynnikami motywującymi tego najbardziej skomplikowanego z seryjnych morderców są ewidentnie honor, władza i kontrola”), wybiera na ofiary ludzi, którzy nie do końca są niewinni („Nie wydaje się dziełem przypadku, że Bob Rzeźnik wziął na cel zamożnego bankiera, dilerę narkotyków oraz tyrana”), a także jako nieco nieprzewidywalny bohater ludzi wykluczonych („Z pewnością są to straszne przestępstwa – można w nich jednak zobaczyć krzyk wściekłości społeczeństwa, w którym nieprzyzwoita wręcz przepaść między bogatymi a biednymi przybiera formę nowego apartheidu”).

Artykuł bardziej przypominał komunikat prasowy niż tekst dziennikarski. Można było zrozumieć, dlaczego Bob Rzeźnik miałby ochotę go wyciąć i wkleić do swojego albumu. Został w nim odmalowany jako psychopatyczny Robin Hood.

– W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin ma zadzwonić do centrali gazety – poinformowała mnie Bush.

– Zainstalowaliśmy w centrali programy analizujące połączenia – rzekł Gane. – Im dłużej będzie go pani mogła zatrzymać przy telefonie, tym lepiej. W każdym razie, gdy tylko zadzwoni, będziemy mieli numer automatu albo telefonu na kartę, z którego korzysta. Raczej nie ma co liczyć na numer komórki albo stacjonarny. Ale będziemy wiedzieć więcej niż teraz. A gdy poda miejsce spotkania, zaprowadzi nas pani do niego.

Mallory wciąż był niezadowolony.

– Chcę, żeby od tej chwili miała pani ochronę policji – zwrócił się do Scarlet Bush. – Dwóch funkcjonariuszy odeskortuje panią do redakcji i będzie towarzyszyć pani w drodze do miejsca spotkania, gdzie będziemy czekać.

– Nie ma mowy – odparła. – To najważniejszy materiał w moim życiu i nie pozwolę wam go schrzanić.

Mallory bezradnie spojrział na Swire, która wzruszyła ramionami.

– Umówione miejsce otoczą jednostki uzbrojonych funkcjonariuszy i antyterrorystów – powiedziała inspektor. – Będzie tylu przeszkolonych ludzi, że włos nie powinien jej spaść z głowy. I szalenie zależy mi na tym, żebyśmy nie spłoszyli Boba.

– Wobec tego na godzinę przed pani przyjazdem na miejsce w pomieszczeniu będą czekać funkcjonariusze – rzekł do Bush Mallory. – Chcę też ustawić blokady drogowe w odległości pięćdziesięciu, pięciuset metrów i dwóch kilometrów od miejsca spotkania. I proszę pamiętać o kevlarze.

– Przecież Bob podrzyna gardła. – Bush zaśmiała się, a ja zrozumiałem, że naprawdę jest odważna. – Co mi da kamizelka odporna na ciosy noża?

Swire zachichotała z aprobatą.

– Teraz ja powiem, czego chcę – dodała Bush. – Kiedy będę na miejscu, chcę z nim porozmawiać, zanim wejdziecie, żeby go aresztować.

– Pięć minut – rzekł Mallory.

– Gówno tam pięć minut!

Mallory wzdrygnął się, słysząc wulgaryzm.

– Chcę mieć co najmniej godzinę.

– Damy pani pięć minut – włączyła się Swire. – Ale przy najmniejszym przejawie agresji zgarniamy go.

Gane zwrócił dziennikarce telefon z lokalizatorem.

– Co w nim jest? – zapytał Mallory.

– Ostatecznie wybrałem program instalowany w telefonie – wyjaśnił Gane. – Jest dokładniejszy niż karta SIM w iPhone.

Mallory nadal wyglądał na niezadowolonego.

– Proszę dać nam znać, gdy tylko się skontaktuje – powiedział. – Niech pani nie czeka, aż odbierzemy w centrali sygnał z redakcji.

– Oczywiście – zapewniła go Bush. Wrzuciła telefon do torebki. – Powiem wam, gdzie mamy się spotkać, i do zobaczenia na miejscu.

Wyszła z inspektor Swire, a ja przez chwilę myślałem, że pierwszy raz usłyszę, jak Mallory przeklina. On jednak przejechał dłonią po błyszczącej czaszce i rzucił ze złością:

– I wszyscy macie mieć kamizelki!

W jedynym spokojnym zakątku pokoju operacyjnego numer jeden doktor Stephen siedział przed swoim laptopem. Kiedy do niego podszedłem, zobaczyłem, że ogląda oś czasu Boba Rzeźnika. Psycholog miał zamyśloną twarz. Na ekranie wciąż widniał grzyb atomowy.

– Ludzie w Hiroszynie – rzekł doktor Stephen – od miesiący spodziewali się zmasowanego bombardowania. Ale to, co ich spotkało, oznaczało koniec wszystkiego. To był zupełnie nowy świat.

– Czyli co może oznaczać ten grzyb? – spytałem. – Co on próbuje powiedzieć?

Stephen pokręcił głową.

– Mogę tylko zgadywać – odrzekł.

– Niech pan zgaduje.

– Wyznaczony cel został już wybrany – powiedział.

...

Kawiarenka internetowa znajdowała się przy Holloway Road. Wren i ja siedzieliśmy w przeciwległych końcach sali, w której kilku wyraźnie zmęczonych studentów z zagranicy sprawdzało skrzynki e-mailowe i rozmawiało przez Skype'a z rodzinami. Wydawało się dziwne, że Scarlet Bush miała się tu spotkać z Bobem Rzeźnikiem.

I kiedy usłyszałem w słuchawce, jak Gane przeklina, wiedziałem już, że się nie spotkają.

Wren też to słyszała. Popatrzyła na mnie, a ja pokręciłem głową.

Na zapleczu kawiarenki czekała grupa uzbrojonych funkcjonariuszy wyglądających jak żołnierze z przyszłego stulecia. Mieli czarne gumowe gogle, hełmy balistyczne z kevlaru i lśniące buty. Byli uzbrojeni w karabiny automatyczne Heckler & Koch, paralizatory Taser X26 i gaz łzawiący. Zaciskali usta w wąskie kreski, nabuzowani adrenaliną, która nie mogła znaleźć ujścia. Mallory i Whitestone stali z boku, zgarbieni nad Gane'em i jego laptopem.

– Co się stało? – spytałem.

– Zgubiliśmy Scarlet – rzekł Mallory. – Nie sygnał jej telefonu, tylko ją.

– Urwała się naszym w budynku redakcji – dorzucił Gane, nie odrywając wzroku od ekranu. – Przypuszczamy, że ulotniła się wyjściem ewakuacyjnym. Ot tak, po prostu.

– Chciała spędzić więcej czasu sam na sam z Bobem – odezwała się Whitestone.

– Według lokalizatora w jej telefonie była w drodze do nas – ciągnął Gane. – A teraz najwyraźniej jej nie ma. Sygnał nie poruszył się od dziesięciu minut. Zobacz.

Na mapie ukazującej pajęczynę ulic miarowo pulsował czerwony punkcik.

– Gdzie to jest? – zapytał Mallory. – Wygląda jak okolice katedry Świętego Pawła.

– East Poultry Avenue, EC1 – rzekł Gane. – To Barbican.

– Nie Barbican – powiedziałem. – To mięsna hala targowa.

Mallory pokręcił głową.

– Głupia dziewczyna – mruknął. – Co za głupia dziewczyna.

...

Haki w chłodni przypominały rozwieszane chorągiewki ze stali, a przy każdym oddechu w lodowatym powietrzu tworzył się obłoczek pary. Wszędzie wisiały ogromne połcie mięsa przechowywane w temperaturze poniżej zera. Słyszałem Wren i Whitestone, które wołały dziennikarkę.

– Scarlet! Scarlet! Scarlet!

Mallory odsunął wielką tuszę wołową.

– Nie ma jej tu, prawda? – powiedział.

Gane przetarł dłonią zamglony ekran laptopa.

– Telefon w każdym razie jest.

Wtedy zobaczyłem świński łeb leżący na marmurowym blacie. Świński łeb z gigantycznymi, obwisłymi uszami słonika Dumbo. Wyglądał zarazem komicznie i tragicznie. Skóra albinosa, bardziej biała niż różowa, upstrzona kilkoma niewielkimi plamkami krwi. Oczy zamknięte, jak gdyby ze skrajnego wyczerpania. I monstrialny ryj, rozplaszczony i pełen krwi.

We mgle chłodni poruszały się sylwetki ludzi, którzy przeklinali i wpadali na siebie. Nie mogli znaleźć tego, czego szukali. Ciągle nawoływali.

Mój kręgosłup przeszył ból, kiedy sięgnąłem w głąb świńskiego pyska i wyciągnąłem telefon, którego ekran był oblepiony mętną krwią.

– Panie komisarzu?! – zawołałem.

Mallory wyjął mi z ręki telefon. Spojrzał w stronę Gane’a, który skinął głową i zamknął laptop.

– On ją ma – powiedział komisarz.

Nagle zawibrował mój telefon. Wyjąłem go. DZWONI DRUGI FRONT, głosił komunikat na wyświetlaczu. Zobaczyłem, że mam krew

ze świńskiego łba na rękach, na telefonie i na ubraniu, że dostała się wszędzie.

– Mówi Cage ze sklepu z pamiątkami wojennymi – odezwał się bardzo daleki głos.

– Co się stało? – zapytałem.

– Sprzedałem nóż.

25

– Do sklepu wszedł potężny facet – powiedział Nick Cage. – No, może nie potężny, raczej napakowany. Ciężarowiec. Może nafaszerowany sterydami. Nieduży facet, ale napakowany, rozumiecie, panowie?

Siedzieliśmy z nim w pokoju przesłuchań w Głównym na West Endzie. Mallory, Gane i ja. Mallory’emu nie podobał się nasz rozmówca.

– Próbuje pomóc – dodał Cage, patrząc na mnie.

– Wiem – odrzekłem.

– Sprzedaje pan noże – powiedział Mallory. – Białą broń. Sztylety.

– Tak.

– Widział pan kiedyś, co nóż może zrobić z człowiekiem?

– Sprzedaję te rzeczy kolekcjonerom.

– Słyszał pan kiedyś o ustawie o niebezpiecznych narzędziach?

Cage zacisnął usta.

– Znam ją na pamięć. Ten kraj ma najbardziej restrykcyjne przepisy dotyczące posiadania noży. Chociaż trudno byłoby się tego domyślić, widząc te wszystkie dzieciaki na oddziałach ratunkowych z ranami kłutymi albo wnętrzościami na wierzchu. Panowie, nie sprzedaję sprężynowców, lasek z ukrytą szpadą, noży motylkowych, grawitacyjnych ani shurikenów, rozumiecie? Moimi klientami są kolekcjonerzy. Mam licencję. I chcę ją zachować. Dlatego mam kserokopię jego dokumentu. Chcecie rozmawiać o nim czy o mnie?

Sprawdzaliśmy kopię dokumentu przyniesionego przez Cage'a w głównym systemie komputerowym policji. Było to brytyjskie prawo jazdy wystawione na osobę, którą system rozpoznał jako IC1 – białego mężczyznę o wyglądzie europejskim. Dokument zawierał zdjęcie, nazwisko i datę urodzenia. Twarz młodego mężczyzny około trzydziestki, o przerzedzonych włosach. Usiłował się uśmiechnąć, ale próba skończyła się na lekkim grymasie szyderstwa. No i był adres. Na obrzeżach miasta.

– Kupuje pan te dane? – zwrócił się do Mallory'ego Gane. – Bob chowa się za gigantyczną architekturą zabezpieczeń w sieci, ale nie ma fałszywego dokumentu ze zdjęciem? Wie pan, w ilu miejscach można kupić fałszywe dokumenty ze zdjęciem?

– Ale nie dobre – powiedział Cage. – Łatwo dostać słaby dokument. Dobry trudniej. A to jest autentyk. Albo najlepsza fałszywka, jaką w życiu widziałem.

– Znał się na rzeczy? – spytałem.

– Co pan ma na myśli? – nie zrozumiał Cage.

– Wiedział, co kupuje?

– Był bardzo konkretny. Do Drugiego Frontu przychodzą kolekcjonerzy. Wszyscy bez wyjątku znają się na rzeczy. Chciał nóż szturmowy Fairbairn-Sykes. Był gotowy zapłacić każdą cenę. Sprowadziłem mu ten nóż. Znalazłem ładny egzemplarz drugiej wersji Wilkonsona.

– Gdzie pan go zdobył? – zapytał Mallory.

– Nie powiem – odparł Cage i założył ręce na piersi.

Gane zrobił krok w jego stronę, lecz w tym momencie w drzwiach pojawiła się Whitestone.

– Mamy go – powiedziała.

...

Inspektor Swire wkroczyła do pokoju operacyjnego numer jeden z napiętym wyrazem twarzy pod hełmem blond włosów. Tak mogłaby wyglądać Margaret Thatcher przygotowująca się do wysłania sił ekspedycyjnych na Falklandy, w pełni świadoma ryzyka akcji.

Tłum rozstąpił się przed nią, a ona nie patrzyła na nikogo, dopóki nie stanęła przy siedzącej na biurku Edie Wren. Monitor komputera za jej plecami pokazywał twarz mężczyzny, jak gdyby właśnie ją znalazła.

– Co mamy? – zwróciła się do niej inspektor.

Na ekranie wyświetlała się ta sama fotografia, którą widzieliśmy w prawie jazdy, ale teraz twarz miała rzeczywiste rozmiary; można było dostrzec czającą się w oczach nieufność i złośliwość, drobne blizny po dawnym trądziku, włosy zaczesane w taki sposób, by maskowały coraz większe zakola.

– Ian Peck – odpowiedziała Wren. – Wielokrotnie karany. Pierwszy wyrok dziesięć lat temu za posiadanie nielegalnych substancji klasy C – sterydów anabolicznych – i klasy B – haszyszu. Peck kupował towar w Amsterdamie i wysyłał pod swój domowy adres, na nazwisko poprzedniego lokatora.

– Stara sztuczka – powiedział ktoś w biurze.

Wren usiadła na krześle.

– Dwanaście miesięcy w zawieszeniu – ciągnęła, przewijając informacje na ekranie. Pokręciła głową. – Cztery... nie, pięć wyroków za przemoc wobec swojej dziewczyny. Sąd wydał mu zakaz zbliżania się do niej. Peck jest niezależnym konsultantem informatycznym. Po rozstaniu z dziewczyną wrócił do rodziców.

Wren spojrzała na inspektor.

– To właśnie jest Bob Rzeźnik – dodała.

Usta Swire wygięły się w triumfalnym uśmiechu.

– Dobra robota całego zespołu. Przygotujcie się. Zdejmujemy go jutro o świcie.

– Człowiek, który bije kobiety? – spytałem. – Naprawdę uważacie, że sprawca to facet, który bije kobiety?

Patrzyłem na doktora Stephen'a. Stał z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie. Wierzyłem, że myśli tak samo jak ja.

– Sprawca nie atakuje kobiet – powiedziałem.

Doktor Stephen ciągle na mnie nie patrzył.

– Co pan mówił, doktorze? Honor. Władza. Kontrola. – Wskazałem twarz patrzącą na nas z ekranu.

Wszyscy zwrócili wzrok na mnie.

Swire była bardzo spokojna.

– Słyszałeś kiedyś o gliniarzu George'u Oldfieldzie? – spytała.

Skinąłem głową. Wszyscy słyszeli o komendancie George'u Oldfieldzie. Kierował obławą na Rozpruwacza z Yorkshire. Listy i taśma nagrana przez człowieka przedstawiającego się jako Kuba skierowały poszukiwania na północny wschód, a tymczasem Peter Sutcliffe mordował kobiety w innych częściach kraju.

– Nie zamierzam odegrać roli George'a Oldfielda w tej sprawie – oświadczyła Swire. – Nie pozwolę, żeby zabójca wymknął mi się z rąk.

Minęła mnie szybkim krokiem, a w pokoju operacyjnym numer jeden rozpoczęła się gorączkowa krzątanina.

Ja jednak nie ruszyłem się z miejsca i ciągle patrzyłem na twarz na ekranie.

Honor. Władza. Kontrola.

Facet, który leje kobiety, pomyślałem. Gdzie tu honor?

...

Nazajutrz z pierwszym brzaskiem zebraliśmy się na ulicy skromnych domków szeregowych na przedmieściach. Nie słyszałem niczego prócz własnej krwi. Jeśli serce pompuje ją wystarczająco mocno, przypomina odgłos morza, szum wzburzonych czerwonych fal. Kiedy czailiśmy się za murkiem okalającym niewielki ogródek, wykorzystując parę ostatnich sekund na sprawdzenie sprzętu – poprawialiśmy paski kamizelek z kevlaru, słuchaliśmy przyciszonych komunikatów w radiu, a uzbrojeni funkcjonariusze kontrolowali bezpieczniki broni – właśnie tak szumiała mi w żyłach krew.

Ten dźwięk mówił, jaka jest stawka. Życie młodej kobiety. Praca wszystkich, którzy pozwolili się jej ulotnić. I coś jeszcze, coś w wymiarze bardziej osobistym. Bo nigdy nie wiadomo, co czeka po drugiej stronie drzwi i co się stanie.

Policjant z odrapanym czerwonym taranem na ramieniu szybkim krokiem ruszył ścieżką przez ogród.

Nie trwało to długo.

Po dwóch, trzech krokach stanął przed drzwiami, zsunął taran z ramienia, po czym zamaszystym, płynnym i brutalnym ruchem uderzył w zamek. Rozległ się trzask kiepskiego drewna i drzwi puściły, a funkcjonariusz odsunął się na bok, aby zrobić nam miejsce. Wpadliśmy do domu, wrzeszcząc ile sił w płucach – wrzeszczeliśmy, żeby wzbudzić strach w ludziach wewnątrz, wrzeszczeliśmy też, żeby zagłuszyć strach we własnych sercach.

Dwaj uzbrojeni policjanci, którzy weszli przede mną, nagle się zatrzymali, ciągle krzycząc zza luf karabinów automatycznych Heckler & Koch.

Zza ramion ich kamizelek ujrzałem schorowanego kota stojącego na końcu korytarza. Zzerane rakiem zwierzę wygięło grzbiet i zasyczało z pogardą.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi.

Znów zaczęliśmy wrzeszczeć.

Starsza kobieta powoli przeczłapała przez korytarz, szurając kapciami i ignorując wezwania, by się zatrzymała. Nawet nie spojrzała w naszą stronę.

Zauważyłem za jej uchem staroświecki aparat słuchowy, duży i różowy jak kawałek przeżutej gumy balonowej. Zniknęła za drzwiami po drugiej stronie korytarza, a stary kot ruszył za nią, ocierając się o jej nogi.

Poszliśmy za nią.

Starsza kobieta usiadła na kanapie w salonie obok starszego mężczyzny, który zastygł, nie zdążywszy włożyć do ust ciastka. Kiedy trącił ją łokciem w bok, wreszcie dostrzegła naszą obecność. Oboje otworzyli usta i utkwili osłupiałe spojrzenie w karabinach wycelowanych w ich twarze. Kot na nas prychnął.

– Państwo Peck? – zapytałem. – Gdzie jest państwa syn? Gdzie jest Ian?

Ciągle się nie odzywali.

Po drugiej stronie korytarza była niewielka kuchnia.

– Czysto – zameldował jeden z policjantów, który sprawdził pomieszczenie.

Na schodach załomotały ciężkie buty. Słyszałem na górze tupot i krzyki, gdy nasi ludzie wchodzili do kolejnych pomieszczeń, a potem zapadła cisza pełna zawodu i ulgi.

Wszedłem do kuchni. Z tyłu domu był mały ogródek. Za wysokim ogrodzeniem dostrzegłem więcej hełmów z kevlaru, gumowych gogli, zaciśniętych w napięciu ust i lśniących matowo luf karabinów automatycznych Heckler & Koch.

Z ogródka nadszedł Mallory i skierował się do kuchni. Była z nim Whitestone i jeden mundurowy. Kiedy policjant zdjął hełm, zobaczyłem, że to posterunkowy Billy Greene. Jego blada twarz była

mokra od potu. Bał się, ale dobrze nad sobą panował. Przydały mu się lekcje boksu.

Krzyki ustały.

– Nic – powiedziałem.

– Ktoś sprawdził piwnice? – spytał Mallory.

Tuż za kuchnią znajdowały się drewniane drzwi. Bez zamka, z łuszczącą się farbą. Otworzyłem je, sięgnąłem do środka i znalazłem włącznik światła.

Gdzieś w dole zapaliła się goła żarówka.

Ostrożnie zszedłem po kilku schodkach, czując zapach wilgoci i kurzu, i po chwili znalazłem się pod domem. Sufit był tak nisko, że musiałem się pochylić.

Tuż za moimi plecami rozległ się głos Mallory'ego:

– Jest coś?

Więcej niż pół piwnicy było pełne złomu, kawałków betonu i potłuczonych cegieł, a góra gruzu prawie sięgała sufitu.

– Co to jest? – zdziwiłem się.

– Wygląda na to, że komuś zamarzyło się przebudować dom i urządzić tu oddzielne mieszkania – rzekł Mallory. – Trzeba było zasypać piwnicę. Przepisy przeciwpożarowe. Potem pękła bańka cenowa na rynku nieruchomości i marzenia prysły. – Spojrzał w ciemność. – Przepraszam – powiedział, przeciskając się obok mnie. – Tam z tyłu coś jest.

– Czysto! – usłyszałem nad sobą czyjś głos. Po chwili przez dom przetoczył się krótki huragan śmiechu, jak gdyby zbiorowe westchnienie ulgi. Głosy wydawały się bardzo odległe.

Mallory podszedł do ściany w głębi piwnicy. Coś przemknęło przez górę gruzu i na moment zamarło mi serce. Na zardzewiałej ramie dziecięcego rowerka mignął ogon tłustego szczura.

– Drzwi – powiedział Mallory. Nagle w jego ręce pojawiła się latarka i snop ostrego białego światła przeciął żółtawy półmrok.

Na schodach prowadzących do piwnicy pojawił się posterunkowy Greene, który spojrzał na plecy Mallory’ego. Obaj podeszliśmy do komisarza.

Mallory próbował otworzyć drzwi.

Zamknięte na klucz.

Nagle zgasły światła. Wszystkie. Siadła sieć. Ktoś zamknął główny wyłącznik. Wysoko nad nami usłyszałem protesty.

Mallory miał w ręku nóż i manipulował nim przy framudze drzwi. Wziąłem od niego latarkę i oświetliłem drzwi i ostrze, którym poruszał w lewo i prawo, w lewo i prawo, powoli wysuwając rygiel z otworu w futrynie, aż wreszcie mu się udało.

Skrzypnęło drewno i drzwi się uchyliły. Za nimi zobaczyliśmy metalową kratę. A gdzieś zza niej dobiegły krzyki kobiety.

„Pomocy, pomocy, pomocy, pomocy, pomocy!”.

Metalowa krata szczęknięła w ciemności.

– Słyszysz? – spytał Mallory.

– Tak.

Rozmawialiśmy szeptem. Mallory sięgnął między pręty. Krata była zamknięta od wewnątrz. Ale brzęknęły klucze zawieszony na gwoździu; komisarz zdjął je i nagle krata się otworzyła.

– Czujesz? – zapytał Mallory.

– Czuję, panie komisarzu.

Smród benzyny i odchodów.

– Ostrożnie – ostrzegł, wchodząc do środka.

Ruszyłem za nim i poczułem pod stopami nierówny grunt. Kiedy krzyki przybrały na sile, wyraźnie rozpoznałem głos Scarlet Bush. Szliśmy szybciej, bo nagle otworzyła się przed nami większa przestrzeń, a gdy byłem między Mallorym a Greene’em, w pewnej

chwili komisarz runął naprzód, więc chwyciłem go za marynarkę i uchroniłem przed upadkiem.

Przed nami ziała dziura w ziemi, głębokości może dwóch metrów, a na dnie ujrzelśmy Scarlet Bush, osłaniającą oczy przed białym światłem latarki, nagą i mokrą od benzyny.

Ziemny piec do grillowania ludzkiego mięsa.

Zobaczyłem błysk i zdążyłem zauważyć mężczyznę podchodzącego do dołu z drugiej strony, a chwilę później światło – szszszszsz – wpadło do dołu. Za nim skoczył Billy Greene i gdy z okropnym trzaskiem buchnęły płomienie, Greene był już w dziurze ze Scarlet i tłumił ogień gołymi rękami.

Mężczyzna był niski i silny, miał długie włosy i przypominał małpę. Kiedy uderzył mnie w serce, poczułem, jak uchodzi ze mnie powietrze i runąłem do tyłu, padając na stół roboczy, który załamał się pod moim ciężarem.

Potworny ból przeszył mi plecy, a zaraz potem tył czaszki, gdy grzmotnąłem głową w ścianę.

Złapałem się za serce i znalazłem rozdarcie w koszuli. Nagle uświadomiłem sobie, że wcale mnie nie uderzył.

Pchnął mnie nożem.

Dotknąłem wgłębienia w kamizelce z kevlaru, która uratowała mi życie. Pod spodem rósł piekący siniak.

Zamknąłem oczy, bo zakręciło mi się w głowie i dostałem mdłości od bólu w tyle głowy. Reszta docierała do mnie we fragmentach.

Krzyk z dołu. Teraz krzyk mężczyzny. Greene z bluzą munduru w rękach zaciekle gaszący płomienie. Scarlet Bush z trudem wyczołgująca się z dołu, z przerażeniem w szeroko otwartych oczach. Blask ognia płonącego w dziurze. Silne światło, ale nierówne i chybotliwe, w którym wszyscy wyglądaliśmy jak duchy.

I ten człowiek – Bob Rzeźnik – zadający Mallory’emu ciosy w pierś, w ramię i w głowę. Mallory osuwający się na ziemię, bez lenonek, które napastnik strącił mu z twarzy. Bez okularów nie wyglądał już jak twardy stary wiking, ale wydawał się bezradny, zagubiony i bardzo bezbronny.

Bob Rzeźnik nagle zniknął. Uciekł z kryjówki. Bezkarne.

W piwnicy czekała jednak na niego Whitestone.

Bob nadział się na jej przedramię, którym zadała mu cios, obracając mu głowę prawie o sto osiemdziesiąt stopni. Whitestone, filigranowa kobieta, usiadła mu na plecach i skuliła mu rękę, informując go o przysługujących mu prawach i przy każdym zdaniu waląc jego twarzą o ziemię.

– Jesteś aresztowany. – Łup. – Nie musisz odpowiadać na pytania. – Łup.

Przypomniałem sobie formułkę ze szkolenia: oficjalnemu aresztowaniu zawsze towarzyszy przejęcie fizycznej kontroli. Whitestone robiła to jak należało.

– Ale możesz zaszkodzić swojej obronie, jeżeli podczas przesłuchania nie wspomnisz o czymś, na co później powołasz się w sądzie. – Łup. – Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane w postępowaniu dowodowym.

Łup, łup, łup.

W końcu Bob Rzeźnik zaczął błagać o litość.

Usłyszałem, jak ktoś wykrzykuje nazwisko Mallory’ego, zapaliły się światła i straciłem przytomność.

Obudził mnie ból w plecach.

Zaczął się w dolnych żebrach i przemieszczał w kierunku kręgosłupa, jak gdyby nowy ból ruszył na spotkanie bólu, który gościł tam już od dawna. Przez szparę w zasłonach wpadała smuga jasnego zimowego słońca, które mi powiedziało, że leżałem bez przytomności nie dłużej niż kilka godzin.

Jęknąłem i powoli zwlokłem się z łóżka.

Nałożyli mi jedną z tych szpitalnych koszul, które ukazują światu siedzenie pacjenta. Zdarłem ją z siebie i w małej szafie w pokoiku znalazłem swoje ubranie. Siedziałem na łóżku, usiłując włożyć skarpetki, gdy do sali weszła pielęgniarka, siostra przełożona o bujnym biuście i władczym spojrzeniu – typ, który budzi posłuch. Ta akurat była Jamajką.

– Co z chłopakiem? – zapytałem i skóra mi ścierpła na myśl o Greenie, który w piwnicy próbował sam zdusić ogień w dole gołymi rękami i bluzą munduru. Kiedy się odezwałem, z tyłu czaszki poczułem łomot jakby ołowianego młota i dotknąłem głowy, spodziewając się bandażu albo krwi. Niczego takiego nie znalazłem. Był tylko tępy pulsujący ból.

– Niech pan w tej chwili wraca do łóżka – odpowiedziała pielęgniarka.

Nie potrafiłem włożyć skarpetek. Plecy nie chciały się pochylić pod właściwym kątem. Rzuciłem więc skarpetki, wsunąłem stopy do butów. Wstałem.

– Co z chłopakiem? – powtórzyłem.

Straciła cierpliwość.

– Myśli pan, że poświęcę cały dzień na te głupstwa? Może pan mieć wstrząs mózgu. Zatrzymaliśmy pana na obserwacji. Chce pan, żebym sprowadziła lekarza? Naprawdę mam to zrobić?

Kiedy wróciła z lekarzem, byłem już kompletnie ubrany. Kompletnie z wyjątkiem skarpetek. Doktor był młodym Hindusem. Zbyt zmęczonym i zapracowanym, żeby się ze mną kłócić. Albo zbyt doświadczonym. Najwyraźniej uważał jednak, że jestem głupi.

– Nie wypiszę pana – oznajmił. – Czy to jest jasne? Wychodzi pan na własne ryzyko.

– Rozumiem. Gdzie chłopak?

– Na OIOM-ie. Na ostatnim piętrze. Zaprowadzę pana.

...

Posterunkowy Greene spał głębokim snem nafaszerowanego lekami pacjenta. Obie ręce miał zabandażowane. Obok łóżka stała kroplówka.

I to wszystko. Tylko ręce. Ale prawdopodobnie wystarczyło, żeby zakończyć jego pracę w policji.

– Na obu rękach ma oparzenia drugiego stopnia – wyjaśnił lekarz. – To oznacza, że sięgnęły skóry właściwej, ale nie stwierdziliśmy żadnych uszkodzeń mięśni ani kości. Kiedy jego stan poprawi się na tyle, żeby go ruszać, przewieziemy go do Queen Victoria w West Sussex. To najlepsza oparzeniówka w południowo-wschodniej Anglii.

– Lekarz odwrócił się w stronę drzwi. – To bardzo dzielny młody człowiek – dodał po namyśle.

Przypomniałem sobie dzień, w którym poznałem Billy’ego Greene’a, gdy ledwie mógł ustać na widok swojego pierwszego trupa,

przypomniałem sobie jego pałacy wstyd, kiedy posadzili go za biurkiem i zrobili z niego kowboja-gawędziarza. Ciekawe, czy był świadomy, że miał duże możliwości. I ciekawe, jak będzie teraz zarabiał na życie.

A potem zabrałem się do pracy.

...

Bob Rzeźnik znajdował się w pokoju przesłuchań.

W pomieszczeniu technicznym można było obserwować przebieg przesłuchania przez lustro weneckie albo na obrazie z kamery. Spojrzałem na ekran.

Whitestone i Gane siedzieli naprzeciw Boba i jego adwokatką. Była ładna, zadbana, ubrana w biznesowy czarny kostium.

Coraz młodsi ci adwokaci, pomyślałem.

Bob miał złamany nos i do kompletu podbite oczy, ale ani jedno, ani drugie nie starło mu z twarzy kpiącego uśmiešku.

Wyglądał jak bezczelna mała człekokształtna.

– Ianie Peck – powiedziała Whitestone głosem nieco zmienionym przez głośnik. – Jesteś oskarżony o morderstwo.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Przecież to nie on – powiedziałem.

Ktoś z tłumu stojącego przed lustrem spojrzał w moją stronę. Zaraz jednak odwrócił wzrok.

– Bzdura – dodałem.

Przy drzwiach pokoju przesłuchań stał rosły sierżant.

– Nie wolno tam wchodzić – uprzedził, kiedy się do niego zbliżyłem.

Odepchnąłem go na bok. Nie próbował się bronić.

Gdy wszedłem, wszyscy unieśli wzrok. Whitestone i Gane. Bob i jego urodziwa prawniczka. Ktoś mnie przedstawił.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem nóż szturmowy Fairbairn-Sykes, który pożyczyłem od Carol z Imperialnego Muzeum Wojny. Sztylet z hukiem wylądował na stole.

– Pokaż mi, jak to robiłeś – zażądałem.

Sierżant też wszedł do pokoju i gdy Whitestone skinieniem głowy wyraziła zgodę, chwycił mnie. Odtrąciłem go. Był silniejszy ode mnie, ale powstrzymał się i nie próbował mnie wyprowadzić.

Adwokatka zerwała się na równe nogi, skarżąc się na pogwałcenie jakiegoś prawa, lecz nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi. Czułem ból w kręgosłupie, czaszce i tuż za oczami.

Nóż leżał na stole przed Bobem.

– No, twardzielu – ciągnąłem. – Pokaż mi, jak podrzynałeś gardła tym wszystkim ludziom. Ty załgany sukinsynu, pieprzony fantasto, żaloszny gnojku.

Gane na mnie krzychał. Wszyscy na mnie krzyczeli. Oprócz Boba. Popatrzył na mnie, potem na nóż i jeszcze raz na mnie, jak gdyby coś rozważał.

Oblizwał wargi. Wstał.

W pokoju nagle zapadło milczenie.

– No, śmiało – powiedziałem przyciszonym głosem i uśmiechnąłem się, aby go zachęcić. – Pokaż mi, jak to robiłeś.

Bob – Peck, wszystko jedno, jak się nazywał – wziął ze stołu nóż.

Wszyscy znów zaczęli krzyżeć.

Poczułem na sobie ręce, moje ręce je odtrącały, a Bob patrzył na mnie z nożem w dłoni. W powietrzu spróbował wykonać cięcie w zwolnionym tempie.

– Podcinałem gardła.

Zrobiłem krok w jego stronę.

– Łżesz jak pies, kanalio – powiedziałem.

Zacisnąłem palce na jego przegubie, a drugą ręką uderzyłem go w biceps. Nóż spadł na stół.

– Wolfe – odezwała się Whitestone. – Max, proszę cię, posłuchaj.

– Nie zabił tych ludzi – odparłem. – Hugo Bucka. Adama Jonesa. Guya Philipa. Mówię wam, że nie wie, jak miałyby to zrobić. To nie on.

Nagle w oczach Whitestone zauważyłem łzy.

– Został aresztowany za zabójstwo komisarza Mallory’ego – powiedziała. – Komisarz wykrwawił się w drodze do szpitala.

Tym razem sierżant chwycił mnie mocno.

– Przykro mi, Max – dodała Whitestone. – Szef nie przeżył.

...

W pokoju operacyjnym numer jeden nie było nikogo oprócz Wren. Kiedy wszedłem, uniosła głowę.

– Musisz to zobaczyć, Wolfe.

Podszedłem do okna i spojrzałem w dół na Savile Row.

Pomyślałem o Margaret Mallory, o tym, jak mi powiedziała, że Scout i ja jesteśmy rodziną, choć miałem wrażenie, że cały świat chce mnie przekonać, że nie jesteśmy prawdziwą rodziną, i oczy wezbrały mi łzami, które spowodowały, że widok samochodów na ulicy daleko w dole się rozmazał. Usta wykrzywił grymas bezbrzeżnego, beznadziejnego smutku.

Pewnie już jej powiedzieli, pomyślałem; już wie, że jej mąż nigdy więcej nie wróci z pracy; zostanie sama w ich domku w Pimlico z psem, zdjęciami, wspomnieniami i pękniętym sercem. Świadomość tego ścisnęła mnie za gardło i szarpnęła trzewia; miałem wrażenie, że daremny płacz nigdy się nie skończy.

– Max? – usłyszałem głos Wren.

Spojrzałem na dachy Savile Row. Otarłem oczy dłońmi. Nie odwracałem się od okna.

– Komisarz Mallory umarł – powiedziałem, a mój głos zabrzmiał dziwnie, jak gdyby należał do kogoś innego. – Rana kłuta na szyi. Zmarł, zanim zdążyli go przywieźć do szpitala.

– Wiem – odrzekła. – Nie znałam bardziej życzliwego człowieka. I lepszego gliniarza. Ale naprawdę musisz to zobaczyć. Ostatni post Boba w sieci. Przed tym, jak go zgarnęliśmy. Słuchasz mnie?

Pokręciłem głową.

– Nie, nie słucham cię, Edie. Nic mnie to nie obchodzi. Wszystko mi jedno, co to jest. Nie chcę tego widzieć. Nie obchodzi mnie, co miał do powiedzenia.

– Musisz popatrzeć, Max. Bo zabójca ciągle jest na wolności. Bo świat ciągle jest pełen wrednych i niebezpiecznych skurwieli. Możesz na mnie popatrzeć?

Cisza.

Nagle Wren znalazła się obok, ciągnąc mnie do swojego biurka.

– Popatrz, dobrze? – powiedziała, bynajmniej nie łagodnym tonem. Spojrzałem.

Ostatnia wiadomość na osi czasu Boba Rzeźnika.

Nie było przy niej zdjęcia Roberta Oppenheimera.

Nie było grzyba atomowego.

W ich miejsce pojawiła się mała czarno-biała fotografia. Na pierwszy rzut oka niczego nie przypominała – abstrakcyjna plątanina nierównych płaszczyzn. Kiedy jednak przyjrzałem się uważniej, zobaczyłem, że to jest miasto. Całe miasto zniszczone w ułamku sekundy. Mój wzrok prześlizgnął się po hasztagu brzmiącym jak rozkaz dla miliona jego zwolenników.

#zabicwszystkieswinie

A potem przeczytałem wiadomość, której nie zrozumiałem, więc przeczytałem jeszcze raz. Rytm słów i liczb był tak znajomy, że z początku pomyślałem, że wcale nie widzę ich na ekranie tylko mam je w głowie.

– Czy to nie jest twój adres domowy? – spytała Wren.

Wybiegłem.

...

Wracali ze szkoły. Scout, pani Murphy i Stan. Moja córka i pani Murphy patrzyły na psa i śmiały się. Stan dreptał zadowolony u ich boku. Niósł coś w pysku. Kawalek obwarzanka. Kiedy mnie zobaczyły, uśmiech zniknął z ich twarzy.

– Co się stało? – zapytała pani Murphy.

– Musimy jechać – wyjaśniłem. – Przepraszam.

Posadziłem Scout i Stana z tyłu bmw, kazałem Scout zapiąć pas i ruszyłem, wciskając gaz, żeby zdążyć przed wieczornymi korkami. W lusterku widziałem panią Murphy, która stała na ulicy i patrzyła, jak odjeżdżamy.

– Ale dokąd jedziemy? – spytała Scout, kiedy pędziliśmy przez Waterloo Bridge.

– Zobaczyć się z twoją matką – odpowiedziałem.

...

Stała na trawniku przed domem na ulicy w części miasta, która wyglądała, jak gdyby nigdy nie stało się nic złego.

U jej stóp raczkował mały szkrab, a w jej ciele rósł płód.

To nie były moje dzieci. Ojcem był jej nowy mężczyzna.

Anne.

Takie zwykłe staroświeckie angielskie imię, choć nie przypuszczam, żebym potrafił je kiedykolwiek usłyszeć bez bolesnego drgnienia serca.

Anne, Anne, Anne.

Trudno w to uwierzyć – ja sam też prawie nie mogę w to uwierzyć – ale całkiem niedawno istniał świat, w którym byliśmy sobie tak bliscy jak z nikiem, kogo poznaliśmy w swoim krótkim wtedy życiu. Kiedy cały czas się śmialiśmy; kiedy mieliśmy przed sobą dobre wspólne życie; kiedy co noc zapalaliśmy świeczkę w rogu sypialni, bo nie mogliśmy spać, bo oznaczałoby to dla nas kilkugodzinne rozstanie. Dzisiaj to wszystko należało do przeszłości, dzisiaj wszystko było skończone, jak mi powiedziała, delikatnie gładząc zaokrąglony brzuch, w którym rosło dziecko innego mężczyzny.

Anne, pomyślałem. Kiedy patrzyłem na nią, jak stoi na trawniku, szczęśliwa w nowym miejscu beze mnie, to choć nie przyznałbym się do tego, zaskoczyło mnie coś, co mógłbym nazwać szczątkami naszej miłości.

Pamięta się cierpienie, złość i żal rozstania. Pamięta się podniesione głosy, kłopoty finansowe, łyzy kobiety, która odkrywa, że jej życie wygląda inaczej, niż się spodziewała. Pamięta się to wszystko i pamięta się list, który nadszedł dwa dni po tym, jak powiedziała, że musi wyjechać do rodziców, żeby oczyścić głowę.

Max, przykro mi, ale muszę odejść. Nie chciałam, żeby tak się stało. Ale kocham go i spodziewam się jego dziecka. Przeprowadził się, więc nie próbuj go szukać...

Pamięta się to wszystko, ale zapomina się o miłości. Doznaje się szoku, kiedy coś nam o niej przypomni, kiedy człowiek przyznaje się sam przed sobą, że w ogóle istniała i być może nadal istnieje.

Zaparkowałem samochód naprzeciwko jej domu, przy pięknej ulicy na tonącym w zieleni południowym przedmieściu Londynu.

Scout i pies spali na tylnym siedzeniu.

Nie budziłem ich.

Gdy na podjeździe zatrzymał się drugi samochód i wysiadł z niego inny mężczyzna, a Anne uśmiechnęła się i pocałowała go w usta, wiedziałem, że ich nie obudzę.

Przyglądałem się, jak wchodzi do domu, widziałem, jak nowy mężczyzna obejmuje poszerzoną talię Anne. Zamykając drzwi, spojrzała prosto na mnie. Ale oczywiście wtedy było już o wiele za późno na cokolwiek.

Co ze Scout? Ludzie czasem pytają mnie, jak matka mogła zostawić dziecko. Mogę powiedzieć tylko tyle, że niektórzy odnajdują nowy dom. Niekórzy zakładają nową rodzinę. I niektórzy – na ogół mężczyźni, chociaż nie zawsze – bez końca szukając dla siebie usprawiedliwienia, robią to, co zrobiła moja żona.

Znajdują nowe życie.

...

Przygnała mnie tu panika. Rzeczywistość kazała mi wracać. Ale gdy zapadła czarna i zimna noc, wciąż chciałem tego samego.

Chciałem, żeby moja córka była bezpieczna.

Jadąc z powrotem do Smithfield, zrozumiałem, że Scout zawsze będzie najbezpieczniejsza przy mnie. Bo dla niej byłem gotów zabić. Byłem gotów zginąć. Dla Scout byłem gotów na wszystko, bo Scout była dla mnie wszystkim.

Przed naszym budynkiem kręcił się tłum. Zobaczyłem zaczerwienione twarze i białe zęby głośnych i rozbawionych w piątkowy wieczór mężczyzn i kobiet, z kieliszkami i butelkami w dłoniach, którzy nawet nie próbowali zejść z drogi człowiekowi ze śpiącym dzieckiem na rękach i psem na smyczy.

Przepychałem się wśród nich, torując sobie drogę łokciami i napierając na nich całym ciałem, prowokując ich, żeby coś powiedzieli, coś zrobili, żeby się ujawnili. Żeby w jakiś sposób dali mi do zrozumienia, że chodzi im o mnie, że przyszli po mnie i że już czas. Ale miałem w oczach krew i mord, więc się nie odzywali. Ustępowali mi z drogi.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko naszego loftu, ludzie z hali targowej zaczynali właśnie pracę, gdy kładłem do łóżka Scout, nie przerywając jej snu. Stan zwinął się w kłębek obok jej ciepłego ciała i zostawiłem ich w spokoju.

Ale patrzyłem przez okno, czekając, czy nie pojawi się jakiś drań, żeby nas napaść. Wiedziałem już, że czyha na nas czyste zło, wiedziałem, że niebawem się spotkamy, widziałem, że w hali targowej przez całą noc palą się światła, rozjaśniając niebo i przyćmiewając blask gwiazd.

GRUDZIEŃ

Zerwanie kontaktów

Dwa tygodnie później przyszła się ze mną spotkać.

Anne. Moja była żona.

Niespodziewana wizyta.

Stare klucze pozwoliły jej otworzyć drzwi wejściowe od ulicy, okazały się jednak bezużyteczne w przypadku drzwi do loftu, ponieważ po jej odejściu zmieniłem zamki. Usłyszałem chrobot klucza i zobaczyłem ją przez wizjer. Dopiero po chwili odryglowałem drzwi. Stała za nimi i wyglądała po prostu świetnie. Ta sama kobieta, ale zmieniona przez czas, który minął, czas, który spędziliśmy osobno.

– Cześć, Max.

– Anne.

Była bez makijażu, jeśli nie liczyć lekko podmalowanych ust. Światło z korytarza odbiło się od jej długich do ramion włosów i wśród ciemnego brązu dostrzegłem srebrne pasemko. Miała ciemne oczy i bladą cerę, nie było wątpliwości, po kim Scout odziedziczyła tę poruszającą, zaokrągloną twarz. Trudno wyrzucić kogoś z serca, kiedy w rysach tej osoby widzisz dziecko, które kochasz.

Anne nie przyprowadziła ze sobą swojego nowego życia. Oprócz dziecka w łonie, które uspokoiła, przesuwając dłoń po brzuchu. Przeraziła mnie cisza między nami.

– Gdzie twój synek? – zapytałem.

– Z nianią – odparła takim tonem, jak gdyby to było miejsce docelowe.

Poszedłem za nią w głąb loftu, zaintrygowany tym srebrnym pasmem w jej włosach. Nie dlatego, że było to potwierdzenie, iż Anne się starzeje – i że pewnego dnia będzie stara, co nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy – ale wiedziałem, że straci tamten wyjątkowy blask, w którym się zakochałem, kiedy byliśmy dziećmi. Blask, który musiał przeminąć, jednak to i tak niczego by nie zmieniło. Kochałbym ją dalej, bez tego wyjątkowego blasku młodości. Może po raz pierwszy kochałbym ją naprawdę. Lecz oczywiście już nigdy nie będę miał na to szansy.

– Nie patrz tak na mnie, Max. Aż mi skóra cierpnie.

– Przepraszam.

Scout i Stan wyszli z sypialni mojej córki. Wszyscy patrzyliśmy na naszego gościa jak na przybysza z innej planety, nie z ulicy tonącej w zieleni londyńskiej strefy bogaczy. Anne uklękła i obsypała Scout czułościami. Na tym polega problem, kiedy rzadko widuje się swoje dziecko. Nie sposób zachowywać się przy nim naturalnie. Ogarnęła mnie fala żalu i goryczy, której smak poczułem w ustach.

Scout powinna cię obchodzić. Scout powinna cię obchodzić bardziej niż wszystko.

Stan podkradł się do Anne, machając uniesionym ogonem. Z nadzieją obwąchał jej nogi, a Anne wstała, jedną ręką trzymając się za krzyż, drugą machając w powietrzu. Skrzywiła z niesmakiem śliczną, starzejącą się twarz.

– Trzymam się z daleka od psów – powiedziała. – Nigdy nie wiadomo, gdzie wcześniej wtykały pysk.

Wziąłem Stana na rękę i zaniósłem do pokoju córki. Gdy zamykałem drzwi, posłał mi smutne spojrzenie.

Kiedy wróciłem, Scout pokazywała Anne juniorskie rękawice bokserskie, które jej kupiłem. Prawdę mówiąc, moja córka nie wykazywała cienia zainteresowania rękawicami i w ogóle ich nie

wkładała. Wolała rysować, spędzać czas ze Stanem albo rozmawiać z lalkami (z uporem powtarzała, że się nimi nie bawi – „tylko rozmawiam”). Widziałem jednak, że ma nieodpartą chęć pokazania matce czegoś nowego.

Żeby tym razem może została.

Rozmawiały. Matka z córką. Poszedłem do kuchni i w trakcie parzenia kawy zalała mnie i pochłonęła potężna fala smutku. Ścisnęło mnie w gardle, zapiekły oczy i poczułem się tak, jakbym nigdy już nie miał się ruszyć.

Po chwili to uczucie zniknęło.

Wróciłem do głównego pomieszczenia loftu z tacą. Dwie kawy i sok pomarańczowy.

– Nie piję już kofeiny – poinformowała mnie Anne.

Stałem zdezorientowany. Przecież zawsze lubiła kawę.

– Przyniosę wodę – powiedziałem.

– Tylko się nie zapożycz, żeby postawić mi drinka. Nie ma sensu rujnować się z mojego powodu – odrzekła i to mnie rozbawiło. Zawsze umiała mnie rozbawić.

– Chcesz zobaczyć moje rysunki? – zapytała Scout.

– Tak! – Anne głaskała się po brzuchu. – Tak, Scout! Tak!

Scout poszła do siebie po rysunki. Anne i ja spojrzeliśmy na siebie. Widziałem, jaki to dla niej wysiłek. Odwróciliśmy głowy na dźwięk głosu Scout. Stan bez powodzenia próbował uciec.

– Nie, Stan – powiedziała, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi.

– Psy? – spytała Anne. – Boks?

W jej ustach zabrzmiało to tak, jakbym prowadził melinę dla ćpunów.

Anne wolno chodziła po lofcie, jakby sprawdzała, czy nie zostawiła niczego ważnego, i nagle nastąpiła na pluszową małą, która wydała

pełen oburzenia pisk.

– Po całej podłodze walają się rupiecie – powiedziała. – I to nawet nie są rupiecie Scout.

To prawda. Stan miał własne rupiecie. Pies w tym wieku jest dokładnie taki sam jak raczkujący maluch. Stan rozrzucał swoje zabawki po całym mieszkaniu – piszczącą kaczkę, gumową piłkę z kolcami, misia ze śliniaczkiem z brytyjską flagą, przeróżne kawałki ogryzionych kości i poszarpanych sznurków.

– To naprawdę wasz pies? – ciągnęła z mieszaniną rozbawienia i pogardy w głosie, którą tak doskonale pamiętałem. – Nie opiekujesz się cudzym?

– Psy są wspaniałe – odparłem.

Gdy Scout wychodziła z rysunkami, Stan uciekł z sypialni i łypnął na mnie ukradkiem.

– Psów nie obchodzi, czy ktoś jest bogaty czy biedny – dodałem. – Psów nie obchodzi, czy ktoś jest piękny czy brzydki, inteligentny czy tępy, ani jakim jeździ samochodem.

– Zgadza się – przytaknęła Anne. – Bo psy są głupie. Co to za dziwny zapach?

– Jajecznicowy omlet – wyjaśniła Scout, kładąc przed matką plik rysunków. – Tatuś przypalił patelnię.

– Jajecznicowy omlet? – zdumiała się Anne. – Nie ma czegoś takiego!

– Nie, jajecznicowe omlety są dobre – powiedziała Scout, a ja omal nie zapłakałem, wzruszony jej lojalnością wobec mojej prostej kuchni. – Bo można do nich dodać, co się chce. Szynkę. Ser. I można je jeść z sosem barbecue Paula Newmana.

Anne dotknęła jej włosów i parsknęła śmiechem.

– Kochanie, jest omlet i jest jajecznica. Nie ma jajecznicowego omletu.

Scout szeroko otworzyła oczy.

– Dużo kucharzy to mężczyźni – zauważyła.

Anne z uśmiechem pokręciła głową. Przyjrzała się rysunkowi leżącemu na wierzchu.

– Co to jest?

– Ze szkoły – odrzekła Scout. Starannie przeczytała tytuł. – Moja rodzina.

Anne zrobiła głęboki wdech.

– Ale to tylko ty, tatuś i pies, kochanie. Gdzie mamusia? I twój młodszy braciszek? Gdzie Oliver?

Nowy mężczyzna. Przynajmniej nie nazywa go wujkiem Oliverem, pomyślałem. Przynajmniej oszczędza nam tego żalosego losu.

– Mam więcej rysunków – zapewniła ją Scout, przerywając jej narzekania, i ponownie poszła do swojej sypialni.

– Słuchaj – zwróciła się do mnie Anne. – Jeżeli trudno ci się przystosować...

Wpatrywałem się w nią. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Przystosować się? Czy żyć dalej oznacza to samo, co przystosować się?

Nagle w dole pleców chwycił mnie okropny ból.

– Co ci jest? – spytała.

– Tatuś nie jest dzisiaj w pracy – poinformowała ją Scout, wracając z naręczem rysunków. – Coś sobie zrobił w plecy.

– Od dawna cię tak boli, Max?

– Nic mi nie jest – zapewniłem.

– Dobrze sypiasz?

– Jak dziecko.

– Co? Budzisz się zasikany i drzesz się w środku nocy?

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Będę marudną owieczką – oświadczyła Scout, rzucając rysunki na podłogę.

– Marudną owieczką? – zdziwiła się Anne. – Cóż to takiego?

– Owieczka, która nie chciała zobaczyć Jezusa. To przedstawienie nazywa się *Marudna owieczka*. I gram w nim rolę marudnej owieczki. To z Biblii.

– Jasełka w szkole – wyjaśniłem. – Na Boże Narodzenie. Nie jestem pewien, czy w Biblii występuje marudna owieczka, skarbie.

– Tatuś mi zrobi kostium.

Anne uniosła brew.

– Powodzenia – powiedziała.

Nadszedł czas pożegnania. Padły obietnice rychłego spotkania. Obietnice zaproszenia, przenocowania, dobrej zabawy. Słowa o młodszym braciszku i nienarodzonej siostrzyczce, które dla Scout zupełnie nic nie znaczyły. Obietnice, obietnice. Gdyby zostały dotrzymane, wszystko byłoby lepsze. Nie idealne. Nie zbudowane na nowo. Ale lepsze.

Mimo tego wszystkiego, co się stało, wiedziałem, że Anne kocha Scout. Nie zostawiła jednak dla niej miejsca w swoim nowym życiu, u boku nowego mężczyzny, w nowym domu. I dopóki tego nie zrobi, nie odzyska Scout, a rany naszej pięknej córki nigdy się nie zablżnią.

– Aha – dodała na koniec Anne. – Na dole czekała na ciebie jakaś młoda kobieta.

– To mi się bardzo często zdarza – odrzekłem.

– Wierzę – powiedziała Anne, odchodząc od nas i wracając do swojej nowej rodziny i swojego nowego życia. – Pewnie podoba im się twój pies.

...

– Cześć, pacjencie na zwolnieniu – przywitała mnie Wren. – Myślałam, że już mnie nigdy nie wpuścisz. Co ci właściwie jest?

– Zerwanie mięśni międzyżebrowych wewnętrznych – odparłem.

Wren pokręciła głową.

– Będziesz mnie musiał naprowadzić.

– Mięśnie międzyżebrowe unoszą klatkę piersiową podczas wdechu i wydechu.

– Boli?

– Tylko kiedy oddycham.

– Brakowało nam ciebie na pogrzebie Mallory’ego. Byłoby lepiej, gdybyś wtedy przyszedł, Max. Jego żona, Margaret, dopytywała się o ciebie.

Zwiesiłem głowę i przełknąłem coś, co pojawiło się w moim gardle.

– Nie mogę się z nią spotkać – wyznałem. – Nie wiedziałbym, co powiedzieć.

– Nic nie musisz mówić, głupku.

Scout i Stan wyszli się przywitać.

– Ma włosy w tym samym kolorze co ja! – wykrzyknęła Wren.

Wszyscy troje byli zachwyceni. Stan podskakiwał radośnie. Wren dała mu do obwąchania rękę, a dopiero potem go pogłaskała, domyśliłem się więc, że wychowała się wśród psów.

– Jak się nazywasz? – zapytała Scout.

– Edie – odparła Wren.

– Patrz, Edie – powiedziała Scout, po czym zwróciła się do Stana: – Zdechł pies!

Stan padł na bok, unosząc łeb z podłogi i wpatrując się szeroko otwartymi oczami w przysmaki Natures Menu, które Scout zaciskała w piąstce. Oblizwał się. Głowa mu drżała z niecierpliwości. Prawdę mówiąc, nie bardzo wyglądał na zdechłego. Nie wydawał się nawet śpiący.

– To po prostu... niewiarygodne – stwierdziła Wren. – Nigdy nie widziałam niczego podobnego. Powinniście oboje występować

w telewizji. Nie pamiętam, jak się nazywa ten program. Brawo.

Scout i Stan, promieniejąc dumą, wrócili do pokoju.

– Kiedy wracasz? – spytała Wren.

– Jutro – odrzekłem. – Może pojutrze.

– Nieważne. Bo to będzie nieoficjalna sprawa.

Trzymała teczkę formatu A4. Niewielką, cienką i zieloną. Podała mi ją, ale nawet nie próbowałem jej wziąć.

– Zaginione – wyjaśniła Wren.

– Co?

– Szukałam zaginionych osób, pamiętasz? Dziewczyn, które zaginęły dwadzieścia lat temu. – Oczy jej błysnęły. – Sam mnie o to prosiłeś. Pamiętasz?

Omam nie roześmiałem się głośno. Plecy przeszył mi spazm bólu.

– Przecież wszystko się skończyło – powiedziałem. – Sprawa zamknięta. Morderstwa wyjaśnione. Sprawca skazany. Złapali zabójcę, prawda?

Ian Peck vel Bob Rzeźnik odpowiadał za wszystkie morderstwa. Nie tylko za zabójstwo Mallory’ego. Nie tylko za to, które rzeczywiście popełnił, ale także za morderstwa Hugo Bucka, Adama Jonesa i Guya „Piggy’ego” Philipa. Peck stał się oficjalnie seryjnym mordercą, supergwiazdą świata prawdziwej zbrodni. Wyznawcy Boba Rzeźnika wciąż robili szum w mediach społecznościowych.

Nagle poczułem się bardziej niż skrajnie wyczerpany.

– Słyszałem, że Whitestone dostała awans na komisarza – powiedziałem.

– Zgadza się – przytaknęła Wren. – Zasłużyła na to.

– A Mallory zostanie pośmiertnie odznaczony Królewskim Medalem za Zasługi dla Policji.

– A Scarlet Bush napisała książkę pod tytułem *Świniobójca*.

– Książkę? Tak szybko?

– *Świniobójca* to e-book, dziadku. – Pstryknęła palcami. – Wydaje się je raz, dwa. Jeszcze nie czytałam. Inspektor jest zadowolona. Zdaje się, że wszyscy w naszym zespole dostaną zaszeregowanie wyższe o jedno oczko. A ty siedzisz w domu z poobijanymi plecami i użalasz się nad sobą.

Pokręciłem głową.

– Wszystko się skończyło – powtórzyłem.

– Nie – odrzekła Wren. – Dopiero się zaczyna. Bo mam jeszcze te zaginione.

– Wiesz, ile osób w tym kraju ginie bez śladu? – spytałem. – Każdego dnia?

– Tak – potwierdziła. – Co trzy minuty jedna. W większości młode. Dużo kobiet. Dziewczyny uciekają z domów opieki. Dziewczyny molestowane przez nowego chłopaka kochanej mamusi. Dziewczyny z problemami narkotykowymi i alkoholowymi, z kompleksami na punkcie swojego ciała. Dziewczyny z różnymi uzależnieniami i skłonnościami do samookaleczeń. Bezdomne i zagubione. Dziewczyny, które nie mają szczęścia i zostają wykluczone. Ze wszystkiego. Dziewczyny w ciąży. Dziewczyny, którym się wydaje, że są zakochane. Dziewczyny, których rodzice są fanatycznie religijni i uważają je za dziwki, bo słuchają popu.

– Prawie wyczerpująca lista – stwierdziłem.

– Wiesz, ile dziewczyn zaginęło w roku, który nas interesuje, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym?

Przez chwilę milczałem.

– Przypuszczam, że dużo – odrzekłem.

– Nie uwierzyłybyś ile.

– I zamierzasz wszystkie znaleźć, Edie? Pomścić? Naprawić krzywdy?

– Nie wszystkie. Tylko jedną. Zawęziłam listę. Sito, które mi dałeś, okazało się za rzadkie. Wyłowiłam za dużo nazwisk. Za dużo zaginionych dziewczyn. Zaczęłam więc szukać w najbliższej okolicy Potter's Field. W czasie roku szkolnego. Wiosną i latem osiemdziesiątego ósmego roku.

– Przecież nie wszystkie zaginione osoby to ofiary morderstw, Edie. W niektórych przypadkach, w większości, to tylko zerwanie kontaktów. Słyszałaś o zerwaniu kontaktów? Omawiali zerwanie kontaktów w szkole dla detektywów?

– Dobra. – Zaczęła zbierać zawartość cienkiej teczki. – Sama się tym zajmę.

– Czasem zaginiony po prostu zerwał kontakty, wyjechał, wyprowadził się, zmienił nazwisko i cholernie się cieszył, że może uciec od koszmaru, w którym tkwił – powiedziałem.

– To prawda – przyznała. – Ale niektóre z zaginionych osób lądują martwe w jakiejś piwnicy. Albo żywe – a to jeszcze gorszej. Przez dziesięć lub więcej lat żyją w piwnicy jakiegoś sukinsyna. Nagie i przykute do jakiejś pieprzonej ściany. Przecież wiesz, że to też prawda, Max.

Milczałem przez chwilę.

– Tak.

– Byłeś ze mną. Słyszałeś, co James Sutcliffe powiedział. Tam była dziewczyna. Wszystko zaczyna się od dziewczyny! Wystarczy ją znaleźć, żeby znaleźć mordercę i poznać motyw tych wszystkich zabójstw. Ale najpierw trzeba znaleźć dziewczynę. Musimy ją znaleźć, prawda? Nie możemy... tak po prostu jej zostawić. – Popatrzyła na mnie. – Naprawdę chcesz, żebym zrobiła to sama, Max? Nie wierzę. Nie sądzę, że taki jesteś.

– W ogóle mnie nie znasz.

– Pewnie nie.

Odprowadziłem ją do drzwi.

– Wiesz, co jest najgorsze w samotnym wychowywaniu dziecka? – powiedziałem. – Znacznie mniej obchodzi cię reszta świata. Nie uwierzyłybyś, jak mało cię to obchodzi. Ale tak jest. Twoje serce twardnieje. Świat ogranicza się do ciebie i dziecka. Chcesz to zrobić nieoficjalnie?

Skinęła głową.

– Ale po co? – spytałem. – Zaginieni się nie znajdują. Mallory’emu życia nie przywrócimy. Bob Rzeźnik w więzieniu ciągle będzie dostawał propozycje małżeństwa.

– Zrobimy to, bo jeżeli nie, to zabójca zostanie bezkarny – odrzekła Wren. – Zrobimy to, bo jeżeli nie, będziemy tacy sami jak najgorsi z nas – ci, którzy boją się robić, co do nich należy. I dlatego, że to ważne. Że tak właśnie trzeba.

Zielonateczka trzepnęła mnie w pierś.

Tym razem ją wziąłem.

– Masz córkę, Max – dodała Wren. – Zrób to dla niej.

...

Kiedy zjawiała się pani Murphy, poszedłem do restauracji Smiths of Smithfield, żeby przejrzeć teczkę.

Niewiele w niej było. Ledwie trzy arkusze.

Na pierwszym zobaczyłem paszportowe zdjęcie jasnowłosej dziewczyny w wieku około piętnastu lat, która niepewnie uśmiechała się do obiektywu. Zdjęcie było opatrzone podpisem: Anya Bauer, i datą urodzenia: 4 lipca 1973 roku.

Przyglądając się fotografii, zauważyłem, że Anya Bauer natapirowała włosy w misterną fryzurę, jak gdyby pragnęła się upodobnić do jakiejś nieznanej bohaterki. To mógł być ktokolwiek, od

gwiazdy pop po księżniczkę. Madonna albo księżna Diana. Nie, to musiała być Madonna. Z wczesnego okresu, kiedy nosiła dość krótkie włosy. Anya Bauer próbowała wyglądać na starszą, próbowała wyglądać ładniej. Próbowała, jak wszystkie nastolatki na świecie. Pod koniec lat osiemdziesiątych Anya Bauer miała piętnaście lat, teraz więc wkraczała pewnie w wiek średni.

Jeżeli żyła.

Druga kartka była wydrukiem ze strony internetowej poświęconej poszukiwaniu zaginionych osób, z tą samą fotografią i klauzulą:

Uwaga. Ze względu na wiek oraz różnice w ubiorze i fryzurze obecny wygląd dziecka może znacząco odbiegać od tego, co przedstawiają zdjęcia.

Na trzecim i ostatnim arkuszu była ta sama uśmiechnięta twarz dziewczyny. Siódma strona „Potter’s Field Post” z 21 sierpnia 1988 roku. I jedno zdanie: „Piętnastoletnia Anya Bauer przed dwoma miesiącami nie wróciła do domu i policja usilnie stara się z nią skontaktować”. Pod spodem podano numer telefonu, prawdopodobnie nieaktualny od prawie dwóch dekad.

Długo oglądałem zdjęcie Anyi Bauer, a kiedy wchodziłem po schodach do domu, już na progu, zanim otworzyłem drzwi, usłyszałem szczekanie Stana i pełen szczerej radości śmiech Scout.

WITAMY W POTTER'S FIELD, głosiła ozdobna drewniana tablica na rogatkach miasta. MIEJSCU WIECZNEGO SPOCZYNKU KRÓLEWSKICH PSÓW.

Wren prychnęła z pogardą.

– Chwalą się, jakby tu był Tadź Mahal albo Wodospady Wiktorii – powiedziała. – A to nawet nie są wszystkie królewskie psy, prawda? Tylko Henryka VIII. Nie mają żadnych corgi królowej. I pewnie leżą tu nie wszystkie psy Henryka.

Tablica przedstawiała popularny wizerunek Henryka VIII – tęgiego żonobójcy w średnim wieku, nie wysportowanego młodego króla, którego posąg zdobił szkołę założoną przez niego pięćset lat temu. U jego stóp, które zdobiły lśniące buty, baraszkowało kilka spanieli z wyłupiastymi oczami. Wyglądały jak bliscy krewniacy Stana.

Zawsze zaskakiwał mnie fakt, że za szkolnym światem kryje się miasto. Podobnie jak wiele angielskich miasteczek, Potter's Field balansowało między szlachectwem a ubóstwem. Jadąc służbowym samochodem, małym, nieoznakowanym hyundaiem, za którego kierownicą siedziała Wren, minęliśmy ładny skwer, gdzie grupka miejscowej młodzieży popijała z puszek i paliła papierosy, a wokół leżały rowery górskie.

– Przyszła do nas żona komisarza Mallory'ego – powiedziała Wren.
– Po ceremonii odznaczenia medalem. Margaret. Była bardzo miła. Chciała wszystkim podziękować. Pytała o ciebie. – Umilkła na moment. – Powinieneś się z nią spotkać.

– Wolisz jechać na posterunek czy do redakcji? – zapytałem.

Wren spojrzała na mnie.

– Słyszałeś, co powiedziałam?

– Słyszałem. No to jak, posterunek czy gazeta?

Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła wzrok.

Byliśmy na głównej ulicy. Między sieciowymi kawiarniami, sklepami z telefonami komórkowymi i supermarketami dostrzegłem kilka niewielkich staroświeckich herbaciarni. Wysiadłem przed jedną z nich. Oferty podwieczorku o smaku angielskiego lata strzegła naturalnych rozmiarów podobizna Henryka VIII z psami.

– Pojadę do gazety – odrzekła Wren.

...

Nie spodziewali się mojej wizyty. Ale dzięki legitymacji znalazłem się w pokoju przesłuchań z dyżurnym sierżantem o nazwisku Lane, dobrze zbudowanym gliniarzem o czerwonej twarzy, w którego głosie dał się słyszeć lekki akcent ze wsi. Oddał mi legitymację, patrząc na mnie z mieszaniną drwiny i szacunku. Mimo to uściśnął moją rękę i podał kartonowy kubek wrzącej czarnej kawy.

– Znowu kryminalni? – spytał. – Nie widzieliśmy was tutaj od tej nieszczęsnej historii z nauczycielem wuefu. Ale przecież przymknęliście sprawcę, zgadza się?

– Chodzi o inną sprawę – odparłem. – Zaginięcia. – Położyłem na stole przed nim cienką teczkę. – Zawsze pracował pan w Potter's Field?

– Mieszkam tu od dziecka – powiedział. – Nigdy mnie nie ciągnęło do dużego miasta. U nas jest pięknie. Tyle zieleni. Jak pan wyjedzie za miasto i popatrzy na pola, to ma się wrażenie, jakby czas się zatrzymał parę wieków temu.

– Pamięta pan zaginioną dziewczynę, Anyę Bauer?

Bez przekonania przerzucał kartki z teczki.

– Czemu miałbym pamiętać? – odrzekł. Zamknął teczkę i uniósł brwi. – Nie bardzo mi to wygląda na zaginięcie. Raczej na zerwanie kontaktów.

Teczka wróciła do mnie.

– Czyli zgłoszono zaginięcie, ale umorzyliście dochodzenie? – spytałem.

Lekko się uśmiechnął.

– Myśli pan, że mamy dużo wolnego czasu? Jak to wieśniaki.

Odpowiedziałem uśmiechem.

– Ależ skąd. Na pewno jesteście bardzo zajęci. Z powodu tych wszystkich rozpieszczonych bogatych dzieciaków w Potter's Field.

– Och, z nimi nie ma kłopotów – zachnął się. – Ze szkołą mamy dobre stosunki. Od zawsze. Jeżeli dzieciaki rozrabiają w restauracjach, to w Chelsea i Knightsbridge, nie u nas. – Wskazał na teczkę. – To była cudzoziemka?

Skinąłem głową.

– Niemka. Z Monachium. Lepiej staralibyście się ją odnaleźć, gdyby była miejscowa?

Zaśmiał się.

– Nie mielibyśmy innego wyjścia, prawda? – Nagle jego twarz spoważniała. – Znaleźliście trupa? O to chodzi?

– Nie znaleźliśmy. To raczej kwestia przecucia.

Wstałem, jedną ręką chwyciłem zieloną teczkę, a drugą wyciągnąłem do niego. Ujął moją dłoń, ścisnął i przytrzymał, aby dać mi do zrozumienia, że pomimo mojego wieku, legitymacji i wyrafinowanych wielkowiejskich obyczajów jest ode mnie o wiele silniejszy.

– Proszę wybaczyć, ale nie bardzo rozumiem, po co pan przyjechał – wyznał. – To oficjalne śledztwo?

– Staramy się po prostu wyjaśnić pewną dawną sprawę – odparłem. – Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Zanim znalazłem się za drzwiami, sięgnął po telefon.

...

Redakcja „Potter’s Field Post” mieściła się w budynku przy głównej ulicy, nad antykwariatem, ale Wren zostawiła mi wiadomość o zmianie miejsca spotkania, kierując mnie do niewielkiego, krytego strzechą domku na skraju miasteczka, gdzie dziarska kobieta około osiemdziesiątki pracowała w doskonale utrzymanym ogrodzie.

– Czeka w środku! – zawołała. – Z moim mężem. Otwarte!

Kiedy wszedłem do środka, przyczłapał do mnie stary golden retriever. Sennie obwąchał mi dłoń, a potem powlókł się za mną korytarzem, gdy ruszyłem za dźwiękiem podnieconego głosu Wren.

Kłęcząca w salonie, patrząc przez szkło powiększające na starą odbitkę stykową. Cała podłoga była zasłana zdjęciami stykowymi. W fotelu siedział stary siwowłosy mężczyzna z dużą porcją szkockiej w ręku. Pies podszedł do niego i ciężko klapnął na jego kaptcie w kratę.

– Bądź grzeczna, Fanta – powiedział staruszek, po czym zwrócił się do mnie: – Witaj, młody człowieku. Masz ochotę napić się kropelkę?

– Dwudziestoletnia słodowa whisky – wyjaśniła Wren. – Bardzo dobra. – Na stoliku stała szklanka, ale wyglądało na to, że Wren w ogóle nie tknęła trunku.

Stary dżentelmen zaczął się podnosić z fotela, ale uniosłem ręce w odmownym geście. Wren przycisnęła lupę do oka, a potem do odbitki stykowej, którą trzymała w ręce.

– Gazeta nic nie ma – poinformowała mnie. – Zresztą ledwie zipie. Nie mają tam nawet przyzwoitego archiwum. Nie zrobili cyfrowych kopii starych dokumentów. W czytniku mikrofilmów znalazłam pleśń. Uwierzysz?

– „Potter’s Field Post”? – powiedział staruszek. – Teraz rozdają gazetę za darmo! Za darmo! Nazywają to bezpłatnym dziennikiem!

– Ale skierowali mnie do pana Coopera – ciągnęła Wren.

– Monty’ego! – wybuchnął staruszek.

– Monty’ego! – przytaknęła Wren. – Monty przez czterdzieści lat był u nich fotoreporterem.

– Całe życie – zarechotał Monty.

Odniosłem wrażenie, że towarzystwo Wren sprawiło mu ogromną przyjemność i chętnie wyciągnął sterty starych odbitek stykowych. Nie miał chyba nawet nic przeciwko czerwonemu flamastrowi, którym Wren wymachiwała i zakreślała interesujące nas zdjęcia.

Usiadłem obok niej.

– Ta gazeta to koszmar – powiedziała. – O ile się zorientowałam, oprócz tej notki o zaginięciu nie napisali o Anyi Bauer nic więcej. Przestali się nią interesować.

– Policja też – odrzekłem.

– Ale popatrz na to. – Wren podała mi lupę.

– Przez wszystkie lata pracy fotografowałem to miasto – powiedział Monty. W jego głosie jeszcze wyraźniej niż u sierżanta Lane’a usłyszałem echo dawno utraconej wsi. – A raz do roku, Piątego w Potter’s Field, fotografowałem szkołę.

Patrzyłem na zdjęcia chłopców w wojskowych mundurach. To były te same mundury, które miała na sobie siódemka z Połączonych Sił Kadetów w Potter’s Field. Tu jednak zobaczyłem maszerującą przez dziesięciolecia całą armię.

– Piąty w Potter’s Field to wielki dzień – wyjaśniła Wren.

Monty ryknął śmiechem. Fanta, golden retriever, gwałtownie się podniosła, lecz zaraz ponownie wolno zwinęła się w kłębek i ułożyła do snu.

– Co roku piątego maja szkoła otwiera drzwi przed motłochem – rzekł Monty. – A miasto otwiera serce przed szkołą. Albo udaje, że otwiera. W Potter’s Field to odpowiednik czwartego czerwca w Eton. Tyle że oczywiście w Eton mają rzekę, a my nie mamy.

– Widzisz ich? – spytała Wren.

– Nie.

Uderzyła mnie pięścią w ramię.

– Jezu, Wolfe! Przyjrzyj się uważnie!

Zobaczyłem setki chłopców w mundurach. Maszerowali przed pomnikiem młodego Henryka VIII. Salutowali podczas wciągania flagi na maszt. Przechodząc przed obiektywem, jak jeden mąż kierowali wzrok na prawo. Skupiłem się na środkowym zdjęciu odbitki, które zostało zakreślone na czerwono, i nagle zniknęła mgła przysłaniająca mi oczy.

Nie byli tacy, jakich ich zapamiętałem – uśmiechnięci, zawadiaccy i niezachwianie wierzący w przyszłość jak na tamtej fotografii. Tu mieli poważne miny i stali wyprężeni jak struny w szeregu umundurowanych chłopców podczas inspekcji oddziału przez Jej Królewską Mość.

Ich siódemka stała w szeregu ciągnącym się poza kadr zdjęcia: Guy Philips, Salman Khan, Ben King, Ned King, James Sutcliffe, Hugo Buck, Adam Jones. U boku królowej, która spod zmarszczonych brwi spoglądała na Jamesa Sutcliffe’a, stał górujący nad wszystkimi Peregrine Waugh, a jego mina świadczyła o tym, że za chwilę pęknie z dumy.

– Jeszcze to – powiedziała Wren.

Obok niej leżała odbitka, na której także zakreśliła na czerwono jedno zdjęcie.

Fotografia została zrobiona wieczorem. Ogólny plan jakiegoś przyjęcia pod dużym białym namiotem. Kelnerzy krążyli w tłumie z tacami pełnymi kieliszków szampana. Rodzice, uczniowie, nauczyciele i goście uśmiechali się i pili alkohol. Kolejny udany Piąty w Potter's Field. Na drugim końcu namiotu dostrzegłem chłopaka i dziewczynę, uśmiechniętych i odwróconych profilem do obiektywu.

– To Ben King – powiedziałem.

– Ned King – naprowadziła mnie Wren. – Przyjrzyj się uważnie. Można zauważyć blizny na jego twarzy.

– A dziewczyna?

Była młodą ładną blondynką. Włosy ściągnięte w kucyk, cień tajemniczego uśmiechu, kiedy odwracała głowę. Miała na sobie dzinsy i T-shirt, zdecydowanie zbyt swobodny strój jak na tę uroczystość, zbyt swobodny jak na Potter's Field.

Wren uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie wiem. Może po prostu dziewczyna. Rozmawialiście z Nede Kingiem, prawda? Ty i Mallory.

Przypomniałem sobie wieczór w bazie Brize Norton, gdy kapitan King i jego ludzie wsiadali na pokład herculesa, by odlecieć do Afganistanu.

– Wtedy to był dopiero początek – powiedziałem. – Ned King wyjeżdżał. Mallory potraktował go łagodnie. Kapitan mu zaimponował. – Patrzyłem przez szkło powiększające na chłopaka i dziewczynę na przyjęciu, które odbyło się dawno temu. – Zaimponował nam obu.

– W takim razie ktoś musi jeszcze raz porozmawiać z kapitanem Kingiem – stwierdziła Wren. – Kiedy wróci.

– Monty, czy to był jedyny powód, dla którego jeździłeś do szkoły? – zapytałem. – Piąty w Potter’s Field?

Skinął głową i uniósł się z fotela.

– Oprócz zdjęć, których potrzebowaliśmy do dokumentacji – rzekł. – Kiedy w szkole był nowy dyrektor, zawsze chcieli, żeby go sfotografować. Robiłem też zdjęcia pomnika Henryka VIII. Filaru naszej turystyki. – Pochylił się nad stolikiem, nie chcąc ryzykować i klękać na podłodze. – No i oczywiście grobu. Grobu królewskich psów. – Pokazał sfatygowaną kartonową teczkę. – Proszę.

W teźce nie było odbitek stykowych. Znajdowały się w niej błyszczące zdjęcia formatu osiem na dziesięć. Były wśród nich oficjalne portrety dyrektorów Potter’s Field. Ostatni przedstawiał Peregrine’a Waugha, ale zobaczyliśmy też fotografie ludzi, którzy dawno już byli na emeryturze albo nie żyli. Były tu także zbliżenia grobu królewskich psów zrobione przy każdej pogodzie, o każdej porze roku.

Brałem do ręki zdjęcia po kolei. Na jednym z nich, czarno-białym, kamień nagrobny otoczony wysoką, nieskoszoną trawą był mokry od deszczu. Na innym, barwnym, kamień odbijał biały blask letniego słońca, a trawa wokół była starannie przystrzyżona.

Ale nie była to jedyna różnica między dwiema fotografiami.

– Popatrz na inskrypcję – powiedziałem. – Na epitafium na nagrobku. – Pokazałem czarno-białe zdjęcie. – Na tym nie ma ani słowa.

Natomiast na zdjęciu nagrobka zrobionym latem było widać wyryte w kamieniu epitafium.

...

Stary fotograf uśmiechnął się i nie patrząc na słowa, wyrecytował:

– „Bracia i siostry, ostrzegam otwarcie: nie dajcie serca psu na pożarcie”¹⁷. Na oryginalnym nagrobku nie można przecież tego było wyryć, prawda?

– Dlaczego?

– Bo grób ma prawie pięćset lat – odparł. – A te słowa zostały napisane na początku dwudziestego wieku przez Rudyarda Kiplinga. Jeszcze za moich czasów grobowiec dosłownie się rozsypywał. Zapadał się.

– Ma pan jakieś zdjęcia? – spytała Wren.

Powątpiewająco pokręcił głową, ale w końcu znalazł fotografię małego żółtego buldożera stojącego obok popękanego grobowca. Wyraźnie było widać wypisaną na boku nazwę firmy: V.J. Khan i Synowie.

– Na grobie nigdy nie było żadnych napisów – dodał Monty. – Albo pierwsza inskrypcja dawno się starła. Nigdy niczego na nim nie widziałem. Ma w końcu pięćset lat. Ale kiedy go odnowili, kazał na nim umieścić cytat z Kiplinga.

– Kto kazał? – spytała Wren.

– Dyrektor – wyjaśnił Monty, popijając whisky. – Pan Waugh powiedział, że nie chce, aby grób nie miał napisu.

Zostawiłem Wren wcinającą grzanki z serem w towarzystwie Monty'ego, jego żony i ich golden retrievera i pojechałem hyundaiem do Potter's Field. Szkoła wyglądała na zamkniętą na cztery spusty, ale główna brama była otwarta. Zatrzymałem samochód na parkingu dla personelu. W słabym świetle zmierzchu dostrzegłem postać kręcącą się po boiskach i już miałem pójść w jej kierunku, gdy usłyszałem wystrzał.

Ktoś ze sporej odległości strzelił z broni dużego kalibru i wydawało się, że huk niesie własne echo. Potem zapadła cisza i ruszyłem w stronę boisk, patrząc na budynki, które wyglądały na zupełnie pozbawione życia i nie sposób się było domyślić, że mieszka w nich tysiąc osób.

Stary dozorca Len Zukov chodził wolno po boisku do rugby z urządzeniem, które wyglądało jak kosiarka. Dopiero kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że zostawia za sobą biały ślad, wyznaczając linię boczną.

Zawołałem do niego i pomachałem ręką.

– Niech pan na to nie wchodzi! – krzyknął. – Jeszcze mokre!

– Pamięta mnie pan? Detektyw Wolfe z głównego posterunku na West Endzie.

Sięgnąłem po legitymację, ale zupełnie go nie obchodziła.

– Pamiętam.

– Wyjaśniam parę szczegółów związanych z trwającym śledztwem.

Nie był jednak zainteresowany. Z powrotem zabrał się do pracy i jego maszyna zagłuszyła moje słowa, malując za nim prostą białą linię.

– Niech pan na to nie wchodzi! – krzyknął przez ramię, przyzwyczajony do krzyczenia na całe pokolenia chłopców. – Muszę skończyć, zanim zrobi się ciemno.

Wróciłem przez główny dziedziniec, obszedłem szkolną kaplicę i wszedłem na cmentarz. Nagle coś się poruszyło i zaszeleściło. Droge przecięła mi wiewiórka, która błyskawicznie uciekła na drzewo. Kiedy dotarłem do grobu psów Henryka VIII, ciszę rozdarł następny strzał. Spojrzałem na epitafium.

*Bracia i siostry,
Ostrzegam otwarcie:
Nie dajcie serca
psu na pożarcie.*

Czas i pogoda pokryły litery zielonym mchem.

Słyszając za sobą szuranie butów, odwróciłem się i ujrzałem Lena Zukova wolno nadchodzącego ścieżką. Sprawdzał mnie.

– Czego pan chce? – spytał. – Nie powinien pan tu przychodzić. Powinien pan kogoś uprzedzić. Dostać zezwolenie.

– Te słowa na nagrobku. – Pokazałem. – Dopiero dzisiaj zorientowałem się, że pochodzą sprzed stu lat. Ale grób ma pięćset. Stąd wniosek, że umieszczono je tu w ciągu zeszłego wieku.

Jego usta poruszyły się, jakby chciał powiedzieć: „I co z tego?”.

– Dziwne, jak mogłem tego nie zauważyć – powiedziałem, zwracając się jednocześnie do niego i do siebie. Uniosłem wzrok, kiedy huknął następny strzał. – Na tym między innymi polega moja praca, Len. Na zauważaniu różnych szczegółów.

Nie odrywał ode mnie wzroku.

– Co to za strzelanina? – spytałem. – Kaliber dwanaście?

– Brzmi raczej jak czterystadzieścia – odrzekł. – Lepszy do strzałów z bliższej odległości i w gęstwinie. Na szkodniki. – Otarł dłonie o kombinezon. Artretyzm na stałe zacisnął je w pięści. Spostrzegł, że patrzę na jego ręce, więc wepchnął je głęboko w kieszenie. – Szczury, króliki i lisy – wyjaśnił.

– Skąd pan jest, Len?

Popatrzył na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Stąd – powiedział.

– Pytam o pochodzenie.

– Z Rosji.

– Z Rosji? Tam na pewno nie miał pan na imię Len.

– Lew – odparł. – Prawie to samo.

– Z jakiej części Rosji?

Obaj unieśliśmy głowy na dźwięk kolejnego strzału. Tym razem padł bliżej. Długi, dudniący odgłos strzelby dużego kalibru na otwartym terenie. Huk zdawał się nie mieć końca.

– Kto strzela? – zapytałem.

Wzruszył ramionami, jak gdyby to był jeszcze jeden temat, który zupełnie go nie obchodzi.

– Farmer – zasugerował.

– Czyli przyjechał tu pan po drugiej wojnie światowej?

– Nie – odpowiedział z półuśmiechem. – Przyjechałem po wielkiej wojnie ojczyźnianej.

Uśmiechnąłem się.

– Ta sama wojna. Inaczej się nazywa.

– Nie – zaprzeczył, już bez uśmiechu. – To zupełnie różne wojny. Zupełnie różne dla pana narodu i mojego. W Rosji zginęło dwadzieścia pięć milionów ludzi.

Obaj patrzyliśmy na grób. Zastanawiałem się, co myśli o królu Anglii, który swoim ulubionym spanielom postawił grobowiec. Pewnie nie darzył go szczególnym szacunkiem. Zwłaszcza jeżeli podczas wojny był w Rosji. Oceniałem, że ma siedemdziesiąt parę lat. To by oznaczało, że pod koniec wojny musiałby być jedenasto-, dwunastoletnim chłopcem.

– Pewnie był pan za młody, żeby iść na wojnę? – zapytałem.

Zaśmiał się.

– Nikt w Rosji nie jest za młody na wojnę.

Skinąłem głową.

– Pójdę już – powiedziałem i wyciągnąłem do niego rękę.

To był błąd. Wyjął z kieszeni kombinezonu artretyczne dłonie, musnął zaciśniętą pięścią moją otwartą rękę, po czym obaj odwróciliśmy się, każdy z własnym wstydem.

...

Tym razem nawet nie próbował za mną iść.

Być może uznał, że nie będę mógł wtykać nosa tam, gdzie sobie tego nie życzone. Wszystko wydawało się pozamykane na cztery spusty i mimo zapadającego zmroku w niewielu wiekowych oknach zapalały się światła. Spojrzałem na gabinet, z którego Mallory i ja patrzyliśmy na boiska z Peregrine'em Waughem, ale tam też nie dostrzegłem żadnych oznak życia.

Wracając na parking, znów zobaczyłem Lena Zukova. Stał przed swoim kamiennym domkiem w towarzystwie jakiegoś mężczyzny i dopiero po chwili rozpoznałem sierżanta Toma Monka, którego poparzona twarz z tak daleka wyglądała jak gładka czarna maska.

Stary dozorca z papierosem w zaciśniętej pięści przyglądał się, jak Monk zbiera grabiami świeżo skoszoną trawę, ładuje ją na taczkę

i odwozi za domek, skąd unosił się dym z niewielkiego ogniska. Starał się ulżyć staruszkowi.

Uniosłem rękę na pożegnanie, ale chyba mnie nie widzieli.

Kiedy doszedłem do samochodu, huknął jeszcze jeden strzał, teraz znacznie bliżej, tuż zza drzew na skraju boisk. Rwany odgłos przedarł się przez liście i wolno rozdarł powietrze. Len był w błędzie. Wszystko jedno, na co polowano, myśliwy nie używał czterystadziesiątki. Wiem, jak brzmi strzelba kalibru dwanaście.

Ktoś poluje na spore szkodniki, pomyślałem, ciesząc się, że już wsiałam do samochodu.

...

Cisza brzmiała jakoś dziwnie.

Poderwała mnie z płytkiego snu i zanim się ocknąłem, siedziałem obok łóżka, patrząc prosto w oko szaleńca na nocnym stoliku.

12:05, poinformowało mnie. Pięć minut po północy?

Zza okna dobiegały szum i huk w hali targowej, gdzie rozpoczynano pracowitą noc. Turkot wózków, okrzyki ludzi, którzy jeszcze się śmiali, mając przed sobą długie godziny pracy.

Co mnie obudziło?

Włożyłem spodnie, a z szuflady przy łóżku wziąłem dwa kastety. Ważyły tyle co nic, ale gdyby udało się podejść blisko, potrafiły rozłupać czaszkę jak skorupkę jajka na twardo. Wyszedłem z sypialni, powstrzymując się od zawołania Scout. Stan w swojej klatce poruszył się przez sen.

Drzwi wejściowe były zamknięte. Okna całe. Nie czułem powiewu świeżego powietrza tam, skąd nie powinien dochodzić.

Przyjrzałem się klatce Stana. To nie dźwięk wyrwał mnie ze snu. To był brak dźwięku.

Ukląkłem obok psa, sięgnąłem pod koc, którym wyścielony był jego kosz, i wyjąłem budzik, który włożyliśmy, żeby zastępował mu bicie serca matki. Jakiś czas temu wyczerpała się bateria. Uśmiechnąłem się do niego w ciemności i dotknąłem miękkiej rudej sierści. Potem poszedłem do kuchni i wrzuciłem budzik do kosza na śmieci.

Stan już go nie potrzebował. Był u siebie.

Ale zerkając pod drzwi sypialni córki, zobaczyłem, że Scout ciągle śpi przy zapalonym świetle.

Salman Khan otworzył mi nieogolony, mrużąc oczy w jasnym słońcu poranka. W jednej ręce miał kij bejsbolowy, w drugiej papierosa. Oba przedmioty trzymał dość luźno, tak że silniejszy podmuch wiatru mógł mu je wytrącić. Miał na sobie rozpiętą do pasa koszulę, a na szyi czarną muszkę, która wisiała smętnie jak przejechane zwierzę. Wyglądał, jakby spał w niej przez cały tydzień.

– Panie Khan – powiedziała Wren. – Komisarz Whitestone otrzymała od pana skargę...

– Bo już ich tu nie ma! – Khan wskazał kijem bejsbolowym pusty trawnik. – Policjantów, którzy mnie ochraniaли! Tych, którzy się pojawili po... jak to się nazywało? Ostrzeżeniu Osmana!

Wren uśmiechnęła się współczująco.

– Pańskie życie nie jest już zagrożone – wyjaśniła z profesjonalnym spokojem. – Sprawca został skazany.

Khan zaśmiał się szyderczo.

Patrzyliśmy na niego bez słowa, czekając, aż skończy, a potem zapadła cisza.

Spojrzał ponad naszymi ramionami. Na podjeździe stał ochroniarz, młody Nepalczyk. Coraz częściej widywało się ich w londyńskiej strefie bogaczy – prywatnych policjantów pilnujących tylko jednej ulicy w zamożnej części miasta. Bogaci zaczęli się bać.

Nikt jednak nie bał się tak jak Salman Khan.

– Dziękuję, Padam – powiedział Khan.

Gurkha zasalutował.

Weszliśmy za Khanem do domu. O kręte schody stał oparty miniaturowy motocykl. Przez szklane panele w marmurowej posadzce było widać suterene i nieprawdopodobny błękit krytego basenu. Czuło się ciepło wody i zapach chloru. Wren spojrzała na mnie i wiedziałem, że myśli to samo.

Ci ludzie mają bardzo dużo.

– Pańska rodzina wyjechała? – spytałem.

– Nie mogli tu zostać! To za bardzo niebezpieczne! Gdyby coś im się stało...

To miała być rutynowa wizyta, jedno z ostatnich zadań na liście związanych z zamknięciem operacji Grubas. Ale Salman Khan nadal czuł w powietrzu zapach morderstwa.

– Kogo się pan boi, panie Khan? – zapytałem.

– Żartuje pan? Zginęło kilku moich najbliższych przyjaciół.

Zgasił papierosa i natychmiast zapalił następnego.

– Panie Khan – powiedziałem. – Proszę na mnie spojrzeć.

Spojrzał na mnie, odwrócił wzrok i rzucił w kąt kij bejsbolowy.

– Kurwa! – wrzasnął.

– Jak sobie radzi firma pańskiego ojca? To przedsiębiorstwo budowlane, prawda?

Potrzebował trochę czasu, żeby się opanować.

– Mój ojciec zmarł dziesięć lat temu. Po jego śmierci firma została sprzedana. Dlaczego pan pyta?

– Kim była Anya Bauer? – włączyła się Wren.

Nazwisko wyraźnie nic mu nie mówiło. Pokręcił głową.

– Nie wiem, o co chodzi – oznajmił. – Nie wiem, o czym mówicie.

Powinniście...

– Co się stało w szkole? – przerwałem mu.

– Jak długo jeszcze będzie pan mnie o to pytał?

– Dopóki nie poznam prawdy.

– Co się stało? Nic. Wygłupialiśmy się. Nic więcej. Nie mogę zaprzeczyć, że robiliśmy różne rzeczy. Nieodpowiedzialne.

– Na przykład? – spytała Wren.

– Boże, nie wiem! Tłukliśmy szkło. Robiliśmy trochę szumu. Kupowaliśmy kokę.

– To wszystko? – dopytywała Wren. – Drobne akty wandalizmu i okazjonalne narkotyki? Mówmy serio.

Khan posłał jej nieufne spojrzenie.

– Ale żadnej z tych rzeczy nie robiliśmy z własnej inicjatywy. I wszystko traktowaliśmy jako eksperyment i rodzaj przygody. – Umilkł, jakby się powstrzymał, i zacisnął zęby. – Chodzi o to, że rzucił na nas urok.

– Kto, Peregrine Waugh? Dwadzieścia lat temu był waszym opiekunem domu, prawda?

Khan pokręcił głową.

– Mówię o ulubieńcu opiekuna domu. – Zaśmiał się. – O przedstawicielu Peregrine'a na ziemi.

Nagle zrozumiałem, kto ma najwięcej do stracenia.

– Chodzi panu o Bena Kinga, tak? To on był ulubieńcem opiekuna domu?

Nie mógł na mnie spojrzeć.

– Tego nie powiedziałem – odrzekł. – Nie wymieniłem żadnych nazwisk. – Chwycił się za włosy. – Powinniście tu być, żeby mi pomagać!

– Chciałby pan złożyć zeznanie? – zapytałem.

Jego usta wykrzywiły się w parodii kokieteryjnego uśmiechu.

– A pan by tego chciał, detektywie?

– Sądzę, że jest pan gotów, aby z nami porozmawiać, panie Khan – odparłem. – I chyba pan wie, że to jedyne wyjście, jakie panu zostało. –

Rozejrzałem się, patrząc na wszystkie niepotrzebne luksusy. – Przecież tak się nie da żyć.

Łapczywie zaciągnął się papierosem.

– Muszę porozmawiać z kilkoma osobami. Muszę porozmawiać z żoną, moją piękną... – Głos uwiązł mu w gardle. Zwiesił głowę. Zaraz jednak wziął się w garść. – I z adwokatem. Boże, jeszcze z dziećmi. Dopiero wtedy przyjdę na posterunek. – Uspokajał się. – Możliwe, że będę mógł wam pomóc w dochodzeniu.

– Kiedy? – dopytywała się Wren.

– Kurwa mać, kiedy będę gotowy, młoda damo.

Pokręciłem głową.

– To nie wystarczy, proszę pana – powiedziałem. – I niech się pan liczy ze słowami, zwracając się do mojej koleżanki. Mamy powody przypuszczać, że w czasie, kiedy był pan uczniem Potter's Field, zostało tam popełnione poważne przestępstwo. Gdybym chciał, mógłbym teraz pana zatrzymać.

Roześmiał się.

– Naprawdę? I za rok o tej porze stałby pan pod moim domem w nowym mundurze ochroniarza i pilnował moich dzieci, gdy będą wyciągały swoje rowery z porsche cayenne mojej żony. Zgadza się? – Umilkł, by nabrać powietrza. – Jutro rano – rzekł. – Najpóźniej po południu. Obiecuję. Chcę, żeby to się skończyło.

– Skończy się – zapewniłem go. – Możemy panu pomóc. Ale najpierw pan musi pomóc nam. Co się stało w tej szkole?

– Co się stało? Powiem wam, co się stało. Najpierw rozbijają człowieka na miazgę, a potem powoli budują od nowa. Tak się właśnie dzieje w tych ekskluzywnych starych angielskich szkołach. Za to właśnie płacą im rodzice. Rozbierają człowieka kawałek po kawałku, a potem składają z powrotem na swoją modłę. Biorą przestraszonych

małych chłopców i zmieniają ich w magnatów przemysłowych, przywódców, przyszłych premierów.

Głęboko zaciągnął się papierosem.

– Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Peregrine’a Waugh’a – miałem wówczas trzynaście lat, a on był zwykłym nauczycielem angielskiego. Narysował kredą kreskę na ścianie nad tablicą. „Tu jest Szekspir”, powiedział. Potem narysował drugą kreskę na samej górze tablicy. „Tu jest T.E. Lawrence”. Później ukląkł, oczywiście wszyscy pękaliśmy ze śmiechu, i zrobił trzecią kreskę tuż nad podłogą. „A tu jesteście wy”.
– Salman Khan uśmiechnął się krzywo i machnął papierosem. – Od tego zaczęliśmy.

...

Tego ranka w Czarnym Muzeum panował duży ruch. W pokoju 101 tłoczyło się kilkunastu młodych kadetów w mundurach. Sierżant John Caine przyglądał się im bez cienia radości ani współczucia.

– Nasze zasady – rzekł. – Niczego nie dotykać. Niczego nie fotografować. Nie brać sobie niczego na pamiątkę, licząc na to, że nikt tego nie zauważy. Wierzcie mi, ja zauważę. Wszystko w tym miejscu jest o wiele starsze i o wiele cenniejsze niż wy.

Parę osób zarechotało. Ale sierżant Caine się nie śmiał.

– Dlatego macie okazać szacunek – ciągnął. – I cały czas trzymać lepkie łapy w kieszeniach.

Otworzył drzwi do Czarnego Muzeum.

– Zapraszam. Chodźcie.

Weszli podnieceni i roześmiani jak dzieciaki na wycieczce szkolnej. Kiedy ostatni z nich przestąpił próg pierwszego pomieszczenia, tego, które urządzono jak atrapę oryginalnego muzeum w Whitehall, sierżant Caine mógł wreszcie poświęcić mi trochę uwagi.

– Przyjeżdżają z Hendon – powiedział. – Gdy ta pryszczata banda kończy naukę, przysyłają ich do mnie, żebym spróbował ich przygotować na spotkanie z rzeczywistością. Taka nowa inicjatywa.

– Jeżeli można, to zaczekam.

Skinął głową.

– Najlepiej będzie poczekać. Jeśli masz ochotę, możesz się do nich przyłączyć.

Wszedłem do wiktoriańskiego salonu za dziewięcioma młodymi mężczyznami i trzema młodymi kobietami, którzy cieszyli się, że mogli wyjechać na wycieczkę i chichotali na widok atrapy kominka i okna.

Przeszli pod stryczkiem i stanęli przy stole z wyłożoną bronią – strzelbami i karabinami, oryginałami i replikami, laskami będącymi w rzeczywistości szpadami, parasolami z ukrytymi pistoletami – oraz przy gablocie z bronią automatyczną. Zanim dotarli do przejścia prowadzącego do zasadniczej części muzeum, śmiechy ucichły.

Zobaczyli zabójcę gliniarzy – laskę będącą szpadą, a właściwie nożem. Była tu broń palna i broń biała wszelkiego rodzaju. Niektóre egzemplarze nosiły ciemne ślady starej krwi. Kadeci najdłużej zatrzymali się przy gablocie poświęconej funkcjonariuszom policji metropolitalnej, którzy zginęli podczas służby.

Pod koniec wizyty – a zwiedzanie Czarnego Muzeum trwa dość krótko – milczeli wstrząśnięci.

– To jest placówka edukacyjna – oznajmił sierżant Caine, opierając się o swoje zabałaganione biurko i trzymając kubek z napisem: NAJLEPSZY TATO NA ŚWIECIE. – Mam nadzieję, że podczas dzisiejszej lekcji nauczyliście się, że istnieje wiele sposobów, żeby zabić policjanta.

Nie odpowiedzieli.

– Dziękuję za odwiedzenie Muzeum Zbrodni w Nowym Scotland Yardzie – zakończył Caine oficjalnym tonem, którego wcześniej u niego nie słyszałem. – Sugeruję, żebyście jeszcze przed ukończeniem Hendon weszli do Sali Simpsona w swojej szkole, gdzie znajduje się Księga Pamięci Policji Metropolitalnej. Wpisała się do niej Jej Królewska Mość, a zanim skończycie studia, wy też powinniście to zrobić. – Popatrzył na ich poważne młode twarze i skinął głową. – Uważajcie na siebie samych i siebie nawzajem. Dziękuję, żegnam i życzę powodzenia.

...

Gdy zostaliśmy sami, otworzyłem płócienny wojskowy worek. Była w nim duża torebka na dowody, a w niej kamizelka z kevlaru, którą miał na sobie komisarz Mallory w dniu śmierci. Prawie nowa, jeśli nie liczyć dużej plamy na prawym ramieniu po śmiertelnej ranie szyi.

Trzymając kamizelkę bardzo ostrożnie, powierzyłem ją opiece sierżanta Johna Caine’a z Czarnego Muzeum w Nowym Scotland Yardzie.

Ulubioną kafejką Stana w Regent's Park była Honest Sausage przy Broadwalk, niedaleko londyńskiego zoo. Kiedy weszła, siedzieliśmy przy stoliku na zewnątrz, ja na krześle, a pies na moich kolanach, dzieląc się kanapką z bekonem. Każdy posiadacz psa w centrum Londynu prędzej czy później trafi do Honest Sausage.

– To znowu ty – powiedziała Natasha.

Nie usiadła. Susan i Stan wykonali psi taniec, w podnieceniu zataczając ciasne koła i obwąchując się nawzajem pod ogonami. W końcu mieszaniec pekińczyka i chihuahua uznał, że ma dość, odwrócił się i szczerknął Stanowi prosto w pysk. Stan natychmiast się cofnął, podkulił ogon i przysunął się bliżej mnie, szukając ochrony.

– Zabawne, że tak na ciebie wpadam – kontynuowała Natasha. – Jak to się ładnie mówi? Niby przypadkiem. Cześć, Stan.

Przynajmniej ucieszyła się na widok mojego psa.

– To dobre wyrażenie – odrzekłem. – Byłem w twoim dawnym domu, ale dowiedziałem się, że się wyprowadziłaś.

– Niedaleko, na drugą stronę parku. Do Marylebone. Trochę taniej. Podałem jej szarą kopertę.

– Twoja kasetka. Chciałem ją zwrócić.

Wzięła ją ode mnie bez słowa, zaciskając usta. Jeszcze nie usiadła. I nie zamierzała. Zwłaszcza mając w ręku kasetę z nagraniem meczu rugby sprzed lat.

– Chciałem też powiedzieć, że miałaś rację, a ja się myliłem. W kwestii tego, jak twój mąż stracił oko. Potraktowałem cię szorstko

i niegrzecznie. Przepraszam. Naprawdę bardzo przepraszam. –
Wzruszyłem ramionami. – To wszystko.

– I czego się spodziewałeś? Przypuszczałeś, że gdy oddasz mi
kasetę i przeprosisz, zabiorę cię do domu i będziemy uprawiać
szalony seks?

– Rzeczywiście, coś takiego przeszło mi przez myśl – przyznałem.

Pokręciła głową.

– Straciliśmy szansę – powiedziała.

Zdziwiłem się, jak bardzo mnie to zasmuciło.

– Naprawdę?

– Tak. Mężczyźni i kobiety mają swój moment i czasami się
spóźniają. Przegapiają szansę.

– To jak spóźnić się na samolot?

– Właśnie. To jak spóźnić się na samolot.

Na stoliku przede mną leżał mój telefon. Zawibrował. DZWONI
WREN, brzmiał komunikat na ekranie.

Natasha parsknęła śmiechem.

– Przecież nawet się nie znamy.

– Ja ciebie znam – zaprotekowałem. – Jesteś jedną z tych
rozrywkowych dziewczyn o dobrym sercu, która chce się ustatkować,
ale wybiera nie tego mężczyznę i wszystko się jej sypie. Widzisz, jak
stajesz się coraz bardziej cyniczna i twarda i nie podoba ci się to, bo
spodziewałaś się lepszego życia. Przerwij mi, jeżeli będę na dobrym
tropie.

Telefon ciągle wibrował.

– To właśnie mój los – powiedziała Natasha. – A jakim ty jesteś
człowiekiem? Jednym z tych, którzy przestają patrzeć na kobietę, żeby
popatrzeć w swój telefonik? Świat jest pełen takich mężczyzn. Nie
chcę czegoś takiego.

– Nie – odparłem. – To nie ja. Nie znoszę takich facetów. Szczerze mówiąc, myślę nawet o tym, żeby się pozbyć tego telefonu. – DZWONI WREN. – Ale wiesz co? Naprawdę muszę odebrać.

– Jasne.

Natasha wzięła na ręce mieszańca pekińczyka z chihuahua i oddaliła się na swoich długich nogach. Nie odwracając się, uniosła na pożegnanie rękę.

Odebrałem telefon.

– Adwokat Salmana Khana skontaktował się z Whitestone – powiedziała Wren. – Khan nie przyjdzie.

– Nie przyjdzie dzisiaj?

Słyszałem jej zdyszany oddech.

– Max, Khan nie przyjdzie już nigdy.

...

Piękny dom Salmana Khana palił się prawie całą noc i zamożna ulica cuchnęła dymem i śmiercią. Zanim zjawiłem się na miejscu, ciało zostało wydobyte ze zgliszcz i wywiezione.

W miejscu, w którym przy zadrzewionej alei w St John's Wood stał dom, była teraz poczerniała, mokra i parująca skorupa – warta pięć milionów funtów ruina. Wielki stos pogrzebowy w trakcie pożaru zapadł się razem z dachem i wśród gruzów można było dostrzec to, co kiedyś było podziemnym basenem, teraz zasypanym zwałami cegieł, pogiętą stalą, spalonym drewnem.

Funkcjonariusz straży pożarnej Mike Truman stał między dwoma wozami strażackimi i patrzył, jak jego ludzie ostrożnie chodzą po rumowisku. Byłem obok niego razem z podkomisarzem Gane'em, który robił notatki, a za policyjną taśmą mundurowi funkcjonariusze powstrzymywali niewielki tłum gapiów uzbrojonych w komórki

z aparatami. Większość ludzi wyglądała na osoby wynajęte przez mieszkańców do wyprowadzania psów albo odprowadzania dzieci do szkoły. Nie widywało się miejscowych krążących pieszo po okolicy.

– Mamy ślady jakiegoś przyspieszacza – poinformował nas Truman. – Destylatu ropy naftowej, w rodzaju oleju napędowego czy benzyny. Ale u stóp schodów znaleźliśmy też mały motocykl – nie uwierzycie, motocykl dla dzieci – to może więc wyjaśniać obecność substancji przyspieszającej.

– To było źródło ognia? – spytał Gane.

Truman skinął głową.

– Na to wygląda.

– Ale jak on zginął? – zapytałem.

– Chodzi o to, czy zabił go ogień, czy dym?

Gane patrzył na mnie.

– Nie. Detektyw Wolfe chce wiedzieć, czy ktoś mu poderznął gardło.

...

Nigdy wcześniej nie widziałem spalonych zwłok. Nie wiedziałem, że śmierć w ogniu powleka ciało czarną substancją pochodzącą z samego środka ziemi. Nigdy nie doznałem podwójnego szoku wywołanego widokiem tego, co ogień zabiera, a co po sobie zostawia.

Każdy centymetr kwadratowy skóry Salmana Khana zastąpiło coś przypominające szorstki czarny płaszcz, mimo to można było wyraźnie zobaczyć klatkę piersiową, zęby i delikatne kości dłoni – pozbawione ciała palce były teraz długie i zwężone jak u pianisty.

Ogień zabrał wszystko, ale zostawił ślad niewyobrażalnego bólu. Usta były otwarte, jakby w krzyku cierpienia, a smukłe dłonie

spoczywały na sercu i genitaliach, jak gdyby w ostatnim ułamku sekundy życia próbował się osłonić.

Whitestone i ja znajdowaliśmy się na galerii prosektorium w Centrum Medycyny Sądowej Iana Westa, obserwując na ekranie oględziny zwęglonych szczątków Khana, które przeprowadzała Elsa Olsen.

– Widziałeś kiedyś zdjęcia z Pompejów? – zapytała Whitestone, mówiąc bardziej do siebie niż do mnie. – Ci ludzie wyglądają, jakby krzyczeli, prawda? Jakby mieli już zawsze tak krzyzczeć.

– Chciał przyjść na posterunek – odrzekłem. – Chciał złożyć zeznanie.

Whitestone popatrzyła na mnie i pokręciła głową.

– Khan zgodził się na przesłuchanie w obecności adwokata – poprawiła mnie. – To wszystko.

– Ale jak zginął?

Whitestone ze złością wskazała ekran.

– A jak myślisz? Zginął w pożarze.

Chwilę później otworzyłem drzwi i wszedłem do sali. Elsa Olsen uniosła wzrok znad spalonych zwłok leżących na stalowym stole.

– Fartuch i siatka na włosy, Wolfe. Dobrze wiesz.

– Jak on zginął, Elso?

Zaraz za mną wbiegła Whitestone.

– Jak zginął? – powtórzyłem. – Tak samo jak pozostali? Ktoś mu poderżnął gardło?

– Detektywie Wolfe – powiedziała spokojnie Whitestone. – Proszę stąd wyjść.

Nie zwracałem na nią uwagi.

– Elso? Masz dwudziestoletnie doświadczenie. Pracujesz w najnowocześniejszym prosektorium za milion funtów. Musisz wiedzieć, jak zginął.

Whitestone złapała mnie za ramię tak mocno, że mnie odwróciła. Skąd u tak drobnej kobiety takie zapasy siły fizycznej? Kipiała z wściekłości i dała mi to odczuć.

– Myślisz, że ktoś mu przeciął tętnicę szyjną, prawda, Max? – warknęła. – Że ktoś wbił mu w szyję sztylet komandosów, a potem puścił dom z dymem. Myślisz, że zabójca ciągle jest na wolności.

– Właśnie tak myślę.

Whitestone pokazała poczerniałego trupa.

– Ale po co miałyby sobie zadawać tyle trudu? Popatrz, w jakim jest stanie. Po co ktoś miałyby jeszcze podrzynać biedakowi gardło?

– Bo nie popełniłby morderstwa, wzniecając pożar – odparłem. – Ogień jest zbyt nieprzewidywalny.

– Dlaczego to ma być morderstwo? Widziałam raport Wren. Rozmawiałam z Gane'em, a także z Trumanem ze straży pożarnej. Bogaty facet, nałogowy palacz, pijany rzucił peta obok zbiornika z paliwem. I zanim się spostrzegł, już się uwędził. Dlaczego tak cię to dziwi?

– Wiesz, co to jest utlenianie, Max? – powiedziała łagodnie Elsa. – Właśnie to robi ogień. Właśnie to jest ogień. Utlenianie polega na tym, że substancja palna łączy się z tlenem, tworząc światło i ciepło. Dlatego ogień staje się żywą i niszczycielską istotą. – Spojrzała na spalony kawał ciała na stalowym blacie. – Nie ma żadnego dowodu na to, że ktoś poderznął mu gardło. Bo ogień niszczy wszystko.

...

Przy wejściu Cromwell Green do pałacu westminsterskiego pokazałem legitymację.

Trzymałem ją w górze, przechodząc przez bramki bezpieczeństwa, gdy wysoko nade mną dzwonił Big Ben, a potem mijałem

funkcjonariuszy chodzących dwójkami i czwórkami, uzbrojonych w karabiny automatyczne Heckler & Koch, by w końcu przejść przez punkt rewizji i wkroczyć do ogromnej przestrzeni Westminster Hall.

Pod belkami stropu tysiącletnia sala tętniła życiem – kręcili się przewodnicy i grupy turystów, dziennikarze, lobbyści, parlamentarzyści i wyborcy. Szybkim krokiem minąłem wszystkich i wbiegłem po schodach na drugim końcu sali, gdzie strażnik zatrzymał mnie pod wielkim średniowiecznym oknem, przez które do wnętrza wpadało zimowe światło. Jemu też pokazałem legitymację, informując go, że przyszedłem się spotkać z posłem z okręgu Hillingdon North.

– Czy pan King oczekuje pana?

– Prawdopodobnie.

Zawahał się, ale tylko przez chwilę.

– Proszę iść do głównego holu.

Skreśliłem w lewo i ruszyłem do głównego holu, gdzie wielkich premierów upamiętniają posągi naturalnej wielkości, a poślednich – naturalnej wielkości popiersia. Zamieniłem kilka słów z portierem, który poszedł znaleźć posła z okręgu Hillingdon North.

Wrócił w towarzystwie blondynki w okularach, ubranej w dwuczęściowy kostium.

– Detektyw Wolfe? Jestem Siri Voss, asystentka pana Kinga. – W jej głosie brzmiał ledwie słyszalny skandynawski akcent. To była ta kobieta, która zawołała Kinga, kiedy rozmawiał ze mną na tarasie. Podaliśmy sobie dłonie. – Sam pan rozumie, że to nie jest dobry dzień.

Wtedy go zobaczyłem. Nadchodził od strony korytarzy prowadzących do Izby Gmin.

Ben King spojrzał na mnie wstrząśnięty i blady jak kreda.

– Detektywie Wolfe – powiedział. – Myślałem, że to już koniec.

– Dopiero początek – odrzekłem. – Co zrobiliście dwadzieścia lat temu?

Nie zatrzymał się, próbując się mnie pozbyć, uciec przede mną, tak jak uciekał przed światem. Zrównałem się z nim. Na ramieniu poczułem lekkie dotknięcie dłoni jego jasnowłosej asystentki. Ludzie na nas patrzyli. Wszyscy na nas patrzyli.

– Co się stało z Anyą Bauer? – zapytałem. – Co chciał mi powiedzieć Salman Khan? Co się stało w szkole?

Przystanął; wpływowy człowiek u szczytu kariery, przyzwyczajony do panowania nad sytuacją, którego rozwój wypadków nieoczekiwanie wytrącił z równowagi.

– Możemy to odłożyć na kiedy indziej? – zapytał.

– Po powrocie pańskiego brata, zgoda?

– Mojego brata? Chce pan rozmawiać z moim bratem? – W jego oczach pojawił się dziwny błysk, którego nie umiałem zinterpretować. – Nie sądzę, żeby to było możliwe.

Odwrócił się i odszedł, a ja nagle się zorientowałem, że przede mną stoi Siri Voss.

– Proszę – powiedziała. – Bardzo proszę dać mu spokój.

Zobaczyłem, że przyprowadziła ze sobą dwóch gliniarzy z karabinami, przyglądających mi się z zażenowaniem lub z czymś więcej.

– To jeszcze nie koniec! – krzyknąłem do pleców Kinga. – Przecież dobrze pan wie.

W minie Siri Voss było jednak coś takiego, że nie próbowałem go już zatrzymać.

...

Byłem w domu i smażyłem na kolację omlet jajecznicowy, gdy zadzwoniła inspektor Swire.

– Zostałeś zawieszony, a wydział norm postępowania zawodowego wszczął śledztwo przeciwko tobie do czasu rozpatrzenia sprawy przez komisję IPCC – poinformowała mnie.

– Pod jakim zarzutem? – zapytałem, mieszając jajka.

– Zaniechania albo niedopełnienia obowiązków służbowych. Nieodpowiedniego zachowania albo dręczenia świadka. Wszystko jedno, jest w czym wybierać. – Cisza. – Widziałeś dzisiejsze wiadomości? Nie widziałeś, prawda? Nawet nie wiesz. – Swire westchnęła z niedowierzaniem. – Zrób to dla siebie, Wolfe, ty idioto. Włącz telewizor.

Odłożyła słuchawkę.

Podąłem Scout jajecznicowy omlet i włączyłem BBC. Wiadomości wyglądały tak jak co wieczór. Zamach bombowy w Iraku. Zamieszki w Atenach. Spotkanie w Brukseli. Zaginięcie dziecka. Zastój w gospodarce. A potem pokazano zdjęcia trzech żołnierzy.

– „...szeregowy Himel Sameer, dwadzieścia dwa lata, kapral Bibek Prabin, dwadzieścia trzy lata, oraz kapitan Ned King, trzydzieści pięć lat, z Królewskiego Pułku Strzelców Gurkhijskich...”

– Tatusiu?

– Zaraz, chwileczkę, aniołku. Daj mi to obejrzeć.

– „...w Helmand, gdzie ich pojazd opancerzony najechał na minę pułapkę. Wszyscy trzej w wyniku odniesionych obrażeń zmarli w Camp Bastion”.

Na oficjalnych fotografiach portretowych dwaj Gurkhowie mieli poważne miny, a w ich nieruchomych rysach malowała się głęboka duma. Ned King uśmiechał się szeroko do obiektywu, jak gdyby znał tajemnicę, której nigdy nie wyjawia światu.

Główną ulicą Potter's Field szedł niewiarygodnie wysoki Peregrine Waugh, którego głowa z wychudzoną twarzą sięgała ponad tłum, niemal dotykając chorągiewek i brytyjskich flag powiewających nad High Street.

Odkąd w wieczornych wiadomościach pojawiła się uśmiechnięta twarz kapitana Neda Kinga, minęły trzy dni i dziś zebrali się tu wszyscy chłopcy z jego dawnej szkoły, ustawieni według wieku, najmłodszy z przodu, ale dyrektor nie odzywał się do nich ani słowem. Nie musiał, bo wystarczyła sama jego obecność, by niejeden z uczniów poprawił niedbale zawiązany krawat; wystarczyło jedno ostre spojrzenie, by umilkł gwar.

Waugh przystanął, kiedy dotarł do umundurowanych chłopców z Połączonych Sił Kadetów, którzy stali w czterech szeregach na końcu ulicy, prężąc się z wojskową dyscypliną, i uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

Szkoła i miasto wyszły na ulice, aby czekać na powrót kapitana Neda Kinga.

Zobaczyłem sierżanta Lane'a, miejscowego glinę, który nie pomógł mi w wyjaśnieniu zaginięcia Anyi Bauer, ale dziś traktował swoje obowiązki poważnie. Patrolował puste ulice, zamknięte tego dnia dla ruchu, i powitał dyrektora szkoły czymś w rodzaju uniżonego ukłonu.

W tłumie mignęły mi znajome twarze. Po drugiej stronie głównej ulicy zobaczyłem panią Jones, matkę Adama Jonesa, drugiej ofiary, z wychudzoną twarzą i chustką na głowie, prawie zupełnie strawioną

przez raka i wspartą o Rosalitę, filipińską gosposię, która troskliwie podtrzymywała swoją pracodawczynię.

Trochę dalej dostrzegłem Lena Zukova stojącego obok sierżanta Toma Monka. Ze swoim poparzonym obliczem fizjoterapeuta z Barlington Court wyglądał niczym egzotyczny gość z zagranicy na tle jednakowo białych twarzy mieszkańców Potter's Field. Czyżbym widział, jak kilku z nich wzdrygnęło się na widok poranionego żołnierza? Czyżbym widział, jak rodzice brali na ręce małe dzieci, które wpatrywały się w niego, i zabierali je w inne miejsce, gdzie nie groziło im patrzeć na tak niepokojące twarze? Tom Monk nie dał po sobie poznać, że to zauważył. Patrzył na pustą ulicę, czekając na powrót innego żołnierza.

Zobaczyłem też Nataszę, która stała samotnie na końcu ulicy, gdzie tłum już się przerzedzał.

Nagle wszystkie głowy zwróciły się w stronę samochodu nadjeżdżającego samotnie pustą ulicą. Przez szeregi ludzi przebiegł szmer niezadowolenia. To nie był karawan, lecz elegancki czarny mercedes sedan.

Sierżant Lane wystąpił naprzód, rzucając ostrym głosem rozkazy umundurowanym policjantom pilnującym potulnego tłumu, i uniósł rękę, nakazując mercedesowi, aby się zatrzymał. Kiedy wóz stanął, wyskoczył z niego szofer w uniformie i otworzył tylne drzwi.

Z mercedesa wysiadł Ben King i na widok posła wśród ludzi rozległy się okrzyki zaskoczenia.

King był ubrany w bluzę munduru, który jego brat miał na sobie w dniu śmierci. W bluzę munduru armii brytyjskiej, z dwukolorowym wzorem kamuflażu – w szaro-piaskowe zawijasy – i plamą trzeciej barwy, głębokiej czerwieni, która zaczęła już brązowieć.

W tym momencie zorientowałem się, że na przybycie kapitana Kinga czekają kamery. Na miejscu była telewizja, fotoreporterzy

i dziennikarze. Zobaczyłem Scarlet Bush, która wbiła łokieć w oko jakiegoś fotografa, gdy reporterzy przerwali luźny kordon policji i wysypali się na ulicę, otaczając chmarą Bena Kinga.

– Kochany Ben – rzekł Peregrine Waugh, który nagle pojawił się tuż obok mnie. – Zawsze był ekshibicjonistą.

– Zawrócić ich! – wrzeszczał na swoich ludzi purpurowy z wściekłości sierżant Lane.

Ben King z kamienną twarzą wolnym krokiem wszedł na chodnik. Wiszący smętnie na jego ramionach mundur brata rozsiewał wokół grozę innego świata, świata czystego koszmaru.

Czyżby pod mundurem miał krawat i garnitur? Nie można było odgadnąć. Wszyscy widzieli tylko mundur.

Stanął przed szeregiem Połączonych Sił Kadetów. Młodzi żołnierze skierowali wzrok prosto przed siebie, starając się nie patrzeć na niego. Kamery i aparaty tańczyły przed nimi, a młodzi policjanci starali się przywrócić porządek.

– „Niech zobaczą, co zrobili” – mruknął Waugh. – Tak powiedziała Jacqueline Kennedy, kiedy nie zgodziła się przebrać i została w różowym kostiumie Chanel poplamionym krwią jej zamordowanego męża. „Niech zobaczą, co zrobili”. Tak jest, niech zobaczą.

Na chodniku zaczął się ścisk. Policja zepchnęła dziennikarzy na bok, a Siri Voss, asystentka Kinga, rozdawała im wydrukowane oświadczenie. Dwaj reporterzy stanęli za nami i każdy z nich miał w rękach kartkę formatu A4.

– Czyli to pustynny kamuflaż DPM brytyjskiej armii – powiedział pierwszy z nich. – Jest tu napisane, co to znaczy DPM?

– Tak, tu, zobacz – Disruptive Pattern Material¹⁸ – odparł drugi. – To pójdzie jutro na pierwszą stronę, stary.

– Powinien wystąpić w kompletnym mundurze. Wyglądałby lepiej na zdjęciu.

– Siri mówi, że ze spodni nic nie zostało.

Milczeli przez chwilę.

– Boże.

– No.

Zaczął się płacz. W mieszkańcach miasteczka pękła emocjonalna tama, a zaskoczone dzieci poszły za ich przykładem, nie rozumiejąc, dlaczego dorośli tak się rozkleili.

Chłopcy z Potter's Field zacisnęli zęby i wytrzymali dłużej.

Spojrzałem na Peregrine'a Waugha. Dyrektor nie uronił łzy.

– To dla pana okropny dzień – powiedziałem.

– Ned był żołnierzem – odparł. – Nie mógłbym mu życzyć lepszej śmierci, może tylko lepszej wojny. Kiedy pierwszy brytyjski żołnierz zginął w tym przeklętym kraju? W tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym? „Kiedy na ziemi afgańskiej krwią z rany broczysz, gdy dorznąć tych, co zostali, tłum kobiet kroczy, wyceluj w siebie i pal między oczy, by odejść do Boga jak żołnierz”¹⁹.

– Samobójstwo?

Zmierzył mnie pogardliwym spojrzeniem.

– Ściślej mówiąc, Kipling. Ale samobójstwo to nie żaden wstyd, detektywie. Tylko mięczakowate chrześcijaństwo cmoka na nie z dezaprobatą. Rzymianie i Grecy na ogół uważali samobójstwo za działanie pragmatyczne. Elegancką i odważną formę odejścia, gdy życie staje się nie do zniesienia. Ach, chyba nadjeżdża kapitan King.

Ulicą powoli jechał czarny karawan. Spoczywała w nim trumna okryta flagą brytyjską.

– Dla Jamesa Sutcliffe'a samobójstwo raczej nie było działaniem pragmatycznym – zauważyłem, widząc pierwsze kwiaty rzucane z chodnika. Padały na szybę karawanu, na lśniącą czarną maskę i pod

toczące się wolno koła. – W jego przypadku samobójstwo było aktem rozpacz. Za pierwszym i drugim razem.

Waugh westchnął, nie odrywając oczu od karawanu.

– Niestety, nie mam pojęcia, co się dzieje w głowie każdego nastolatka z problemami – oznajmił. – Podzielał jednak zdanie Rzymian i Greków, że każde ludzkie ciało jest własnością bogów. Miłego dnia, detektywie.

Przypuszczałem, że dyrektor dołączy do Bena Kinga ubranego w zakrwawiony mundur. Potem pomyślałem, że może stanie przy wyprężonych na baczność szeregach Połączonych Sił Kadetów. On jednak zniknął w tłumie i kiedy po chwili znów go dostrzegłem, stał przy pochlipującym małym chłopcu z Potter's Field. Waugh położył dużą białą dłoń na ramieniu chłopca w zielono-purpurowej marynarce. Zobaczyłem, jak porusza ustami.

„Już dobrze”, mówił chyba. „Dobrze”.

Mijał nas karawan, wycieraczki poruszyły się raz, drugi i trzeci, aby odgarnąć z szyby kwiaty, które za chwilę mogły zupełnie zasłonić kierowcy widok ulicy. Róże, orchidee, lilie – drogie kwiaty, kupione i rzucone przez mieszkańców miasteczka.

Uczniowie Potter's Field nie przynieśli kwiatów na powrót do domu kapitana Neda Kinga.

Kiedy natomiast szedłem później przez pusty teren szkoły, minąłem kaplicę i skręciłem na mały cmentarz, zobaczyłem, że na grobie psów Henryka VIII ktoś położył jedną lilie.

Sobota rano w Amatorskim Klubie Bokserskim Smithfield.

Rozciągałem plecy na macie. Pies z głową w górę – wytrzymać; pies z głową w dół – wytrzymać. Ból wyraźnie zelżał. Nie zniknął całkowicie, ale nie był już tak ściśnięty. Stał się luźniejszy. Było lepiej. Czulem to.

U Freda panował spokój. Z głośników sączyła się piosenka Otisa Reddinga, a w jej tle słychać było odgłos czternastouncjowych rękawic uderzających w łapy trenerskie.

Młoda kobieta tłukła w ciężki worek treningowy, starsza oglądała w telewizji wiadomości gospodarcze, biegnąc na ruchomej bieżni, a na ringu Fred w T-shircie z napisem: BAW SIĘ OSTRO ALBO IDŹ DO DOMU ćwiczył z mniej więcej osiemnastoletnim dzieciakiem z Afryki Północnej, o szerokim uśmiechu, zawodowcem albo myślącym o zawodowstwie. Chłopak był szybki, sprawny i bardzo mocno tłukł w skórzane łapy bez widocznego wysiłku.

– Dosuń ten prawy do podbródka – instruował go Fred. – Nie zwalnij w końcówce. Nie stój i nie rób zdjęć. Jak zrobisz swoje, uciekaj. I pruj seriami. Pruj seriami.

Kiedy rozlegał się gong, Fred spojrzał na mnie, nie zdejmując łap, i wymienił części ciała, które powinienem jeszcze rozciągnąć.

– Ściągnij podkolanowe... łydki... abduktory... Robiłeś odwodziciele? Zrób.

Położyłem na ławce lewą nogę, prawą stopę postawiłem na podłodze i delikatnie odwiodłem ramiona do tyłu, czując, jak

rozciągają się mięśnie w górnym odcinku nogi i u dołu kręgosłupa.

Wtedy wszedł Ben King.

Kobieta trenująca na ciężkim worku zerknęła na niego, a po chwili spojrzała jeszcze raz. Minął tydzień, odkąd stał się głównym bohaterem wiadomości, odkąd pojawiał się na pierwszych stronach wszystkich gazet i występował w zakrwawionym mundurze w kanałach informacyjnych. Upewniwszy się, że to naprawdę on, kobieta odwróciła wzrok i ponownie zaczęła okładać pięściami ciężki worek.

King był ubrany w strój do joggingu.

– Nie uczestniczyłem w tym, co się stało w Potter’s Field – zwrócił się do mnie. Milczał przez chwilę. – Ale wiem, kto tam był.

Przestałem się rozciągać i usiadłem na ławce.

– Chce pan podać nowe informacje?

– Tak.

– Dlaczego nie zgłosił się pan wcześniej?

King odwrócił głowę na dźwięk brzęczyka w ringu.

– Czas! – krzyknął Fred.

Ben King ponownie spojrzał na mnie.

– Bo kochałem brata.

– Zna pan tożsamość człowieka, który zabił Hugo Bucka?

– Nie.

– Adama Jonesa? Guya Philipa?

– Nie.

– Salmana Khana?

– To przecież był wypadek. Pożar.

– Co się stało z Anyą Bauer?

– Kto to jest Anya Bauer?

Wstałem i złapałem go za T-shirt przy szyi. Nawet nie drgnął.

– Marnuje pan mój czas?

Przecząco pokręcił głową.

– Nie.

– Kim była Anya Bauer? – naciskałem. – Co się z nią stało?

– Nie znam tego nazwiska. Nie znałem żadnego nazwiska. Nigdy nawet nie widziałem dziewczyny, o której pan mówi. Ale wiem, że w tej szkole... dochodziło do podejrzanych czynów. Wiem też, że uczestniczył w nich mój brat Ned, nad czym nieustannie ubolewam. Owszem, także moi przyjaciele. I znam nazwisko dorosłego, który podzegał do tych podejrzanych czynów. Bo to ten sam człowiek, który przez lata molestował nas seksualnie.

Ciągle trzymałem go za koszulkę. Skręciłem ją w dłoni i przyciągnąłem go bliżej, tak że nasze twarze prawie się stykały.

– Nie kłam – syknąłem.

– Przestałem już kłamać – odrzekł. – Ludzie czasem błędzą. Mój brat Ned zablądził. Kiedy byliśmy chłopcami, rzuciłem szklanką w jego twarz przy śniadaniu. Jak myślisz, dlaczego to zrobiłem? Bo go kochałem. Z powodu nieopisanych rzeczy, które wyprawiał. Z powodu tego, co się z nim działo. Z powodu tego człowieka.

– Dyrektora – powiedziałem. – Peregrine’a Waugha.

– Ej! – zawołał Fred. Zwracał się do mnie. Ciągle ścisnąłem w garści T-shirt Bena Kinga. – Albo załatwicie to na ringu, albo na zewnątrz.

Puściłem Kinga. Uśmiechał się.

– Nie boksowałem się od szkoły – rzekł.

– Boksował pan w szkole? – zdziwiłem się.

– Oczywiście! Wszystkie dobre szkoły uczą boks. Mogę je sobie pożyczyć? – Wskazał na parę żółtych czternastouncjowych rękawic Cleto Reyes.

Pokręciłem głową.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – powiedziałem.

Jego usta drgnęły z rozbawienia.

– Na pewno ma pan rację.

Patrzyłem na niego przez chwilę.

– Niech pan sobie znajdzie kask – odparłem.

Okazał się bokserem, nie fighterem. Utrzymywał dystans, poruszając się lekko na palcach. Kiedy ruszyłem naprzód, odsunął się w bok i przez chwilę pomyślałem, że stracił pewność siebie i nie chce walczyć.

Zadałem lewy prosty, który nie sięgnął celu, a King skontrował, otwierając mi gardę i trafiając mnie mocno w nos. Kiedy ze złością odpowiedziałem zamaszystym uderzeniem, zdążył ode mnie odskoczyć.

Powtórzyliśmy ten taniec. Czekał, aż zaatakuję, a potem robił unik, blokował albo odchodził od linii ciosu, by zadać szybki, prosty kontrcios.

Pod kaskiem płynął mi pot. Od tygodni nie wychodziłem na sparring i wyraźnie czułem skutki rozvodu z ringiem, tę minimalną utratę tempa, która przychodzi, kiedy przez jakiś czas się nie boksowało. Ze wszystkim spóźniałem się o sekundę, a nie ma nic bardziej wyczerpującego niż sytuacja, gdy jesteś bity i nie masz szansy się zrewanżować.

Rozległ się brzęczyk. Minęła minuta i mój przeciwnik nabierał pewności siebie. To dobrze, bo zaatakowałem prostym, na który odpowiedział lewym prostym i nie odszedł ode mnie, został blisko, żeby dołożyć prawy. Cios trafił mnie wysoko w kask, ale nie na tyle mocno, żebym nie mógł zrobić uniku i wpakować lewego sierpowego w jego dolne żebro.

King osunął się na kolano z twarzą wykrzywioną bólem, przyciskając rękawicę do żeber. Skutki ciosu w tułów utrzymują się o wiele dłużej niż ciosu w głowę, kiedy więc King dźwignął się na nogi, był już mniej zadziorny, utrzymywał dystans, tylko od czasu do czasu

kontratakował i trzymał się z daleka, bojąc się kolejnego uderzenia w żebra.

Brzęczyk odliczył od dziesięciu do jednego i opuściliśmy rękawice. Sparing trwał trzy minuty i obaj byliśmy wykończeni.

– Chryste – powiedział zdyszany. – To cięższe od squasha.

Fred uśmiechał się do nas.

– Ładny sparing – stwierdził, a Kingowi poradził: – Łokcie bliżej siebie. Macie ochotę na jeszcze dwie rundy?

– Może innym razem – podziękował King, wciąż nie mogąc złapać tchu.

Fred zaśmiał się i poszedł pozbierać ręczniki rozrzucone po sali. King i ja usiedliśmy spoceni i milczeliśmy, połączeni dziwną bliskością dwóch mężczyzn, którzy przed chwilą starli się na ringu.

– Czego chcesz, Max? – spytał.

– Sprawiedliwości – odparłem. – I prawdy. Chcę, żeby to się skończyło.

Utkwił we mnie spojrzenie polityka – spojrzenie, które schlebiało człowiekowi, które sprawiało wrażenie, jakby nagle go zauważył i po raz pierwszy zobaczył go takim, jakim jest naprawdę.

– Chcę tego samego – odrzekł.

...

– Molestowanie zaczęło się, gdy tylko zjawiliśmy się w szkole – powiedział King. – Psychiczne przed seksualnym. „Tu jest Szekspir, tu jest T.E. Lawrence, a tu jesteście wy, bo jesteście niczym, brudem na moich butach”. Potem przyszedł czas na stopniowe budowanie i wzmacnianie w nas poczucia, że jesteśmy kimś wyjątkowym, niemal akolitami tego człowieka, który był jak Bóg, jak srogi ojciec i wiedział wszystko, co można było wiedzieć, o historii, sztuce, literaturze,

wojnie i sprawach cielesnych. Mieliśmy po trzynaście lat! Powiedzmy, że między nami była pewna nierówność sił. Chcieliśmy mu sprawić radość. Mój Boże, na niczym w świecie nam tak nie zależało.

Szara wstęga autostrady z szumem rozwijała się przede mną, a samochód pożerał kolejne kilometry. Pozwoliłem Kingowi mówić.

– Dał nam wszystkim to, czego szukaliśmy. Ci, którym brakowało pewności siebie – Adam, Salman – zyskali poczucie przynależności do grupy; poczuli, że są częścią rodziny, państwa, sekretnego świata. Silni – Hugo, Ned, Guy – zyskali poczucie, że są inteligentni. Wyjątkowi – oczywiście James – zyskali poczucie, że są dotknięci przez Boga. Powtarzał nam, że jesteśmy wyjątkowi, uczył nas szydzić z reszty świata i mówił nam o pięknie i prawdzie, biorąc nas do ust.

Milczał przez wiele kilometrów.

– Udało mi się potem od tego wykręcić – rzekł w końcu. – Nie wiem, dlaczego akurat mnie, a innym nie. Miałem podstawowy instynkt samozachowawczy, którego im brakowało. Każdy z nich był na swój sposób wyjątkowy. James miał wybitny, prawdziwy talent. Adam był cudownym dzieckiem. Hugo był najlepszym sportowcem w szkole. Guy, Piggy, był czystą siłą natury. A Salman był wzruszający, taki zdeterminowany, tak bardzo starał się dopasować, że był bardziej angielski od reszty. Neda uwielbiali wszyscy. Ned był dobry.

– Dlaczego rzuciłeś w niego szklanką?

– Byli coraz starsi. Przestało im już wystarczać zaspokajanie dyrektora w jego gabinecie, a potem siedzenie nad rozdziałem *Siedmiu filarów mądrości*. Byli ciekawi, dorastali. Hugo i Guya przyłapano w miasteczku z miejscowymi dziewczynami. Kobiety, dorosłe kobiety, szalały na widok Jamesa. – Zaśmiał się. – A Piggy co wieczór masturbował się do nieprzytomności. – Przygryzł wargę. – To był świat bez kobiet. Dyrektor powiedział im więc, że znajdzie im jedną. Kobietę. Dziewczynę. I wtedy zobaczą, jak niewiele tracą.

– Co twój brat powiedział o tej dziewczynie?

– Powiedział, że była dla nich specjalnym prezentem. – Umilkł. – Właśnie w tym momencie rzuciłem szklanką w twarz Neda. Później nic mi już więcej nie mówił.

Zjechałem z autostrady. W oddali, za pustymi polami, można było dostrzec czarne wieże Potter's Field.

...

Chłopiec był niewysoki jak na swój wiek i miał na sobie szkolną marynarkę Potter's Field, a pod nią biały strój szermierczy. Siedział na stopniach głównego budynku i odgarniając co jakiś czas z czoła ciemnych włosów, czytał książkę.

– Dobra? – zapytał Ben King.

Zaskoczony dzieciak uniósł głowę.

– Słucham, proszę pana?

– Pytam, czy to dobra książka.

King wyciągnął do niego rękę i chłopiec podał mu tom w miękkiej oprawie, wstając i ze skrępowaniem wygładzając zielono-purpurową marynarkę.

– *Siedem filarów mądrości* T.E. Lawrence'a – powiedział King. Otworzył książkę i odczytał głośno, jakby samemu sobie: – „Wreszcie Dahum pociągnął mnie za rękę: «Chodź i uraduj się najśłodszym ze wszystkich zapachów». Wszyscy przeszli do głównej sali i stanawszy w pustej framudze wychodzącego na wschód okna, szeroko otwartymi ustami zaczęli pić apatyczny, jednostajny, czczy wiatr pustynny, pulsujący delikatnie na zewnątrz murów”²⁰. Czytałem to, gdy byłem w twoim wieku. Jak ci idzie?

– Dopiero zacząłem, proszę pana. Całkiem dobre, proszę pana.

King skinął głową.

– Czekasz, aż przyjmie cię dyrektor?

– Tak, proszę pana.

– Dzisiaj prywatna lekcja?

Na bladej twarzy chłopca wykwitł mocny rumieniec.

– Tak, proszę pana. W każdą sobotę rano w tym trymestrze. Zaraz po zajęciach w klubie szermierczym.

King oddał mu książkę.

– Lekcja odwołana.

– Słucham, proszę pana?

– Wracaj do swojego domu. Poćwicz pchnięcia i parady. Odrób zadanie. Napisz do matki.

Chłopiec miał niepewną minę.

King klasnął w ręce.

– No już, leć!

Chłopiec odszedł, a my weszliśmy po schodach do mieszkania dyrektora.

Peregrine Waugh otworzył nam ubrany w gładkie białe kimono. Jego przymglone z rozkoszy oczy potrzebowały chwili, żeby się skupić. Na widok Bena Kinga na twarz wypełził mu uśmiech, który jednak zniknął, kiedy dyrektor zobaczył mnie.

– Ach – powiedział.

Weszliśmy za nim do środka. Ciężkie zasłony z wytłaczanym wzorem zasunięte, chociaż było południe. Gęsty zaduch dymu z czegoś, co wypełniało fajkę wodną, która niezapalona stała na dębowym biurku. Wszędzie sterty książek.

– Czemu zawdzięczam...

– Przyszliśmy po prawdę, Perry – przerwał mu King. – Wreszcie.

Nie mogłem oddychać. Rozsunąłem zasłony i otworzyłem okna na oścież. Na boisku do rugby reprezentacja Potter's Field rozgrywała z inną szkołą mecz, który obserwowała garstka uczniów i dwaj

nauczyciele wuefu, a w stronę boiska do piłki nożnej zmierzali chłopcy w jaskrawych plastronach treningowych, niosąc pacholki i bramki do gry w pięcioosobowych drużynach. Dobięły mnie ich nawoływania i śmiech.

– Prawdę? Nie odważysz się. Pomyśl o swojej karierze, Benjaminie. Szanowny pan poseł z okręgu... jak się nazywa to ponure przedmieście, które reprezentujesz w Izbie Gmin? Umknęło mojej pamięci.

– Hillingdon North – odparł King.

Waugh opadł na czerwoną aksamitną kanapę, skromnie okrywając się połą kimona, spod którego mignęła owłosiona noga rozmiarów małego drzewa. A potem znów odezwała się w nim dzikość despoty, który nigdy nie spotkał się z próbą podważenia jego władzy.

– Nie odważysz się.

– Świat się zmienia, Perry – rzekł spokojnie King.

– Doprawdy? – powiedział Waugh. – Cóż za nieszczęście.

– Dla ciebie, Perry. Bo wreszcie uczymy się nie pogardzać ofiarami molestowania. – Umilkł, aby to do niego dotarło. – Zerwałeś więź zaufania. Wykorzystywałeś dzieci oddane pod twoją opiekę.

– Geniusz tworzy własne zasady.

King pokręcił głową.

– Jeżeli jesteś w czymkolwiek geniuszem, Perry, to w niszczeniu życia dzieciom. Ilu ich było w ciągu tych lat?

– Chcesz na mnie donieść, Benjaminie? Ty nędzny szpiclu. Gówniarzu. Ty kapusiu. Właściwe określenie? Nikt nie cierpi skarżypytów, King.

– Kilkaset?

– Och, więcej. Tysiące. Poseł do Izby Gmin. – Waugh prychnął śmiechem. – Polityk. A chciałem dla was wielkości! Pamiętasz? –

Wodził w powietrzu ręką w omdlewającym gościu. – Stare dobre czasy. „Tu jest Szekspir. Tu jest T.E. Lawrence. A tu jesteście wy”.

– Och, Perry – odrzekł King. – Gdzie wobec tego jest twoje miejsce?

Wziąłem fajkę i powąchałem, wyczuwając coś w rodzaju curry, benzyny i kwiatów. Ciężki, piżmowy, dziwnie piękny zapach. Nigdy wcześniej go nie czułem. Słyszałem tylko opowieści.

– Opium? – spytałem.

Waugh pociągnął nosem.

– Nektar bogów – powiedział, ukazując w uśmiechu niszczące uzębienie, jak u starej łasicy. – Klucze do raju. Ogrody złota. „Chłopcze, jak mnie miłujesz, rozkażę ci oto, byś każdą fajkę zanurzył w ogrodów złoto”²¹. Czytał pan kiedyś Aleistera Crowleya, detektywie? Nie? To nie pańska bajka?

Przeszedłem przez pokój.

– Co się stało z tą dziewczyną? – zapytałem.

Dyrektor wyglądał na autentycznie zdumionego.

– Myślałem, że rozmawiamy o chłopcach. Myślałem, że za to przyszedł mnie pan aresztować. Za chłopców. Myślałem, że za to zostanę rzucony tłumom na pożarcie. Za tysiące chłopców. Jaka cholerna dziewczyna?

Moja otwarta dłoń trzasnęła go w policzek.

– Au! – Cofnął się, jakbym bardziej zranił jego uczucia niż ciało. – To bardzo bolało.

– Anya Bauer – powiedziałem. – Niemka. Blondynka. Ładna. Miała jakieś piętnaście lat, kiedy dwadzieścia lat temu przeszła przez twoje ręce.

– Ach, ta dziewczyna – odrzekł. Popatrzył na podłogę i po chwili zamknął oczy. – Spoczywa. Śpi. Może śni?

– Gdzie? – pytałem.

Popatrzył na Bena Kinga.

– Czego ode mnie wymagasz, Benjaminie? Mam błagać o wybaczenie? Szukać pomocy terapeutycznej? Żałować za grzechy?

– A co doradziliby Rzymianie, Perry? – spytał King. – Albo Grecy? Albo T.E. Lawrence?

– Nie wiem. Filiżankę herbaty i pokrzepiającą drzemkę?

Uderzyłem go jeszcze raz. Tym razem mocniej, zostawiając na kościstej twarzy czerwony ślad.

– Gdzie? – powtórzyłem.

– Z psami – odpowiedział. – Z cholernymi psami.

– Psami?

– Teraz zrobił mi pan krzywdę – poskarżył się, odsuwając się ode mnie i poprawiając kimono długimi sękatymi palcami. – Naprawdę. Bardzo się zdenerwowałem. Brutalność policji. – Nagle zaczął pochlipywać i uzalać się nad sobą. Spojrzał na Kinga. – Mogę się przebrać? – poprosił. – Zanim wyjdziemy? Ben?

– Popatrz na mnie – poleciłem cichym głosem.

Waugh spojrział na mnie.

– Co jej zrobiłeś? – zapytałem.

Zebrał kimono na piersi.

– Nigdy nie tknąłem tej małej dziwki! – zachnął się. – Dopiero gdy trzeba jej było skrócić cierpienia. Nikt inny nie miał na to ochoty.

King patrzył na mnie, usiłując normalnie oddychać.

– Boże – wyszeptał blady jak kreda. – Boże.

– Klucze – powiedziałem do Waugha. – Daj mi wszystkie klucze do szkoły. Już!

Sztywnym krokiem podszedł do biurka, przez chwilę przetrząsał szufladę, po czym dał mi dwa pęki kluczy. Jeden niewielki, domowy, z kluczami do drzwi wejściowych jego mieszkania i do samochodu. Drugi mógłby należeć do dozorca więziennego z baśni; na rdzewiejącym metalowym kółku wisiało ponad dwadzieścia kluczy

różnej wielkości i o różnym stopniu zużycia. Najwyraźniej dawały dostęp do wszystkich drzwi w Potter's Field.

Kiedy zamknąłem Kinga i Waugha na dwa zamki, wsunąłem obydwie pęki kluczy do kieszeni, szybko ruszyłem w stronę kaplicy, a za nią skręciłem na stary cmentarz.

Po raz pierwszy zauważyłem wiele nagrobków tak starych, że czas i pogoda starły z nich epitafia. Spoglądały na mnie gładkie kamienie. Zwolniłem kroku i zachwiałem się na widok grobowca psów Henryka VIII.

Zobaczyłem to, idąc między wiekowymi drzewami i rdzewiejącymi prętami żelaznych płotów otaczających bardziej okazałe grobowce; zobaczyłem wyraźnie, co na mnie czeka po drugiej stronie przechylonych nagrobków, lasu krzyży i popękanych szarych płyt. Obserwowany niewidzącymi oczami kamiennych aniołów, ruszyłem w stronę powodzi czerwieni i czerni.

Maki.

Ktoś przykrył cały grobowiec makami.

Były tu maki ułożone w kształt krzyża, uplecione z maków wieńce różnej wielkości, wieńce dla starych żołnierzy i wieńce dla małych dzieci, a wszystkie rozpadały się po długich tygodniach leżenia w zimowej aurze pod pomnikami poległych na polu chwały.

Zauważyłem też pojedyncze maki, które wypadły z wieńców, a może były wpięte w klapy w ciągu listopadowego tygodnia pamięci, a potem zostały wyrzucone.

Skąd się tu wzięły? Ktoś musiał je zebrać spod pomnika żołnierzy w Potter's Field, ale reszta na pewno pochodziła spod pomników w miasteczku i okolicznych miejscowościach.

W oczach mieniły się czerwień i czerń maków, w głowie kłębiły się myśli, gdy próbowałem to zrozumieć, choć wymowa kwiatów była jasna.

Pamięć o tobie nigdy nie zginie.

Powstrzymując przemożną chęć, żeby natychmiast stąd uciec, wyjąłem telefon i zadzwoniłem do Elsy Olsen. Odezwała się poczta głosowa.

– Elso – powiedziałem – to ja, Wolfe. Przepraszam, że w sobotę i tak dalej. – Ukląknę przy grobie, dotknąłem ukrytego pod makami kamienia, który niespodziewanie okazał się tak zimny, że zadrzałem. – Jak tylko się rozłączę, ustalę to z Whitestone i Swire, ale chciałem, żebyś wiedziała pierwsza. – Wziąłem do ręki jeden mak. – Potrzebuję zezwolenia na ekshumację.

...

Przed głównym budynkiem stał zaparkowany czerwony lexus. Za kierownicą siedziała asystentka Kinga, Siri Voss, i stuknęła w klawisze telefonu. Kiedy mnie spostrzegła, wysiadła. Była ubrana w dżinsy i skórzaną kurtkę, po cywilnemu. Uśmiech zniknął z jej twarzy, a w jego miejsce pojawił się wyraz zaniepokojenia.

– Wszystko w porządku?

– Przepraszam – powiedziałem zaskoczony. – Co pani tu robi?

– Mam odwiedzić pana Kinga do miasta – wyjaśniła. – Zadzwonił do mnie. Nie chce zajmować pańskiego czasu ani wykorzystywać policji. – Położyła mi dłoń na ramieniu. – Czegoś pan potrzebuje?

– Muszę iść – odrzekłem. – Na górę.

– Oczywiście. – Zawahała się przez chwilę. – Kiedy będzie pan miał okazję... kiedy będzie lepiej... kiedy ten koszmar się skończy, bardzo chciałabym z panem porozmawiać. Pan King zamierza założyć organizację charytatywną imienia pańskiego zmarłego kolegi, komisarza Mallory'ego. Fundusz na rzecz rodzin policjantów, którzy zginęli na służbie. Czy byłby pan zainteresowany taką inicjatywą?

Znów położyła mi dłoń na ramieniu. To był dziwny dotyk. Trwał odrobinę za długo, a jednocześnie wydawało się, że zbyt krótko.

– Jak sobie radzi pani Mallory? – spytała. – Jak się czuje Margaret?

– Nie wiem – powiedziałem i poczułem ukłucie wstydu.

Uśmiechnęła się i ruszyła za mną, gdy wszedłem po schodach do mieszkania dyrektora. Ben King siedział przy biurku Waugha z głową w dłoniach, a kiedy uniósł wzrok, zobaczyłem łzy na jego twarzy.

– Znałem tego chłopca – powiedział. – Tego na schodach. Znałem go. Bo to byłem ja. To był Ned. To byliśmy my wszyscy.

Siri podbiegła do niego.

– Gdzie on jest? – zapytałem, ale King się rozkleił i był do niczego, a jego śliczna asystentka kołysała go jak zapłakane dziecko.

Przebiegłem przez pokoje, czując w żołądku coraz silniejszy ucisk lęku.

Wtedy zobaczyłem, że spod drzwi łazienki płynie woda.

Były zamknięte od wewnątrz, więc uderzyłem w nie ramieniem. Nic. Jeszcze raz. Nic.

Woda przesączyła się przez moje buty i zmoczyła mi stopy. Nagle ogarnął mnie lodowaty spokój, bo przypomniałem sobie, jak szybko otworzyć drzwi zamknięte na klucz. Cofnąłem się o krok, aby mieć więcej miejsca, i z całej siły kopnąłem w zamek. Drzwi puściły z trzaskiem drewna i metalu, a ja zobaczyłem długie i białe ramię Waugha zwisające znad brzegu wanny i świeżą krew płynącą z otwartych żył na jego nadgarstkach, która długimi karmazynowymi smugami plamiła krawędź wanny i białe płytki na posadzce.

W łazience były miękkie, białe ręczniki. Wisiały na grzejniku i leżały złożone w równiutką kostkę pod umywalką. Chwyciłem je i ślizgając się na mokrej podłodze, przycisnąłem do rozciętych nadgarstków, po czym zawiązałem ciasno na bezwładnych białych

rękach, by po chwili rzucić je na bok i zacząć wszystko od początku, ponieważ w ciągu paru sekund przesiąkły krwią.

Krzyczałem, przeklinałem i wołałem pomocy, przyciskając ręczniki do otwartych żył Peregrine'a Waugha. Dopiero kiedy skończyły się ręczniki, zobaczyłem, że uszło z niego życie, a jego oczy wpatrują się w sufit niewidzącym wzrokiem. Stałem bez tchu i nie miałem siły się ruszyć, dopóki sobie nie przypomniałem, żeby zakręcić wodę.

W ciszy, jaka nagle zapadła, jedynym dźwiękiem były głosy chłopców na boiskach i stłumiony szloch dorosłego mężczyzny dobiegający z sąsiedniego pokoju.

...

– Otwierać – poleciła komisarz Whitestone.

Zapadł już zimny i ciemny grudniowy zmierzch, ale grobowiec otaczały reflektory ustawione przez ekipę kryminalistyków, zalewające go ostrym światłem. Po cmentarzu hulał przenikliwy wiatr, unosząc zeschnięte liście i maki, które ktoś odgarnął z grobu.

Na wzniesieniu stał lekko przechylony wózek widłowy i odniosłem wrażenie, że niebezpiecznie się zakołysał, kiedy długie metalowe widły wsunęły się pod szary kamień grobowca psów Henryka VIII.

Zespół śledczy z Głównego na West Endzie stał tuż za technikami kryminalistyki, a cywilny strój jego członków świadczył o tym, że wszyscy przerwali weekend. Whitestone miała na sobie parkę narzuconą na T-shirt i dżinsy, jakby przyjechała prosto z domu. Gane był w dresie, jakby przyjechał prosto z siłowni. A Edie Wren miała krótką spódniczkę, zabójcze szpilki i misternie ułożoną fryzurę, jakby przed chwilą widziała się ze swoim żonatym chłopakiem, a może właśnie próbowała o nim zapomnieć.

Ujrzałem inspektor Swire rozmawiającą z sierżantem Lane'em z Potter's Field. W mocnym sztucznym świetle ich twarze wyglądały jak oblicza duchów.

Potem spojrzałem na grobowiec i wózek, którego koła usiłowały ustabilizować się w miękkiej ziemi. Naraz wielki kamień oderwał się z trzaskiem kruszonego granitu. Zawisł w powietrzu, sypiąc grudkami ziemi i cementu i grób nagle został otwarty.

Kilkunastu funkcjonariuszy w ubraniach ochronnych szybko ruszyło naprzód i rozległy się krzyki, stękania oraz jęki protestu, gdy dźwignęli płytę z grobowca, obrócili na bok i oparli o pień wiekowego dębu. Do przodu wysunęli się technicy w białych kombinezonach i mundurowi, ale w grobie było ciemno, choć oko wykol.

Ktoś przystawił reflektor.

Ujrzałem leżące w ziemi drobne kości kilkunastu spanieli, których nogi były cieniutkie jak rybnie ości, a czaszki nie większe od piłek tenisowych, splecione w wiecznym uścisku z niewątpliwie ludzkimi szczątkami.

Ulicą Broadwalk w Regent's Park nadeszła Natasha. Zobaczyłem jej długie włosy, ramiona i nogi, doskonałą, przysłoniętą ciemnymi okularami twarz, która nie zdradzała żadnych emocji, oraz drepczącego u jej boku mieszańca pekińczyka i chihuahua z patykiem w pysku, i pomyślałem, że wygląda jak ta, której szukałem.

Odkąd znaleźliśmy kości Anyi Bauer, minęło sześćdziesiąt godzin. Odkąd otworzyliśmy grób, nie spałem i nie jadłem. Gdy jednak trzeciego dnia rano odwiozłem Scout do szkoły, uznałem, że strasznie potrzebuję jednego i drugiego. Można wytrzymać bez jedzenia i spania trzy noce, ale potem człowiek się sypie. Rodzic samotnie wychowujący dziecko nie może sobie na to pozwolić.

Kończąc drugą kanapkę z bekonem przy stoliku na zewnątrz Honest Sausage, ujrzałem Natashę i zrozumiałem, że jej potrzebuję jeszcze bardziej.

- Mój prześladowca – przywitała mnie.
- Wesoła wdówka – odrzekłem. – Przepraszam.
- Bez córeczki? Bez psa?

Spojrzałem pod stolik.

- Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.
- Szkoda – powiedziała. – Lubię twojego psa i twoją córeczkę. Susan porzuciła patyk i badawczo obwąchiwała moją dłoń.

– A oni lubią ciebie – odparłem, zastanawiając się, czy nie przesadzam. – Moja córeczka i mój pies.

- Nie mam pojęcia dlaczego.

– Ja też nie.

Wskazała na suczkę, która wylizywała moją pustą rękę.

– Nie wiedziałam, że Susan darzy cię taką sympatią.

– To nie ma nic wspólnego ze mną. To wyłącznie zasługa kanapki z bekonem.

Natasha zdjęła ciemne okulary. Wydawała się młodsza, niż ją zapamiętałem, i mniej surowa, niż chciałaby wyglądać.

– Posłuchaj – powiedziała.

...

Później, kiedy leżeliśmy obok siebie i po raz pierwszy ją poznałem, moje ręce wędrowały po tych długich nogach i rękach, dotykając skóry, która była gładka i biała jak śnieg. Przypomniałem sobie, że już raz widziałem jej nagie ciało, dawno temu, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz.

Pocałowała mnie w usta, czytając w moich myślach. Szum samochodów na głównej ulicy Marylebone dobiegał jakby z innego świata. Ujęła moje ręce i poprowadziła je, żebym poczuł jej skórę, żebym poznał ją całą, żebym zrozumiał, co się zmieniło.

Sińce zniknęły.

– Zagoiło się – powiedziała Natasha.

...

Kochaliśmy się i przespaliśmy dzień.

Od dawna nie spałem obok nikogo. To było cudowne uczucie dzielić z kimś prywatny świat ciepła, bezpieczeństwa i pragnień. Wkrótce jednak, o wiele za wcześnie, musiałem iść.

Wyślizgnąłem się z pościeli, a pies leżący w nogach łóżka poruszył się zirytowany, lecz zaraz z powrotem zasnął.

Natasha leżała rozespana, więc usiadłem przy niej, przygładziłem jej włosy i przesunąłem dłonie po jedwabistej, ciepłej skórze, co sprawiło chyba, że stała się bardziej senna i uśmiechnęła się.

– Och, wracaj do łóżka – powiedziała. – Nie każ mi wzywać glin.

Pocałowałem ją w ramię.

– Muszę odebrać córkę.

– W takim razie przyjdź wieczorem. Przyjdźcie razem. Nie jestem mistrzynią gotowania, ale w okolicy jest parę świetnych restauracji. Co Scout lubi?

– Mamy dzisiaj coś do zrobienia. To nasze sprawy rodzinne.

Przytuliła się do mnie.

– No dobrze – odrzekła, rozbudzając się trochę, gdy do sekretnego pokoju zaczęła się zakradać rzeczywistość. – Wiem, że jesteś ojcem. Wiem, że tata musi robić to, co musi robić tata, prawda?

Pocałowałem ją w policzek, w szyję, w usta.

– Prawda.

– Ale jakoś to wszystko ułożymy – powiedziała, a ja jej wierzyłem.

...

Zaparkowałem bmw przed szeregowym domem na cichej ulicy w Pimlico.

Scout siedziała z przodu, trzymając Stana i bukiet białych kwiatów prawie tak duży jak ona. Składał się z lilii, róż i kwiatów, których nazwy nie znało żadne z nas.

Zawsze uważałem wręczanie kwiatów za rodzaj nadużycia uprzejmości obdarowanej osoby. Trzeba znaleźć wazon. Przyciąć łodygi, nalać wody, regularnie ją uzupełniać, a tydzień później

wyrzucić zwiędłe kwiaty, wylać zieloną, cuchnącą wodę i umyć wazon.

Wydawało mi się, że wręczając komuś kwiaty, wiele od niego żądasz.

Scout uśmiechnęła się do mnie szeroko, kiedy wysiedliśmy z samochodu – nowym, szczerbatym uśmiechem, bo straciła dwa dolne zęby, pierwsze mleczaki – i wiedziałem już, że kwiaty nie mają kompletnie żadnego znaczenia. Ważna była ona, my, ważne było to, że wiemy, iż należało tu przyjść.

Zadzwoiła do drzwi. Stan szczeknął raz, potem drugi, z entuzjazmem wywijając młynka puszystym ogonem. Zza matowej szyby w drzwiach usłyszałem podniecone ujadanie west highland white terriera.

A potem zobaczyłem sylwetkę Margaret Mallory idącej korytarzem i przez szybę dostrzegłem zarys jej twarzy, którą zaczął rozjaśniać uśmiech.

Naszą stołówką było Soho.

Oznaczało to, że czasem w restauracjach w zaułkach dzielnicy widywano przy jednym stoliku dziwne, zaskakujące pary.

W rogu sali w Siam Café przy Frith Street siedzieli posterunkowy Billy Greene i doktor Stephen. Ręce Greene'a nie były już zabandażowane. Młody policjant miał na sobie mundur. Już zamierzałem się do nich przysiąść, gdy uprzytomniłem sobie, że to nie jest przypadkowe spotkanie. To była terapia.

– Proszę – rzekł doktor Stephen. – Nasze pięćdziesiąt minut właśnie się kończy. Nie jesteś już zawieszony, Max?

Pokręciłem głową.

– Raz na wozie, raz pod wozem, a łaska babska na pstrym koniu jeździ – odparłem. – Czy jakoś tak.

Usiadłem przy ich stoliku.

– Znalazłeś zaginioną dziewczynę – powiedział doktor Stephen.

Skinąłem głową.

– Właśnie dostaliśmy od Elsy Olsen wyniki autopsji. Zidentyfikowała ciało na podstawie danych z karty stomatologicznej przysłanej z Niemiec. Przyczyną śmierci było złamanie karku. Peregrine Waugh skręcił Anyi Bauer kark, jakby była rannym zwierzęciem.

– A dwadzieścia lat później podciął sobie żyły – skwitował Greene.

– I wykręcił się sianem – odparłem. – Chciałem, żeby stanął przed sądem. Żeby trafił do celi.

Milczeliśmy przez chwilę, wreszcie ruchem głowy wskazałem rękę Greene'a.

– Jak tam, Billy?

– Dobrze – odrzekł. – Ból ustępuje. Przychodzi fizjoterapeuta. Palce coraz lepiej się ruszają, chociaż prawa ręka ciągle jest trochę sztywna. Im więcej ćwiczę, tym lepiej się czuję.

Kelnerka przyniosła półmisek owoców. Spostrzegłem, że ręce Greene'a są pokryte czarnymi plamami po oparzeniach i że utrzymanie widelca w dłoni sprawia mu trudność.

– Tak trzymać, Billy – powiedziałem. – Wytrwaj.

Nie chciał jednak mojej litości.

Kiedy kawałek mango uciekł mu z talerza i wypadł na stół, Greene dźgał go cierpliwie, dopóki nie nadział owocu na widelec. Wrzucił mango do ust i roześmiał się.

– Lunch trwa trochę dłużej – zauważył.

Doktor Stephen utkwiał wzrok w talerzu, po czym spojrział na Greene'a.

– Zabawne, ale dostałem zwolnienie lekarskie – mówił młody policjant. – Po tamtej akcji, kiedy zgarnęliśmy Boba. I wybrałem się do Vegas, bo zawsze chciałem zobaczyć Vegas. Więc poleciałem do Vegas. – Zrobił dramatyczną pauzę. – Ale mnie nie wpuścili!

Doktor Stephen najwyraźniej słyszał już tę anegdotę. Odniosłem wrażenie, że Greene opowiadał ją wiele razy i że jego mundurowym kolegom podobała się puenta. To była puenta w stylu, który bawił gliniarzy.

– Nie wpuścili cię? – spytałem. – Chcesz powiedzieć, że nie wpuścili cię do kraju? Po wylądowaniu?

Skinął głową, nadal radosny, nadal sądząc, że to zabawne i przypuszczając, że mnie też tym rozbawi.

– Amerykanie w ramach zaostrzenia norm bezpieczeństwa po jedenastym września pobierają odciski każdego, kto przechodzi przez kontrolę paszportową, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

– No, tak.

Greene uniósł ręce, jak gdyby demonstrował magiczną sztuczkę.

– I zgadnij, kto już nie ma odcisków palców! Wsadzili mnie do pierwszego powrotnego samolotu!

Skierowałem wzrok na poczerniałe dłonie Billy’ego Greene’a i patrzyłem na nie, dopóki nie położył ich na kolanach pod stołem, gdzie nie mogłem ich już zobaczyć.

...

– Harry Jackson – powiedział sierżant John Caine. – Ludzie często mijają pocziwego Harry’ego Jacksona i w ogóle nie zwracają na niego uwagi.

Rzeczywiście.

Czarne Muzeum było pełne tylu makabrycznych eksponatów, od nieskończenie szerokiego wyboru broni palnej i białej, która odebrała życie wielu policjantom, po kotły i garnki, w których seryjni mordercy gotowali ciała ofiar, że łatwo było nie zauważyć małej, skromnej wystawy poświęconej Harry’emu Jacksonowi.

Nie było tu dużo do oglądania. Pożółkły ze starości niewielki wycinek z gazety za szkłem. Dwa akapity maszynopisu z wyjaśnieniem.

I zwoje linii odcisku palca nieboszczyka.

– Harry Jackson był pierwszym człowiekiem w Anglii, którego skazano na podstawie śladów daktyloskopijnych – ciągnął sierżant Caine. – Harry był włamywaczem. Latem tysiąc dziewięćset drugiego

roku wszedł przez okno do domu w Denmark Hill, ukradł parę bil ze stołu bilardowego i zostawił odcisk palca na świeżo pomalowanym parapecie. – Sierżant Caine zachichotał. – Głupi gnojek. Dostał siedem lat.

Przyjrzałem się uważniej wycinkowi z gazety. To był list do „Timesa”, podpisany przez kogoś przedstawiającego się jako Zdegustowany Sędzia.

Szanowni Państwo, Scotland Yard, znany niegdyś jako najlepsza policja świata, stanie się pośmiewiskiem Europy, jeżeli będzie uparcie próbował tropić przestępców na podstawie przypadkowych linii na ich skórze.

– Osiem lat później zaczęła nas doganiać reszta świata – kontynuował Caine. – Thomas Jennings z Chicago został pierwszą osobą w Ameryce skazaną na podstawie odcisków palców.

– Też włamywacz?

– Nie, Jennings był mordercą. Niedługo potem dołączyli Francuzi, którzy przymknęli szubrawca Vincenza Peruggię – nie brzmi za bardzo z francuska, co? – mając za dowód odcisk jego lewego kciuka.

– Co przeskrobał?

– Ukradł Monę Lisę z Luwru. Żabojady szukały go dwa lata, bo miały w kartotece tylko odcisk prawego kciuka. Podobno rozwiązałeś waszą sprawę. Komisarz Mallory bardzo by się ucieszył.

Skinąłem głową, patrząc na odcisk palca Harry’ego Jacksona.

– Dwadzieścia lat temu Anya Bauer padła ofiarą zbiorowego gwałtu w Potter’s Field – powiedziałem. – Dyrektor szkoły, Peregrine Waugh, zabił ją, żeby nikomu nic nie powiedziała. Bob Rzeźnik – Ian Peck – poderznął gardła mężczyznom, którzy wtedy jako chłopcy napadli Anyę. Mamy dwóch morderców. Znamy ich motyw. Wszystkie kawałki do siebie pasują. Problem w tym, John, że jeżeli się im przyjrzeć, to kawałki w ogóle nie składają się w nic logicznego.

– Dlaczego?

– Peck dostanie dożywocie za morderstwo Mallory’ego – powiedziałem. – Jego odciski palców były wszędzie w domu jego rodziców.

– Słyszałem.

– Ale nie było ich w miejscach zabójstw Hugo Bucka, Adama Jonesa i Guya Philipa, do których się przyznał. Nie znaleziono ani jednego odcisku palca. Nawet częściowego. Ani nawet śladów rękawiczki.

– Zgadza się – przytaknął Caine. – O tym też słyszałem.

– Po co by kłamał? – zapytałem. – Po co Ian Peck przyznawałby się do morderstw, których nie popełnił?

– Bo jest nikim – odparł kustosz Czarnego Muzeum. – A chce być kimś. Oni wszyscy są tacy sami. Seryjni mordercy. Myślisz, że są genialnymi mistrzami zbrodni? Nie są Hannibalami Lecterami, Max! To po prostu mali, podli ludzie. Wszyscy są psychopatycznymi nieudacznikami. Kim są Albert DeSalvo, Peter Sutcliffe i Ian Peck? To robaki, gnidy. Ale dzięki swoim zbrodniom zostają Dusicielem z Bostonu, Rozpruwaczem z Yorkshire i Bobem Rzeźnikiem. Nie zdziwiłbym się, gdyby Bob Rzeźnik brał na siebie winę za morderstwa, których nie popełnił. Właśnie to zrobił Albert DeSalvo. Nie zamknęli go nawet za zabójstwo tych trzynastu kobiet w Bostonie. Zamknęli go za gwałt. To typ wrednej kreatury nienawidzącej kobiet. Ale potem został Dusicielem z Bostonu i zrobili o nim film z Tonym Curtisem w roli głównej.

Ciągle wpatrywałem się w odcisk palca Harry’ego Jacksona.

– Żadnych odcisków – powiedziałem. – Kto nie ma linii papilarnych, John?

Sierżant John Caine wyciągnął rękę i poprawił ramę niedocenianej gabloty z Harrym Jacksonem.

– Tylko człowiek bez rąk, Max – odrzekł.

Była północ. Stałem na skraju szkolnych boisk, za mną rysowała się czarna sylwetka Potter's Field, wież, iglic i architektury z ostatnich pięciu wieków.

Sto lat trwa tu nie dłużej niż mgnienie oka.

Miałem wrażenie, jakby świat umarł.

Ostatni raz sprawdziłem telefon – żadnych nowych połączeń, chociaż w drodze do szkoły zostawiłem pilne wiadomości Whitestone, Gane'owi i Wren – a potem zacząłem iść przez boiska.

Słyszałem świst wiatru między drzewami w głębi lasu i wzdrygnąłem się, bo czułem się, jak gdyby obserwowały mnie oczy Anyi Bauer. Niedługo wszystko będzie dobrze, pomyślałem. Niedługo nareszcie odzyskasz spokój.

W kamiennym domku nie paliło się światło. Sięgnąłem do kieszeni, szukając pęku kluczy na dużym kółku, które wyglądały jak z baśni i można nimi było otworzyć wszystkie drzwi w Potter's Field.

Domek był zamknięty na dwa zamki. Na zwykły patentowy i zasuwę czołową. Nic skomplikowanego. Mimo to musiałem wypróbować kilkanaście kluczy, zanim drzwi cicho się uchylily i mogłem wejść do środka.

Stałem, nasłuchując przez chwilę i przyzwyczajając oczy do półmroku. Uspokoilem oddech i cicho zamknąłem drzwi.

Na stole stała pusta filiżanka, leżały miejscowa gazeta i strzelba kalibru .410.

Chatka była niewielka. Służbówka, którą pospiesznie przekształcono w wygodny wiejski domek. Po lewej znajdowały się sypialnia i łazienka, obie zamknięte. Po prawej mały salon połączony z kuchenką w kształcie litery L, w której mogła się zmieścić jedna osoba.

Zacząłem już widzieć w ciemnościach, ale nie wiedziałem, czego szukam, dopóki nie zajrzałem pod zlew.

Szybko wszedłem do kuchenki, kucnąłem i otworzyłem drzwiczki na oścież. Obok wybielacza, środka dezynfekującego i owadobójczego stała stara skórzana walizka. Ciemnobrązowa wołowa skóra była wytarta i popękana, mosiężne zamki i okucia poczerniały od rdzy.

Mimo to z jakiegoś powodu od razu wiedziałem, że nadal jest używana.

Coś małego schowało się za listwę przypodłogową, kiedy sięgnąłem pod zlew i wyjąłem sfatygowaną walizkę typu Gladstone.

Torbę do zabójstw.

Odwróciłem się, żeby ją zanieść do salonu, i zobaczyłem starego Lena Zukova, który siedział przy stole i w artretycznych dłoniach trzymał czterystadziesiątkę.

Uniosłem walizkę, aby ją obejrzał, jakby mnie poprosił, żebym ją przyniósł.

– To twoja torba. Len?

Pociągnął nosem.

– Oczywiście.

Bez słowa postawiłem ją na stole.

– Nie wierzysz mi – rzekł z akcentem, który utknął na zawsze gdzieś między angielską wsią a jego rosyjską ojczyzną. – Nie wierzysz w ani jedno moje słowo, prawda?

Przyglądałem się jego rękom. Mimo choroby pewnie trzymał strzelbę w silnych ramionach i zaciśniętych pięściach. Jeszcze nigdy

nie widziałem go tak spokojnego i opanowanego. Spojrzałem w stronę drzwi, zastanawiając się, czy strzelba jest naładowana i jakiego ruchu palców wymaga naciśnięcie spustu.

Niewielkiego, pomyślałem. Kaliber .410 to najłżejsza strzelba, z której często uczy się strzelać dzieci.

– Usiądź – rozkazał, przerywając mi obliczenia.

– Niedługo przyjadą moi koledzy – poinformowałem go, słysząc nutę wątpliwości we własnym głosie.

Wyraźnie mu się spodobała.

– Może się spóźnią – odrzekł. – Kazałem ci usiąść.

Ciągle stałem.

– Nie zgłosiłeś się po ciało – powiedziałem. – Ciało Anyi, Len. Anyi Bauer. Wiemy, że to jej szczątki leżały w grobie psów. Nie ma żadnych wątpliwości. Dostaliśmy kartę dentystyczną z Niemiec. Co cię powstrzymało przed zgłoszeniem się po ciało? Czego się bałeś? Przecież ją znałeś, Len.

– Widziałeś kiedyś, co strzelba robi z twarzą człowieka? – odrzekł.

Usiadłem naprzeciwko niego przy stole. Były tu tylko dwa krzesła. Nie należał do osób prowadzących bujne życie towarzyskie.

– Węszysz po nocy – powiedział, kręcąc głową. – Czego szukasz? – Pokazał skórzaną torbę, którą postawiłem na stole. – Tego starocia?

– Nie ciebie – odparłem. – Nie szukam ciebie, Len.

– Może powinieneś – stwierdził i poprawił strzelbę w sparaliżowanych dłoniach.

– Odłóż tę broń, Len, dobrze? Żebyśmy mogli pogadać.

Mocniej ujął czterystadzieciatkę.

– Pytałeś, jak się tutaj znalazłem – powiedział. – Przyjechałem z żołnierzami. Na czołgu T-34. Wiesz, co to T-34?

– Czołg z czasów wojny. Drugiej wojny światowej. Wielkiej wojny ojczyźnianej, jak ją nazywasz. T-34 to był rosyjski czołg.

– Nie – zaprotestował. – To był ten rosyjski czołg. T-34 był najlepszym rosyjskim czołgiem. Czołgiem, który kupił wam wolność. Zapłacił za waszą demokrację. Wielkiej Brytanii, Ameryki. Mówiłeś, że byłem za młody na wojnę. Nie myliłeś się. Miałem jedenaście lat, za mało. Kiedy nadeszli Niemcy, pobiegłem w pole i uciekłem. Potem nasze miasteczko odbiła Armia Czerwona i wróciłem. Ale miasteczka już nie było. Bo byliśmy podludźmi. Dla nich. Rozumiesz? Moja matka. Mój ojciec. Moja babcia. Moje siostry. Podludźmi. Nigdy w życiu tak nie płakałem jak wtedy. Tak minęły ostatnie dni mojego dzieciństwa.

Umilkł zatopiony we wspomnieniach albo zasłuchany w noc.

– Pojechałem na zachód z naszymi żołnierzami – ciągnął. – Na zachód, byle dalej na zachód. Z pierwszym białoruskim czołgiem. Frontowniki, wojsko frontowe. Szli przez świat po gruzach. Wiesz, dlaczego mnie nie przegonili? Bo nazywałem się prawie tak samo jak ich dowódca. Marszałek Gieorgij Żukow. Jak to się nazywa?

– Maskotka – odpowiedziałem.

– Maskotka. Chciałem żyć. Chciałem przeżyć. Ale chciałem też zobaczyć zniszczenie Niemiec. Nie miałem litości. – Zdziwiony pokręcił głową. – Przecież Niemcy mieli tak dużo! Byli tacy bogaci! Gospodarstwa, zwierzęta. Po co nas najechali, jeżeli tyle mieli?

– Chcieli więcej, Len – powiedziałem uspokajającym tonem. – Chcieli zdobyć świat. To było szaleństwo.

Ale już mnie nie słuchał.

– Nasi żołnierze chcieli kobiet – mówił dalej. – Frau, Frau, Frau! Ja chciałem czegoś innego. Dla mojej rodziny, która zginęła. Dla dziadków. Dla sióstr. Dla rodziców. Dla rodziny, której już nie miałem. Nasze frontowniki wsadziły mnie do jakiejś piwnicy. Wysyłano tam po kolei kilkunastu esesmanów, którzy zniszczyli swoje dokumenty i zerwali dystynkcje z mundurów. Słyszałem, jak wrzeszczą po drugiej stronie drzwi. „Nicht SS! Nicht SS!”. Nasi żołnierze pokazali mi, co

mam robić. Wiesz? Wbić nóż w szyję, pociągnąć, a potem kopniakiem rzucić faszystę ze schodów. Było ich kilkunastu. I tak widzisz starca, ale patrzysz na mordercę.

Przyglądaliśmy się sobie nawzajem.

– Wydaje mi się, że minęło sporo czasu, odkąd kogoś zabiłeś – powiedziałem cicho. – Chyba całe wieki.

Wycelował czterystadziestkę w moją twarz.

– Przecież nienawidzisz Niemców – zauważyłem. – Anya Bauer była Niemką, prawda? Ale Anyi nie nienawidziłeś. Kochałeś ją.

– Ojciec Anyi był Niemcem – odparł. – Ale matka Rosjanką. Moją córką.

– Anya przyjechała do ciebie, gdy miała piętnaście lat. Wnuczka przyjechała pomieszkać u dziadka w Potter's Field. Co to było? Wakacje? Kłopoty w domu? Trochę jedno, trochę drugie? Założę się, że miała kłopoty w domu, mam rację?

– Przestań o niej mówić – rozkazał.

Powiedział to ostrym, stanowczym tonem, kierując strzelbę w stronę mojej klatki piersiowej, czyli większego celu.

– I pewnego dnia Anya zniknęła – mówiłem. – Trudno rozstrzygnąć, czy to było zaginięcie, czy zerwanie kontaktów. Nie wiedziałeś, co się stało. A może podejrzewałeś, ale nie byłeś pewien, dopóki nie zobaczyłeś, co leży w grobie królewskich psów. Kiedy się zapadał. Kiedy zaczął się rozsypywać. Zobaczyłeś jej kości, prawda? Ludzkie kości razem z kośćmi psów. A może zobaczyłeś je później, wtedy gdy odnawiano grobowiec. W każdym razie zajrzałeś do grobu i wiedziałeś, że to musi być Anya.

– Zamknij się – powiedział, a strzelba celowała to w moją twarz, to w pierś.

– I wszystko złożyłeś w całość – kontynuowałem. – Anya przyjeżdża do ciebie. Pojawiają się ciekawscy chłopcy, węższą. Hugo Buck i jego

paczka. I nagle Anya znika. Nie wraca na noc, znika na rok, wreszcie na zawsze. Krążyły jakieś plotki, Len? Słyszałeś gdzieś o tym, co uczniowie Peregrine'a Waugha zrobili pewnej dziewczynie? Bali się, że prawda wyjdzie na jaw? Na pewno coś się mówiło, kiedy James Sutcliffe popełnił samobójstwo, a raczej je sfingował. W każdym razie jakoś się dowiedziałeś, co się z nią stało, co jej zrobili. I sporządziłeś listę chłopców, którzy musieli być w tym pokoju, kiedy Waugh skrzył jej kark. Chłopców, którzy potraktowali piękną dziewczynę jak śmieć. Chciałeś zemsty. Tak to było?

Czterystadziesiątka odnalazła moje serce i wreszcie znieruchomiała w jego sparaliżowanych rękach.

– Liczy się tylko jedno – powiedział. – To, że ją pomściłem. W końcu mi wierzysz?

– Wierzę we wszystko, Len – odrzekłem. – Naprawdę wierzę. Z wyjątkiem ostatniego. Nie wierzę, żebyś kogokolwiek zabił, odkąd byłeś chłopcem.

Otworzyły się drzwi i do domku wszedł Tom Monk w starej bluzie wojskowej i dżinsach, niosąc strzelbę kalibru dwanaście i parę martwych królików. Zobaczyłem, jak oczy na straszliwie poparzonej twarzy otwierają się szeroko i mierzą mnie lodowatym spojrzeniem.

– O, właśnie się zastanawiałem, kiedy przyjdiesz – oznajmił.

– Mój znajomy policjant poparzył sobie ręce, kiedy zgarnęliśmy Boba Rzeźnika – powiedziałem. – Billy Greene. Dzielny młody chłopak. Zamierzał spędzić chorobowe w Las Vegas. Koktajle z szampana przy fontannach w Caesar's Palace, dziewczyny i tak dalej.

– Bardzo przyjemnie – uznał Monk.

– Zgadnij, co się stało. Nie wpuścili go. Odesłali Billy'ego prosto do Gatwick. Bo dziś Amerykanie na granicy zdejmują wszystkim odciski palców. A jemu nie mogli ich zdjąć.

Monk uniósł ręce w szyderczym geście udawanej kapitulacji. I natychmiast zrozumiałem, że w żadnym z miejsc zdarzenia nie mogliśmy znaleźć odcisków palców, bo skóra jego rąk była zniszczona tak samo jak skóra twarzy.

– Przypominaj mi, żebym trzymał się z daleka od Vegas – powiedział.

– Po co ci to było, Tom? – zapytałem. – Nie chciałeś wyjść z wprawy? Czy chciałeś pobawić się w straż obywatelską? Nie udało ci się zerwać z nałogiem zabijania?

Przestał się uśmiechać.

– Chciałem sprawiedliwości – oświadczył.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale tylko drgnęły mi usta, a serce waliło w piersi, bo uświadomiłem sobie, co się ze mną stanie.

– Masz rację – dodał. – To żart. Jak można się spodziewać sprawiedliwości w kraju, który pozwala swoim najlepszym i najdzielniejszym ludziom spać na ulicach, dopóki nie zdobędą się na odwagę, żeby ze sobą skończyć?

– Czyli poderżnąłeś gardła Hugo Buckowi i Adamowi Jonesowi – powiedziałem. – Spartaczyłeś robotę z Piggym Philipsem, prawda?

– No, nie wiem – odparł. – Myślę, że przez jakiś czas nie będzie grał w debla, nie sądzisz?

– Ale nie udało ci się z kapitanem Kingiem, prawda? Talibowie okazali się szybsi.

Przypominająca maskę twarz Monka nagle ściągnęła się z wściekłości.

– Jesteś takim samym głupim policjantem jak reszta. Kapitan King był odważnym człowiekiem. Wojownikiem. Lwem, którym dowodziły osły. W tym kraju nic się nie zmieniło od stu lat. – Oparł się o drzwi i pokręcił głową. – Kapitana Kinga nie było na mojej liście.

– A Salman Khan? – spytałem. – Jeszcze żył, kiedy ten wielki dom stanął w płomieniach? A może włamałeś się tam, poderżnąłeś mu gardło, a potem podpaliłeś dom?

– Jedno z jego dzieci miało motor – powiedział Monk. – Słyszałeś o czymś takim? Żeby dziecko miało własny motor? Przez dziesięć lat służyłem swojemu krajowi i zdobyłem tylko używany rower.

– W jakiej jednostce służyłeś w Afganistanie, Tom?

– Mówiłem. W królewskim pułku piechoty Green Jackets.

– Nie sądzę. Za dobrze umiesz się posługiwać nożem. Za dobrze potrafisz się skradać, walczyć wręcz i zacierać ślady. Przypuszczam, że byłeś w grupie wsparcia sił specjalnych, w SFSG. A może w SAS? Albo SBS?

– Twierdzisz, że kłamię?

Przytaknąłem skinieniem głowy.

– Chcesz mi rozplatać gardło, Tom? – spytałem, wiedząc, że właśnie ma taki zamiar.

– Powinienem to zrobić już wcześniej, kiedy miałem okazję.

Spojrzałem na starego człowieka naprzeciwko siebie.

– A ty powinieneś pójść na policję, Len. Jeżeli chciałeś sprawiedliwości dla swojej wnuczki. Powinieneś się zgłosić do nas. Nie czekać, aż pojawi się ten Rambo.

Monk parsknął śmiechem.

– Gdzie Anya miała znaleźć sprawiedliwość? Albo Len? Na policji? W sądach? U was? U waszych miękkich sędziów z ich słabym prawem, u adwokatów cwaniaków, którzy sprzedają sprawiedliwość bogatym? U ciebie, z twoimi rozwalonymi plecami?

– Dość – odezwał się Len.

Odwróciłem głowę i zdążyłem zobaczyć, jak stary strzela mi w pierś.

Ciszę rozdarł huk czterystadziesiątki.

Rzuciło mnie do tyłu i wylądowałem na wznak z głową w otwartym kominku. W bębenkach dźwięczał mi ogłuszający wystrzał z czterystadziesiątki i orząc palcami własne serce, wzywałem na pomoc Boga i Jezusa.

Potworny ból dwóch pękniętych żeber pod potężnym siniakiem powiedział mi, że jeszcze nie umarłem.

Pocisk wyrwał dziurę w mojej skórzanej kurtce i T-shircie, ale nie przebił lekkiej kamizelki kuloodpornej CV1.

Ciągle wzywałem Boga i Jezusa.

– Lepiej strzelić mu w głowę – poradził Monk. – Muszę iść do domu.

– Tak – odparł Len. – Idź już do nich. Idź do swojej rodziny. Już czas. Zrobiłeś swoje. Dziękuję, drogi przyjacielu. Dziękuję, bracie.

Usiłowałem usiąść, ale powstrzymał mnie ból w górnej części tułowia. Nie mogłem się ruszyć.

O Boże... O Jezu...

Uświadomiłem sobie, że krzesło, na którym przed chwilą siedziałem, leży pode mną roztrzaskane.

Zobaczyłem, jak Zukov mocno całuje w usta Monka, który nie oglądając się za siebie, wychodzi z domku.

Len poczłapał do sypialni, a kiedy wrócił, trzymał pudełko amunicji. Zobaczyłem, jak łamie strzelbę, mozolnie ładuje do niej trzycalowy czerwony nabój, po czym z trzaskiem zamyka broń.

O Boże... O Jezu...

Podszedł do miejsca, w którym leżałem, i wycelował czterystadziesiątkę w moją twarz.

O Boże... O Jezu...

– Nie!

W drzwiach stała Edie Wren.

Len Zukov obrócił lufę w jej stronę i znieruchomiał.

– Proszę – powiedziała. – Czego pan chce? Niech pan ze mną porozmawia. Błagam, niech pan do mnie coś powie.

Przez chwilę patrzył jej w twarz, a potem, jak gdyby w odpowiedzi, oparł strzelbę o podłogę i na wpół kucając, przyłożył sobie lufę pod brodą.

Usłyszałem krzyk Edie, następnie huk strzelby, a zaraz potem otoczyła mnie ciemność i pogrążyłem się w czerni nocy.

Jechaliśmy z powrotem w stronę miasta. Za kierownicą mojego bmw siedziała komisarz Whitestone. Obok siebie miała podkomisarza Gane'a. Edie Wren i ja siedzieliśmy z tyłu. Ilekroć zapadałem w sen, licząc na to, że uda mi się chwilę odpocząć, budził mnie pęd drogi pod kołami i piekący jak ogień ból pękniętych żeber.

– Sierżant Tom Monk wrócił z Afganistanu, ale nigdy nie pojawił się w domu – powiedziała Whitestone, nie odrywając wzroku od drogi. – Rozmawiałam z ludźmi w Barrington Court. Monk wrócił z prowincji Helmand z Krzyżem za Wybitną Odwagę i oparzeniami trzeciego stopnia na twarzy i rękach. Kilka miesięcy spędził na OIOM-ie, a potem trafił do Barrington Court na rehabilitację. Leczył oparzenia. Przechodził intensywną fizjoterapię. Miał sesje terapeutyczne z psychoanalitykiem. Typowy zestaw dla weterana z takimi obrażeniami. Kiedy wyzdrowiał, został w ośrodku, żeby pomagać w rehabilitacji innych. Ucieszyli się z dodatkowej pary rąk do pracy. Nikt nie wie, co się stało. Ale tuż przed wypisaniem z Barrington Court Monk włożył mundur galowy i zrobił sobie zdjęcie w małym studiu fotograficznym przy głównej ulicy Potter's Field. Potem przesłał je swojej narzeczonej w Stratford.

Whitestone umilkła. Pomyślałem o tej twarzy, którą oparzenia odmieniły nie do poznania, pomyślałem o jego dziewczynie, która pierwszy raz oglądała jego zniszczoną skórę na pozowanej fotografii.

Droga wciąż umykała spod kół, oświetlona tylko blaskiem zimowego księżycyca.

– Nikt nie wie, czy kiedykolwiek mu odpisała. Czy wysłała SMS, e-mail czy wiadomość na Facebooku. Monk nigdy o tym nie mówił. Może powiedziała mu, że wszystko skończone. Może nigdy się już z nim nie kontaktowała i to mu wyjaśniło wszystko. Kto wie? Ale Monk nigdy nie opuścił Barrington Court. Został tam, nieoficjalnie pomagając jako wolontariusz w rehabilitacji innych ciężko poszkodowanych weteranów. Prowadził ich na ćwiczenia do Potter's Field.

– Gdzie poznał innego starego żołnierza – powiedziałem. – Lena Zukova. Początek pięknej przyjaźni.

– Rozumiem, dlaczego Len Zukov chciał odwetu za to, co zrobili jego wnuczce – odezwała się Wren. – I dlaczego przyjaciel chciał mu w tym pomóc. Ale czy Monk chciał pozabijać tych sukinsynów, czy po prostu chciał kogoś zabić?

Whitestone zerknęła na mnie w lusterku wstecznym. Nie znałem odpowiedzi. Wiedziałem tylko, że państwo wyszkoliło Monka na zabójcę i ostatecznie tylko to mu zostało. Nie potrafił robić niczego innego, nie potrafił dać z siebie niczego innego, nawet kiedy państwo chciało, żeby przestał.

– Edie – powiedziała Whitestone. – Niektórych rzeczy nigdy się nie dowiemy.

Z odległości prawie dwóch kilometrów widać było rozbłyskujące w mroku jaskrawe niebieskie światła naszych radiowozów. Oświetlały lśniące, futurystyczne budynki Parku Olimpijskiego i otaczające je przemysłowe pustkowia.

– Teraz Monk wrócił tam, gdzie idzie człowiek, gdy nie ma już dokąd pójść – dodała Whitestone. – W końcu wrócił do domu.

...

W pobliżu Parku Olimpijskiego stało kilkanaście wozów uzbrojonych jednostek, otaczających odrapany blok mieszkalny, który wyglądał jednocześnie na nowoczesny i zrujnowany. Nie pasował do dzielnicy, gdzie budynki albo były niewielkimi schludnymi blokami i małymi domkami, które obiecywały przyjemne życie w nowym East Endzie, albo zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Wyglądało to jak powierzchnia Księżyca po kilku latach intensywnej rewitalizacji.

Otworzyliśmy okna bmw i wyciągnęliśmy legitymacje. Za taśmą słycać było trzaski cyfrowych odbiorników radiowych, od czasu do czasu szczeknięcie któregoś z policyjnych psów i okrzyki funkcjonariuszy z nerwami napiętymi do granic możliwości.

Między radiowozami czekali uzbrojeni policjanci, trzymając karabiny automatyczne Heckler & Koch pod ulubionym kątem czterdziestu pięciu stopni, z kolbą w górze i opuszczoną lufą, i mimo chłodu grudniowej nocy obficie pocili się pod swoim rynsztunkiem. Wyglądali jak postacie z przyszłości.

Tom Monk stał samotnie na bezkształtnym trawniku przed blokiem i zadzierał głowę, wpatrując się cierpliwie w jeden punkt. Zauważyłem, że w tył jego głowy celuje pół tuzina pistoletów Glock 17.

Ewakuowano większość mieszkańców budynku. Prawie we wszystkich oknach jedyną oznaką życia był blask lampek na choinkach, mrugających na biało, czerwono i zielono.

W jednym z okien pojawiła się na chwilę młoda kobieta z małym dzieckiem na rękach i zaraz zniknęła. Ale Monk wciąż patrzył w jej okno, nawet gdy w pokoju zgasło światło.

– To ona – powiedziała Edie Wren, a w obłąkańczym błysku niebieskich kogutów na jej twarzy zalśniły łzy. – Rodzina Monka. Biedna dziewczyna. Biedny człowiek.

– Nie – odparła komisarz Whitestone. – To nasz morderca. Zdjąć drania.

Uzbrojeni policjanci odsunęli się na bok, robiąc miejsce przewodnikom z owczarkami niemieckimi. Opiekunowie uklękli obok swoich psów, drapiąc je po szlachetnie uformowanych łbach i szepcząc do ucha ostatnie słowa zachęty.

Monk odwrócił się na dźwięk szczekania. Kiedy rozchylił poły starego wojskowego munduru, zobaczyłem broń wystającą spod podszewki, wepchniętą do ukrytej, głębokiej kieszeni, podobnej do tych, jakie mają złodzieje w sklepach. Była to ta sama strzelba dwunastka, którą miał przy sobie w Potter's Field.

Dookoła rozległy się krzyki i ktoś wrzasnął: „Mam go!”, na co Whitestone odrzekła: „Strzelaj!” i grzmot wystrzału rozdarł noc, aż zatrzęsała się w posadach, straszliwie głośny pojedynczy huk, tak przeciągły i przejmujący, że mogło stanąć serce, a Tom Monk upadł do tyłu z głową obróconą na bok, jak gdyby nagle trafiony potężnym ciosem w twarz. Górna część czaszki oderwała się jako zlepiona gruda krwi, włosów, skóry, kości i mózgu i po chwili już leżał nieruchomo na bezkształtnym trawniku, wyglądając jak ten, kim teraz się stał – jak poległy żołnierz brytyjski.

Ruszyłem w kierunku martwego ciała, czując, że wszelka nienawiść, jaką do niego żywiłem, nagle zmienia się w gorzki smutek. Ale Whitestone położyła mi dłoń na ramieniu, powstrzymując mnie, nie chcąc już więcej ryzykować.

– Wystarczy na jedną noc, Max – powiedziała. – Już prawie Boże Narodzenie.

Wydała rozkaz i przewodnicy spuścili psy ze smyczy.

Niedziela rano.

Scout siedziała w oknie, czekając na matkę. Wielką halę targową Smithfield po drugiej stronie ulicy zamknięto na weekend, nie było śladu tłumów, a biała kopuła katedry Świętego Pawła wznosiła się nad obrazem całkowitego bezruchu.

Telewizja pokazywała, jak poseł z Hillingdon North wchodzi do budynku przy Downing Street 10, a w ślad za nim podąża Siri Voss, ściskając w ramionach grubą teczkę wypchaną dokumentami. Ben King uśmiechnął się nieśmiało do dziennikarzy, którzy wołali do niego:

– Gratulujemy awansu! Można prosić o kilka słów, panie ministrze?

– Najmłodszy parlamentarny sekretarz skarbu w historii. Jakie to uczucie?

– Jakim rzecznikiem dyscypliny zamierza pan być, panie King? Nie będzie pan unikał starć? Zamierza pan krótko trzymać posłów?

Przy drzwiach stał policjant. King mruknął do niego „dzień dobry”. Policjant zasalutował, dotykając hełmu. Ben King i Siri Voss zniknęli w środku, a moje plecy przeszył ból.

Stan spał u stóp Scout. Ale gdy się wzdrygnąłem, pies poruszył się i przeciągnął – pies z głową w dół, potem z głową w górę – cały czas przyglądając mi się tymi ogromnymi okrągłymi oczami, jak gdyby mówił: „Musisz się rozciągać codziennie przez całe życie, jeszcze tego nie wiesz?”.

A może po prostu chciał coś do jedzenia.

Telefon w kieszeni moich dzinsów zawibrował. Ucichł. A potem znów zawibrował. Wyjąłem go, przeczytałem wiadomość od Anne i pomyślałem, że nikt nie jest bardziej obcy niż osoba, którą kiedyś kochaliśmy.

– Aniołku – powiedziałem do Scout z bez troską, której wcale nie czułem. – Twoja matka dzisiaj nie przyjdzie. Coś jej wypadło. Przykro mi.

Scout patrzyła na mnie kamiennym wzrokiem.

– Jest bardzo zajęta – powiedziała moja córka.

Skinąłem głową i nie mogłem od niej oderwać oczu, kiedy podeszła do stołu, wyjęła pudełko z flamastrami i otworzyła blok rysunkowy. Podeszedłem do niej i patrzyłem przez chwilę, jak pracuje. Rysowała głowę Stana i bardzo dobrze uchwyciła jego podobieństwo. Piękne wylupiate oczy, niezwykle zwisające uszy, rozwiane jak włosy dziewczyny na staroświeckim obrazie, nos przypominający rozgniecioną suszoną śliwkę, wspaniałe puszysty ogon.

Dotknąłem jej ręki i spojrzała mi w oczy.

– Scout – powiedziałem. – Teraz jesteśmy tylko ty i ja. Ale dobrze nam, prawda?

Popatrzyła na rysunek, a potem na mnie.

– Tak – odparła. – Dobrze.

Odetchnąłem.

– Scout?

– Co?

– Jestem bardzo, bardzo dumny z tego, że jesteś moją córką.

Wstała i niezdarnym ruchem przytuliła się do mnie, obejmując mnie ręką w pasie, a ja pocałowałem ją w czubek głowy. Potem puściła mnie i poszła do swojego pokoju, a Stan podreptał za nią z ogonem uniesionym jak peryskop.

Zerknąłem w telewizor. Ben King wyszedł z siedziby rządu i ruszył w kierunku kamery. Siri Voss szła obok niego, trzymając papiery, ale gdy dotarli do filmującej ich ekipy, z uśmiechem odsunęła się, czekając na niego tuż za kadrem.

Ben King uśmiechnął się, po czym przechylił głowę i popatrzył w obiektyw tak, jak często patrzył na mnie – przenikliwie, z ukosa, rozbijającym spojrzeniem, jakby zobaczył w człowieku coś, czego reszta świata jeszcze nie zauważyła.

Coś błysnęło, ale nie byłem pewien, czy ten odprysk światła ujrzałem na ekranie telewizora, czy tylko w głowie.

I nagle zorientowałem się, że Ben King ma szklane oko.

Zrozumiałem, że to, co mówił James Sutcliffe, było prawdą. W tamtej piwnicy dwadzieścia lat temu ktoś stracił oko – niewielka kara za życie dziewczynki. Ale to nie był Hugo Buck.

Jak mogłem nie zauważyć?

To ty, pomyślałem, gdy Ben King uśmiechał się do kamery na Downing Street. Ty.

W wyobraźni zobaczyłem dwóch chłopców siedzących przy śniadaniu, braci bliźniaków, kłócących się z wściekłością, jakiej żaden z nich nigdy nie czuł, identycznych pod każdym względem, z wyjątkiem serca. Jeden z całej siły rzucił w twarz drugiego szklanką. Wiedziałem już, że tamtej nocy w piwnicy, gdy ukradli życie Anyi Bauer, nie było Neda.

Za to był jego brat Ben.

– Tatusiu? – usłyszałem głos Scout.

Trzymała juniorskie rękawice bokserskie, które jej kupiłem – jeden z tych nieudanych prezentów, jakie rodzice często kupują dzieciom, kiedy jeszcze tli się w nich płonna nadzieja, że być może ich zainteresowania okażą się zbieżne; jeden z tych prezentów, którymi

należy się zachwycić z uprzejmości, a potem wrzuca się je do szuflady, by nigdy już nie ujrzały światła dziennego.

– Jak to się robi? – spytała. – Pokaż.

Pomogłem jej włożyć rękawice. Były w najmniejszym dostępnym rozmiarze, mimo to na jej rękach wyglądały na komicznie wielkie. Ale żadne z nas się nie uśmiechało. Uniosłem ręce.

– Kiedy zadajesz cios – powiedziałem – to powinno wyglądać jak łapanie muchy. Złapałaś kiedyś muchę?

Zadrżała.

– Raz widziałam, jak Stan złapał osę.

– No to sobie przypomnij. Ręka powinna odskoczyć tak szybko, jak wyskoczyła.

Zademonstrowałem jej, a potem znów uniosłem otwarte dłonie.

– Spróbuj.

Scout zmarszczyła brwi.

– Nie umiem mocno uderzyć – powiedziała.

Dotknąłem jej ramienia.

– Aniołku, wcale nie chodzi o to, jak mocno potrafisz uderzyć – wyjaśniłem.

Scout zaczęła zadawać ciosy.

...

Nagle do Bożego Narodzenia zostało zaledwie kilka dni i szare niebo nad miastem zapowiadało śnieg.

Siedziałem w ciemnej sali w szkole i oglądałem anioły w prześcieradłach z przyklejonymi taśmą papierowymi skrzydłami, pięcioletnich Trzech Królów z przekrzywionymi brodami z waty, pluszowe zwierzaki grające rolę zwierząt w betlejemskiej stajence,

a pośrodku tego wszystkiego marudną owieczkę, która groziła piąstką niebu.

– Aniołom to dobrze! – narzekała gorzko owieczka. – Anioły mogą polecieć do żłóbka. Ale ja muszę iść!

Marudna owieczka – Scout pod starym białym dywanikiem przyklejonym do jeszcze starszego plecaka, z pomalowanym na czarno nosem – spojrzała na niebo spod zmrużonych powiek.

– Dlaczego muszę iść do stajenki? To mnie nic nie obchodzi! W ogóle nie chcę zobaczyć tego dzieciątka, które nazywają Jezusem.

W końcu tego pożałowała. Klęczała pośrodku sceny i kręciła głową, podczas gdy w tle przechadzali się Trzej Królowie i anioły.

– Och, czemu tak marudziłam! Dlaczego narzekałam? Już rozumiem. Nareszcie wszystko rozumiem. – Uniosła głowę i spojrzała w ciemność. – To niezwykle dziecko!

Siedząca obok mnie pani Mallory – Margaret – ujęła moją dłoń i ścisnęła, a ja siedziałem w ciemnościach wraz z innymi rodzicami, dusząc się ze śmiechu i czując gorące łzy płynące mi po twarzy.

OD AUTORA

Mój pierwszy tekst dziennikarski dla dorosłych – pierwszy artykuł, który nie wymagał ode mnie spędzenia bezsennej nocy z gwiazdoram rocka – napisałem przy Savile Row 27 w Londynie na głównym posterunku na West Endzie.

Poznałem tam wielu młodych ludzi, najcudowniejszych osób, jakie w życiu spotkałem. Są prawdziwi, choć książka, która dość swobodnie opowiada o ich miejscu pracy, jest fikcją literacką.

Pozwoliłem sobie wykorzystać rzeczywistość, by nadać *Krwawej wyliczance* nieco charakteru – na przykład Czarne Muzeum naprawdę mieści się w pokoju 101 w budynku New Scotland Yardu, a „List z piekła”, napisany przez osobę podającą się za Kubę Rozpruwacza, został zacytowany wiernie według współczesnych fotografii.

Sam list podobno zaginął, a miejsce jego przechowywania wskazane w tej książce jest wyłącznie wytworem wyobraźni autora.

Tony Parsons
wrzesień 2013

- [1](#) Shoeprint Image Capture and Retrieval – system rejestrowania i wyszukiwania wzorów podeszew obuwia.
- [2](#) Jean Charles de Menezes – Brazylijczyk zastrzelony przez londyńską policję, która wzięła go za podejrzanego w związku z zamachem w Londynie 21 lipca 2005 roku.
- [3](#) Independent Police Complaints Commission – Niezależna Komisja do spraw Skarg przeciwko Policji.
- [4](#) Slough Comprehensive – *comprehensive school* – publiczna szkoła średnia przyjmująca uczniów bez względu na wyniki w nauce.
- [5](#) Mt 27, 6–8. Wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2003.
- [6](#) Przemowa jest fragmentem kazania wygłoszonego przez kanonika Henry’ego Scotta Hollanda w katedrze Świętego Pawła w 1910 roku, po śmierci króla Edwarda VII.
- [7](#) Mt 25, 34.
- [8](#) 1 Kor 15, 51.
- [9](#) Ibidem.
- [10](#) 1 Kor 15, 52–53.
- [11](#) 1 Kor 15, 54–55.
- [12](#) Fragment wiersza Siegfrieda Sassoona *Suicide in the Trenches* (Samobójstwo w okopach).
- [13](#) „The Big Issue” – brytyjskie czasopismo sprzedawane na ulicach przez bezdomnych.
- [14](#) William Szekspir, *Burza* (akt 4, scena 1), przekład Leon Ulrich, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1973.
- [15](#) William Blake, *Małżeństwo nieba i piekła*, przekład Franek Wygoda, Rękodzielnia Arhat, Wrocław 2002.
- [16](#) Aldous Huxley, *Drzwi percepcji. Niebo i piekło*, przekład Piotr Kołyszko, Przedświt, Warszawa 1991.
- [17](#) Fragment wiersza Rudyarda Kiplinga *The Power of the Dog* (Moc psa); autor przekładu nieznany.
- [18](#) Disruptive Pattern Material – dosł. materiał we wzór rozpraszający.
- [19](#) Fragment wiersza Rudyarda Kiplinga *The Young British Soldier* (Młody brytyjski żołnierz).
- [20](#) Thomas Edward Lawrence, *Siedem filarów mądrości*, przekład Jerzy Schwakopf, PIW, Warszawa 1971.
- [21](#) Fragment wiersza Aleistera Crowleya *The Opium Smoker* (Palacz opium).